PODWÓJNY NUMER NA NOWY ROK: Nielegalny sąd ostateczny ▪ Modny lud
Życie po pandemii ▪ Kto zatrzęsie polską polityką ▪ Tybet, siła pokory
A jeśli Trump miał rację? ▪ Jak brzmi cisza ▪ Boniecki: mój alfabet roku

Kraków 3–10 stycznia 2021 nr 1–2 (3730–3731) cena 12,50 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

W WYDANIU DODATKI ▪ WIELKIE PYTANIA NA NOWO: MORALNOŚĆ ▪ ZŁOTO BAŁTYKU

REKLAMA

NOWE MUZEUM BURSZTYNU W GDAŃSKU

WIELKIE OTWARCIE W WIELKIM MŁYNIE

LATO 2021

GDAŃSK

MUZEUM GDAŃSKA

Wystawa powstaje dzięki dofinansowaniu z Unii Europejskiej w ramach Programu Współpracy Transgranicznej Polska-Rosja 2014–2020.

POLAND – RUSSIA CROSS-BORDER COOPERATION PROGRAMME 2014–2020

PROGRAMME IS CO-FINANCED BY THE EUROPEAN UNION

KS. ADAM

Boniecki: *Alfabet 2021*

Pamiętam moje pierwsze kolegium redakcyjne. Dziś żyje nas dwóch: Stefan Wilkanowicz (za trzy lata sto lat) i ja. „Tygodnik" wciąż ten sam, ale nie taki sam. Teraz spotykamy się tylko online. Pismo redagują ludzie, których dobrze znam, ale przez pandemię są nieznośnie oddaleni. Słucham ich, patrzę w ekran podczas kolegium i konstruuję nasz alfabet.

Augustyn Edward. Tło: ściana koloru byczej krwi, białe, oszklone drzwi. Fotoedytor, watykanista, organizator maratonów i dużo, dużo więcej. Siła spokoju. **B**łażejowska Kalina. Obraz: dziewczyna z kotem w Barcelonie. Krytyczna do bólu, ze skłonnością do perfekcji. O zwykłym życiu rozmawia z niezwykłymi ludźmi. **B**ravo Paweł. Widać czubek głowy. Tło: sufit. Mistrz drugiego dna, pierwsze jest za płytko. Nie znosi stadnych odruchów i słowiańskich ciągot. Daje nam to odczuć, choć też uwielbia ziemniaczki. Kota zostawił w Warszawie. **B**urda Ewelina. Tło: ściana z obrazkami. Rozkwita, kiedy prowadzi numer, wtedy nas wszystkich lekko prowadzi. Pracowita, wymagająca, życzliwa. Z kotką na klawiaturze. **G**oc Anna. Regał z książkami, szafa, półcień. Myląco łagodne spojrzenie i dziennikarska pasja docierania do sedna. Roześmiana, przenikliwa nieustępliwość. **F**iałkowski Tomasz. Słychać tylko głos (kot pozostaje w tle). Nasz lektor i nestor. Nieludzka pamięć i horyzonty. **J**agielski Wojciech – nad głową matowa żarówka (albo aureola). Najlepszy polski reporter i korespondent, teraz autor „Strony świata". A na zebraniach jakiś onieśmielony. **K**ubisiowska Katarzyna – jasne wnętrze, zieleń. Rozmawia z ludźmi, z którymi każdy z nas chciałby porozmawiać albo zobaczyć na okładce. Ma kotkę, ale nie pokazuje. **K**uźmiński Michał. Biały regał, książki, idealny ład. W redakcji – od zadań specjalnych, na froncie spotkań z przyszłością. W duszy – pogoda i niepokój. Po godzinach autor kryminałów i książek o kuchni. **K**wiatek Łukasz. Ile on ma w domu tych ekranów? Kiedy szef działu Nauka przemówi, to odechciewa się taniego fantazjowania, bo skarci, a do tego ta jego nauka jest – okazuje się – niesłychana. I nie próbujcie przy nim mówić źle o szympansach! **M**akara Grażyna. Powała, żeliwny piec, sad za oknem. Fotografka, szefowa fotoedycji, człowiek serdeczny, nasz dobry duch. Bez niej nie byłoby tu tak ciepło i jasno. Śmiech aż iskrzy. **M**ucharski Piotr. Na wizji online zawsze w kaszkiecie. Fragment lustra, lampa, obraz. Potrafi odkrywać i doceniać osobiste talenty każdego z nas, więc wszyscy jesteśmy tu równie ważni i potrzebni. Nie przeniósł się ze swojej kanciapy w środku redakcji do gabinetu po mnie i Turowiczu. **M**üller Maciej – z boku dziwnie pochylona szafa, trzy obrazki, drzwi na balkon. Historyk i ekspert od COVID-19. Jak o czymś powie albo napisze, to na pewno tak właśnie jest. Śpimy spokojniej, a czasem – nie. **O**chędowska Monika – okno w głębi i z boku, dużo okien. Jako autorka i redaktorka czegokolwiek się tknie, zmienia w złoto (podobno tak samo jest z mediami społecznościowymi, ale tu nie jestem kompetentny). Gra w futbolowej reprezentacji „TP". Tajemnicza. **O**koński Michał. W tle oszklone drzwi z niebieskim odblaskiem, okrzyki dzieci (coś się przypala?!). W głowie ma „twardy dysk", a w nim zawartość numerów z kilkudziesięciu lat. Fascynacje ma gwałtowne. Te, co nie znikają, zmienia w pasje. **P**ięciak Wojciech. Napchany książkami regał. Znawca Niemców i historii najnowszej. Domator. Jeśli wyjeżdża, to na Ukrainę z darami, za to często. W redagowaniu tekstów bezlitosny. Dystans do panujących opinii. Lubimy, że się nie zgadza. **P**rzewrocka-Aderet Karolina – kawałek otwartego okna. Mieszka w Izraelu, ale mówi i uśmiecha się do nas, jakby siedziała na Wiślnej. **R**abij Marek. Czasem nadaje z auta. Długo pracował online u innych. Kiedy do nas przyszedł, nie mógł się nacieszyć atmosferą newsroomu, a tu masz, znowu zdalnie... Azja, ekonomia i reszta świata, a do tego greka i łacina. Kot i dwa psy (głośne). **S**ikora Piotr. Na jasnym, błękitnawym tle. Żadnych regałów, jakby siedział na chmurze. Ojciec rodziny, świecki teolog-myśliciel. Nie wszyscy „z branży teologicznej" to lubią, my – tak. **S**porniak Artur – znowu książki? Uparty reformator Kościoła. Czasem wygaduje rzeczy straszne, ale w pisaniu zrównoważony. Bogu dzięki! **W**ilczyński Przemysław – w tle okno z białą firanką. Błysk bez śladu blagi, niespotykane w człowieku zestawienie, dlatego tak mu we wszystkim ufamy („kryterium Przemka"). Oświatą się zajmuje jak sprawą osobistą. I każdym innym społecznym tematem, o którym pisze jak nikt. **W**oś Rafał. Książki ułożone tak, że nie widać grzbietów i tytułów. Irytuje czytelników (lubi to), bo wypatruje pozytywów w tym, co wypada oceniać tylko negatywnie. **Z**alejski Marek – w ciemnościach, nie widać tła. Kształt każdej strony „Tygodnika" najpierw powstaje w jego głowie, a potem – całość. Widzi więcej. Czasem lubi dawać ciemne tło pod czarny druk, wtedy cierpię. Nie przeszkadza mu to. Kot i wymagający pies. **Ż**yła Marcin – rozrzucone książki, częściej łąki i góry. Kiedy do niego dzwonię, nie wiem, czy jest w Krakowie, czy w Jordanii albo Sarajewie. Pod spokojem kipią zaskakujące pomysły.

Zawsze jest ciekawie i w ogóle nie męczymy się sobą. Tu wymieniłem tylko redakcję, ale są też wtedy z nami przyjaciele z wydawnictwa i promocji. Nie ma niestety naszych bliskich z fundacji, składu, korekty, księgowości i sekretariatu, ale przecież w końcu – znowu i wreszcie – spotkamy się na Wiślnej, oby jak najszybciej. I tak, my z Wami, proszę Państwa, spokojnie wkraczamy w rok 2021. Razem z kotami i psami. Do siego! ©℗

TYGODNIK POWSZECHNY

TEMAT TYGODNIKA

14 Koniec snu
DARIUSZ ROSIAK
A może to dobrze, że Stanom Zjednoczonym i nam wszystkim przytrafił się Donald Trump? Pytanie tylko, co zrobimy, gdy go zabraknie.

18 Między nami, stanami
ROZMOWA Z JILL LEPORE, HISTORYCZKĄ:
Pierwszą rzeczą, którą należałoby zrobić w celu ocalenia idei Ameryki, jest namówienie moich rodaków, aby wystawili przed domy krzesła i usiedli na nich z sąsiadami.

26 Siódemka bez sternika
ANDRZEJ STANKIEWICZ
Nie widać jeszcze konturów politycznej zmiany, choć wydaje się nieunikniona. Zjednoczona Prawica zaczęła się chwiać, a opozycja szuka nowego lidera.

42 Opcja Abrahama
ZBIGNIEW NOSOWSKI
Na naszych oczach umiera pewna forma funkcjonowania Kościoła w Polsce. Ale koniec epoki to nie koniec świata.

ROZMOWY

38 Bezrobocie to choroba uleczalna
PAVLINA TCHERNEVA, EKONOMISTKA:
Czas, aby państwa zaczęły dawać gwarancję zatrudnienia.

68 Pokora jest siłą
HANKA GRUPIŃSKA, REPORTERKA:
Do Tybetu nie pojechałam. Nie chciałam patrzeć, jak Chiny upokarzają Tybetańczyków.

98 Schody do ogrodu
KRYSTYNA MIŁOBĘDZKA, POETKA:
Wszystkie moje najlepsze teksty są stamtąd, ze świata, a nie ze środka, nie z wewnątrz.

STEPHANIE MITCHELL / HARVARD UNIVERSITY / MATERIAŁY PRASOWE // ARMELION / PIXABAY // LESZEK KOWALSKI / REPORTER // MARIUSZ FORECKI // ARCHIWUM HANKI GRUPIŃSKIEJ // MARTA JARA / ELDIARIO / CC 3.0 // FILIP RADWAŃSKI / FORUM

6 Długa wspinaczka ku odporności
MACIEJ MÜLLER

7-13 Obraz roku

24-25 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ | MAŁGORZATA KORDOWICZ | O. WACŁAW OSZAJCA PIOTR SIKORA

KRAJ

26 Siódemka bez sternika
ANDRZEJ STANKIEWICZ

30 Kto zgasi światło w redakcji
BARTOSZ JÓZEFIAK *o prasie lokalnej*

33 Hodowle poza prawem
ANNA PANIKOWSKA-FILIPEK: *Rasowego psa sprzedam taniej*

ROZMOWA

38 Bezrobocie to choroba uleczalna
ROZMOWA Z PAVLINĄ TCHERNEVĄ

WIARA

42 Opcja Abrahama
ZBIGNIEW NOSOWSKI

46 Sąd Boży okiem prawnika
RADOSŁAW GIĘTKOWSKI: *Czy Sędzia jest sprawiedliwy*

48 Kłopoty ze świętością papieża
ROZMOWA Z HEIDI SCHLUMPF: *Praca katolickich dziennikarzy nie polega na zadowalaniu biskupów*

50 Wąska droga
ZUZANNA FLISOWSKA-CARIDI: *Nawet w Niemczech dialog biskupów ze świeckimi napotyka na przeszkody*

ŚWIAT 2021

54 Koniec pandemii, koniec ery Merkel
ŁUKASZ GRAJEWSKI Z NIEMIEC

56 Pod szczęśliwą gwiazdą
PATRYCJA BUKALSKA O WIELKIEJ BRYTANII

58 Rewolucja zwyciężyła w naszych głowach
AGNIESZKA ZIELIŃSKA I MAŁGORZATA PROCHAL O BIAŁORUSI

DODATKI SPECJALNE

MUZEUM GDAŃSKA

79 Złoto Bałtyku

ADOBESTOCK.COM

109 Wielkie Pytania na Nowo: Moralność

FELIETONY

36 JACEK PODSIADŁO
53 WOJCIECH BONOWICZ
78 ANDRZEJ STASIUK
96 JAN KLATA **102** HANNA KRALL
108 PAWEŁ BRAVO
138 STANISŁAW MANCEWICZ
138 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: ANDRZEJ WIETESZKA dla „TP”
Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

Drodzy Czytelnicy,

*następne wydanie „Tygodnika Powszechnego” ukaże się w środę **13 stycznia**, e-wydania i wydanie w aplikacji we wtorek **12 stycznia** wieczorem.*
Zapraszamy do lektury!

59 Wyzerowane nadzieje
ANNA ŁABUSZEWSKA O ROSJI

60 Mocarstwo bez przyjaciół
PIOTR BERNARDYN O CHINACH

61 Jami czeka na Bidena
MARTA ZDZIEBORSKA O USA

62 W impasie
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z IZRAELA

63 Kolejny rok niepewności
PAWEŁ PIENIĄŻEK O AFGANISTANIE

64 Robcio Muzykant
WOJCIECH JAGIELSKI: *Im młodsza staje się Afryka, tym starsi wydają się jej przywódcy*

Z ODDECHEM

68 Pokora jest siłą
ROZMOWA Z HANKĄ GRUPIŃSKĄ

HISTORIA

72 Machnów idzie na siew
ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

77 O Ukrainie z dystansem
WOJCIECH KONOŃCZUK *o duszy Ukraińców*

KULTURA

86 Nasza klasa
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK: *Intelektualiści harcują wokół ludu*

90 Po burzy
DARIUSZ KOSIŃSKI: *Teatr w sieci już na całego*

93 Zamknięcie i otwarcie
ANITA PIOTROWSKA: *Czy potrzebujemy kina*

96 Powrót na Sycylię
LEKTOR *o „Radzie egipskiej” Leonarda Sciascii*

ROZMOWA

98 Schody do ogrodu
ROZMOWA Z KRYSTYNĄ MIŁOBĘDZKĄ

Z ODDECHEM

104 Rok pustego czasu
WOJCIECH ENGELKING: *Już nie w starej epoce, jeszcze nie w nowej*

ZMYSŁY

134 Odgłosy bambuko
MAREK BIEŃCZYK: *Jak brzmi cisza w sporcie*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Strona świata
Dżihadyści z Boko Haram wciąż terroryzują Nigerię
– pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

Punkt zwrotny [Podkast Powszechny]
O świętości życia w praktyce – opowiada
S. MAŁGORZATA CHMIELEWSKA powszech.net/podkast

/TygodnikPowszechny ▪ /Tygodnik ▪ /Tygodnik ▪ YouTube /TygodnikPowszechny

Dilara Fahrioglu, pielęgniarka z oddziału intensywnej terapii w szpitalu Medicana, Stambuł, 14 kwietnia 2020 r.

DŁUGA WSPINACZKA KU ODPORNOŚCI

Mamy wprawdzie nową broń przeciw koronawirusowi, ale ofiarą pandemii padło zaufanie społeczne. Oby nie umarła również nadzieja.

MACIEJ MÜLLER

W walce z koronawirusem co pewien czas zmieniają się reguły, na ogół na korzyść patogenu. Cios nadszedł nawet w dniach, kiedy zamykamy ten numer „TP": naukowcy donieśli o odkryciu w Wielkiej Brytanii zmutowanego szczepu SARS-COV-2, który zakaża nawet w 70 proc. skuteczniej. Wrócił strach – przede wszystkim o to, że ludzie starsi, którym udało się dotychczas uchronić przed chorobą, nie doczekają szczepionki.

Pierwsze informacje o nowej epidemii w chińskiej prowincji Wuhan, które pojawiały się na przełomie stycznia i lutego 2020 r., wzbudzały raczej ciekawość niż lęk. Nawet kiedy okazało się, że nowy koronawirus szaleje już we Włoszech, a Austria zamknęła południową granicę – nadal wydawało się, że dzieje się to gdzieś daleko i nie dotyczy Polski. Szok nastąpił dopiero, gdy w połowie marca rząd ogłosił *lockdown*. Okazało się, że to epidemia nieporównywalna z SARS, MERS czy gorączką krwotoczną ebola (to się działo daleko) albo nawet ptasią grypą (wystąpiła w Polsce, ale nie osiągnęła poważnych rozmiarów).

Te pierwsze tygodnie były okresem zaufania społeczeństwa do rządu (w każdym razie – do ministra zdrowia Łukasza Szumow-

skiego) w skali, dla której trudno byłoby znaleźć porównanie w historii po 1989 r. Minister popełniał błędy (jak wyśmiewanie skuteczności maseczek), ale jego konferencje prasowe były pełne konkretów, a on sam wydawał się wiedzieć, co robi. Lubiliśmy też, jak nas oszukiwano: szkoły zamknięto przecież początkowo „na dwa tygodnie". Tamto zaufanie szybko jednak roztrwoniono: wystarczy wspomnieć zamknięcie lasów, ściganie przez policję rowerzystów, niewydolność systemu testowania, niemożność dodzwonienia się do sanepidu i innych służb, od których normalnie oczekujemy pomocy. A wreszcie: aferę respiratorową czy maseczkową.

Epidemia okazała się szansą na lukratywne zlecenia dla pokątnych kontrahentów. Na cynizm rządzących odpowiedzią był cynizm części społeczeństwa wobec zaleceń sanitarnych. Tym bardziej że obostrzenia wprowadzano i znoszono bez merytorycznych uzasadnień i precyzyjnie wyznaczonych wskaźników. Pozwolono na uruchomienie takich rozsadników epidemii, jak domy weselne czy stadiony. W lecie w centrum zainteresowania rządu stała reelekcja prezydenta, a nie walka z COVID-19. To wtedy padły pamiętne słowa premiera o koronawirusie, który jest w odwrocie i którego nie trzeba się obawiać. Za tę nieodpowiedzialność, beztroskę, a także nieprzygotowanie systemów ochrony i edukacji na drugą falę zakażeń w jesieni – epidemiolodzy ostrzegali przed nią przynajmniej od czerwca – wielu Polaków zapłaciło zdrowiem lub życiem. Obecnie jesteśmy w światowej czołówce państw o największej liczbie zgonów w przeliczeniu na milion mieszkańców.

Narastające latem postawy denialistyczne („osobiście nie znam żadnego chorego, duszenie gospodarki jest pozbawione sensu" itd.) późną jesienią, po entuzjastycznych doniesieniach o finalizacji prac nad szczepionkami, płynnie przerodziły się w antyszczepionkowe. To fatalnie wróży na przyszłość. Do poziomu odporności grupowej będziemy wspinali się zapewne przez cały rok 2021, o ile nie dłużej: należy zaszczepić przynajmniej 19 mln Polaków. Tymczasem w naszym kraju sprzęga się niezdolność polityków do skutecznego planowania z powszechną niechęcią Polaków do szczepień. ©℗

UMIT BEKTAS / REUTERS / FORUM

Pandemia nie dała odpocząć planecie

TO BYŁA JEDYNA POCIECHA z wiosennego lockdownu: mniej samochodów, czystsze powietrze, powrót zwierząt do miejskich parków. Nadzieja na to, że podczas pandemii przyroda odetchnie, a człowiek przemyśli swoje z nią relacje.

WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

Lis na ulicach Gdańska. Kwiecień 2020 r.

Dziś już wiemy – nadzieja płonna. W kwietniu 2020 r. wyemitowaliśmy do atmosfery 17 proc. mniej dwutlenku węgla niż w tym samym miesiącu rok wcześniej. Imponujące? Mniej, gdy się doda, że tym samym cofnęliśmy się do poziomu emisji z 2006 r. Nakazanie lub zalecenie pozostania w domach ponad połowie mieszkańców planety poprawiło zatem sytuację jedynie „o 14 lat", i tylko na parę tygodni. Nawet zmniejszenie emisji tego gazu w skali całego roku o 4-8 proc. (szacunki są różne) wywrze minimalny wpływ na jego koncentrację w atmosferze. Przykład Wuhanu, gdzie już kilka tygodni po przejściu pierwszej fali epidemii przemysł ciężki znów pracował na pełnych obrotach, pokazuje, że ze ścieżki w stronę klimatycznej katastrofy zawrócić jest nas trudno.

Pięć lat po podpisaniu porozumień klimatycznych w Paryżu mamy mało powodów do radości. Symulujące globalne ocieplenie modele matematyczne wciąż wskazują, że do końca wieku średnia temperatura na Ziemi wzrośnie o 3 stopnie Celsjusza w porównaniu z erą przedindustrialną. To dwa razy więcej niż cel założony w Paryżu. Żeby go osiągnąć – co wciąż jest możliwe – wiele państw musiałoby przyspieszyć przechodzenie na gospodarkę bezemisyjną. Innej drogi po prostu nie ma.

Grupa pingwinów na szczycie góry lodowej unoszącej się w pobliżu kanału Lemaire na Antarktydzie, 6 lutego 2020 r.

UESLEI MARCELINO / REUTERS / FORUM

Na szczęście coś w tym zakresie drgnęło. Przykład dała Unia Europejska, której Zielony Ład – ambitny plan działań na rzecz zrównoważonego rozwoju i osiągnięcia neutralności klimatycznej do połowy stulecia – w 2020 r. nabrał rozpędu. Aż jedna trzecia dotacji z unijnego Funduszu Odbudowy, który ma pomóc wyjść państwom członkowskim z popandemicznej recesji, będzie przeznaczona na transformację sektora energetycznego. Chiny, które rozpoczęły właśnie 14-letni plan na rzecz zrównoważonej gospodarki, deklarują zakończenie emisji dwutlenku węgla do 2060 r. W dodatku w maju zorganizują pierwszy szczyt ONZ ws. bioróżnorodności. Jego uczestnicy mają zobowiązać się do objęcia ochroną ok. 30 proc. powierzchni lądów i oceanów. Nowy prezydent Stanów Zjednoczonych Joe Biden zapowiada powrót swojego kraju do porozumień paryskich. Europa, Chiny i Ameryka odpowiadają wspólnie za niemal połowę emisji gazów cieplarnianych.

Sekretarz generalny ONZ zaapelował w grudniu o sto miliardów dolarów na „zieloną transformację" państw rozwijających się. Nigeria już ogłosiła, że w ramach programu modernizacji gospodarki będzie rezygnować z paliw kopalnych. Po wielu latach dyskusji w lipcu niemiecki Bundestag uchwalił plan rezygnacji z energii opartej na węglu najpóźniej do 2038 r. Taki sam termin wyznaczyły Czechy (Polska planuje, że ostatnia tona węgla wyjedzie z kopalni dekadę później). Dania sprzedaje właśnie ostatnie licencje na wydobycie gazu ziemnego na Morzu Północnym – eksploatacja złóż ma się zakończyć w połowie stulecia.

ALEX KRAUS / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Protest przeciwko finansowaniu paliw kopalnych przed siedzibą Europejskiego Banku Centralnego we Frankfurcie. 21 października 2020 r.

W wielu przypadkach to tylko deklaracje. Ale wywołana pandemią COVID-19 ogólnoświatowa mobilizacja (w tym coraz lepiej koordynowane sposoby powtrzymywania wirusa) uświadomiła nam przynajmniej, że wspólne działanie w obliczu śmiertelnego zagrożenia jest możliwe. I, co więcej, przynosi skutek. ©℗ MARCIN ŻYŁA

TOMASZ JASTRZĘBOWSKI / REPORTER

CZŁOWIEK ROKU

Zuzanna Rudzińska-Bluszcz

STAŁA SIĘ SYMBOLEM statusu obywatela i jego praw w obecnym systemie władzy. Sejm dwukrotnie nie powołał jej na rzecznika praw obywatelskich. Formalnie zgłosiły ją kluby Koalicji Obywatelskiej i Lewicy, w rzeczywistości była reprezentantką organizacji pozarządowych – zyskała poparcie ponad tysiąca z nich. Od pięciu lat pracuje w Biurze RPO, wcześniej jako adwokatka uczestniczyła w licznych rozprawach dotyczących praw człowieka.

Zajmuje się m.in. szkodliwymi treściami w internecie, a przedstawiając się posłom – którzy na jedno z głosowań kazali jej czekać w parlamentarnym korytarzu – porównywała funkcję rzecznika do Czerwonego Krzyża, który korytarzem humanitarnym dociera do najbardziej potrzebujących: „Do dzieci w kryzysie psychicznym. Do przedsiębiorców pozbawionych bezprawnie rekompensaty. Do zatrzymanych podczas protestu feministek, i pseudokibiców, którzy tak samo bezprawnie zostali pozbawieni prawnika na komisariacie. Do matki bez zasiłku opiekuńczego od trzech miesięcy, bo ZUS się nie wyrabia. Do ojca, który w pandemii nie może spotkać swojego dziecka w opiece naprzemiennej" – wyliczała. Nie dało się jej łatwo zapisać do żadnego obozu: w rozmowie z „Gazetą Wyborczą" wypominała jej, że nie staje konsekwentnie po stronie wszystkich mniejszości, bo nie krytykowała mowy nienawiści niektórych polityków PO albo współtworzyła atmosferę przyzwolenia na chamskie żarty z „moherów". Dla rządzących były to cechy niewystarczające – pod koniec roku zgłosili swojego kandydata, byłego posła PiS i wiceministra spraw zagranicznych. ©℗ MO

KRAJ W SKRÓCIE

NIEOCZEKIWANA ZMIANA MIEJSC

Przegrani w wyborach prezydenckich Szymon Hołownia i Rafał Trzaskowski założyli partię polityczną (ten pierwszy, choć wcześniej utworzył ruch społeczny) oraz ruch społeczny (ten drugi, choć wcześniej był jednym z liderów największej opozycyjnej partii politycznej).

OCZEKIWANY BRAK ZMIANY

Najpopularniejszy polski polityk (42,9 proc. w ostatnim rankingu zaufania) Andrzej Duda został wybrany na drugą kadencję w wyborach prezydenckich.

ZBYSZEK KACZMAREK / REPORTER

ZMIANA TRYBU

A same wybory prezydenckie ostatecznie nie odbyły się w formie korespondencyjnej, choć Poczta Polska i PWPW pod nadzorem wicepremiera Jacka Sasina wydały na jej przygotowanie 70 mln zł.

DWIE ZMIANY

W związku ze sporem o organizację wyborów prezydenckich do dymisji podał się inny wicepremier, Jarosław Gowin. Stało się to w kwietniu. W październiku Gowin był już ponownie wicepremierem.

BEZ ZMIAN

Innym wicepremierem od października jest Jarosław Kaczyński. Mówi się, że wszedł do rządu, żeby nadzorować ministra sprawiedliwości, toczącego wojnę podjazdową z premierem. Formalnie odpowiada za bezpieczeństwo; co ciekawe, jemu samemu bezpieczeństwo zapewnia prywatna firma ochroniarska.

Gniew, sukcesy i sukcesje

HASSAN AMMAR / AP / EAST NEWS

PAWEŁ BRAVO

Rzeczywistość, o ile odciska swoje piętno na rządzeniu, zawsze okazuje się nadzwyczajna i niespodziewana. W spokojnych okresach polityka zajmuje się sama sobą i tak było ledwie 11 miesięcy temu: w Platformie rutynowo zwalczające się frakcje wypłukiwały szanse z i tak słabej kandydatki prezydenckiej, w PiS-ie trwały ostatnie przepychanki w nowo wyłonionym po wyborach układzie. Projekt prezydencki Szymona Hołowni wydawał się kolejną daremną próbą osłabiania duopolu. Po czym władza przeszła w stan permanentnego zarządzania (o ile to nie jest słowo na wyrost) kryzysowego, a spięcia wywołane próbą przepchnięcia wyborów w maju (i na mniejszą skalę w grudniu, w obliczu możliwego wetowania unijnego budżetu) były bezlitosną próbą jakości najważniejszych polityków i sędziów. Dzięki niej np. Jarosław Gowin wybił się z roli przystawki, na którą wydawał się skazany.

O ile w styczniu problem „sukcesji po Kaczyńskim" był tylko spekulatywnym zaklęciem, dziś jesteśmy w jej trakcie. Na ostatniej prostej tracący szybciej, niż się spodziewaliśmy, wpływy prezes podsycał wojnę kulturową (najpierw o prawa osób homoseksualnych, później o prawo aborcyjne), wpuścił na scenę przedpolityczny gniew zarówno kobiet, jak i młodszych wyborców. Zasięg i trwałość tej emocji jest – oprócz skuteczności walki z pandemią – podstawową niewiadomą, z jaką polityka wkracza w nowy rok. ©℗

Rodzic nauczycielem roku

ON LUB ONA NAD LAPTOPEM, trwa zebranie. Drugim okiem omiata inny ekran – z zadaniem z matematyki. Albo: pokój dziecięcy, ono w popłochu kończy sprawdzian; oko kamery nie widzi siedzącego obok (ewentualnie – bo i tak bywało – leżącego na dywanie) suflera...

Gdyby nie istniała zgrana dziś już sentencja Bismarcka, że zwykły człowiek nie powinien dociekać, jak się robi parówki i politykę – należałoby ją stworzyć do opisu edukacji A.D. 2020. Oto zwykły rodzic – dotąd odwożący i przywożący dziecko, na koniec dnia rzucający rytualne: „Co tam w szkole?" – zajrzał za kurtynę. Zobaczył skalę wymagań, biurokratyczne nonsensy, maestrię nauczyciela X, bezradność Y.

To on rozdawał karty. Ze wszystkimi tego zaletami, np. poczuciem sprawczości. I wadami, na czele z pogłębieniem się edukacyjnego wykluczenia (różnicy szans między siedmiolatkiem z ojcem i matką mającymi pieniądze, wiedzę i czas, by faktycznie zastąpić szkołę, a pierwszakiem tego wszystkiego pozbawionym lepiej sobie nawet nie wyobrażać).

Rok 2020, rok rodzica-nauczyciela – niech jak najszybciej wyląduje w podręcznikach do historii. ©℗ PW

KADR ROKU

Syryjskie cierpienie

W dobie smartfonów nagrania katastrof i klęsk żywiołowych zaczynają powszednieć, ale wybuch składu saletry w porcie w Bejrucie 4 sierpnia 2020 r. może na długo utkwić w pamięci. W dzielnicy portowej, która uległa niemal całkowitemu zniszczeniu, mieszkało wielu uchodźców z Syrii – od 2011 r. trwa w tym państwie wojna domowa (na zdjęciu ranna w szyję Hoda, Syryjka, której rodzina uciekła do Libanu z Aleppo). Liczba ofiar konfliktu syryjskiego przekroczyła dotąd pół miliona, a 13 mln ludzi musiało uciekać z kraju. Osiem wielkich miast, w tym Damaszek, Aleppo i Homs, uległo poważnemu zniszczeniu. Pandemia w połączeniu ze stabilizacją sytuacji militarnej sprawiły, że w 2020 r. konflikt syryjski zszedł z pierwszych stron gazet i serwisów informacyjnych. Może to skutkować mylnym wrażeniem, że ustały też cierpienia Syryjczyków. ©℗ MR

Uciec przed kryzysem

BLISKO 32 BILIONY DOLARÓW – to równowartość rozmaitych tarcz antykryzysowych oraz innych narzędzi stymulujących gospodarki wszystkich krajów świata, dotkniętych przez pandemię. Na tę gigantyczną kwotę składają się zarówno długi zaciągnięte bezpośrednio przez poszczególne budżety centralne, jak też ulgi podatkowe, obligacje komunalne, gwarancje kredytowe oraz zadłużenie samego sektora prywatnego.

Czy ten wysiłek przyniesie oczekiwane rezultaty i światowa gospodarka nie pogrąży się na lata w kolejnym wielkim kryzysie? Choć w rok 2021 wchodzimy pełni niepokoju, dane makroekonomiczne z wielu krajów dają nadzieję, że prognozy Banku Światowego – mówiące o szybkim odbiciu globalnej gospodarki po równie głębokim załamaniu w roku 2020 – nie są tylko projekcją pobożnych życzeń. Amerykański rynek pracy po wstrząsie z lutego i marca szybko odzyskał wigor; bezrobocie w USA utrzymuje się obecnie na poziomie, którego jeszcze wiosną 2020 r. ekonomiści spodziewali się dopiero w trzecim kwartale 2021 r. Również w Polsce nie sprawdziły się na razie zapowiedzi, że bezrobocie wzrośnie powyżej 10 procent. ©℗ MR

Czas kobiet, czas próby

ROK 2020 zostanie zapamiętany jako rok pandemii – ale również jako trudny czas, w którym kobiety w różnych krajach odegrały ważną rolę.

Finlandię wprowadziła w ten rok nowa szefowa rządu, 35-letnia dziś Sanna Marin. Energiczna i kompetentna, dała Finom nadzieję na zmiany na lepsze. Wiadomo było jednak, że po pierwszym zachwycie przyjdzie surowa ocena, bo jej rząd odziedziczył długą listę problemów. Szybko doszedł też nowy: epidemia. Jak dotąd Marin wychodzi z tej próby obronną ręką. Finlandia z pandemią radzi sobie – w porównaniu z innymi krajami Europy – nadzwyczaj dobrze. Wskaźniki nowych zakażeń i zgonów pozostają jednymi z najniższych w Europie. Ponad 70 proc. Finów ocenia działania Marin dobrze; jedna trzecia chciałaby, aby pozostała ona na czele rządu po kolejnych wyborach. Takiego wyniku nie ma nikt z opozycji.

Inne kraje, którymi w czasie pandemii z powodzeniem kierują kobiety, to Nowa Zelandia z premier Jacindą Ardern, która spektakularnie wygrała jesienne wybory, a także Szkocja z szefową rządu Nicolą Sturgeon czy Niemcy z kanclerz Angelą Merkel. Powodów jest wiele, np. szybsze decyzje o lockdownie na wiosnę. Zwraca też uwagę inny, mniej konfrontacyjny rodzaj przywództwa, który reprezentują niektóre szefowe rządów. Dość porównać opanowaną, pragmatyczną, ale i empatyczną Nicolę Sturgeon oraz buńczucznego brytyjskiego premiera Borisa Johnsona.

THIERRY MONASSE / REPORTER

Inaczej wypada bilans roku 2020 dla kobiet na Białorusi, gdzie odgrywają one kluczową rolę w wysiłkach na rzecz politycznej zmiany. Twarzą tej nierozstrzygniętej nadal rewolucji jest 37-letnia Swiatłana Cichanouska (na zdjęciu), która latem stawiła czoło Alaksandrowi Łukaszence w wyborach prezydenckich. Podczas protestów, które odtąd trwają nieprzerwanie, kobiety idą w pierwszym szeregu – jak 73-letnia Nina Bagińska, która chodzi na każdą demonstrację. Wiele z nich płaci za to wysoką cenę. 38-letnia Maryja Kalesnikawa – jedna z liderek protestów, która podarła swój paszport, aby uniemożliwić przymusową deportację z kraju – do dziś przebywa w więzieniu.

©℗ PATRYCJA BUKALSKA

Ujgurzy: w fabrykach zjednoczenia

MINĄŁ ROK od publikacji dokumentów, które pokazały skalę represji Chin wobec muzułmańskich Ujgurów, zamieszkujących Autonomiczny Region Sinciangu na zachodzie kraju. Efekty? Znikome.

Ponad milion osób – oficjalnie co dziesiąty członek tej mniejszości – przebywa w „obozach szkoleniowych", które bardziej zasługują na miano koncentracyjnych. Z dokumentów, do których pod koniec 2019 r. dotarł dziennik „New York Times", wynika, że Pekin odbiera Ujgurom (nazwa ta w języku staroturecki oznacza „zjednoczonych") resztki swobody praktyk religijnych oraz praw do zachowania tradycji i języka – po to, żeby wtłoczyć ich w ramy nowoczesnego chińskiego społeczeństwa totalitarnego. Władze zmuszają ich m.in. do przyjmowania pod dach osób kierowanych do pracy w Sinciangu z innych chińskich prowincji. Z kolei szkoła propaguje donoszenie na rodziców praktykujących obyczaje przodków jako przejaw patriotyzmu (dzieci aresztowanych trafiają potem do przymusowych adopcji). Z obozów, które partia nazywa szkoleniowymi – bo rzekomo ich pensjonariusze dobrowolnie uczą się tam nowych zawodów – Pekin uczynił też lukratywny biznes. Więźniowie pracują w nich na zlecenie wielu znanych zachodnich firm.

Świat wie zatem, jaki los spotyka Ujgurów, ale nadal nie ma im do zaoferowania nic więcej niż współczucie. A i to nie zawsze. Ze współpracy z koncernem Huawei, który ma wspierać technologicznie władze w Sinciangu, wycofał się właśnie na znak protestu znany francuski piłkarz Antoine Griezmann. Drugi ambasador tej marki, Robert Lewandowski, milczy.

©℗ MAREK RABIJ

RDC POLSKIE RADIO

RADOSŁAW GIĘTKOWSKI opowie Grzegorzowi Chlaście o Sądzie Bożym okiem prawnika (czytaj tekst na s. 46) w środę 30 grudnia o g. 7.30. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia.
Warszawa 101 FM |Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

MŁODZI ONLINE
Po raz pierwszy Europejskie Spotkanie Młodych odbędzie się w Taizé. Zaplanowane od 27 grudnia 2020 r. do 1 stycznia 2021 r. wydarzenie będzie transmitowane *online*. Europejskie Spotkanie pierwotnie miało się odbyć w Turynie w północnych Włoszech, ale z powodu pandemii przełożono je na kolejny rok.

MNIEJ KATOLIKÓW
Liczba osób deklarujących się w Chile jako katolicy spadła do 45 proc. – wynika z najnowszego sondażu Uniwersytetu Katolickiego w Santiago de Chile. W podobnym badaniu w 2006 r. przynależność do Kościoła katolickiego deklarowało 70 proc. respondentów. Spadek socjologowie wiążą ze zmianą pokoleniową. Niewątpliwie katalizatorem zmiany są afery związane z wykorzystaniem seksualnym nieletnich w Kościele.

BRAK CUDU
„Cud św. Januarego", czyli zmiana konsystencji przechowywanej w katedrze w Neapolu relikwii zastygłej krwi męczennika z IV w. n.e., zachodzi zwykle trzy razy w roku: w pierwszą niedzielę maja, 19 września – w święto patrona miasta, oraz 16 grudnia. Tym razem jednak zdarzenie się nie powtórzyło (zob. zdjęcie). „Nieudany cud nie jest zapowiedzią katastrof, epidemii czy wojen: jesteśmy ludźmi wiary" – zastrzegł metropolita Neapolu kard. Crescenzio Sepe. Neapolitańczycy jednak wierzą, że brak cudu zapowiada nieszczęścia.

SALVATORE LAPORTA / EAST NEWS

FILIPPO MONTEFORTE / AFP / EAST NEWS

Jedyna taka reforma

EDWARD AUGUSTYN

Operacja udana. Leczenie zaaplikowane. Tylko Bóg jeden wie, czy pacjent przeżyje. Tak można streścić reformę watykańskich finansów. Ten rok miał być jej zwieńczeniem, a być może skończył się katastrofą.

Wiele się zmieniło. Watykan odzyskał zaufanie europejskich organów kontrolnych, dba o przejrzystość swoich interesów, wygrzebał się z niejednej wizerunkowej wpadki – jak choćby zakup luksusowej nieruchomości w Londynie. Wprowadzono jasne zasady przetargów, poleciały głowy kilku urzędników, w tym bliskiego współpracownika papieża, kard. Angela Becciu, oskarżanego o korupcję i nepotyzm. Rękę na finansach Watykanu trzyma Sekretariat Ekonomiczny. Dostał w zarząd nawet niepodlegające dotąd zewnętrznej kontroli fundusze Sekretariatu Stanu.

Budżetowi grozi jednak zapaść. Na dokładne dane za 2020 r. trzeba poczekać, ale tak źle jeszcze nie było. Kasa świeci pustkami, fundusz emerytalny stracił płynność. Wygasło najważniejsze źródło gotówki – ruch pielgrzymkowy i turystyczny (zwłaszcza sprzedaż biletów do Muzeów Watykańskich). Spadły wpływy z wynajmu nieruchomości. Zmniejsza się ofiarność darczyńców, głównie z USA i Niemiec. To będzie ciężki rok.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

KADR ROKU

Kościół online

Kościół w Polsce był dotąd nastawiony głównie na duszpasterstwo masowe: pielgrzymki, charyzmatyczne spotkania modlitewne na stadionach czy wielkie zgromadzenie młodzieży pod Lednicą. Więcej Polaków angażowało się we wspólnotowe praktyki religijne, niż modliło się indywidualnie. Pandemia wymusiła radykalne zmiany w duszpasterstwie – oczywiście nie tylko na polskich duchownych (na zdjęciu mech porastający płyty chodnikowe na opustoszałym placu św. Piotra). Nie wydaje się jednak, by wspólnotowa religijność w Polsce została zastąpiona wiarą przeżywaną bardziej indywidualnie. Wspólnotowość po prostu przeniosła się do internetu. Popularność zyskały m.in. transmisje *online* z liturgii Eucharystii – zwłaszcza pięknie celebrowanej i z dobrymi kazaniami.

©℗ PIOTR SIKORA

Miary kryzysu w Kościele

NA STRONIE Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego można odnaleźć informację, że „w roku 2011 rozpoczęła się w Polsce intensywna kampania społeczna na rzecz występowania z Kościoła katolickiego. Dlatego ISKK w tym czasie podjął próbę oszacowania skali apostazji w Polsce". W ciągu czterech lat, 2006-10, apostazji dokonało 1516 osób, czyli średnio 380 osób na rok. Wniosek ISKK był następujący: „W związku ze stosunkowo niewielką skalą zjawiska ISKK nie kontynuował prac badawczych aktów apostazji w Polsce".

Wtedy nastroje antyklerykalne były istotnie politycznie podsycane (głównie przez Ruch Palikota). Dziś źródłem niechęci do Kościoła jest on sam. Ujawniane liczne afery związane z tuszowaniem przez biskupów przypadków pedofilii oraz ścisły sojusz ołtarza z tronem spowodowały wybuch nastrojów antyklerykalnych podczas ulicznych demonstracji z niespotykaną do tej pory gwałtownością. Czy to przełom, który spowoduje przyśpieszenie procesów sekularyzacji?

Warto śledzić wskaźniki kryzysu. Politycy lewicy chętnie Kościół w tym wyręczają – na istniejącej od niedawna stronie licznikapostazji.pl jest już ponad 900 osób, które dokonały jej głównie w 2020 r. Inna strona – apostazja.eu – oferuje wzór wniosku składanego w kościele. Wygenerowano już ponad 30 tys. takich wniosków.

Ważnym wskaźnikiem kryzysu są także rezygnacje z katechezy. Stołeczna „Gazeta Wyborcza" ujawniła, że tylko od września na Woli z lekcji religii wypisało się ponad 900 uczniów, na Pradze-Południe – ponad 700, na Białołęce – ponad 500, a na Ursynowie – ponad 300. Te dane zapowiadają duży spadek uczestnictwa w lekcjach religii, który i tak w ostatnich latach był znaczący. W 2009 r. jeszcze 98 proc. uczniów szkół podstawowych i 91 proc. licealistów uczęszczało na katechezę. W ostatnich latach wskaźniki te malały: 94 proc. i 81 proc w roku szkolnym 2018/19 oraz 94 proc. i 75 proc. w roku szkolnym 2019/20.

Gdyby ISKK zbierał dane zwykłym trybem, tegoroczne spadki uczestnictwa w katechezie poznalibyśmy dopiero pod koniec przyszłego roku. Danych dotyczących uczestników mszy również prędko nie poznamy (w tym roku zaprzestano liczenia wiernych z powodu pandemii). Warto jednak przełamać badawczą rutynę, bo żeby móc przeciwdziałać kryzysowi, trzeba znać jego skalę i dynamikę.

©℗ ARTUR SPORNIAK

MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP"

CZŁOWIEK ROKU

Zbigniew Nosowski

TO NAJWAŻNIEJSZE nazwisko w polskim Kościele w 2020 roku.

Zbigniew Nosowski ma 59 lat. Jest dziennikarzem, publicystą, redaktorem naczelnym kwartalnika „Więź", który współtworzy myślenie o polskim katolicyzmie. Już pod koniec lat 70. XX w. zakładał wraz z żoną pierwszą w Otwocku, gdzie mieszka, wspólnotę ruchu oazowego. Potem angażował się w tworzenie wspólnoty dla osób upośledzonych umysłowo ruchu Wiara i Światło. Po transformacji współorganizował zjazdy gnieźnieńskie i działał na rzecz dialogu polsko-żydowskiego. Jako działacz katolicki był doceniany przez kościelnych decydentów. W latach 2002-08 był konsultorem w Papieskiej Radzie ds. Świeckich. Dwukrotnie (w 2001 i 2005 r.) jeździł na Synod Biskupów jako audytor.

Można by powiedzieć, że to wzorcowy przykład osoby świeckiej w Kościele. Potwierdza to zwłaszcza ostatnia dekada. Ujawniane nadużycia seksualne wobec małoletnich sprawiły, że jego wierność Kościołowi stawała się coraz bardziej krytyczna („Krytyczna wierność" to tytuł jednej z książek Nosowskiego). Z czasem stał się najbardziej wnikliwym i skutecznym tropicielem patologicznych mechanizmów w polskim Kościele. Opisywał sprawy dotyczące abp. Głódzia i bp. Szkodonia. Przełomowe okazały się jego artykuły poświęcone bp. Janiakowi. Ostatnio publikuje cykl o nadużyciach w archidiecezji szczecińsko-kamieńskiej.

„Okazuje się, że bez upublicznienia nie ma szans na rozwiązywanie pewnych spraw w Kościele" – tłumaczył na naszych łamach.

©℗ ARTUR SPORNIAK

WOJCIECH OLSZANKA / EAST NEWS

CZŁOWIEK ROKU

Mariusz Wilczyński

TO BYŁ W KULTURZE ROK WILKA. Należał do filmowca samouka, który jak żaden inny artysta potrafi skojarzyć sztuki plastyczne, muzykę i kino. Pełnometrażowa animacja „Zabij to i wyjedź z tego miasta" w tym roku zgarnęła na świecie większość ważnych nagród w swej dziedzinie, by na koniec wygrać festiwal w Gdyni. A wszystko za pomocą rozedrganej, odręcznej kreski, którą Mariusz „Wilk" Wilczyński narysował swe wspomnienia i emocje, po czym wprawił je w ruch.

Tworzony przez kilkanaście lat „Zabij" (tak lubi go nazywać autor) jest zwieńczeniem jego drogi: od łódzkiej ASP, przez animacje użytkowe, które stawały się dziełami sztuki (teledysk do „Śmierć na pięć" Grzegorza Ciechowskiego czy kocio-mysia oprawa wizualna TVP Kultura), aż po autorskie filmy animowane, w których „Wilk" rozpakowywał swój wewnętrzny świat. Po drodze była retrospektywa w nowojorskim MOMA, „księgoklipy" i performanse, podczas których rysował do granej na żywo muzyki.

Zaludniały ten świat zmiennokształtne postacie, dymiące łódzkie kominy, oldskulowe rekwizyty, bluesowe brzmienia, czyli wszystko to, co w ostatnim filmie zbudowało tło dla jedynej w swoim rodzaju podróży w czasie.

W „Zabiju" pojawiają się także postacie i wątki z „Mistrza i Małgorzaty" – filmu, nad którym 56-letni artysta obecnie pracuje. Sam zaś „Zabij" będzie startował do nominacji oscarowej w kategorii animacji. Oznacza to, że charakterystyczna sylwetka „Wilka" i jego równie charakterystyczna kreska jeszcze nieraz dadzą o sobie znać. © ANITA PIOTROWSKA

KATARZYNA PIERZCHAŁA

W 2020 r. przynajmniej jedno znormalniało

COVID-19, z lockdownami, kwarantannami i wymuszoną zmianą trybu życia, był epokowym wydarzeniem dla branży technologicznej. Niespełniona dotąd obietnica, że internet uwolni nas od dojazdów do pracy i ślęczenia w biurze, okazała się zaskakująco prosta do realizacji. Zoom i Meet będą w czołówce najczęściej ściąganych aplikacji. To, że TikTok zapewne będzie wśród nich królował, także daje do myślenia o naszych nowych pandemicznych nawykach.

Możliwe jednak, że jedną z najbardziej fundamentalnych zmian, jakie przyniósł 2020 r. cyfrowym społeczeństwom, jest to, że media społecznościowe zebrały się na odwagę, by kłamstwa nazywać po imieniu. Przez lata usiłowały to robić organizacje pozarządowe i dziennikarze, ale ich szanse na zwycięstwo z lawiną fake newsów były raczej marne.

Wszystko zmieniło się wraz z wybuchem pandemii. Twitter i Facebook zgodnie zadeklarowały, że będą usuwać treści, które mogą narażać kogoś na ryzyko lub wprowadzają w błąd w sprawie COVID-19. Skuteczność tych działań można różnie oceniać, ale faktem jest, że miliony postów i tweetów zniknęły z sieci lub zostały oznaczone jako fałszywe.

Tak radykalne ruchy służące ochronie życia i zdrowia nie budziły większych kontrowersji, ale na horyzoncie pojawiło się kolejne wyzwanie. Tym razem dla amerykańskiej, i tak już nadwerężonej w poprzednich latach, demokracji.

Pierwszy odważył się Twitter. 26 maja oznaczył jako dezinformację dwa posty Donalda Trumpa, w których ów sugerował, że głosowanie korespondencyjne ułatwi oszustwa wyborcze.

Nigdy wcześniej żaden portal społecznościowy nie zdecydował się na podobny krok w stosunku do urzędującego prezydenta USA (choć i żaden inny prezydent naszych czasów tak spektakularnie nie mijał się z prawdą). Dwa miesiące później Facebook uczynił podobnie.

Mimo to Trump próbował działać tak, jak przez ostatnie lata. W konsekwencji jesienią jego twitterowe konto pełne było wpisów przysłoniętych ostrzeżeniem przed nieprawdą.

Facebook kłamstw Trumpa o koronawirusie nie zasłaniał – tylko kasował.

© AGATA KAŹMIERSKA I WOJCIECH BRZEZIŃSKI

KADR ROKU

Moja pierwsza sprawa

Ewa ma 13 lat, jest z Podkarpacia. Nie opuściła ani jednego protestu. Wspiera ją mama. – To moja pierwsza sprawa, o którą walczę na ulicy – powiedziała dziennikarce rzeszowskich „Nowin" Kindze Dereniowskiej. 22 października 2020 r. Trybunał Konstytucyjny orzekł, że aborcja z powodu ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu jest niezgodna z Konstytucją. Tylko 28 października przeciwko zakazowi aborcji odbyło się 410 protestów w całym kraju, w których wzięło udział 430 tys. osób. Dwa dni później w Warszawie wyszło na ulice sto tysięcy osób. Z kilku przeprowadzonych jesienią sondaży wynika, że z decyzją Trybunału nie zgadza się trzy czwarte Polaków, w tym najmłodsze pokolenie. Na zdjęciu: demonstracja Strajku Kobiet w Warszawie, 26 października. ©℗ GOA

Odkryto eniony

ZGODNIE Z PRAWIDŁAMI MECHANIKI KWANTOWEJ cząstki dzielą się na dwa typy: fermiony (takie jak elektron i proton) oraz bozony (takie jak foton czy słynna cząstka Higgsa). Już na początku lat 80. Frank Wilczek, amerykański fizyk teoretyk polskiego pochodzenia, zasugerował, że w pewnych warunkach możliwy jest jeszcze trzeci typ cząstek, dla których wymyślił nazwę eniony (ang. *anyons* nawiązuje do zwrotu *anything goes*, czyli „wszystko jest dozwolone"). Wilczek przewidywał, że eniony mogą powstawać w układach dwuwymiarowych – takich jak ultracienkie warstwy półprzewodnika – jako tzw. kwazicząstki, czyli byty zbudowane z mniejszych cząstek (np. elektronów), zachowujące się jak pojedynczy obiekt kwantowy (pod tym względem przypominałyby trochę ławicę ryb).

Rok 2020 przyniósł dwa długo oczekiwane doświadczalne potwierdzenia istnienia enionów – jednego dokonano w paryskiej École Normale Supérieure, a drugiego niezależnie na Uniwersytecie Purdue w Indianie. Wyniki obu eksperymentów dostarczyły mocnych dowodów na dziwne – nawet jak na standardy mechaniki kwantowej – własności tych obiektów. Jedną z nich jest swoista „pamięć" charakteryzująca układy enionów. Według niektórych badaczy będzie ona nieoceniona w budowie uniwersalnych komputerów kwantowych. © TM

KULTURA W SKRÓCIE

RADIO
Odejście Wojciecha Manna i Marka Niedźwieckiego z Trójki spowodowało, że radio notuje rekordowo niskie wyniki słuchalności. Część dziennikarzy utworzyła stację Radio Nowy Świat, w grudniu Kuba Strzyczkowski wystartował z Radiem 357, a Anna Gacek i Dariusz Rosiak nagrywają własne podkasty. Autor „Raportu o stanie świata" został wyróżniony tytułem Dziennikarza Roku, a RNŚ nominowano do Grand Press Digital. W tym samym czasie Polskie Radio zwróciło się do Urzędu Patentowego o zastrzeżenie nazw kilkudziesięciu starych audycji.

MUZYKA
Zmiany w Trójce przyspieszył głośnym powrotem na listę przebojów Kazik Staszewski („Twój ból jest lepszy niż mój"), ale najchętniej słuchanym polskim artystą według Spotify był Taco Hemingway. Najpopularniejszy album nagrał jego młodszy kolega Mata („100 dni do matury").

FILM
To był rok głośnych polskich premier na Netfliksie: wiosną oglądaliśmy „Kierunek: Noc" duetu Bagiński–Dukaj, zimą „Eroticę 2020" zrealizowaną przez polskie pisarki i reżyserki. W światowym przeboju szachowym „Gambit królowej" wystąpił Marcin Dorociński.

GRA
„This War of Mine" trafiła na listę szkolnych lektur. Tymczasem twórcy wyczekiwanego przez graczy na całym świecie „Cyberpunka 2077" umożliwili zwroty produktu (media branżowe oraz użytkownicy od premiery wskazują na błędy oraz niską jakość gry w wersji na konsole). Akcje CD Projekt od premiery tracą mocno na wartości.

Przewaga kwantów i sztucznej inteligencji

NA POCZĄTKU GRUDNIA 2020 R. zespół chińskich fizyków z Uniwersytetu Nauki i Technologii w Hefei ogłosił, że ich prototypowy komputer kwantowy o nazwie Jiuzhang osiągnął tzw. przewagę kwantową, czyli dokonał obliczeń nieosiągalnych dla zwykłych maszyn. Jak tłumaczy szef zespołu Jian-Wei Pan, urządzenie potrafi uporać się z pewnym specjalistycznym problemem – zwanym „próbkowaniem bozonowym" – w kilka minut, podczas gdy najpotężniejszy obecnie japoński superkomputer Fugaku musiałby nad nim biedzić się przez setki milionów lat.

Co prawda Google już rok temu obwieścił zdobycie przewagi kwantowej, ale zostało ono zakwestionowane przez niektórych badaczy – i przez konkurencję. Specjaliści z firmy IBM zarzucili kolegom z Mountain View, że ich kwantowy rezultat można uzyskać także na klasycznych niekwantowych superkomputerach. W przypadku nowej chińskiej maszyny tego samego zarzutu nie można podnieść.

Google może się jednak pochwalić innym spektakularnym osiągnięciem. Należąca do koncernu firma DeepMind stworzyła algorytm sztucznej inteligencji, który niemal bezbłędnie przewiduje trójwymiarową strukturę białek na podstawie sekwencji tworzących je aminokwasów.

Program Google o nazwie AlphaFold zdeklasował rywali w tegorocznej edycji konkursu CASP – odbywającej się co dwa lata swoistej „olimpiadzie" biologów obliczeniowych zajmujących się białkami.

Jak mówi John Moult, jeden z organizatorów CASP, DeepMind w pewnym sensie rozwiązał problem, z którym badacze zmagali się od pół wieku.

Dokładna znajomość kształtu białka jest kluczowa dla zrozumienia jego funkcji i działania, dlatego AlphaFold może zrewolucjonizować biologię molekularną. © TOMASZ MILLER

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE i AUTORZY „TYGODNIKA"
co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w Radiu TOK FM. Zapraszamy do słuchania!
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce
www.tokfm.pl

TEMAT TYGODNIKA

KONIEC SNU

A może to dobrze, że Stanom Zjednoczonym i nam wszystkim przytrafił się Donald Trump? Pytanie tylko, co zrobimy, gdy go zabraknie.

DARIUSZ ROSIAK

ARMELION / PIXABAY / MONTAŻ TP.ONLINE

Dla mnie i wielu Polaków mojego pokolenia Ameryka to słowa Woodrowa Wilsona: „Jesteście Amerykanami i macie nieść wolność, sprawiedliwość i zasady człowieczeństwa, dokądkolwiek pójdziecie". Oni niosą, a my przyjmujemy to z wdzięcznością, wpatrzeni w nich jak w obrazek. Ameryka to świetliste miasto na wzgórzu, wzniosłe marzenie o wolności, świat nieograniczonych możliwości, bogactwa i szczęścia dostępnego dla wszystkich. To potęga kultury, gospodarki, siły zbrojnej, używanej zawsze w sprawiedliwym celu. To nie miejsce ani ludzie, nie suma osiągnięć i porażek, które można przypisać każdemu krajowi. Dla mnie i wielu Polaków, z którymi dorastałem – to idea.

Z ideami się nie dyskutuje. Dla nas idea Ameryki jest jedyną możliwą.

„Była" – nie „jest", oczywiście. Poprzednie akapity powinienem był napisać w czasie przeszłym. Dziś nikt przy zdrowych zmysłach nie broni idei Ameryki, nie utożsamia się z nią. Więcej: nikt nie wie, na czym taka idea miałaby polegać.

Na szczęście wszyscy mamy już połączenie satelitarne z Ameryką, możemy zweryfikować, co się w niej dzieje. Zobaczyć na własne oczy i ocenić jej rasizm, biedę, przemoc i głupotę. Stany Zjednoczone jako państwo odbierające dzieci matkom i wsadzające je do klatek na meksykańskiej granicy? Policjanci strzelający do ciemnoskórych, palone samochody i plądrowane sklepy? Ameryka „*I can't breathe*" – ostatnich słów George'a Floyda – i *cancel culture*, kultury unieważniania? Kraj płaskoziemców, antyszczepionkowców i wyborców Trumpa? Ameryka – wyśniony koszmar czytelników „New Yorkera", wyrafinowanych intelektualnie Europejczyków, estetów polityki i obyczajów? Kraj wzgardzony, wyśmiany, sponiewierany przez ludzi, którzy kiedyś go podziwiali, bali się go (czasem podziwiali i bali się jednocześnie) albo nienawidzili.

Brzydka i odpychająca

Nienawiść nie była najgorsza. Ameryki nienawidzili ludzie źli albo niedoinformowani.

Sowieci – za to, że była ich zaprzeczeniem, rodziła dobro w miejsce zła, sprawiedliwość zamiast dyskryminacji, wolność za opresję, bogactwo za nędzę. Latynosi nienawidzili jej, bo sami chcieli zostać Sowietami, na szczęście dla nich Stany Zjednoczone do tego nie dopuściły. Przy okazji wspierane przez Waszyngton reżimy wymordowały tysiące ludzi – ale czego się nie robi dla wolności. Ameryki nienawidzili też niektórzy zachodni lewicowcy, „pożyteczni idioci" Lenina i Mao, rozpuszczeni beztroskim życiem – zresztą na koszt Ameryki. 40 lat temu przykuwali się do płotów baz amerykańskich w zachodnich Niemczech, dwie dekady później w Londynie, Paryżu i Berlinie szli w pochodach przeciwko wojnie w Iraku. ↦

↦ O nie, nienawiść nie osłabiała Stanów Zjednoczonych. Była niezbędnym dopełnieniem podziwu wpatrzonych w nią admiratorów, potwierdzeniem, że wszystko toczy się prawidłowym torem: są źli, lecz my jesteśmy po dobrej, amerykańskiej stronie.

Dziś nie o podziw ani nie o nienawiść chodzi. W ich miejsce coraz częściej pojawiają się otwarta wzgarda, litość, współczucie dla niegdyś wielkiego narodu przechodzącego ciężką próbę, w której kategorie moralne i polityczne mieszają się z estetycznymi. Ameryka roku 2020 była brzydka i odpychająca. Reszta świata nie zazdrościła jej, nie chciała się z nią utożsamiać ani jej naśladować. Nie miała czego.

Kochać, nie kochać

Z wiekiem większość ludzi wyrasta z bezkrytycznej wiary w wyjątkowość Ameryki. Przestajemy wierzyć, że historia o Winnetou i Old Shatterhandzie obrazuje prawdę historyczną o podboju kontynentu przez pionierów. Zauważamy rysy na obrazie Ameryki jako „imperium dobra". Jednak do niedawna „reszta świata" wpatrzona była w Stany Zjednoczone jak w oświeceniową machinę, której błędy i porażki blakły wobec blasku jej siły gospodarczej, inwencji technologicznej, potęgi wojskowej, prężności jej demokracji. A przede wszystkim – wobec umiejętności odnowy. Ameryka, owszem, miała potężne wady, lecz przeważały zalety państwa i narodu, który potrafi się odradzać i którego nic nie jest w stanie zniszczyć.

Europa broniła się przed zalewem kulturowego blichtru z drugiej strony Atlantyku, ale jednocześnie chłonęła te wynalazki, modę i styl. Nauczyliśmy się mówić językiem Amerykanów, oglądamy ich seriale, a jeśli w ogóle czytamy – to ich książki. Używamy wymyślonych przez nich technologii, oddaliśmy ich firmom swoje dane, śledzimy ich politykę, jakby od niej zależało nasze życie. Bo zależy.

Jednocześnie przez dekady rozwijaliśmy w sobie krytyczne spojrzenie na Stany Zjednoczone i ich obywateli. Wiedzieliśmy, kiedy ich prezydenci kłamali, kiedy dopuszczali się zła, kiedy ich polityka ulegała korupcji. Śmialiśmy się z ich ciasnoty umysłowej i plebejskich gustów, wyszydzaliśmy obyczaje i zaściankowość. Ale nigdy nie porzucaliśmy marzenia o niewinnej Ameryce, mesjaszu narodów.

Tak było do niedawna.

Bóg Ameryki

Zwłaszcza w powojennej Europie to krytyczne spojrzenie na Amerykę zaowocowało przedziwnym zjawiskiem, jakim jest choroba antyamerykanizmu – agresywna wrogość podbudowana resentymentem, wykazywanym zresztą głównie przez narody, które najwięcej Stanom Zjednoczonym zawdzięczają: Niemców, Francuzów, czasami Brytyjczyków.

I nie chodzi tu o podszyty drwiną i poczuciem cywilizacyjnej wyższości obraz Amerykanina jako ćwoka, który wymaga reedukacji i który zresztą sam nie marzy o niczym innym jak poddaniu się „europeizacji". Patrz: serial „Emily w Paryżu", najnowsza realizacja tego mitu, w gruncie rzeczy nieszkodliwego i dającego obu stronom sporo satysfakcji.

Od powojnia, od lat 80. XX w. zwłaszcza, w kulturze europejskich demokracji obecna była zaraza antyamerykanizmu, która kazała, wydawać by się mogło, inteligentnym i zdolnym ludziom nienawidzić Stanów Zjednoczonych z siłą unicestwiającą jakiekolwiek inne uczucie. Jest na to wiele przykładów. Jako obrazowy, a przy tym chyba nieznany w polszczyźnie, przytoczę wiersz brytyjskiego autora Harolda Pintera pt. „Boże, błogosław Amerykę":

Znowu się zaczyna,
Jankesi i ich zbrojna parada
Skandują swoje radosne ballady
W galopie przez wielki świat
Wielbiąc Boga Ameryki.

Rynsztoki zarzucone trupami
Tych, którzy nie mogli dołączyć
Tych, którzy nie chcieli do chóru
Tych, którzy stracili głos
Tych, którzy zapomnieli melodię.

Rycerze mają lance, one tną.
Twoja głowa spada do piachu
Twoja głowa jest kałużą w błocie
Twoja głowa jest plamą w kurzu
Twoje oczy wypadły, a twój nos
Czuje tylko trupi smród
A martwe powietrze drga
Przesączone zapachem Boga Ameryki.

Pinter, laureat Nagrody Nobla (chyba jednak nie za powyższą próbkę), napisał ten wiersz w styczniu 2003 r. Chodziło o sprzeciw wobec wojny w Iraku, wywołanej przez Waszyngton z pogwałceniem prawa międzynarodowego, na podstawie kłamliwych przesłanek i bez pomysłu na pokój. Mimo tych – oględnie mówiąc – słabości amerykańskiej strategii praktycznie cały demokratyczny świat poparł wówczas Stany i ich średnio wiarygodnego prezydenta. To one wyznaczały bowiem zasady współżycia międzynarodowego. Zbudowały świat po wojnie, dały swoim sojusznikom pieniądze i narzędzia na odbudowę, ale w zamian oczekiwały bezwarunkowego wsparcia w obronie własnych interesów.

Mit wciąż od nowa

Takie wsparcie Stany Zjednoczone regularnie dostawały. Również dlatego, że obrona tych interesów nigdy nie była cyniczną grą, w każdym razie nie na pokaz. Ameryka dbała, by jej grzechy z czasem zostały nazwane po imieniu, winni zostali ukarani, a jej krytycy mogli nakarmić się resentymentami. Cała kultura Stanów Zjednoczonych – popularna i nie tylko – opiera się na krytyce i próbie rekonstrukcji ideału amerykańskiego marzenia. Wystarczyło popatrzeć, jak Ameryka zmagała się z prawdopodobnie najcięższym ciosem wizerunkowym, jakiego doznała na początku XXI w., związanym z torturowaniem jeńców wojennych w więzieniu Abu Ghraib pod Bagdadem w 2004 r.

Amerykańscy żołnierze mogą być bezwzględnymi zwyrodnialcami, ale na koniec pojawia się sygnalista, który publikuje ich zdjęcia i zmusza naród do moralnych rekolekcji. Prezydent może zdradzać żonę, kłamać publicznie, wywoływać niosące śmierć i spustoszenie wojny, ale na koniec zostaje z kłamstw rozliczony – jeśli nie sądowo, to choćby medialnie. Nawet jeśli Stany Zjednoczone niosły światu przemoc, w tle pozostawał punkt odniesienia: mit o sprawiedliwej demokracji, wolności dostępnej dla każdego, zdolności do odtwarzania się na nowo. Kolejni prezydenci konfrontowani z upadkiem amerykańskiej niewinności musieli przyznawać, że ich kraj czasami nie potrafił sprostać ideałom, które sam wymyślił. Jednak żaden – ani Demokrata, ani Republikanin – nie rezygnował z Ameryki jako moralnego wzorca dla całego świata. To właśnie dlatego spora część świata mogła ten wzorzec – krytycznie, ale jednak – akceptować.

Aż pojawił się Donald Trump.

Ofiara samej siebie

Bycie światową potęgą, którą inni z własnej woli naśladują, generuje jednocześnie siłę i słabość. Wszyscy na świecie mówimy po angielsku, za to zaledwie jedna czwarta Amerykanów mówi w języku innym niż angielski, z czego połowa zna hiszpański, który jest w zasadzie drugim językiem ojczystym w Stanach Zjednoczonych.

Amerykanie coraz bardziej tracą kontakt ze światem, nie rozumieją poplątanych realiów globu, które teoretycznie powinni nie tylko zgłębiać, ale też rozwiązywać. To prawda, cały świat chciałby studiować na amerykańskich uczelniach. Najlepsi studiują. A potem wracają do swoich krajów. Zwłaszcza Chińczycy, którzy pobyt w Ameryce traktują jak szybką wizytę w zakładzie świadczącym usługi. Znają Amerykę znacznie lepiej, niż Ameryka poznała ich.

Przykład stosunku do nauki języka obcego pokazuje, jak bardzo nierówna może być wymiana w ramach systemu, w którym rządzi rzekoma potęga Ameryki. Donald Trump to rozumiał. Może intuicyjnie, może przypadkiem, ale rozumiał. Powiedział całemu światu, że Stany Zjednoczone są największą ofiarą globalizacji, którą wymyśliła Ameryka. To było jego najbardziej radykalne i w dużej mierze słuszne odkrycie: amerykanizacja świata działa na niekorzyść Ameryki. Ściśle biorąc, nie jest to żadne odkrycie: Trump od lat 80. XX w. twierdził, że Ameryka za darmo oddaje pole swoim konkurentom. Za darmo podniosła z gruzów Niemcy i Japonię, bezczynnie przyglądała się, jak te kraje budowały swoją potęgę, a dziś zalewają Stany Zjednoczone swoimi produktami, zwłaszcza samochodami – z jakiegoś powodu Trumpa najbardziej irytowała dominacja niemieckiego przemysłu samochodowego.

Ameryka oddała pole swoim nominalnym sojusznikom, ale nie tylko – podobnie zachowuje się wobec konkurenta i potencjalnego wroga, którym są Chiny.

Chińczycy nigdy nie naśladowali Ameryki ani Zachodu. Pożyczali albo kradli – zwłaszcza technologie – i tworzyli własne wersje produktów. Od 1989 r. mówią konsekwentnie: nie chcemy być jak Zachód. Chcemy być tak samo rozwinięci gospodarczo, dysponować większą siłą militarną, ale nie chcemy was naśladować. Trump to rozumiał, a jego polityka miała na celu zasadniczą zmianę podejścia Ameryki nie tylko do Chin, ale do całego świata. Również do samej siebie.

Koniec niewinności

Iwan Krastew i Stephen Holmes piszą w niedawno wydanej książce „Światło, które zgasło", że rewolucja Trumpa polegała na odrzuceniu uznawanego przez wszystkich poprzednich prezydentów przekonania o wyjątkowości i niewinności Ameryki. Ameryka Trumpa miała być krajem jak każdy inny: skierowanym ku sobie, broniącym wyłącznie własnych interesów, odrzucającym misję, którą przypisała jej historia, czyli nauczania mieszkańców innych krajów, jak mają żyć, organizowania im społeczeństwa, instytucji i zasad ustrojowych. Ameryka Trumpa nie chce być naśladowana, bo naśladownictwo oznacza uzyskanie przewagi przez naśladującego, a w świecie Trumpa zwycięzca jest tylko jeden: jeśli nie zniszczysz przeciwnika, to on zniszczy ciebie.

Jak długo w oczach świata pozostanie Ameryka stworzona przez Trumpa?

Czy jesteśmy gotowi zrewidować pojęcia, które budowały jej obraz przez ostatnie cztery lata?

Odrzucenie idei Stanów Zjednoczonych jako modelu dla innych oznacza też jawne porzucenie ideałów, które towarzyszyły krajowi od jego powstania: Ameryka nie ma prowadzić bezinteresownych działań na rzecz wolności i sprawiedliwości (nigdy nie prowadziła, ale przynajmniej udawała), tylko być tak samo samolubnym i pozbawionym skrupułów państwem jak Chiny czy Rosja. Trump w gruncie rzeczy lubi metody Putina czy Erdoğana – wielokrotnie dawał wyraz podziwu dla tych przywódców i ich darwinowsko-makiawelicznej wizji polityki.

Trump – i tu kolejna radykalna praktyka odchodzącego prezydenta – nie tylko odrzuca wyjątkowość Ameryki, nie tylko chce, by stosowała ona podobne metody jak Rosja Putina czy Chiny Xi Jinpinga, ale uważa, że nie ma nic złego w porównywaniu Ameryki do Rosji. W wywiadzie dla telewizji Fox News w 2017 r. prezenter poirytowany brakiem reakcji prezydenta na zarzuty o mordowanie przez Putina dziennikarzy rzucił: „Putin to morderca". Na to Trump odpowiedział: „Jest wielu morderców. My mamy wielu morderców. Myślisz, że nasz kraj jest taki niewinny?".

W świecie Trumpa i jego Ameryki trwa bezwzględna wojna wszystkich ze wszystkimi. Zamiast opowiadać rodakom i światu o świetlistym mieście na wzgórzu, odchodzący prezydent mówi: nie miejcie złudzeń. Jestem twardym negocjatorem, który wykorzysta każdą słabość przeciwnika. Czas działań w imię idei skończył się, liczą się tylko interesy, a walka o interesy to wojna. Wojna toczy się zawsze, a przeciwnikiem jest każdy, z kim ja, czyli Ameryka, siadam do stołu.

Łatwy obiekt drwin

Co miał z taką Ameryką zrobić świat? Jej brzydota, amoralność, brak idealizmu były orężem Donalda Trumpa. Obnosił się z nimi przez minione cztery lata, traktował jako zalety swojej polityki. Być może jego czas nadszedł również dlatego, że po Iraku, Abu Ghraib, rewelacjach WikiLeaks, kryzysie finansowym Ameryka, obiektywnie rzecz biorąc, nie jest już w stanie unieść swojego marzenia.

W roku 2020 doszły protesty i zamieszki, katastrofalna reakcja na pandemię, która paradoksalnie potwierdziła instynkt Trumpa. Stanów Zjednoczonych nie uchroniło ich bogactwo ani nowoczesne technologie – COVID-19 zrównał je z innymi społeczeństwami w bezradności, chaosie, nieprzewidywalności. Gdy zachorował on – lider nowej Ameryki – dostał oczywiście najnowsze i najdroższe lekarstwa, do których prawie żaden z jego rodaków nie miał dostępu. Ale co z tego? Każdy dba o siebie, prawda?

Trump był idealnym celem ataku dla europejskich elit. Nie chodzi tylko o treść jego polityki – świat zachodnich liberalnych elit wielokrotnie maszerował przeciwko Ameryce jeszcze przed jego kadencją – w czasie wojny w Wietnamie, w Iraku, gdy trzeba było protestować przeciwko korporacjom i braku działań w obronie klimatu. W tym roku w Berlinie, Paryżu, Londynie setki tysięcy ludzi protestowało przeciwko „systemowemu rasizmowi" Ameryki Trumpa. Nie wiem, czy te marsze były po części spowodowane tęsknotą za czystością moralną ↦

↦ w życiu społecznym. Wątpię – nikt nie organizował podobnych w obronie prześladowanych przez Chiny Ujgurów, demokracji Hongkongu, opozycjonistów mordowanych przez Putina czy Łukaszenkę.

Jednak w przypadku Trumpa dochodzi estetyka. Moralność jest ładna, powoływanie się na wzniosłe ideały pociągające, odwoływanie do wspólnych emocji budujące. Trump otwarcie to lekceważył. Rezygnując z idei Ameryki jako ideału moralnego dla innych dawał kolejnemu pokoleniu młodych Europejczyków powód, by nienawidzili Stany Zjednoczone bez wyrzutów sumienia. Nie tylko za to, co Ameryka robi, ale czego nie robi. Nie za to, jaka jest, ale jaka nie jest. Za wycofanie z porozumienia klimatycznego i za wulgarność prezydenta. Za jego prostactwo, graniczące niekiedy z analfabetyzmem, i wspieranie Bolsonara, Erdoğana i Putina. Za chamstwo i bicie przez policję protestujących w marszach Black Lives Matter.

Co po Trumpie

Batożenie Ameryki jest wdzięcznym zajęciem dla świata, zwłaszcza kiedy ma takiego prezydenta jak Donald Trump. Wiąże się jednak z pewnymi niebezpieczeństwami. Największe pojawia się właśnie teraz. Do Białego Domu wprowadza się polityk, którego główną zaletą wydaje się fakt, że nie jest Trumpem. Być może z czasem okaże się, że ma inne, choć w kampanii wyborczej ich nie ujawnił.

Jak długo w oczach świata pozostanie Ameryka stworzona przez Trumpa? Czy jesteśmy gotowi zrewidować pojęcia, które budowały jej obraz przez ostatnie cztery lata? Liberalne elity w Stanach Zjednoczonych i Europie wybaczą Bidenowi wiele, ale jest czynnik, który nie zależy od nich.

Świat nie ogranicza się dziś do Zachodu. Na wschodzie rośnie siła, która w nosie ma misyjność i wyjątkowość Ameryki oraz nasze dylematy moralne i estetyczne wynikające z jej kryzysu. Chiny mają siłę i odwagę rodzącej się potęgi, rosnące bogactwo, coraz bardziej zaawansowaną technologię. I głębokie przekonanie o własnej wyjątkowości – z tą różnicą, że nie szastają nią na lewo i prawo. Mit Chin – w przeciwieństwie do mitu Ameryki – nie jest zbudowany na religijnym przekonaniu o misji do wypełnienia wśród narodów świata. Chińczycy nie chcą, by ktokolwiek im zazdrościł albo ich naśladował. Wystarczy, byśmy wszyscy realizowali ich interesy.

Być może to dobrze, że Stanom Zjednoczonym i nam wszystkim przytrafił się Donald Trump. Być może ideały ojców założycieli musiały zostać zrewidowane i poddane próbie – być może to dopiero początek tej próby. Wielu liczy na to, że Joe Biden przywróci Ameryce normalność. Być może. Jednak odchodzący prezydent wywrócił myślenie Ameryki o sobie i świata o niej. Co zrobimy, jeśli to on wyznaczył nam wszystkim normę współczesnej Ameryki?

© DARIUSZ ROSIAK

Dariusz Rosiak został wybrany Dziennikarzem Roku 2020 w konkursie Grand Press. Autor podkastu „Raport o stanie świata" i wielu książek reporterskich, stale współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym".

POŻEGNANIE

Z ogromnym żalem żegnamy

Ś.†P.

Jadwigę Wyrobę

wspaniałą nauczycielkę i wychowawczynię,
ciepłą i serdeczną osobę.

Łączymy się w smutku.
Nie zapomnimy!

MIKOŁAJ KARDYŚ Z RODZICAMI

Między nami, stanami

PROF. JILL LEPORE, HISTORYCZKA:

Pierwszą rzeczą, którą należałoby zrobić w celu ocalenia idei Ameryki, jest namówienie moich rodaków, aby wystawili przed domy krzesła i usiedli na nich z sąsiadami.

MARCIN ŻYŁA: Czy Amerykanie są przygotowani na spadek swojego znaczenia w świecie?

JILL LEPORE: Na pewno nie. Dla wielu z nas mur berliński upadł jakby wczoraj i wciąż czujemy się przywiązani do idei Ronalda Reagana, że Stany Zjednoczone przewodzą całemu wolnemu światu.

Rzecz w tym, że o Związku Sowieckim wiedzieliśmy stosunkowo dużo. Pamiętam, jak w szkole uczyłam się o państwach członkowskich Układu Warszawskiego. Było to oczywiste – przeciwnika należało znać. O Chinach, z którymi konkurujemy teraz, młodych Amerykanów już się tak nie uczy. W „New York Timesie" nie ma działu azjatyckiego. Brakuje tamtej świadomości, która towarzyszyła nam, gdy rywalizowaliśmy z blokiem wschodnim.

A Stany Zjednoczone mają jeszcze w ogóle do wypełnienia jakąś misję? Prezydentura Donalda Trumpa wydawała się tego zaprzeczeniem.

Trump nie miał wizji Ameryki. On naprawdę nie mógł wyjść poza jedną wizję – siebie samego. Jakby nie patrzył na swój kraj przez okno, tylko oglądał go w lustrze. Ameryka była zatem taka jak on: samolubna, narcystyczna, podejrzliwa wobec innych. W tym lustrze nie było miejsca na szczodrość, poświęcenie czy honor.

STEPHANIE MITCHELL / HARVARD UNIVERSITY / MATERIAŁY PRASOWE

PROF. JILL LEPORE jest wykładowczynią historii Ameryki na Uniwersytecie Harvarda i członkinią redakcji tygodnika „The New Yorker". Autorka wielu nagradzanych książek, za „The Secret History of Wonder Woman" otrzymała w 2015 r. prestiżową American History Book Prize. Niedawno, nakładem Wydawnictwa Poznańskiego, w Polsce ukazała się jej monografia „My, Naród. Nowa historia Stanów Zjednoczonych".

Wartości, z których dumne są inne narody, nie pojawiały się w wizji Trumpa. Psychopatologia jego rządów polegała na tym, że nie myślał kategoriami, jakimi myśli większość z nas. Bo my wiemy, że to ważne, jak się traktuje innych, że potrzebującymi trzeba się opiekować, że wszyscy w świecie dzielimy się wspólnymi zasobami.

Ale jeśli pyta pan o to, czy Ameryka po Trumpie będzie taka, jak np. w latach 1945-46, kiedy budowała ogólnoświatowy porządek liberalny albo oferowała plan Marshalla, odpowiedź brzmi „nie". To był tylko moment w historii. Już się skończył.

To jaka będzie?

Wiele zależy od tego, jak wyjdziemy z pandemii. Ona przyzwyczaiła nas patrzeć do wewnątrz, zamknęła granice między państwami, a nawet wprowadziła ograniczenia w podróżowaniu między stanami. Gospodarki jeszcze długo będą do siebie dochodzić po kryzysie. To wszystko ma wpływ na politykę i na to, jak Amerykanie będą patrzeć na świat.

Jest jednak szansa. Pandemia uświadomiła nam, że jesteśmy wszyscy jednym gatunkiem, zamieszkujemy tę samą planetę. W 2020 r. wszyscy nosiliśmy maski. I bliżej nam do zrozumienia, że jeśli nie zajmiemy się kryzysem klimatycznym, dość szybko będziemy musieli założyć je ponownie. Joe Biden na pewno będzie traktował NATO inaczej niż jego poprzednik i z powrotem dołączy Amerykę do porozumienia klimatycznego z Paryża.

I Zachodowi nie grozi już amerykański izolacjonizm?

Być może pewien rodzaj protekcjonizmu będzie potrzebny Stanom Zjednoczonym do odbudowy znaczenia w świecie. Kapitalizm miał już w historii swój najważniejszy moment. Wielu wyborców Trumpa to ludzie, którzy poczuli się ofiarami globalizacji. W latach 90. XX w. progresiści ostrzegali, że skutkiem ubocznym globalizacji będzie społeczne wykluczenie. Nie szacowano jednak jego skali, nie zastanawiano się, czy udział w globalizacji „bez trzymanki" jest tego wart.

Na amerykańskiej lewicy dopiero Bernie Sanders, kandydat w wyborach prezydenckich w 2016 r., podjął temat kosztów globalizacji dla obywateli. I pierwszy postawił pytania o państwowy interwencjonizm.

Ale przecież to nie globalizacja zapoczątkowała rozwarstwienie społeczne.

Idee równości zawsze przegrywają w konfrontacji z rzeczywistością gospodarczą. W Stanach Zjednoczonych różnice między biednymi a bogatymi zwiększały się od początku lat 70. XX w. W amerykańskiej historii rozwarstwienie to wciąż zjawisko wyjątkowe.

Nie zdarzało się wcześniej?

Tylko dwukrotnie. Najpierw w XIX w., kiedy społeczeństwo z grubsza dzieliło się na tych, którzy za pracę otrzymywali wynagrodzenie, oraz na niewolników. I później, na przełomie XIX i XX w., kiedy rozkwitły wielkie monopole. Dopiero ok. 1910 r. uchwalono pierwsze przepisy pozwalające rządowi federalnemu aktywnie działać w obszarze gospodarki. Później, za prezydentury Franklina D. Roosevelta, pozwolono państwu na jeszcze więcej swobody.

To przyczyny gospodarcze. A co politycznie uformowało współczesną Amerykę?

Większość zjawisk, które ją dziś charakteryzują, zaczęła się na przełomie lat 60. i 70. XX w. Oprócz rozwarstwienia mam na myśli zwiększanie się politycznej polaryzacji. Gdyby te dwa trendy pokazać na osi czasu, pokryłyby się ze sobą niemal jeden do jednego. ↦

Polaryzacja w polityce amerykańskiej ma asymetryczny charakter. Przez ostatnie pół wieku Partia Republikańska przesunęła się bardzo w prawo – znacznie bardziej niż w lewo Partia Demokratyczna. W ścisłym tego słowa znaczeniu Demokraci nie są nawet lewicą, bardziej odpowiednikiem europejskich partii centrowych.

Jak się zaczęły te ruchy?

Podobnie jak obecnie w Polsce, podziały narosły wokół pojedynczych tematów. W Stanach – wokół dostępu do broni palnej i legalizacji aborcji.

Legalizacja aborcji zaczęła się w latach 60., głównie za sprawą lobbingu lekarzy. Długo nie postrzegano jej w kategoriach walki kobiet o swoje prawa. W tym samym czasie, po zabójstwie prezydenta Kennedy'ego, nabrał znaczenia ruch na rzecz ograniczania dostępu do broni palnej. Z czasem dyskusje na oba tematy wyniesiono na wysoki, moralny poziom, wykluczając kompromis. Już w latach 80. konserwatyści utrzymywali, że aborcja jest morderstwem, zaś prawo do posiadania broni – wyrazem wolności. Liberałowie natomiast – że aborcja to wolność, a masowy dostęp do broni przynosi śmierć. Obie partie zaczęły mobilizować elektorat tymi hasłami, jakby każde kolejne głosowanie było niemal sprawą życia i śmierci.

Powinniśmy wrzucić na luz – przestać wierzyć, że nasi polityczni oponenci są śmiertelnymi wrogami.

Nie dało się tego trendu powstrzymać?

W dużej mierze go nie widzieliśmy. Aż do lat 90. oraz początku XXI w., kiedy za sprawą wzrostu znaczenia internetu i mediów społecznościowych wybory stały się grą o wszystko. Mechanizmy polaryzacji powstały „ręcznie", ale potem podchwycił je internet – można powiedzieć, że dziś polaryzacja ma już charakter „zmechanizowany".

Dwa miesiące przed ostatnimi wyborami jeden z sondaży wykazał, że ponad 40 proc. Amerykanów – wyborców obu partii – uważa, że w sytuacji zwycięstwa kandydata drugiej strony uzasadnione jest sięgnięcie po przemoc. Z każdą kolejną elekcją polaryzację coraz trudniej zatrzymać. Sama styczniowa zmiana warty w Białym Domu też przecież nie wystarczy.

Nie. Ale przed Bidenem widzę kilka możliwości. Jest katolikiem, co niedzielę chodzi na mszę, ma potencjał łączenia ze sobą różnych środowisk.

Pani rady dla nowego prezydenta?

Amerykanie muszą wrzucić na luz – przestać wierzyć, że ich polityczni oponenci są śmiertelnymi wrogami. Biden mógłby udać się do hrabstw, w których wysoko wygrywał Trump, wyjść do ich mieszkańców, pokazać im, że nie jest antychrystem. Na stanowiska rządowe powinien mianować ludzi umiarkowanych, dla których nadrzędnym celem jest zgoda.

Wiele naszych bolączek wynika z problemów w komunikacji, pogłębianych przez media społecznościowe. Facebook czy Twitter nie zaczną się same ograniczać, a rząd federalny jest za słaby, aby wpływać z zewnątrz na internetowych gigantów. Są jednak inne powody do optymizmu. Właśnie zaczyna się akcja masowych szczepień przeciw koronawirusowi. Tuż przed Bożym Narodzeniem Kongres uchwalił w końcu, wart 900 mld dolarów, „pakiet ulgi" – przepisy mające pomóc ludziom, którzy stracili pracę podczas epidemii. Wiosna w końcu nadejdzie.

Nie obawia się Pani, że epidemia i szczepionka dołączą do innych tematów, z ochroną klimatu na czele, które stały się dla Amerykanów tak bardzo zideologizowane?

Obserwując z zewnątrz, w Ameryce widzi się głównie prezydenta. Rzeczywiście, Biały Dom w ostatnich latach funkcjonował fatalnie, a w sprawie koronawirusa Donald Trump wysyłał sprzeczne sygnały. Ale nie tylko prezydent rządzi tym państwem. Gubernatorzy stanów nie lekceważyli już tak niebezpieczeństwa. Robili regularne briefingi dla prasy, naukowcy i urzędnicy ogłaszali kolejne wytyczne, walczyli z teoriami spiskowymi. Nie sądzę, aby antyszczepionkowcy przyczynili się w tym momencie do powstania większych podziałów.

POŻEGNANIE

Ś.†P.

Robert Anthony Carmichael Hamilton

13th Lord Belhaven and Stenton

Zmarł w Londynie w wieku 93 lat.
Był wielkim przyjacielem Polski,
z sukcesem angażował się w poparcie interesów politycznych
naszego kraju w Wielkiej Brytanii.
Odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Zasługi RP.
Wspierał działalność naszego stowarzyszenia;
członek Komitetu Honorowego
koncertu „Last Night of the Proms in Cracow".

Cześć Jego Pamięci!

Krakowskie Towarzystwo Przemysłowe

Ale jak sprawić, aby Amerykanie zobaczyli siebie nazwajem, dostrzegli nawzajem ludzi zasługujących na szacunek?

Pierwszą rzeczą, którą należałoby zrobić w celu ocalenia idei Ameryki, jest namówienie moich rodaków, aby wystawili przed domy krzesła i usiedli na nich z sąsiadami. Aby spotkali się w bibliotece, w szkole, na trawniku. Porozmawiali z ludźmi, z którymi się nie zgadzają. Poczuli się częścią wspólnoty, w której najważniejszy problem to ten, czy za tydzień umówią się znowu w środę czy w czwartek? W domu Camilli czy Mike'a?

To może brzmi naiwnie, ale musimy na nowo ustanowić reguły demokracji w społeczeństwie obywatelskim. To wyzwanie, które wymaga, żeby ludzie spędzali ze sobą więcej czasu. Teraz nie mamy zwyczaju być razem.

Takie spotkanie jest możliwe w czasie, gdy ludzie pokroju Aleksa Jonesa, zwolennika teorii spiskowych, twórcy portalu InfoWars, wciąż podsycają nieufność do władz i innych obywateli?

Nie wiem. Ale wiem, że negatywne zjawiska medialne nie nastały wraz z Donaldem Trumpem. To się działo wcześniej. Powtórzę: to nie media społecznościowe i internet zapoczątkowały polaryzację. Zautomatyzowały ją, owszem, ale populizm w mediach pojawiał się już w latach 80. i 90 XX w., m.in. za sprawą telewizji 24-godzinnej. Alex Jones i jemu podobni nie przestaną nadawać – ale z czasem mogą utracić widownię. Wbrew pozorom w historii było już dużo takich ludzi.

Prezydentura Baracka Obamy była w wielu momentach nieudana, ale jego koncepcja zaoferowania czegoś w rodzaju przywództwa moralnego wiązała się z jasnym przekazem. Obama porywał Amerykanów, gdy mówił na głos, czym dla niego są Stany Zjednoczone. Nie wiem, czy Biden jest w stanie zaoferować coś podobnego, mam jednak nadzieję, że najbardziej wpływowe media – sieci kablowe w rodzaju ABC czy CNN, „New York Times" i inne gazety – podejmą refleksję na temat tego, w jaki sposób opowiadać o polityce, aby nie pogłębiać polaryzacji.

Patrząc w ten sposób, należałoby silniej trzymać kciuki za Fox News.

Nie jestem pewna, czy są tam ludzie, którzy byliby skłonni do podjęcia rachunku sumienia na temat tego, w jaki sposób przez ostatnie lata przyczynili się do podziałów w kraju.

W „My, Naród" – książce o historii politycznej Stanów Zjednoczonych – pisze Pani, że między zamachami z 11 września 2001 a wyborem Donalda Trumpa na prezydenta w 2016 r. Amerykanie „błądzili jak w chmurze dymu". Wskazuje Pani na rok 2004, kiedy, podejmując decyzję o ataku na Irak, administracja George'a W. Busha przyjęła pogląd, że wiedza i fakty są względne, zależą od politycznych interpretacji, a nie obiektywnej prawdy. Czy z wyborem Joe Bidena Ameryka odzyska właściwą orientację?

Myślę, że wielu ludzi głosujących na Bidena będzie po prostu z wielką ulgą włączać telewizor, w którym nie będą musieli na dzień dobry oglądać Donalda Trumpa. Jestem pewna, że nowy prezydent nie będzie używał retoryki, która dzieli ludzi. To nie jego styl. Kiedy słychać go mówiącego na jakikolwiek temat, można się oczywiście z nim nie zgadzać, ale trudno uznać, że nie jest człowiekiem rozsądnym.

Wiem, że obiektywnie to mało. Ale proszę mi wierzyć: gdy wielu wyborców Trumpa zobaczy, że Biden nie jest socjalistą, który chce zrujnować kraj, gdy rekonwalescencja kraju po epidemii będzie przebiegać zgodnie z planem, gdy sukcesem zakończy się akcja szczepień – wśród Amerykanów może odrodzić się dużo dobrej woli. A to zawsze moment, który ten kraj odmienia na lepsze.

I tak doszliśmy do konkluzji, że tajemnica odradzania się Ameryki po kolejnych kryzysach tkwi w charakterze samych Amerykanów.

Historia mojego kraju pokazuje, że zestaw politycznych założeń, na którym ufundowano naród – m.in. jego suwerenność, koncepcja, że wszyscy urodzeni w Ameryce dysponują określonym zestawem praw i wolności – jest stale aktualny. W różnych momentach dziejów kwestionowano te wartości, czasem je nawet porzucano. Ale na koniec naród zawsze za nimi stawał. Nie inaczej będzie tym razem. ©℗ Rozmawiał MARCIN ŻYŁA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Klata, Andrzej Stasiuk, Jacek Podsiadło, Dorota Masłowska, Zuzanna Radzik, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Joachim Trenkner
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

weź, czytaj!

zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego”, zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: **zamowienia@TygodnikPowszechny.pl**, my zajmiemy się resztą.

Do kompletu 4 wybranych wydań piąte dodajemy GRATIS*!

* Cena pojedynczego wydania archiwalnego – 15 zł.

i w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia**	365 zł	
Karta Dużej Rodziny***	365 zł	

+ PREZENT!

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	**75 zł**	

+ PREZENT!

* ważny od 2 grudnia 2020

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Masz czas tylko do 3 stycznia 2021!

Dołącz do grona naszych Prenumeratorek i Prenumeratorów i ciesz się wyjątkowym prezentem

„Ks. Adam Boniecki. Ćwiczenia z optymizmu. Książka do pisania” – to wyjątkowy notes z fragmentami wypowiedzi księdza Bonieckiego ilustrowany zdjęciami autorstwa Grażyny Makary i z prywatnego archiwum bohatera książki.

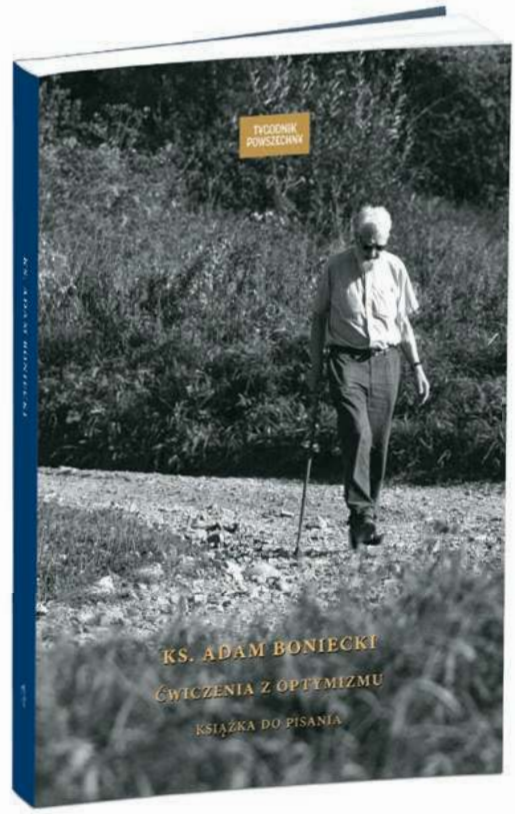

Życie ks. Adama Bonieckiego to długie pasmo podróży, przeprowadzek, wyjazdów i rozstań. Czasami planowanych, ale równie często nagłych i dramatycznych.
Jak zachować optymizm i pogodę ducha?
Jak nie poddać się zwątpieniu?
Czy Bóg ma poczucie humoru?
Ten zbiór cytatów pozwala nieco lepiej zrozumieć, jaką receptę na szczęśliwą wędrówkę przez życie posiadł redaktor senior „Tygodnika Powszechnego”.

Michał Olszewski, redaktor tomu

Jak go otrzymać?

1. **Już dziś** zamów lub przedłuż roczną, półroczną lub kwartalną prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego”.
2. Możesz to zrobić przez stronę **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate** lub przez wpłatę na konto – cennik i szczegółowe zasady znajdziesz na sąsiedniej stronie.
3. „Książkę do pisania” otrzymasz razem z wydaniem „TP” 3/21 (17 stycznia 2021) – bez dodatkowych kosztów przesyłki.

   Książkę w limitowanej ofercie otrzymają osoby, które 3 stycznia 2021 r. będą miały aktywną prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego”*.

* Nie dotyczy Prenumeratorów, którzy swój egzemplarz otrzymali wraz z poprzednim wydaniem „Tygodnika”

WYDAWCA:

TYGODNIK POWSZECHNY

AUSTERIA

PARTNER:

ZAIKS

PARTNER MEDIALNY:

RMF Classic

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOTOGRAFIA NA OKŁADCE GRAŻYNA MAKARA DLA „TP”

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Matuzalem w spódnicy

Serach, córka Asera, syna praojca Jakuba, pojawia się w szczelnie wypełnionych męskimi potomkami biblijnych genealogiach dwukrotnie. Raz przy okazji przenosin dzieci Izraela do Egiptu (Rdz 46, 17), drugi raz – jakieś czterysta lat później – w spisie ludności przeprowadzonym na równinach Moabu (Lb 26, 46; tu Biblia Tysiąclecia nazywa ją „Sarach", nie uwzględniając, że to forma pauzalna na końcu frazy). Poza tym Biblia Hebrajska o niej milczy, dając pole do popisu licznym midraszom.

Gdy wicemonarcha Egiptu wyjawia braciom swoją prawdziwą tożsamość i posyła po ojca, Jakub jest już wiekowy. Synowie obawiają się, że wieść o Józefie może być dla niego zbyt wielkim szokiem. Wysyłają więc Serach, by przygotowała dziadka. Wnuczka bierze lirę w dłoń i zaczyna śpiewać: „Mój wujek Józef żyje, włada całym Egiptem i nie zginął". Podług innej wersji jej piosnka brzmi: „Józef jest w Egipcie (hebr. *Micraim*) / urodzili mu się na kolanach (hebr. *birkaim*) / / Manasses i Efraim". Dziadek, pogrążony w depresji po rzekomej śmierci ukochanego syna, odżywa pod wpływem jej słów. Zaraz zjawiają się bracia z egipskimi rydwanami i Jakub ma już pewność. Błogosławi dziewczynkę: „Moja córko, skoro ożywiłaś mego ducha, śmierć nigdy nie będzie miała nad tobą władzy". I rzeczywiście, Serach nigdy nie umiera, lecz zostaje za życia wzięta do Ogrodu Eden.

W Księdze Wyjścia (26, 12) jest wyrażenie „*serach ha-odef*" („to, co pozostało"; Tysiąclatka: „to, co zbywa") – może ten wers jest źródłem pomysłu o długowieczności Aserowej córki? Czterysta lat później, gdy Mojżesz powraca z misją do Egiptu, starszyzna izraelicka zastanawia się, czy jest on tym, który wybawi Boży lud z niewoli. Tajemnica wybawienia – odpowiednie słowa klucze – zostaje przekazana z Abrahama na Izaaka, potem na Jakuba, następnie na Józefa, który przekazuje ją braciom, a Aser swojej córce. Serach słysząc, że Mojżesz wypowiada te słowa, rozpoznaje w nim wybawcę.

Talmud przypomina, że przed opuszczeniem Egiptu Izraelici mają zabrać ze sobą kości Józefa, by pochować go w Ziemi Izraela. Nikt, poza bratanicą Józefa, nie zna miejsca jego pochówku i Mojżesz udaje się z zapytaniem do Serach. Otóż: metalowa trumna została zatopiona przez Egipcjan w Nilu, żeby jego wody były błogosławione. Mojżesz staje nad rzeką i przyzywa Józefa, wówczas trumna unosi się z dna na powierzchnię.

Niektórzy powiadają, że córka Asera żyje jeszcze za króla Dawida i jest ową „mądrą kobietą" z Abel-Bet-Maaka, która ratuje miasto, poświęcając tylko rebelianta Szebę, syna Bikriego (2 Sm 20). Serach – świadek historii – w kluczowych momentach służy Izraelitom swoją wiedzą, mądrością i pomocą. To dzięki niej wypełnia się Boży plan. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Trzej królowie jadą

„Trzej królowie jadą / Z królewską paradą, / Z dalekiej krainy / Do dzieciny. / / Wiozą mirę z Saby, / Kadzidło z Araby, / / Złoto od Mogoła, / Dań dla Króla. (...) / / Niemowlęciu Bogu / Już są w progu. (...) / / Gdy przyszli do Pana, / Padli na kolana, / / Złożyli korony / Na ukłony. / I oddali dary (...) / Dziecina rączkami, / Skazuje oczkami / I mile przyjmuje, / Nie brakuje". Ponad tysiąc lat jadą trzej królowie przez nasze ziemie z coraz większą paradą. W tym roku jednak będą musieli pozostać w domu. Ze Wschodu zamiast nich przywędrowała pandemia i zamknęła nas w – powiedzmy – naszych pałacach i zamkach. Co robić? Pozostaje jedno: jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. Takie podejście do nieszczęsnej sytuacji, po części przez nas zawinionej, podpowiada właśnie Ten, do którego przywędrowali owi biblijni królowie, czyli magowie czy mędrcy.

Paweł Apostoł, opowiadając o spotkaniu z Jezusem w drodze do Damaszku, mówi, że w samo południe zobaczył „światło z nieba jaśniejsze od słońca" i usłyszał głos: „Szawle, Szawle! Dlaczego Mnie prześladujesz? Trudno ci wierzgać przeciwko ościeniowi". Powalony na ziemię Paweł zapytał: „»Kim jesteś, Panie?«. A Pan odpowiedział: »Ja jestem Jezus, którego ty prześladujesz«". Ościeniem nazywano ostro zakończoną tyczkę, którą popędzano woły lub osły, przymuszając je do większego wysiłku. To samo możemy powiedzieć o pandemii. Napastuje nas z różnych stron i bodzie na różne sposoby. Jednych paraliżuje strachem, drugich, choć też wystraszonych, mobilizuje do przekraczania granic własnego bezpieczeństwa.

Ale przed pandemią ze Wschodu tysiącami zaczęli do Europy, czyli do nas, przybywać inni królowie, których królestwa należą do demonów „powietrza, głodu, ognia i wojny" oraz „nagłej i niespodziewanej śmierci". Uchodźcy.

O ile mędrcy ze Wschodu przynieśli Jezusowi spory majątek, o tyle uchodźcy przynoszą – mówi niejeden chrześcijanin – samo zło. Tymczasem papież Franciszek mówi: „Chodzi o to, byśmy dostrzegli jako pierwsi i pomagali innym widzieć w migrancie i uchodźcy nie tylko problem, z którym trzeba się zmierzyć, ale brata i siostrę, których należy przyjąć, szanować i kochać, okazję, którą daje nam Opatrzność, byśmy wnosili wkład w budowanie sprawiedliwszego społeczeństwa, doskonalszej demokracji, solidarniejszego kraju, bardziej braterskiego świata i bardziej otwartej wspólnoty chrześcijańskiej, w zgodzie z Ewangelią".

Migracje mogą stworzyć możliwości nowej ewangelizacji, otworzyć przestrzenie rozwoju nowej ludzkości, zapowiedzianej w tajemnicy paschalnej: ludzkości, dla której – jak czytamy w Liście do Diogneta o chrześcijanach – „każda obca ziemia jest ojczyzną, a każda ojczyzna jest ziemią obcą". ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Przyjdź, Panie Jezu!

Ktoś może zapytać: nie spóźniłeś się z tym okrzykiem? Adwent się przecież skończył. I tak, i nie. Doczekaliśmy się świąt Bożego Narodzenia, ale nie doczekaliśmy się jeszcze Dnia Pańskiego; nie doczekaliśmy się Paruzji. Czy naprawdę chcemy zamrozić nasze na nią oczekiwanie do przyszłego grudnia?

Prorokiem Dnia Pańskiego jest w Starym Testamencie Sofoniasz. To właśnie jego tekst (So 1, 14nn) posłużył jako inspiracja dla średniowiecznego hymnu „Dies irae" („Dzień on, dzień gniewu Pańskiego"). Sofoniasz wypatruje Dnia Pańskiego, ponieważ rzeczywistość, w której żyje, go przeraża. Chodzi przede wszystkim o Jerozolimę: święte Miasto Pana zmierza ku samozagładzie. Stało się miastem buntowniczym i splugawionym. Miastem, „co stosuje ucisk" (Biblia Jerozolimska przekłada mocniej: „tyrańskim"). Sofoniasz nie poprzestaje na ogólnych określeniach. Rozpisuje niegodziwość Miasta (i Ludu Bożego) na konkret. Oto władcy („książęta"), którzy „są pośród niego lwami ryczącymi"; następnie sędziowie, którzy stali się jak wilki napadające na swe ofiary pod osłoną nocy („nic do rana nie pozostawiają"). I dalej: „prorocy jego są lekkomyślni – mężowie wiarołomni; jego kapłani zbezcześcili świętość – pogwałcili Prawo" (So 3, 1-4).

A jednak – wyobrażamy sobie, jak Sofoniasz wykrzykuje tę prawdę – „Pan sprawiedliwy jest pośród niego (...) każdego rana wydaje wyrok, nie zawodzi, skoro świta" (So 3, 5).

Pan jest w grzesznej Jerozolimie. Trudno Go w niej zobaczyć. Został zasłonięty pychą przywódców Ludu, chciwością i interesownością jego sędziów, kłamliwym przepowiadaniem proroków (którzy nie dochowują wiary Bogu; w Jego imię przepowiadają nieprawdę, jeśli zaś przepowiadają prawdę, to zaprzeczają jej swoim życiem) i wreszcie postawą kapłanów, którzy profanują wszystko, co święte.

Pan jest. Jest zasłonięty. Konieczne jest Jego odsłonięcie – czyli Objawienie, łacińskie *revelatio*; grec. *apokálypsis*. Potrzebny jest Dzień Pański. Widać, że w myśli Sofoniasza Dzień Pana nie oznacza wyłącznie Jego przyjścia „z zewnątrz"; oznacza również odsłonięcie Jego rzeczywistej, aktywnej, mocnej obecności „wewnątrz".

Żeby to się mogło stać – prorokuje Sofoniasz – Lud Boga, Jerozolima musi przejść moment upokorzenia. Potrzebuje odrzucić swoją pychę, a otworzyć się na Pana w ubóstwie i maleńkości. Wtedy też – zapowiada prorok – przyjdą do niej/do Boga wszystkie narody. Zbawienie stanie się powszechne. Prorok ma rację: nie pycha, nie arogancja, nie dumna autopromocja – lecz pokora i uniżenie mają w sobie prawdziwą dynamikę ewangelizacyjną. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (3 – 17 I)

2. niedziela po Narodzeniu Pańskim:
Syr 24, 1-2. 8-12; Ps 147B;
Ef 1, 3-6. 15-18; J 1, 1-18;
Poniedziałek: 1 J 3, 7-10; Ps 98; J 1, 35-42;
Wtorek: 1 J 3, 11-21; Ps 100; J 1, 43-51;
Środa, uroczystość Objawienia Pańskiego:
Iz 60, 1-6; Ps 72; Ef 3, 2-3a. 5-6; Mt 2, 1-12;
Czwartek: 1 J 3, 22 – 4, 6; Ps 2; Mt 4, 12-17. 23-25;
Piątek: 1 J 4, 7-10; Ps 72; Mk 6, 34-44;
Sobota: 1 J 4, 11-18; Ps 72; Mk 6, 45-52;

Niedziela, święto Chrztu Pańskiego:
Iz 55, 1-11; Ps: Iz 12, 2-6; 1 J 5, 1-9; Mk 1, 7-11;
Poniedziałek: Hbr 1, 1-6; Ps 97; Mk 1, 14-20;
Wtorek: Hbr 2, 5-12; Ps 8; Mk 1, 21-28;
Środa: Hbr 2, 14-18; Ps 105; Mk 1, 29-39;
Czwartek: Hbr 3, 7-14; Ps 95; Mk 1, 40-45;
Piątek: Hbr 4, 1-5. 11; Ps 78; Mk 2, 1-12;
Sobota: Hbr 4, 12-16; Ps 19; Mk 2, 13-17;
2. niedziela zwykła: 1 Sm 3, 3b-10. 19; Ps 40;
1 Kor 6, 13c-15a. 17-20; J 1, 35-42.

Boże, Ty jesteś światłem, w którym siebie oglądasz i w którym jesteś oglądany przez stworzenia. Nie ma żadnego pośrednictwa między Tobą, a tymi, którzy Cię oglądają.

KATARZYNA ZE SIENY

Żyjące istoty błędnie rozróżniają – to jest budda, a to jest świat.

MA-TSU

Wybrał PIOTR SIKORA

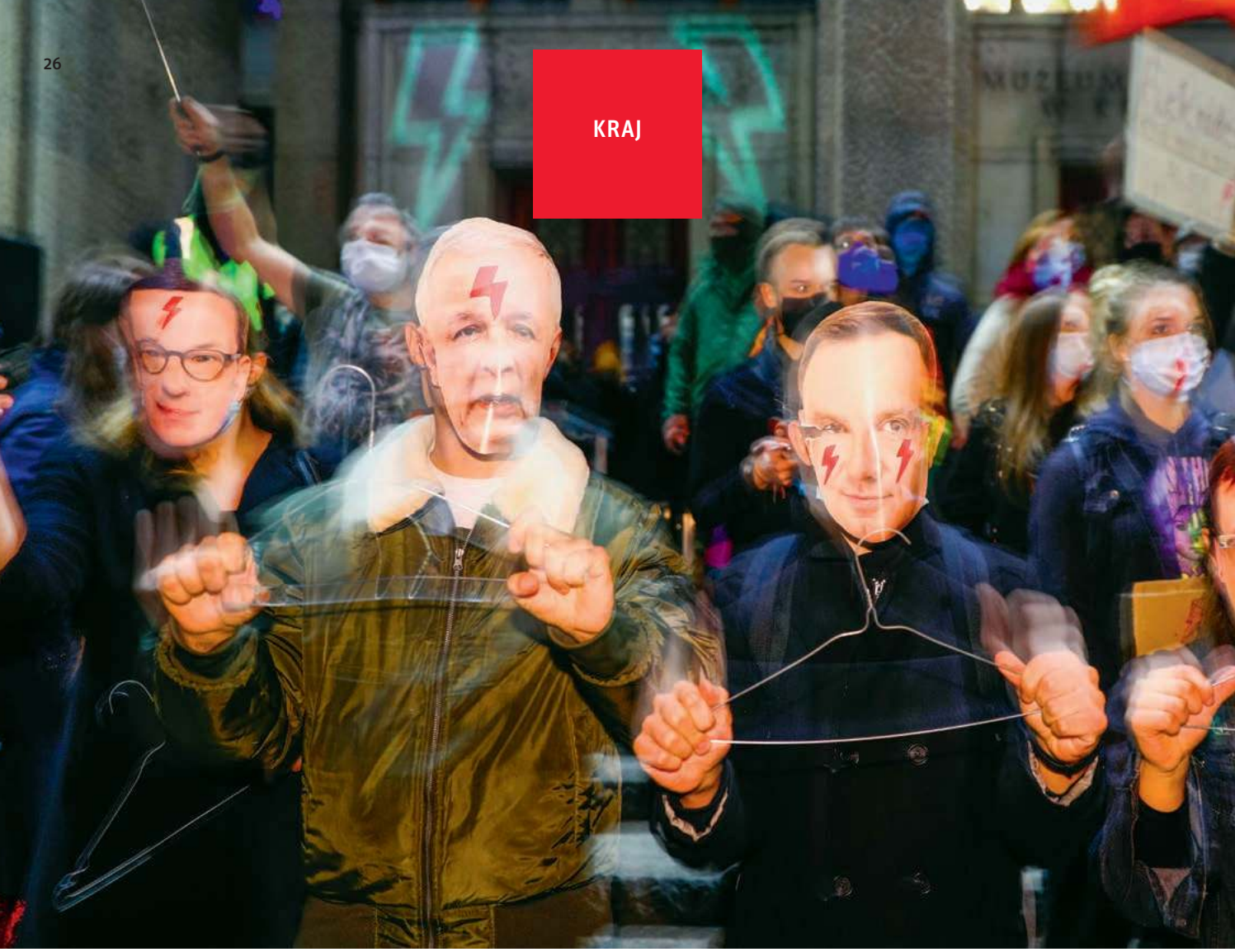

SIÓDEMKA BEZ STERNIKA

Nie widać jeszcze konturów politycznej zmiany, choć wydaje się nieunikniona. Po raz pierwszy od powstania Zjednoczona Prawica zaczęła się chwiać. A opozycja – na razie bez skutku – szuka nowego lidera.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Pandemia, a w jej trakcie wybory prezydenckie, konflikt z Unią Europejską, „piątka dla zwierząt" i wściekłość rolników, wyrok Trybunału Konstytucyjnego i tysiące protestujących na ulicach. Do tego starcia koalicyjne, podziały wewnątrz PiS i brutalna wojna między Zbigniewem Ziobrą i Mateuszem Morawieckim. Tak, to był rok, który wieszczy poważne zmiany na scenie politycznej w niedalekiej przyszłości. Siedmiu bohaterów, którzy odcisnęli piętno na niedawnych zdarzeniach, to ci sami, którzy będą odgrywać czołowe role podczas rozgrywek politycznych w nowym roku.

Jarosław Kaczyński. Niewolnik własnej metody

Do wyborów na jesieni 2019 r. Kaczyński był hegemonem. Jednoosobowo rządził Sejmem i Senatem, rozdawał karty w koalicji rządowej, a prezydent zazwyczaj strzelał przed nim obcasami.

Wybory parlamentarne rok temu wieszczyły zmianę, która w pełnej krasie dokonała się w 2020 r. Okazało się, że Kaczyński jest cieniem siebie. Po pierwsze, poprzez swe błędy w kampanii stracił kontrolę nad Senatem, który przejęła opozycja. Po wtóre – znów te kampanijne

FILIP RADWAŃSKI / FORUM

Demonstranci w maskach Mateusza Morawieckiego, Jarosława Kaczyńskiego, Andrzeja Dudy i Zbigniewa Ziobry. Kraków, 26 października 2020 r.

błędy – dał swym koalicjantom z partii Zbigniewa Ziobry i Jarosława Gowina dużo dobrych miejsc na listach wyborczych. W efekcie po wyborach okazało się, że nie jest w stanie rządzić nie tylko bez obu koalicjantów razem, ale nawet bez jednego z nich.

Koalicja zaczęła pękać bardzo szybko. Gdy w Polskę uderzył koronawirus, Kaczyński wszelkimi metodami próbował przeprowadzić wybory prezydenckie, bo bez swego Dudy w pałacu nie byłby w stanie rządzić. Chciał zorganizować głosowanie korespondencyjne, depcząc po drodze wszystkie procedury i zasady. Postawił się Gowin, który odszedł nawet z rządu. Prezes musiał się ugiąć – wybory zorganizował w formie standardowej, na przełomie czerwca i lipca.

Ale w 2020 r. oznak upadającego autorytetu politycznego prezesa było więcej. Gdy Kaczyński próbował narzucić restrykcyjną ustawę o ochronie zwierząt, w PiS zawrzało. Kilkunastu posłów zagłosowało przeciw. Prezes najpierw ich zawiesił, a potem musiał odwiesić, bo partii groził podział. W efekcie przegrał – ustawa w swej pierwotnej formie upadła.

Na podobnej zasadzie Kaczyński nie był w stanie przeforsować ustawy, która dawała immunitet premierowi na działania podejmowane z naruszeniem prawa podczas pandemii. Doszło do kryzysu koalicyjnego, bo Ziobro nie chciał słyszeć o bezkarności Morawieckiego, z którym walczy na śmierć i życie. Kaczyński zagroził mu wyrzuceniem z koalicji, ale ostatecznie się dogadali. Tyle że ustawa o bezkarności trafiła na półkę.

W finale Kaczyński uruchomił Trybunał Konstytucyjny. Sędziowie zaostrzyli prawo aborcyjne. Wniosek dotyczący aborcji czekał w TK trzy lata i został rozstrzygnięty nagle, akurat gdy zakażenia zaczęły sięgać kilkunastu tysięcy, a liczba ofiar zaczęła regularnie przekraczać sto dziennie. Ale gdy wybuchły masowe protesty, szef PiS się cofnął – rząd nie wydrukował orzeczenia Trybunału i aż do chwili publikacji formalnie ono nie obowiązuje.

Tak, to był rok, w którym prezes po raz pierwszy od lat zaczął się cofać. W sprawie wyborów korespondencyjnych, w sprawie zwierząt, w sprawie ustawy o bezkarności, w sprawie aborcji, wreszcie budżetu Unii Europejskiej, który miał być wetowany, a został przez PiS ostatecznie poparty. Kaczyński jest nadal najważniejszym politycznym graczem, ale widowiskowo słabnie.

Są takie momenty w historii, kiedy okazuje się, kto jest mężem stanu. Pandemia jest właśnie momentem Kaczyńskiego – a prezes nie zademonstrował prawdziwego przywództwa, tylko pogłębił podziały. Okazał się niewolnikiem własnej politycznej metody – konfliktu – której nie potrafił porzucić, mimo że kraj znalazł się w sytuacji niespotykanego dramatu.

Mateusz Morawiecki. Delfin z zadyszką

Wieszczono mu usłaną różami drogę do przejęcia przywództwa w PiS. Miał dla władzy pozyskać poparcie klasy średniej oraz młodych. Dziś wszystkie te plany są funta kłaków warte. Najbliższy rok zdecyduje o przyszłości Mateusza Morawieckiego, którego pozycja w obozie władzy jest tak słaba, jak nigdy dotąd.

Powodów jest kilka. Przede wszystkim premier jest osamotniony w walce z koronawirusem. Rząd podejmował podczas pandemii niepopularne i ryzykowne decyzje, takie jak zamykanie całych branż gospodarki. Skutki odbijają się na notowaniach Morawieckiego.

Ale premier traci także przez błędy obozu władzy. Późną wiosną uległ presji liderów PiS i doprowadził do poluzowania koronawirusowych restrykcji, byle tylko zapędzić wyborców do urn i pomóc w wyborze Andrzejowi Dudzie. Gdy skończyło się to jesiennym wybuchem zachorowań i zgonów, Morawiecki musiał sobie sam z tym poradzić.

Podobnie było z przepisami aborcyjnymi. To Jarosław Kaczyński stoi za orzeczeniem Trybunału w sprawie praktycznego zakazu aborcji. Po decyzji TK doszło do masowych protestów i coraz brutalniejszych interwencji policji, bo tego chciał Kaczyński. Tyle że politycznie zapłacił za to także szef rządu.

Wewnętrzna sytuacja w Zjednoczonej Prawicy zmusiła również Morawieckiego do walki z Unią Europejską. Kaczyński pod wpływem Zbigniewa Ziobry popychał premiera do zawetowania nowego budżetu UE, wraz z pakietem pomocy na odbudowę po koronawirusie. To w sumie blisko 800 mld zł, jednak uzależnione od przestrzegania praworządności, na co Kaczyński nie chciał się długo zgodzić, dmąc w trąby narodowej dumy i suwerenności. Morawiecki przejął ten język. Okazało się, że premier wynajęty przez PiS do tego, by poprawić relację z UE, zaczął Unię atakować, porównując ją do ZSRR. Skończyło się kompromisem, bo jedyny sojusznik PiS, premier Węgier Viktor Orbán, wynegocjował dla siebie kompromisowe zapisy budżetowe i polski rząd został na lodzie.

Zamiast być już pierwszym zastępcą prezesa, Morawiecki prowadzi dramatyczną walkę na kilku frontach, by nie polec w starciu z koronawirusem, znormalizować relacje z Unią, a nade wszystko uporać się ze swym największym dopustem – Ziobrą. Wojna ich obu weszła w nową, nieodwracalną fazę: na wyniszczenie. Jest mało realne, by do ↦

↦ kolejnych wyborów w 2023 r. przetrwał rząd Zjednoczonej Prawicy z Morawieckim jako premierem i Ziobrą jako ministrem sprawiedliwości. Ich starcie będzie w najbliższym czasie ilustracją fundamentalnego sporu na prawicy: czy wybrać kierunek nacjonalistyczny, antyunijny i ultrakonserwatywny, czy też pójść drogą bardziej umiarkowaną, wolnorynkową i prounijną.

Zbigniew Ziobro. Chce być liderem radykałów

To był kluczowy rok w jego politycznej karierze: minister przystąpił do otwartej walki o władzę na prawicy. Dlatego ruszył do frontalnego ataku na premiera. Przez lata Ziobro podejrzewał, że Kaczyński typuje Morawieckiego na swego następcę, dlatego wszelkimi metodami zwalczał premiera. Jeśli Morawiecki jest dziś osłabiony i wizja sukcesji się oddaliła, to jest to w dużej mierze skutek działań Ziobry.

Walka ta wyjątkowo nasiliła się po wyborach. Ziobro zażądał od Morawieckiego interwencji w Komisji Europejskiej po tym, jak komisarz do spraw równości Helena Dalli odrzuciła wnioski sześciu polskich miast o unijne środki dlatego, że przyjęły uchwały o „strefach wolnych od LGBT".

Następnie Ziobro domagał się wypowiedzenia konwencji Rady Europy dotyczącej zwalczania przemocy wobec kobiet. Przyciśnięty do muru premier wysłał konwencję do podporządkowanego PiS Trybunału Konstytucyjnego, by ten odłożył ją na lata na półkę. To mu pozwoliło zejść z linii ataku. Ale Ziobro miał już w zanadrzu kolejne ciosy – przedstawia projekt zwiększający kontrolę nad organizacjami pozarządowymi na wzór Węgier i Rosji. Dlatego też PiS szybko – deklaracją wicepremiera Piotra Glińskiego – zdystansowało się od jego pomysłów.

Następnie Ziobro zaostrzył wojnę ze środowiskiem LGBT+. Ta operacja trafia rykoszetem w Morawieckiego – tego polityka w obozie władzy, który ma w rodzinie siostrzeńca geja i najbardziej ostrożnie mówi o osobach homoseksualnych.

W finale ekipa Ziobry oskarżyła premiera o kapitulację podczas negocjacji budżetu UE. Minister jest wyraźnie zafascynowany sukcesem antyunijnej, ultrakonserwatywnej Konfederacji, która zakorzeniła się na scenie politycznej z poparciem na poziomie 6-10 punktów. Ziobro chce teraz zagrać o najbardziej radykalny elektorat PiS oraz sporą pulę elektoratu Konfederacji i zostać liderem prawicowych radykałów.

Wyborcom nie przeszkadza, że program Hołowni jest mglisty.

Zadowalają się paroma hasłami obywatelskimi, proekologicznym nastawieniem i niechęcią do PiS.

Andrzej Duda. Wygrał i zniknął

W 2020 r. prezydent podjął ostatnią próbę odcięcia się od prezesa PiS. Z marnym dla siebie skutkiem. Na początku roku – tuż przed wybuchem pandemii – wymusił dymisję prezesa TVP Jacka Kurskiego, szantażując Kaczyńskiego, że bez tego nie podpisze ustawy gwarantującej rządowym mediom 2 mld rocznej dotacji. Kaczyński Kurskiego odwołał, a gdy dostał podpis, to go przywrócił.

Nie ma wątpliwości, że to propaganda TVP pomogła potem w czerwcu i lipcu prezydentowi zwyciężyć w wyborach. W tym sensie Duda próbował odwołać swego najcenniejszego sztabowca, a Kaczyński mu nie pozwolił. Tak prezes PiS pokazał Dudzie, że nic nie rozumie z polityki. Od tego momentu prezydent porzucił myśli o buncie.

Oblał też test przywództwa związany z koronawirusem. Całą kampanię wyborczą wiosną i latem prowadził w taki sposób, iż można było uwierzyć, że to, co najgorsze, jest już za nami. Jakie były tematy kampanii prezydenta? Nade wszystko straszenie LGBT+. Ale atakowi na tęczę towarzyszy wypominanie Platformie afer z czasów jej rządów – czyli sprzed dekady.

Za to gdy jesienią wirus uderzył ze zdwojoną siłą, Duda zniknął. A przecież w polskim systemie władzy prezydent ma dużo instrumentów, by włączyć się w rozwiązywanie sytuacji kryzysowych – dysponuje choćby własnym Biurem Bezpieczeństwa Narodowego, do tego może dowolnie kształtować pracę Rady Bezpieczeństwa Narodowego, do której zaprasza najważniejszych ludzi w państwie, a także przedstawicieli opozycji i ekspertów. Może też zwoływać posiedzenia rządu pod swym przewodnictwem. Polityczny moment na włączenie się w walkę z pandemią Duda miał idealny – zaczął drugą kadencję, a zatem nie będzie się już starać o reelekcję. Nie musi nikomu ulegać, może robić rzeczy niepopularne.

Gdy statystyki zachorowań biły rekordy, prezydent promował zacieśnienie współpracy gospodarczej z Estonią. Jeszcze pod koniec września podczas wizyty w Watykanie przekonywał: „Cały czas panujemy nad tą pandemią, nie ma dzisiaj żadnego zagrożenia wybuchem, jest wzrost, który był przewidywany, i prawdopodobnie możemy się spodziewać, że do połowy października mogą być jeszcze wzrosty, tak mnie informowano, a spodziewamy się od połowy października wypłaszczenia". W kampanii wyborczej prezydent krzyczał o potrzebie budowania „koalicji polskich spraw" między władzą a opozycją – a gdy nadszedł moment szczególnej próby, nie kiwnął palcem.

Jarosław Gowin. Pierwszy hamulcowy

Jeszcze w poprzedniej kadencji Gowin był zbyt słaby, aby otwarcie oponować w sprawie kontrowersyjnych działań PiS. Dlatego do politycznego kanonu weszło powiedzenie, że głosuje „za", ale się nie cieszy. Powiedzenie dotyczyło głosowania za kontrowersyjnymi ustawami czyszczącymi Sąd Najwyższy w 2017 r. Nie weszły one w życie, bo choć Gowin głosował „za", to namówił prezydenta do ich zawetowania.

Sytuacja zmieniła się po tym, gdy Gowin wprowadził jesienią 2019 r. do Sejmu 18 posłów z listy PiS, i Kaczyński nie może bez nich skutecznie rządzić. Dlatego dla Gowina mijający rok był czasem otwartego kontestowania najbardziej kontrowersyjnych pomysłów szefa PiS.

Zablokował wybory prezydenckie w wersji korespondencyjnej, przyłożył rękę do zatrzymania „piątki dla zwierząt", wreszcie był jedynym politykiem obozu władzy, który od początku namawiał na kompromis z UE w sprawach budżetu – i jeździł do Brukseli nie z groźbami,

tylko z ofertami. Podczas wojny o wybory na wiosnę prowadził rozmowy z opozycją na temat stworzenia rządu przeciwko PiS, ale wycofał się zniesmaczony marnym rozumieniem polityki przez liderów formacji antypisowskich.

Za politykę prowadzoną w kontrze do PiS Gowin zapłacił wysoką cenę: Kaczyński podzielił mu partię i część posłów, choć formalnie wciąż należy do Porozumienia, to w rzeczywistości jest już w PiS. Tak jest choćby z Jadwigą Emilewicz. Ale z drugiej strony Kaczyński nie był w stanie podebrać Gowinowi tak wielu posłów, by móc rządzić bez niego. Gdy Gowin odchodził z rządu wiosną podczas kłótni o wybory, Kaczyński wysyłał sygnały, że jego dni są policzone. A jesienią musiał się zgodzić na powrót Gowina do rządu na miejsce Emilewicz – bo arytmetyka jest nieubłagana. Gowin jednak nie jest naiwny. Zdaje sobie sprawę, że dopóki rządzi Kaczyński, wspólny start Porozumienia z PiS w kolejnych wyborach do Sejmu jest mało prawdopodobny. Dlatego Gowin – tak jak Ziobro czy Morawiecki – uczestniczy już w rozgrywce o to, jak będzie wyglądać polska prawica za kilka lat, gdy Kaczyński będzie jeszcze słabszy albo całkowicie straci rząd dusz.

Rafał Trzaskowski. Stracone miliony

Kiedy w 2018 r. Rafał Trzaskowski wystartował na prezydenta Warszawy, pisałem o nim w „Tygodniku": „Ma plany na awans do ekstraklasy, czy też może raczej wielu polityków oraz wyborców liberalnych ma wobec niego takie plany. Kłopot z Trzaskowskim polega jednak na tym, że nie gryzie trawy, że nigdy nie angażował się w politykę na całego. W Platformie często zarzucano mu, że nie jest zbyt pracowity, miga się od partyjnej codzienności znaczonej wizytami w terenie i spotkaniami z elektoratem. Dlatego też do tej pory w partii – i w polskiej polityce – grał drugie skrzypce". Oburzyło go to. Napisał do mnie polemicznie, że jako minister ds. europejskich w rządzie Tuska pracował po 18 godzin dziennie przez 7 dni w tygodniu.

Ale ten rok pokazał, że lata płyną, a Trzaskowskiemu determinacji wciąż brakuje. Po tym, gdy pierwotna kandydatka prezydencka Platformy Małgorzata Kidawa-Błońska zanotowała dramatyczny sondażowy spadek wczesną wiosną, partia poprowadziła zręczną operację wymiany jej na Trzaskowskiego. To nadało kampanii opozycji nowej dynamiki – Trzaskowski wszedł do drugiej tury i postraszył Dudę, zdobywając ponad 10 mln głosów, czyli niespełna pół miliona mniej od Dudy. Miał szansę na przejęcie władzy po stronie opozycji, jako kandydat z ogromnym mandatem. Szkopuł w tym, że – właśnie – Trzaskowski nie gryzie trawy. W wakacje zamiast tworzyć zapowiadany własny ruch, wyjechał na wypoczynek. Potem w powołaniu ruchu przeszkodziła mu awaria oczyszczalni ścieków, wreszcie pandemia. Dziś nikt nawet nie pamięta, jak nazywa się ruch Trzaskowskiego. Okazał się mistrzem Polski w marnotrawieniu politycznego potencjału.

Oczywiście nie znaczy to, że Trzaskowski jest w polskiej polityce skończony. Jest wciąż młody, wielu wyborców ma nadal do niego słabość. Na pewno będzie się liczyć w rozgrywce politycznej zarówno w nowym roku, jak i w kolejnym rozdaniu przy wyborach za trzy lata. ↦

REKLAMA

31 grudnia 2020
godz. 18.00

transmisja live
na nospr.org.pl

NOSPR
sezon 2020/2021

Koncert sylwestrowy

Bassem Akiki dyrygent
Ewa Tracz sopran

Narodowa Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia

W programie m.in. fragmenty oper i operetek kompozytorów różnych epok

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego | Polskie Radio | Katowice dla odmiany | Katowice Miasto Literatury UNESCO | dwójka Polskie Radio | Polskie Radio Katowice | BMW | Infrastruktura i Środowisko | Katowice dla odmiany | Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

NOSPR współfinansują

Patroni medialni

Partner motoryzacyjny

Projekt współfinansowany przez Unię Europejską ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Programu Infrastruktura i Środowisko. Dla rozwoju infrastruktury i środowiska | www.pois.gov.pl

Szymon Hołownia. Przegrał, ale może wygrać

↦ Lepiej idzie Hołowni. Jeszcze rok temu trudno byłoby uwierzyć, że celebryta i filantrop z ciągotami do kaznodziejstwa ma w polityce jakiekolwiek szanse. A jednak. W grudniu 2019 r. Hołownia ogłosił swój start w wyborach prezydenckich, a na wiosnę – gdy pierwotna kandydatka PO widowiskowo rozłożyła swoją kampanię – część elektoratu liberalnego wywindowała go do czołówki sondaży.

Nigdy nie dowiemy się, czy Hołownia (jak twierdzi choćby wspierający go Roman Giertych) miał szansę wygrać z Andrzejem Dudą. Gdy Platforma wymieniła kandydata na Trzaskowskiego, jego notowania wyraźnie spadły. Ostatecznie w wyborach prezydenckich Hołownia dostał prawie 14 proc. poparcia (ponad 2,7 mln głosów).

Ale po wyborach okazał się bardziej pracowity, konsekwentny i zdeterminowany od Trzaskowskiego. Systematycznie tworzy oprzyrządowanie niezbędne przy uprawianiu polityki. Szybko powołał własny ruch Polska 2050 i złożył wniosek o rejestrację partii, wyciągając wnioski z błędów Kukiza, który partii nie założył, przez co nie dostał dofinansowania z budżetu państwa i dziś jest politycznym trupem.

Tak naprawdę Hołownia wciąż prowadzi kampanię – i to daje efekty. W tej chwili w sondażach jego partia jest trzecia, po PiS i PO. I sięga nawet 20 proc. poparcia. Wobec generującej konflikty społeczne i pogrążającej się w wewnętrznych wojnach władzy oraz miałkiej opozycji Hołownia dla sporej części elektoratu staje się trzecią opcją. Wyborcom zmęczonym wojną PiS z Koalicją Obywatelską nie przeszkadza, że program Hołowni jest mglisty, zadowalają się paroma hasłami obywatelskimi, proekologicznym nastawieniem i niechęcią do PiS.

Niewykluczone, że w najbliższym czasie opozycja będzie się przebudowywać. Hołownia ma wszelkie papiery, aby w tej przebudowie odgrywać czołową rolę.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP".

Kto zgasi światło w redakcji

BARTOSZ JÓZEFIAK

Przejęcie Polska Press przez Orlen to podobno koniec mediów regionalnych. W rzeczywistości gazety wydawane z dala od Warszawy słabną już od lat.

Jak w amerykańskich filmach: wielka redakcja, otwarta przestrzeń, przy biurkach dziennikarze z telefonami przyklejonymi do ucha. Jeden wydzwania do policjantów jak do dobrych znajomych, drugi zagaduje polityków w regionie jak kumpli od kieliszka.

Jest rok 2012. Z powiatowej gazety w Pabianicach trafiam właśnie do „Gazety Wrocławskiej". Uczę się budować kontakty i zgłaszać tematy na porannym kolegium. Redaktorzy mnie strofują: jeśli nie opowiesz tematu w dwóch zdaniach, to znaczy, że nie wyjaśnisz go czytelnikowi wcale. Pisz konkrety. Szczegół najważniejszy.

Wierzę, że wkraczam do świątyni dziennikarstwa. Nie wiem tylko, że zaproszono mnie na stypę.

Gazetojad

Rok 1990. Sejm właśnie rozwiązuje Robotniczą Spółdzielnię Wydawniczą „Prasa-Książka-Ruch". 105 gazet zostaje sprzedanych w ramach przetargów, 71 trafia w ręce spółdzielni dziennikarskich. Likwidatorzy dobierają dziennikarzom partnerów rynkowych.

– Mieli niepisane preferencje. Priorytetem było „odkomuszenie" redakcji. Partner rynkowy musiał być jak najdalej od lewicy. Ważne, żeby miał pieniądze i choć trochę znał się na tym, co robi – opowiada dr Adam Szynol z Uniwersytetu Wrocławskiego, ekspert ds. mediów lokalnych.

W komisji likwidacyjnej RSW zasiada m.in. Krzysztof Czabański. Trzydzieści lat później w PiS-owskiej Radzie Mediów Narodowych będzie zwolenni-

PIOTR SKÓRNICKI / AGENCJA GAZETA

Przejęcie grupy Polska Press, a wcześniej sieci Ruch to być może nie ostatni krok Orlenu na rynku prasy. Nieoficjalnie wiadomo, że koncern paliwowy sondował możliwość zakupu dziennika „Rzeczpospolita”.

kiem repolonizacji mediów. Ale u progu lat 90. zagraniczny kapitał mu nie przeszkadza. Sejmowi też nie – posłowie nie wprowadzają żadnych ograniczeń dla inwestorów przy zakupie prasy. A sami dziennikarze niechętnie wchodzą w buty przedsiębiorców. Gdy tylko do ich drzwi pukają Francuzi, Norwegowie lub Szwajcarzy z walizką pieniędzy, wyprzedają udziały w gazetowych spółkach.

Robert Hersant, właściciel „Le Figaro”, zwany „gazetojadem”, w ciągu trzech lat skupuje osiem regionalnych dzienników oraz 49 proc. udziałów w „Rzeczpospolitej”. Za parę lat większość tych aktywów odsprzeda bawarskiemu Passauerowi za 80 mln marek, kilkanaście razy więcej, niż zapłacił za nie dziennikarskim spółdzielniom. Na rynek wkracza też norweska Orkla. Do Wrocławia zaprasza ich Władysław Frasyniuk. Znają się, bo Norwegowie pomagali Solidarności w PRL-u.

Adam Szynol: – Orkla sprzedawała już ryby, panele słoneczne i ropę naftową. Media to dla nich kolejny biznes, jeden z wielu. Rzadko przyjeżdżali do Polski. Obchodził ich tylko bilans finansowy.

Bawarski koncern Passauer Neue Presse dominację w Polsce zaczyna od podstępu. Poprzez szwajcarską firmę Interpublication przejmuje połowę udziałów we wrocławskiej „Gazecie Robotniczej”. – Niemcy kupujący gazetę we Wrocławiu, na ziemiach odzyskanych? Passauer nie chciał testować tolerancji Polaków. Dlatego kupował przez podstawioną spółkę – opowiada Szynol.

Niemcy powtórzą podobny manewr w Łodzi i Krakowie. Podobnie działa Hersant, który do zakupów zakłada firmy o swojsko brzmiących nazwach: Euromarket czy Książnica.

Gazety regionalne otrzymywały nowy sprzęt i nowoczesne makiety. Moi starsi koledzy po fachu wspominali lata 90. jako złoty okres. Nikt im nie liczył, ile tekstów oddawali w tygodniu. Mieli czas na kawę z prokuratorem, spotkanie z komisarzem, niezobowiązujące rozmowy z dyrektorem departamentu. Budowali kontakty, co w tamtych latach wystawiało na ciężkie próby ich wątroby. Każdy dziennikarz wie, że najważniejsze tematy wychodzą przy najmniej zobowiązujących rozmowach.

Grzech pierworodny

Pod koniec lat 90. regionalne dzienniki są już podzielone między dwóch graczy, którzy razem kontrolują 80 proc. rynku. Norweska Orkla jest obecna na wschodzie i południu, Niemcy instalują się na ścianie zachodniej. Pojawiają się głosy, że Polska stała się „niemiecką kolonią prasową”. Ale Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów protestuje rzadko, a jeśli już, to nieskutecznie. Tak jak w 2003 r., kiedy Orkla sprzedaje „Słowo Polskie” i „Wieczór Wrocławia” niemieckiej konkurencji, w międzyczasie przemianowanej na Polskapresse. Rusza postępowanie antymonopolowe, które potrwa ponad cztery lata. Niemcy tę sądową batalię wygrają. Po drodze zdążą połączyć trzy gazety w jedną, według biznesowego modelu, któremu będą wierni przez lata. Jest dość prosty i polega na zwalnianiu doświadczonych dziennikarzy i zastępowaniu ich tanimi dla firmy praktykantami.

Były redaktor naczelny „Gazety Krakowskiej” Tomasz Lachowicz pamięta, jak w 2012 r. Polskapresse kupiła „Dziennik Polski”, czyli jedyną konkurencję dla swojego tytułu w Krakowie: – Zbudowaliśmy wspólne działy foto i sportowy – mówi. – Zwolnienia bolały wszystkich, ale realia były proste. Bez sensu było na ten sam mecz wysyłać dwóch dziennikarzy i dwóch fotoreporterów. Mieliśmy ambitny plan, żeby utrzymać przy życiu dwie gazety. Chcieliśmy, żeby delikatnie różniły się formą, miały trochę inne zdjęcia. To była desperacka próba, wariant „ratuj się, kto może”. Goniliśmy rynek, który nam uciekał.

Bo już od końca lat 90. gazety przegrywają wyścig na newsy z prywatnymi radiostacjami, by za chwilę skapitulować przed wrogiem śmiertelnym – internetem.

– Ja to nazywam naszym grzechem pierworodnym – opowiada Lachowicz. – Zanim trafiłem do „Krakowskiej”, szefowałem „Super Expressowi”. Jako jedni z pierwszych mieliśmy stronę internetową. Pamiętam te niekończące się dyskusje: no i co my mamy wrzucać do tego internetu? Szwedzi, którzy właśnie kupili gazetę, przekonywali, że treści w internecie będą promować wydania papierowe. We mnie to budziło obawę. Jak to, naszą pracę mamy oddawać za darmo? I to nas zgubiło.

Na obronę polskich redaktorów dodajmy, że ten grzech popełniły wszystkie gazety, jak świat długi i szeroki. Media płacą za niego do dziś.

Desant na powiaty

W 2006 r. Orkla sprzedaje swoje polskie tytuły angielskiemu Mecomowi. Norwegowie najwyraźniej czują, że papierowe gazety to nie jest biznes przyszłości. Tymczasem Polskapresse rusza z ogólnokrajowym projektem „Polska”: ujednolica wygląd gazet, dorzuca newsy z kraju i ze świata kosztem wiadomości z regionów. Próba budowy ogólnopolskiego dziennika okaże się biznesowym niewypałem. Tomasz Lachowicz wspomina jednak projekt z sentymentem.

– W „Krakowskiej” przejąłem zespół dziennikarzy starszej daty. Taki trochę klimat krakowskiej inteligencji, podejście: „czytelnik i tak przeczyta, co mu napiszemy”. Każdy pisał teksty tak długie, jak mu pasowało. Projekt gazety „Polska” dał nam impuls do rozwoju. Nowa szata graficzna, nowe oprogramowanie. Dziennikarze musieli zmieścić się w limicie, bo więcej po prostu nie przewidywał szablon na stronie – wspomina Lachowicz.

Passauer kupuje jednocześnie tygodniki gminno-powiatowe, których w poprzedniej dekadzie powstało prawie trzy ↦

↦ tysiące. – Niemcy potrafili być bardzo ekspansywni. Tworzyli własne tytuły, konkurowali kolorem i ceną, dorzucali przegląd telewizyjny. „Życzliwie" sugerowali konkurencji, żeby się odsprzedała – opowiada Adam Szynol.

Do dziś przetrwało około 650 prywatnych lokalnych tytułów, z czego blisko 120 należy do Polska Press (to obecna nazwa dawnej Grupy Wydawniczej Polskapresse). Pozostałe wciąż są własnością drobnych spółek i regionalnych przedsiębiorstw. Niektóre, jak „Tygodnik Podhalański" czy „Gazeta Radomszczańska", radzą sobie całkiem dobrze. Czytelnik w Polsce powiatowej, statystycznie starszy niż wielkomiejski, wciąż trzyma się wydań papierowych i newsów lokalnych. Ale takie tygodniki mierzą się z atakami burmistrzów i radnych, którzy zakładają własne propagandowe gazetki. Lokalni dziennikarze od lat bezskutecznie apelują do posłów, by zakazali samorządowcom wydawania prasy.

Więcej klików

W 2013 r. Polskapresse wykupuje tytuły należące do brytyjskiego Mecomu. Duopol zmienia się w monopol, a internetowa rewolucja nabiera rozpędu.

Po dwóch latach pracy we „Wrocławskiej" dopada mnie walka na kliki. Zamiast tematów „wychodzonych" na mieście musiałem robić galerię zdjęć z wypadku samochodowego. Budowanie dziennikarskich kontaktów? Tym mogłem się zajmować w wolnej chwili. Ważniejsza była pogoń za Trynkiewiczem rzekomo transportowanym do więzienia we Wrocławiu. Co prawda nie ma żadnych dowodów, że w ogóle do miasta przyjechał, ale za to temat klika się jak szalony.

Na dziennikarskich dyżurach produkujemy po dwie depesze na godzinę. Efektem są absurdalne newsy w stylu: „Policjanci dostali zgłoszenie, że na skwerku w jednym z wrocławskich parków grupka mężczyzn pije alkohol. Gdy funkcjonariusze przyjechali na miejsce, okazało się, że nikogo tam nie ma". Dziennikarz miał obowiązek codziennie zgłaszać dwa-trzy tematy. Pogłębione teksty pisaliśmy po godzinach. Albo nie pisaliśmy wcale. Jeśli temat był zbyt skomplikowany, to go po prostu odpuszczałeś, bo nie było na niego czasu. Nigdy się nie dowiemy, ile lokalnych afer nie ujrzało światła dziennego, bo dziennikarze musieli pisać newsy zdobyte przez telefon.

Politycy PiS często zarzucali wydawcy sprzyjanie niemieckiej racji stanu, ale ani ja, ani żaden z moich kolegów i koleżanek nie przypominamy sobie żadnej politycznej presji. Niemiecki właściciel, który przyjeżdżał czasami na wizytację do gazety, miał tylko jedną prośbę: więcej klików. Ten biznesowy model utrzymał się w Polska Press do dzisiaj.

– Poranne kolegium. Wszyscy zgłaszają, nad czym dziś będą pracować – opowiada doświadczony dziennikarz, który prosi o anonimowość. – Koleżanka mówi, że przygotuje galerię zdjęć, słodkich kotów. „Brawo, koty się klikają, leć do roboty!", chwali ją naczelny. Student zgłasza galerię zdjęć z głupimi nazwami wsi. Też aplauz. Ja zgłaszam temat o politycznym śledztwie w prokuraturze. I zapada głucha cisza.

– Piszemy już tylko do internetu. Wydawcy papierowi mają zakaz zlecania nam tekstów. Muszą sobie coś wybrać z internetu i włożyć do papieru – mówi kolejny dziennikarz. – Rozumiem moich szefów. Wydawanie papierowej gazety to jest palenie pieniędzy. A szefowie jakoś muszą zarobić na moją pensję.

Adam Szynol: – Polskapresse poszła drogą na skróty. Zarabianie na dużej liczbie odsłon jest najłatwiejszym modelem biznesowym. Ale też prasa regionalna wszędzie na świecie szuka swojego modelu. *Paywall*, czyli opłata za dostęp do treści, to rozwiązanie dla mediów o ugruntowanej, szanowanej marce. Nie wierzę, że sprawdzi się w mediach regionalnych.

Dziś regionalne dzienniki są cieniami samych siebie sprzed lat.

– Moje zarobki systematycznie spadają od sześciu lat. Z redakcji, która kilkanaście lat temu liczyła 30 osób, zostało pięciu-sześciu dziennikarzy. Większość zwolniono z powodu cięcia kosztów – opowiada doświadczony dziennikarz.

– Gdy przychodziłem do „Gazety Krakowskiej", zatrudnialiśmy sto osób. Konkurencyjny „Dziennik Polski" zatrudniał drugie tyle. Gdy odchodziłem w 2015 r., połączone redakcje miały raptem 60 pracowników – mówi Tomasz Lachowicz. – Polska Press przedłużyła żywot gazet lokalnych i regionalnych, dając im technologię, strategię, wizję. Ale prawa rynku były nieubłagane. Ludzie nie chcieli już czytać gazet, reklamodawcy uciekali.

Nie wszyscy podzielają tę opinię. Adam Szynol i inni medioznawcy wyobrażają sobie bardziej spluralizowany rynek, gdzie więcej tytułów rywalizowałoby jakością o czytelnika. W wielu miastach mogły przetrwać po dwa dzienniki. Na przykład we Wrocławiu „Gazeta Robotnicza" i „Słowo Polskie" adresowane były do różnych czytelników, z różnych grup społecznych. Sukcesy lokalnych tytułów również pokazują, że istnieje życie poza zachodnimi korporacjami medialnymi. Bez obecności na rynku jednego właściciela (takiego jak Polska Press) regionalne dzienniki by nie umarły. Byłyby po prostu inne.

Tomasz Lachowicz porzucił media w 2015 r. i założył pensjonat w górach. Ja pożegnałem Polska Press w tym samym roku. Zostałem „wolnym strzelcem". Wszystkie zasady, których nauczyłem się w „Gazecie Wrocławskiej", stosuję do dzisiaj.

Test prawdomówności

W grudniu 2020 r. kontrolowany przez skarb państwa Orlen kupuje wszystkie aktywa Polska Press od bawarskiej spółki. Media i politycy z liberalnej strony podnoszą alarm. Komentarze są jednoznaczne: orbanizacja mediów, będzie jak w Rosji.

Dziennikarze Polska Press pocieszają się, że „dokręcanie śruby" może być łagodne, czyli takie, jak w regionalnych rozgłośniach i telewizjach publicznych, gdzie propaganda nie sięga jeszcze wyżyn TVP Info.

– Lokalni politycy czy dziennikarze z konkurencji zarzucają nam, że już podlizujemy się nowemu właścicielowi. To wszystko w parę dni po wiadomej transakcji. Orlen jeszcze nic nie zrobił, a cały kraj krzyczy, że to zamach na wolne media. Mnie się oczywiście ta transakcja nie podoba, bo nie powinno być tak, że politycy nawet pośrednio mają wpływ na media. Mimo to dajmy im chociaż szansę zrobić coś złego, zanim zaczniemy ich potępiać. Tego wymaga elementarna rzetelność – mówi doświadczony dziennikarz z Polska Press.

I dodaje: – Na razie przyszedł list od nowego właściciela i zapewnienia, że zostawi nas w spokoju. Ale nawet jeśli Daniel Obajtek ma szczytne intencje, to jutro minister skarbu może mianować kogoś innego na prezesa Orlenu. Naczelny na kolegium tłumaczył nam, że nic jeszcze nie wiadomo, mamy dalej robić swoje. Ja się rozglądam za nową pracą. Nie chcę chyba testować prawdomówności prezesa.

© BARTOSZ JÓZEFIAK

ABACA / PAP

Hodowle poza prawem

ANNA PANIKOWSKA-FILIPEK

„Rasowy pies za jedną czwartą ceny". Co się kryje za internetowymi ogłoszeniami?

Sprzedam szczeniaki. Samodzielne, nauczone czystości. Z rodowodem. Cena: 600 zł, do negocjacji" – tak zaczyna się większość ogłoszeń internetowych sprzedaży psów. Zmieniają się tylko rasy i cena, która waha się od 300 do nawet 1000 zł.

Od ogłoszeniodawców można usłyszeć, że sześciotygodniowe szczeniaki jedzą już suchą karmę, załatwiają potrzeby na zewnątrz, są zdrowe. I mają rodowód, wprawdzie nie ze Związku Kynologicznego w Polsce (ZKwP), lecz z „równie dobrego", lokalnego stowarzyszenia. Tłumaczą też, że ostatniemu z miotu dokument nie przysługuje, stąd niska cena. Często sprzedają popularne rasy psów w wersji miniaturowej. Spóźnialskim oferują kolejny miot, za kilka miesięcy.

Czasem, choć rzadziej, przyznają, że nie prowadzą zarejestrowanej hodowli, bo to zbyt kosztowne. Szczenięta nie posiadają metryk ani książeczek zdrowia, nie były odrobaczane i szczepione. Dzięki temu są nawet cztery razy tańsze. Nowy właściciel może o nie zadbać według własnego uznania. Pies ma być przecież do kochania, a do tego rodowód i książeczka zdrowia nie są mu potrzebne.

Maszynki do rodzenia

– Pseudohodowle to zazwyczaj molochy, w których właściciel trzyma kilkadziesiąt suk, pozwalając, by zachodziły w ciążę przy każdej cieczce, czyli dwa razy do roku. Wielu podaje im środki hormonalne, by miały młode jeszcze częściej – mówi Agnieszka Sołtysiak, wolontariuszka aktywna w społeczności skupionej wokół strony Labradory.info.pl współpracującej z Ogólnopolskim Towarzystwem Ochrony Zwierząt.

Ciąża u psa trwa ok. 60 dni. W zależności od rasy z jednego miotu rodzi się od pięciu do dziesięciu szczeniąt. Jeśli właściciel ma dwadzieścia suk, a z każdego miotu przyjdzie na świat siedem młodych, które zostaną sprzedane po 500 zł, zarabia 70 tys. zł. Przy czterech miotach rocznie – to już 280 tys.

– W pseudohodowlach rozmnaża się i sprzedaje psy mimo braku przynależności do Związku Kynologicznego, jedynej organizacji w kraju nadzorującej stan hodowli oraz sposób ich prowadzenia – wyjaśnia Sołtysiak. – Ludzie, którzy się tym zajmują, zazwyczaj nie mają podstawowej wiedzy hodowlanej. Często suki są traktowane jak maszynki do rodzenia: wycieńczone licznymi ciążami, niedożywione, chore, a nawet umierające. Większość z nich nigdy nie była badana przez weterynarza. Zamknięte w kojcach, brodzą po kolana w błocie i własnych odchodach. Ich organizmy po pewnym czasie przestają produkować mleko. Coraz więcej młodych przychodzi na świat martwych lub poważnie chorych. Mimo ↦

↦ to rodzą dalej. Gdy już nie mogą, ich właściciele dzwonią do fundacji z informacją o godzinie i miejscu, w którym możemy odebrać od nich bezużyteczne suki. Nazywają to „likwidacją hodowli".

Regulamin Związku Kynologicznego w Polsce określa zasady rozmnażania psów. Muszą mieć aktualne badania wykluczające występowanie wad genetycznych i spełniać wymogi określone przez tzw. wzorzec rasy. Powód dyskwalifikacji stanowią nawet odstające uszy lub za krótki ogon. Psy regularnie biorą udział w wystawach, są drobiazgowo oceniane. Nie wolno też rozmnażać suczek młodszych niż półtora roku ani starszych niż osiem lat.

– Nasze suczki rodzą średnio trzy razy w życiu. Chodzi o to, by do reprodukcji dopuszczane były najzdrowsze osobniki. To znacząco zmniejsza ryzyko chorób u ich potomstwa – tłumaczy Beata Urbańczyk-Zając, właścicielka hodowli labradorów. – Jako hodowcy uczymy się tego latami. Socjalizujemy zwierzęta, staramy się, by były spokojne i przyjazne dla otoczenia – przekonuje. – Psy z pseudohodowli mogą mieć różne zaburzenia, które sprawią, że z czasem staną się bardzo bojaźliwe lub przeciwnie: agresywne. Człowieka kojarzą z zagrożeniem. Nie ufają mu – dodaje.

Żywe szkielety

Ile nielegalnych hodowli funkcjonuje w Polsce? Trudno policzyć. Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami nie ma takich danych, nie istnieją żadne oficjalne raporty. Warszawski oddział otrzymuje nawet kilka zgłoszeń miesięcznie. Krakowski bierze udział w kilkunastu interwencjach rocznie. Pracownicy białostockiego w ciągu ostatniego roku byli tylko przy jednej, przy czym zaznaczają, że nie było podstaw, by odbierać właścicielom zwierzęta. Strona Labradory.info.pl posługuje się wyłącznie statystykami dotyczącymi przeprowadzonych interwencji. – W ciągu roku z samych pseudohodowli odbieramy kilkadziesiąt psów – mówi Agnieszka Sołtysiak. – Jednak wiele zależy od środków finansowych, które uda nam się zebrać na leczenie i opiekę nad nimi. W ostatnim miesiącu odebraliśmy 18 labradorów.

Takich stowarzyszeń na terenie całego kraju jest kilkadziesiąt.

– W czasie ostatniej interwencji pod Łodzią walczyliśmy z właścicielem pseudohodowli 16 godzin, mimo że mieliśmy nakaz odebrania psów, była z nami policja i straż gminna. Utrudniał nam dostęp do kojców, próbował zastraszyć, był agresywny. Strażnicy musieli taranować ogrodzenia, przecinać kłódki – wspomina Sołtysiak. – Wchodząc na posesję czuło się fetor, który wnikał w ubrania. Buty grzęzły w mieszaninie błota i odchodów. Kojce były maleńkie, brudne i pełne robactwa. Miski puste, bez świeżej wody. Odebraliśmy stamtąd 12 psów. Dwa szczeniaki są skarłowaciałe – tragiczny stan matki oraz złe warunki sprawiły, że nie rozwinęły się prawidłowo.

Sołtysiak dodaje, że jedna z suk odebranych w czasie interwencji chciała zagryźć swoje młode, bo zobaczyła, że były karmione przez ludzi. – Psy to bardzo opiekuńcze zwierzęta – mówi wolontariuszka. – Jeśli robią coś takiego, znaczy, że traktują to jako jedyny sposób na przetrwanie. Rzucają się na siebie nawzajem, atakują młode lub najsłabsze osobniki, bo to podpowiada im instynkt. Brałam udział w wielu interwencjach, wiem, czego powinnam się spodziewać, jadąc na miejsce, lecz to wciąż mnie uderza. Zapchlona sierść, owrzodzona skóra, zapadnięte boki, wystające żebra i rozciągnięta listwa mleczna, która pokazuje, ile szczeniąt musiały wykarmić w swoim życiu, to widok, na który nie można się uodpornić.

Podobne doświadczenia ma Paulina Boba, pracująca w Krakowskim Towarzystwie Opieki nad Zwierzętami. Zwraca uwagę również na mniejsze pseudohodowle, nazywane domowymi. – Sprawdzaliśmy jedną z nich. Psy były trzymane w domu, ale przywiązane do mebli na dwudziestocentymetrowych łańcuchach. Na szyi miały otwarte rany i wyglądały jak żywe szkielety.

Interwencje zdarzają się i w hodowlach ZKwP. W zeszłym roku media podały informację o hodowli bulterierów w Folwarkach Małych na Podlasiu. Białostocki oddział TOZ-u odebrał tam 26 młodych psów trzymanych w niewielkich transporterach, w pomieszczeniu bez dostępu światła dziennego. Sprawa trafiła do sądu. – Sama pomagałam wykupić ośmioletnie suczki od jednego właściciela, który nie mogąc ich już rozmnażać, postanowił sprzedać je do pseudohodowli. Nieprawidłowości wśród hodowców z ZKwP jednak łatwiej wychwycić, bo nasza działalność jest regularnie monitorowana – mówi Urbańczyk-Zając.

Niedorobiona piątka

– Wystarczyłoby wpisać w przeglądarkę internetową odpowiednie hasło, by dowiedzieć się, że nie ma czegoś takiego jak „ostatni pies z miotu, któremu nie przysługuje rodowód", że prawdziwym dokumentem, jaki powinien wystawić hodowca, jest metryka opatrzona pieczęcią ZKwP oraz międzynarodowego związku FCI. Że nie można kupić rasowego psa za kilkaset złotych, a różnorodne stowarzyszenia nie mają nic wspólnego ze Związkiem Kynologicznym, lecz są przykrywką dla procederu, który nie jest w żaden sposób monitorowany przez polskie prawo. I wreszcie, że sześciotygodniowy szczeniak jest stanowczo za młody, by oddzielać go od matki, a tym bardziej karmić suchą karmą – podsumowuje Sołtysiak.

Dużym problemem jest również nomenklatura. W Polsce obowiązuje zakaz rozmnażania nierasowych psów i kotów w celach handlowych. Przepisy są jednak nieprecyzyjne w kwestii ustalenia definicji „zwierzęcia rasowego". Z pewnością nie jest nim szczeniak pochodzący z niezarejestrowanej hodowli, a jego sprzedaż jest przestępstwem. Wątpliwości wzbudzają natomiast stowarzyszenia powstałe po regulacjach prawnych z 2011 r., zrzeszające podmioty niespełniające standardów ustalonych przez ZKwP. „Piątka dla zwierząt" miała rozwiązać problem. Nowelizacja ustawy, która trafiła jednak po wielu politycznych bojach do sejmowego kosza, zawierała artykuł definiujący psa rasowego wyłącznie jako tego zarejestrowanego w Związku Kynologicznym w Polsce lub uznanej przez niego zagranicznej organizacji.

W opinii specjalistów kontrowersyjna nowelizacja niosła ze sobą tyle samo złego, co dobrego. Piotr Rachwał, adwokat współpracujący z Krakowskim Towarzystwem Opieki nad Zwierzętami, dostrzega niebezpieczeństwa wynikające z nieścisłości. – Pierwotny projekt „piątki dla zwierząt" miał wzmocnić ich ochronę – mówi. – Niestety spory polityczne, również te wewnątrz Zjednoczonej Prawicy, sprawiły, że na etapie prac sejmowych doszło do wypaczenia tych regulacji, a w Senacie nie poprawiono uchybień. W rezultacie zamiast ułatwień powstały kolejne obostrzenia. Po pierwsze, wycofano się z obowiązkowego stawiennictwa policji lub straży gminnej podczas odbioru zwierząt, a bez ich asysty przedstawiciele organizacji społecznych nie mogą wejść

na teren posesji. Po drugie, jeśli w interwencji nie uczestniczy weterynarz, ostateczna opinia co do zasadności odbioru oraz ocena stanu zdrowia zwierząt miały należeć nie do wolontariuszy, lecz do policji i straży gminnej, mimo że nie posiadają oni odpowiednich kompetencji. Zrezygnowano również z prawa wejścia na teren nieruchomości w asyście funkcjonariusza, bez zgody lub pomimo sprzeciwu jej właściciela. Gdyby te przepisy weszły w życie, bardzo utrudniłyby odbiory zwierząt, a w niektórych przypadkach, zwłaszcza w małych miejscowościach , wręcz by je uniemożliwiły.

Pozorna oszczędność

– Przed wizytą kupców szczeniaki niejednokrotnie zabierane są do specjalnie zaaranżowanego miejsca sprzedaży. Wielu pseudohodowców oferuje dowóz psów pod wskazany przez klienta adres. Wszystko po to, by ukryć warunki, w jakich przebywają na co dzień – tłumaczy Sołtysiak. – Wcześniej są myte i czesane, żeby sprawiały jak najlepsze wrażenie. W tak młodym wieku ich wygląd, nawet mocno odbiegający od wzorca rasy, nie rzuca się nadmiernie w oczy. Choroby, którymi obciążona jest większość z nich, też dadzą o sobie znać dopiero za kilka lub kilkanaście miesięcy.

W hodowlach zrzeszonych w ZKwP każdy miot musi przejść tzw. odbiór, czyli kontrolę, której dokonuje kilka osób ze Związku, w tym kierownik sekcji. – Odbywa się ona około szóstego lub siódmego tygodnia życia szczeniąt i dopiero jej pozytywny wynik uprawnia do otrzymania metryki, na podstawie której wyrabia się rodowód – wyjaśnia Beata Urbańczyk-Zając. – Warunków panujących w pseudohodowlach nikt nie kontroluje.

– Zdarza się, że szczenięta pochodzące z takich miejsc umierają po kilku dniach w nowym domu, a kontakt ze sprzedawcą się urywa. Śmiertelność wśród tych miotów wzrasta nawet dwukrotnie, występuje też wiele wad genetycznych i schorzeń spowodowanych nieodpowiednim krzyżowaniem psów, złym stanem zdrowia suki oraz zbyt krótkim karmieniem młodych mlekiem – tłumaczy Tomasz Baran, weterynarz z krakowskiej kliniki. – Częste są przypadki wodogłowia czy skarłowacenie, które przez sprzedawców fałszywie nazywane jest przynależnością do rasy miniaturowej. Oprócz tego krzywica, będąca skutkiem niedoboru

Zakup psa z nieautoryzowanej hodowli to pozorna oszczędność, **ryzykujemy ogromne wydatki na leczenie wad i schorzeń.**

witamin, problemy ze wzrokiem, wady układu pokarmowego, alergie, a u dużych psów również dysplazja stawów biodrowych. Zaniedbanie pielęgnacji i opieki weterynaryjnej powoduje, że powszechne są pasożyty, świerzb uszny, stany zapalne spojówek, a nawet nosówka czy parwowiroza. Ta ostatnia niestety najczęściej prowadzi do śmierci. Zakup psa na OLX, podsumowuje weterynarz, to tylko pozorna oszczędność: kryje się za nią konieczność wydania tysięcy na leczenie, a w najgorszym wypadku utrata zwierzęcia.

Pseudohodowca w sądzie

Tego typu hodowle najczęściej zlokalizowane są w odludnych, trudno dostępnych miejscach. Nawet jeśli wśród sąsiadów znajdzie się ktoś, komu dobro zwierząt leży na sercu, nie ma łatwego zadania do wykonania. Zgłoszenie sprawy do TOZ-u lub jednej z fundacji walczących o prawa zwierząt zazwyczaj nie wystarczy.

– Reakcją na zgłoszenie zawsze jest kontrola – tłumaczy Paulina Boba. – Jednak zazwyczaj odbywa się ona w obecności powiatowego lekarza weterynarii, który powiadamia o niej właściciela posesji z wyprzedzeniem. Ten może więc uprzątnąć teren, wywieźć najbardziej zaniedbane i chore psy. Dużym utrudnieniem jest też fakt, że wielu pseudohodowców trzyma zwierzęta pod różnymi adresami lub w pomieszczeniach takich jak strychy czy piwnice, do których podczas kontroli nie ma dostępu.

Warunki, jakie należy zapewnić psom, określa ustawa o ochronie zwierząt: przestronne, chroniące przed zmianami atmosferycznymi pomieszczenia z dostępem do światła dziennego, wody pitnej i odpowiedniej karmy. Długość łańcucha nie może być mniejsza niż trzy metry, a zwierzę nie powinno być na uwięzi dłużej niż 12 godzin w ciągu doby.

Trzymanie psa w niegodziwych warunkach oraz rażące zaniedbywanie opieki nad nim jest formą znęcania. W takiej sytuacji funkcjonariusz publiczny powinien niezwłocznie odebrać zwierzę właścicielom, przekazując je pod opiekę najbliższego schroniska lub fundacji. Konieczne jest spisanie protokołu i zawiadomienie wójta gminy, w której do tego doszło. On natomiast powinien dopilnować, by sprawa została zgłoszona na policję, a następnie do prokuratury.

W czasie jednej z interwencji Agnieszka Sołtysiak oraz inni wolontariusze i inspektorzy weterynaryjni z różnych fundacji połączyli siły i odebrali z pseudohodowli aż 53 szczeniaki, które były ciasno upakowane w niskich klatkach. Zwierzęta nie mogły się swobodnie poruszać, rozprostować łap, stały lub leżały we własnych odchodach. Po drugiej stronie pomieszczenia, w takich samych boksach hodowano przepiórki. Sprawa trafiła do sądu, entuzjazm jest jednak umiarkowany. – Zazwyczaj takie procesy ciągną się latami, a wyroki są nieadekwatnie niskie – mówi Sołtysiak.

Nieco zmieniło się po zaostrzeniu kar za znęcanie się nad zwierzętami, wprowadzonym w 2018 r. Za działanie ze szczególnym okrucieństwem obecnie grozi kara pozbawienia wolności do pięciu lat (wcześniej do trzech lat). Za długotrwałe zaniedbywanie zwierzęcia maksymalnie trzy lata i grzywna sięgająca 10 tys. zł. Do tej pory najwyższy wyrok zapadł w Polsce tylko raz, w 2020 r. Mężczyźnie, który katował, a następnie w wyjątkowo brutalny sposób zabił psa, sąd wymierzył karę pięciu lat pozbawienia wolności, grzywnę w wysokości 3 tys. zł oraz pięcioletni zakaz posiadania zwierząt.

■■■

We wrześniu, gdy procedowano „piątkę dla zwierząt", na posiedzeniu Senatu Katarzyna Śliwa-Łobacz (pełniąca funkcję prezesa Fundacji na rzecz Ochrony Praw Zwierząt Mondo Cane) przedstawiła pochodzące z 20 września 2020 r. zestawienie liczby ogłoszeń sprzedaży psów zamieszczonych jedynie na portalu OLX. Było ich blisko 8 tys., a łączna kwota zakupu wystawionych zwierząt sięgnęła prawe 24 mln zł.

© ANNA PANIKOWSKA-FILIPEK

JACEK

Podsiadło:

Wiele wyjątków, wiele problemów

Po sprytnym sprywatyzowaniu się w 1991 r. Państwowe Wydawnictwo Naukowe nie przestało się posługiwać skrótem PWN, nigdzie jednak nie wyjaśnia, co skrót PWN obecnie oznacza. Interpretuję go jako Piszmy Wszyscy Napaleńcy i przekazuję ów nieużytek do dozwolonego użytku pod warunkiem artykułowania go na melodię „Pójdźmy wszyscy do stajenki". Encyklopedia PWN, niegdyś najczcigodniejsze z pewuenowskich wydawnictw, pod koniec definicji demokracji przywołuje „wzorzec państwa nowoczesnego, w którym prawo nie jest narzędziem przemocy, ale chroni obywatela przed przemocą państwa", i dodaje: „Obecnie wzorzec ten jest powszechnie akceptowany, co nie oznacza istnienia wielu wyjątków".

Nie tak dawno, bo w czasach orwellowskich, prawdziwe oblicze widmowych bytów w rodzaju demokracji czy państwa najłatwiej było zobaczyć w krzywym zwierciadle, w zniekształceniach. Właśnie w wyjątkach. Prawdziwą naturę socjalizmu ukazywały jego wypaczenia. Mawiało się, że to „czysty Orwell". Dzisiaj te same byty definiują się już nie przez zniekształcenia, ale przez własne zaprzeczenia. Żyjemy w świecie skonstruowanym z samych wyjątków, które jednakże w dalszym ciągu potwierdzają regułę, ponieważ reguła jest słuszna. To Orwell nie tylko czysty, ale stężony, nasycony. Czysty spirytus bezsensu.

Człowiek, naród, obywatel... Państwo! Żeby móc udawać, że ten nietrzymający się kupy pałac Gargamela ma jakiś fundament, trzeba wykazać się zaawansowanymi zdolnościami w zakresie ekwilibrystyki językowej i żonglerki słownej. Płodząc potwora, dobrze nazwać go hybrydą. W ogóle warto świat skomplikować, podzielić na wiele sposobów, namnożyć niekoniecznych bytów, żeby tym trudniej było jakiemuś napaleńcowi ogarnąć myślą całość. Skrzyżujmy dla przykładu wspomniane państwo ze wzmiankowaną demokracją. Wiadomo, bez gwałtu na dzień dobry się nie obejdzie, ale mniejsza o to, za sto lat się wyrazi ubolewanie. Najważniejsze, że zrodzi się z tego związku państwo demokratyczne, nasz aniołek, nasz idealik, słodziak kizia-mizia cipci-rypci.

Demokracja to coś bardzo dobrego, to takie zorganizowanie życia społecznego, że wszyscy jego uczestnicy decydują o swoim losie, każdy na równi bierze udział w sprawowaniu rządów. A już najlepsza to jest demokracja pośrednia. Jak mówił zmarły niedawno Marcin Król, „warunkiem zaistnienia demokratycznej władzy są rządy ludu jako ogółu obywateli. Trzeba to traktować dosłownie, ale współcześnie oczywiście niezbędna jest reprezentacja ludu, co stwarza wiele problemów". Oczywiście. Same te problemy są niezbędne, bo z rozwiązywania ich żyje cały demokratyczny pośredniak, tzw. budżetówka. A formuła „dosłownie, ale" powinna stać u początku każdej preambuły każdego strzelistego aktu regulującego życie społeczne.

Państwo też jest bardzo dobre. Mam oczywiście na myśli owo państwo nowoczesne, które chroni obywatela przed przemocą państwa. „Strukturę powołaną do ochrony uprawnień jednostek", jak mówi inna definicja. Są to zarówno konstrukcje, jak i idee przepiękne, przepojone humanizmem, wzniosłe, może nawet teleskopowe... Państwo jako surowy, ale łagodny rodzic, który ledwie poweźmie do ręki dyscyplinkę, już się po łbie w obronie swego dziecka samonapierdziela. Państwo jako wspólnota obywateli strzegąca obywatela przed przemocą wspólnoty obywateli... Jako struktura pozbawiająca jednostki jednostkowości dla ochrony jednostek... Prostolinijny umysł może się pogubić w tych meandrach, ale że państwo jest dobre, potwierdzają już chłodne statystyki. Raporty Amnesty International, których bezstronności i obiektywizmu nie podważa nikt poza rządami najbardziej przez nie krytykowanych państw, od lat mówią o okrutnym traktowaniu obywateli i stosowaniu lub tolerowaniu tortur wobec nich przez funkcjonariuszy i urzędników państwowych zaledwie w trzech czwartych krajów świata (w latach 2009–2013 w 141 na ok. 190 istniejących państw, sytuacja stale zmienia się na gorsze, ale bardzo powoli).

Hybrydę naszą, czyli państwo demokratyczne, winniśmy rozpatrywać pod kątem funkcjonalności poszczególnych jej części. Jako całość prezentuje się bowiem nieszczególnie, od razu widać, że jest to koza z płetwą ogonową i łbem od świni. Kiedy płetwa napędza ją od tyłu, koza zapiera się nogami o grunt, kwicząc przy tym państwowe hymny. Ponieważ czas nas goni, przyjrzyjmy się tylko tej płetwie, tj. tzw. wolności. Leży ona u samego zadu państwowości i demokracji, ona je uruchamia. Słownik Języka Polskiego PWN stwierdza nawet głupkowato, że wolność jest to w pierwszej kolejności „niezależność jednego państwa od innych państw". Pierwsze słowa pierwszego artykułu Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka mówią: „Wszyscy ludzie rodzą się wolni". A konstytucja pierwszego z brzegu państwa demokratycznego, np. Polski, mówi nawet, że „Wolność człowieka podlega ochronie prawnej"! Dosłownie tak! Ale... trzy artykuły dalej ta sama konstytucja mówi: „Obywatelstwo polskie nabywa się przez urodzenie z rodziców będących obywatelami polskimi". Czyli jednak urodziłeś się w niewoli, choć słowo to nie pada. Konstytucja uspokaja cię w następnym punkcie, że „Obywatel polski nie może utracić obywatelstwa polskiego, chyba że sam się go zrzeknie", ale już nie wyjaśnia, że jedyną osobą mogącą wyrazić zgodę na to zrzeczenie się jest pan Bierut albo pan Duda, któremu zresztą prawo zabrania wyrażenia takiej zgody, od wyjaśniania tego jest gąszcz przepisów, tam idź i zrzekaj się w tych krzakach, krzyż na drogę. Urodziłeś się wolny, tyle że w klatce. Cała twoja wolność to wolność wybiegu. ©

KU ŚWIATŁU

Rwąca się materia świata, będącego zarazem miejscem zbrodni, sceną zła prywatnego i publicznego – i przedmiotem zachwytu. Mitologie rodzinne i wewnętrzny blask słów. Ośmioro poetów, osiem spojrzeń.

FOT. BOGNA KOCIUMBAS

Sinéad Morrissey czyta swoje wiersze z tomu „O równowadze" w Gdańsku, 1 września 2020 r.

„Świat mówi do mnie przez znaki" – wyznaje fotograf w jednym z wierszy Irlandki Sinéad Morrissey, Europejskiej Poetki Wolności 2020. Jego praca polegająca na odwzorowaniu świata nie może obyć się bez światła. Etymologia podobnie brzmiących słów zdradza ich nierozerwalne pokrewieństwo: „świat pierwotnie znaczył tylko światło", czytamy w słowniku slawisty Aleksandra Brücknera. Świata, przynajmniej w polszczyźnie, nie byłoby zatem bez światła. Co więcej – pokazuje Morrissey, a za nią tłumaczka jej poezji Magda Heydel – światło spaja przeszłość z przyszłością, zapewniając negocjowaną z dnia na dzień równowagę świata. Jest materią poetki układającej zdania z prędkich, nakładających się na siebie fal. „Kiedy pisałam »O równowadze«, świat nie był miejscem harmonijnym, a od czasu, kiedy ta książka ujrzała światło dzienne w 2017 r., chyba jeszcze bardziej wypadł z torów" – mówiła podczas ceremonii wręczenia Nagrody Literackiej Miasta Gdańska Europejski Poeta Wolności Morrissey. Rwąca się materia świata ujawnia się nawet w strukturze jej wierszy – „ekstrawaganckiej i kruchej, balansującej na granicy niemożliwego", jak czytamy w posłowiu. Wszystko tu dryfuje. Morrissey nie neguje przy tym konieczności powstawania zakłóceń i zawirowań, które niosą zmianę.

Ale dla fotografa świat to nie tylko rewolucje, a często „widok z miejsca zbrodni" – jak w tomie Darko Cvijeticia (Bośnia i Hercegowina). Jego „Gęsia skóra" zawiera wspomnienia z wojny w byłej Jugosławii, portrety ludzi na tle krajobrazu zrujnowanych wiosek i miast. Cvijetić dotyka przy tym natury zła. Chęć zabijania nie wiąże się dla niego z polityką czy ideologią, a wynika z samej głębi człowieczeństwa. Takie ujęcie tematu sprawia, że „Gęsia skóra" zyskuje status uniwersalnego pytania o odpowiedzialność za zbrodnie. Lamentem – a momentami także modlitwą – jest „Czterdzieści dni" maltańskiego poety Antoine'a Cassara. To również studium zła, tym razem jednak prywatnego, doznawanego przez matkę i syna ze strony sadystycznego ojca. To jednocześnie poemat drogi z rozrysowaną na ostatniej stronie książki mapą. Codzienna wędrówka przywołuje wspomnienia i przynosi poecie ból, ale przecież „chodzenie takie, by nie czuć nic, jest niemożliwe".

Równie mocno osadzona w egzystencji jest twórczość Zwiada Ratianiego. Jeśli Cassar wytyczał swoje ścieżki, gruziński poeta poszukuje toposu (dosłownie: miejsca wspólnego) poezji, jej źródeł. Pełnię intensywności niesie także twórczość Litwinki Agnė Žagrakalytė: zachłanna, zmysłowa, a przy tym oszczędna, posługująca się równoważnikami zdań oraz dwukropkami – jakby otwierała się na doświadczanie, jednocześnie próbując definiować pojawiające się podczas tego radosnego eksperymentu obrazy i emocje. Tłumaczka tomu „Właśnie:" Agnieszka Rembiałkowska zwróciła uwagę, że Žagrakalytė ma ucho wyczulone na „zgrzyty, piski i trzaski". Czytelnik dostrzeże także jej ciekawe oko i łapczywy język, bo „Właśnie:" to zabawa w synestezyjne zderzanie metafor oraz podobnie brzmiących słów, pełna zachwytu gra skojarzeń. Dziecięce pytania pojawiają się również w poezji łotewskiej pisarki Ingi Gaile. Jej wiersze – „mnożąc absurdy i brnąc w refreny" – z uporem kilkulatka pytają: „A czemu?". Rzeczywistość w tomie „Wielkanoc" jest zagadką, której nie mamy szans rozwiązać.

A skoro jesteśmy już przy grach: „Na czarne boisko" zaprasza pochodzący z Czarnogóry poeta Balša Brković, w twórczości którego także ważne jest światło, nie tylko światło bramki. Chodzi o moment, „gdy w miejsce niczego nagle coś rozbłyska". Bohater wierszy, sceptyczny wobec „patentów na szczęśliwe życie, poszukuje wolności we własnej biografii, próbując nawiązać kontakt z chłopcem, którym był w latach 70. XX wieku" – czytamy w posłowiu tłumaczki Agnieszki Schreier. „Boisko" to poetycka mitologia rodzinna z matką w roli duchowej przewodniczki. Światło interesuje także Jeana Portante, piszącego w języku francuskim poetę z Luksemburga. Jego ambicje są jednak o wiele szersze, prowadzą od filozoficznej dyskursywności po szamańskie zaklęcia, a nawet prorocki słowotok. „Po trzęsieniu" to poezja symboliczna, wizyjna i natchniona, ale głównym jej paliwem jest etymologia słów, ich wewnętrzny blask.

ROZMOWA

BEZROBOCIE TO CHOROBA ULECZALNA

PAVLINA TCHERNEVA, EKONOMISTKA:

Czas, aby państwa zaczęły dawać gwarancję zatrudnienia. Wcale nie muszą to być jałowe posady. Przecież to sektor prywatny obfituje dziś w pracę bez sensu.

RAFAŁ WOŚ: Da się wyobrazić świat bez bezrobocia?

PAVLINA TCHERNEVA: Jako ekonomistka wielu rzeczy nie jestem pewna. Ale co do jednego wątpliwości nie mam: gdyby nie było bezrobocia, gospodarka i społeczeństwo miałyby się znacznie lepiej.

Bezrobocie pojawiło się w Polsce 30 lat temu, po upadku komunizmu. Najpierw wynosiło kilka procent. Potem, momentami, nawet ok. 20 proc. Mówiono nam wtedy, że bezrobocie jest w normalnej gospodarce konieczne. Bo ludziom „musi się chcieć pracować".

Czytam wiele publikacji, nie tylko ekonomicznych, ale też z dziedziny psychologii społecznej i zarządzania. Nie znam twardych dowodów potwierdzających tezę, że jeśli boisz się o swoją pracę, czyni cię to lepszym pracownikiem. To *fake news*. Taki pracownik ani nie jest bardziej wydajny, ani bardziej innowacyjny. Jest tylko jedna rzecz, która faktycznie wynika z tego, że boisz się o swoją pracę.

Mianowicie?

To czyni cię bardziej podatnym na akceptowanie niższej płacy, większego obciążenia obowiązkami, godzin kolidujących z życiem prywatnym albo szkodliwych lub niebezpiecznych warunków pracy. Wtedy, faktycznie, bierzesz to,

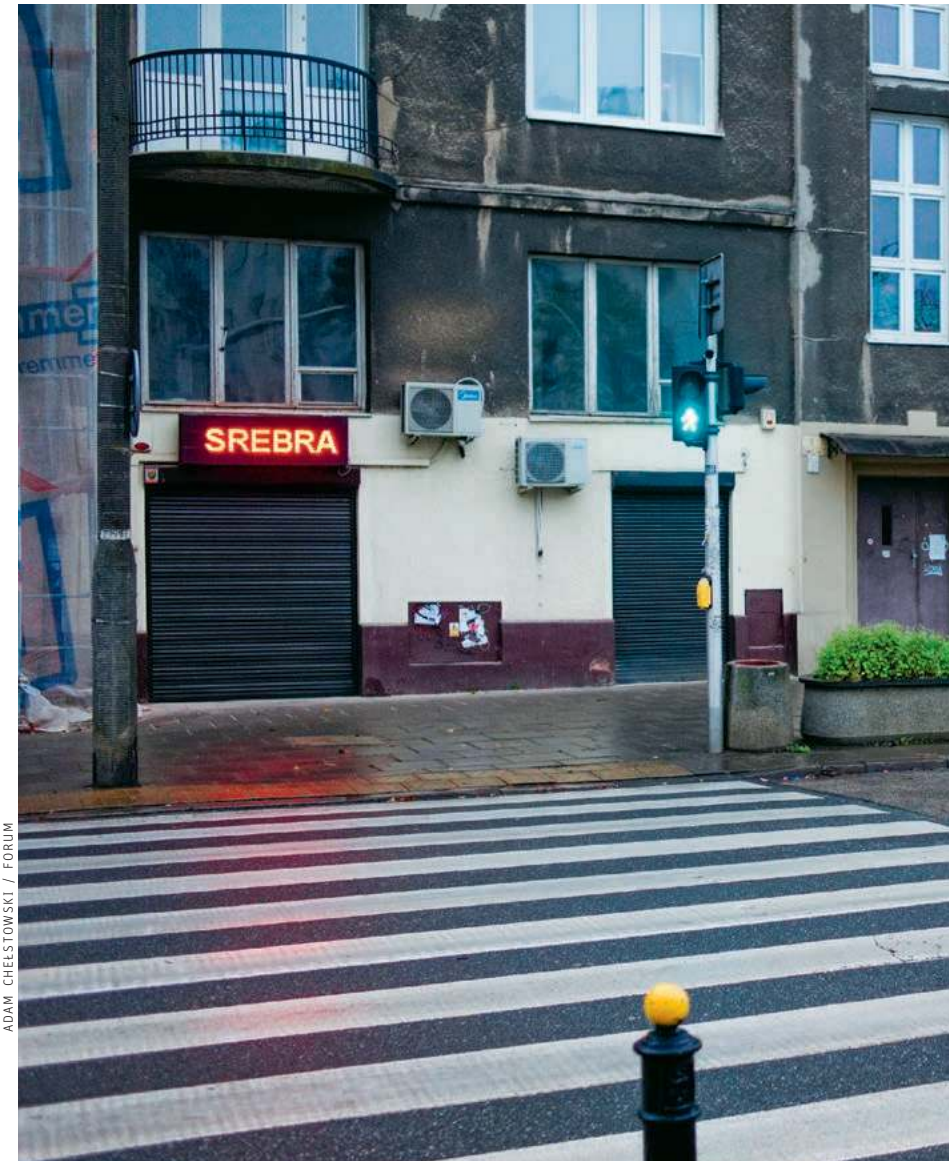

ADAM CHELSTOWSKI / FORUM

co jest, i nie pytasz o więcej. Bo gdy pytasz, ryzykujesz tym, co masz. A tego nie chcesz stracić, prawda?

Gdy kilkanaście lat temu spytałem o podwyżkę, usłyszałem od przełożonego „Cooo? Podwyżki? Teraz to będą… obniżki. A jak ci się nie podoba, to na twoje miejsce mamy trzech takich, co będą pracować za mniej, za to dwa razy szybciej”.

A ile wynosiło wtedy w Polsce bezrobocie?

Było wysokie. Około 15 proc.

No i tak to właśnie działa. Jeśli mówiąc „lepszy pracownik”, mamy na myśli „tańszy i łatwiejszy do szantażowania” – to wszystko się zgadza. Jeśli jednak pod pojęciem „lepszy pracownik” ma się kryć pracownik, z którego firma, instytucja czy społeczeństwo mają więcej pożytku, to jest odwrotnie. Dopiero pracownik, który czuje, że jego pozycja jest bezpieczna i którego nie tak łatwo zaszachować tym „mam na twoje miejsce innych”, jest bardziej lojalny i wydajny.

Pokazują nam to badania. Ale nawet same firmy są tego świadome. Na przykład w procesach rekrutacyjnych umiejętność utrzymywania pracy w jednym miejscu jest uważana za plus. Firmy doskonale wiedzą, jak niszczącym dla człowieka i jego potencjału są długie epizody bezrobocia.

Mam wrażenie, że wielu ekonomistów oraz polityków traktuje bezrobocie jak nieuleczalną chorobę.

Bo to jest choroba. Tyle że jak najbardziej uleczalna. Powiem więcej: współczesne społeczeństwa i tak płacą krocie za łagodzenie jej skutków.

Wyliczmy te koszty, żeby mieć świadomość, o czym mowa.

Im wyższe bezrobocie, tym więcej pieniędzy trzeba wydawać na zasiłki i pomoc społeczną. Im mniej ludzi pracuje, tym niższe wpływy podatkowe. Wysokie bezrobocie to mniej ludzi, których stać na kupowanie gazet, książek, pójście do kina czy restauracji. W tym sensie wysokie bezrobocie to zazwyczaj również sygnał, że gospodarka nie wykorzystuje swojego pełnego potencjału produkcyjnego, czyli, mówiąc obrazowo, jest jak maszyna pracująca na zbyt niskich obrotach. Niby działa, ale mogłaby przynieść nam wszystkim dużo więcej korzyści, radości, satysfakcji. Innymi słowy, gdyby nie bezrobocie, mogłaby działać lepiej, bardziej dynamicznie.

To były – jak rozumiem – te koszty najbardziej oczywiste.

Tak, ale bezrobocie to także sygnał, że ze społeczeństwem jest coś nie tak w sensie bardziej fundamentalnym. W wydanej w 2020 r. książce „Deaths of Despair” („Zdesperowani na śmierć”) nobliści Angus Deaton i Anne Case piszą o znaczącym wzroście śmiertelności wśród białych mężczyzn z klasy robotniczej w USA w ciągu ostatnich 50 lat. Jej bezpośrednim powodem było pogorszenie się ich stanu zdrowia: ból, depresja, stres, choroby. Nie wzięły się one jednak znikąd. Autorzy dowodzą, że mamy tu bezpośrednią zależność z utratą bezpieczeństwa ekonomicznego oraz poczucia własnej wartości, która nastąpiła po roku 1970.

Coś podobnego mieliśmy po roku 1989 w Europie Środkowej.

Istnieje szereg badań – choćby te Carlosa Nordta z Uniwersytetu w Zurychu przeprowadzone na danych z 63 krajów świata – które pokazują, że co piąte samobójstwo ma swoją przyczynę w zjawisku bezrobocia. Oczywiście to nie tak, że człowiek traci pracę i następnego dnia ↦

Ulica Inżynierska na warszawskiej Pradze, listopad 2020 r.

odbiera sobie życie. Niszczący wpływ zmagania się z nieprzyjaznym rynkiem pracy na egzystencję rozchodzi się niczym kręgi na wodzie. Czujemy je jeszcze długo po tym, gdy taflę jeziora przecięła motorówka.

Jednymi taka fala tylko zakołysze, innych może podtopić.

Człowiek spędza na tej ziemi tylko ściśle określony czas. Wiemy o tym i dlatego staramy się wykorzystać go najlepiej, jak umiemy: jedni mają potrzebę, by działać, sprawdzać się czy zostawiać swój ślad. Innym wystarczy nie mieć poczucia porażki albo czerpać przyjemność z dobrego wykonywania obowiązków.

Bezrobocie uderza w jednych i drugich, odbiera szansę na realizację tych potrzeb. Jednych pozbawia pracy wprost – sprawia, że dosłownie nie mogą znaleźć zajęcia, które pozwoli im się utrzymać. Innych widmo bezrobocia wpycha w konieczność wykonywania pracy, której jest zbyt dużo. Która sprawia, że mamy wrażenie, jakbyśmy tonęli. Jeszcze innych bezrobocie może pchać w kierunku zajęć nieuczciwych, nieludzkich czy też po prostu głupich – wykonywanych ze świadomością, że nikomu nie są do niczego potrzebne. A może nawet szkodzą.

Może w czasie dobrej koniunktury nie wszyscy mogą mieć dobrze płatną, satysfakcjonującą pracę. A gdy przychodzi kryzys, dla niektórych w ogóle jej brakuje. Może praca to dobro rzadkie, a bezrobocie jest naturalnym stanem?

Mówienie, że coś jest „naturalne", zazwyczaj oznacza, że jakaś pozycja jest nie do utrzymania od strony moralnej. Ale społeczeństwo z różnych powodów nie chce albo nie potrafi sobie z tym poradzić. Wtedy sięgamy po eufemizm: „naturalne".

Nawet ekonomiści mówią o tzw. naturalnej stopie bezrobocia. Ma ona wynosić ok. 5 proc. I być potrzebna właśnie po to, by zawsze – nawet w czasie dobrej koniunktury – w gospodarce krążyła jakaś grupa ludzi bezskutecznie poszukujących pracy. Nobliści, tacy jak Milton Friedman czy Edmund Phelps, przekonywali, że to oznaka zdrowia gospodarki.

A teraz wyobraźmy sobie, że mamy społeczeństwo, które szczyci się swoim bogactwem. Ale jednocześnie powiada, że musimy się pogodzić z tym, że 5 proc. dzieci nie będzie mogło otrzymać podstawowego wykształcenia. Albo mówi: „Niestety, 5 proc. populacji będzie musiało każdej zimy zamarznąć albo umrzeć z głodu". Co pomyślimy o takim społeczeństwie?

Że umywa ręce? Nie dba o dobrobyt wszystkich obywateli?

Dokładnie to samo dotyczy bezrobocia. Godząc się na te 5 proc. „naturalnego" bezrobocia, *de facto* godzimy się na to, że część społeczeństwa nie dostanie szansy na godne życie. Ktoś powie, że 5 proc. to mało. Ale w praktyce bezrobocie bywa dużo większe.

Właśnie, wspomniałem już, że w Polsce przez dwie pierwsze dekady po transformacji bezrobocie właściwie nie schodziło poniżej 10 proc. W Grecji czy Hiszpanii od lat sięga kilkunastu procent.

Staram się przekonywać, że to nic innego jak przyzwolenie na nieuzasadnione społeczne cierpienia. Mało tego: polityka ekonomiczna dopuszczająca istnienie bezrobocia jest nie tylko niemoralna. Jest to także polityka nieracjonalna.

Dlaczego?

Przecież żyjemy w XXI wieku. A rząd – i szerzej: państwo – i tak są odpowiedzialne za dobrobyt obywateli. Żaden rządzący nie może powiedzieć, że bezrobocie to nie jego problem. Skoro więc nasze państwa i tak płacą za społeczne skutki bezrobocia, to czemu nie zabiorą się za przyczynę problemu i nie rozwiążą problemu bezrobocia całościowo?

Ale jak przeprowadzić eliminację bezrobocia?

To akurat najprostsze. Państwo może zobowiązać się do gwarancji zatrudnienia.

Czyli co? Zabronić zwolnień?

Nie. Niech firmy – oczywiście w granicach obowiązującego prawa – same decydują, kogo chcą zatrudnić, a kogo zwolnić. Gwarancja zatrudnienia nie oznacza, że możesz nie pojawiać się w pracy, a pracodawca nie może się ciebie pozbyć.

To czym miałaby być?

Gwarancja zatrudnienia działa tak, że gdy jesteś bez pracy i chcesz ją podjąć, to idziesz do państwowej agencji i ona ma dla ciebie pracę. Dochód z niej zapewnia ci utrzymanie się na godziwym poziomie. Takim przyzwoitym – z naciskiem na przyzwoitym – społecznym minimum.

A jeśli agencja nie ma ofert pracy?

To państwo musi takie oferty stworzyć.

Ale jak? Z czego?

Zwyczajnie. Niektórym trudno to sobie wyobrazić, bo tak mocno siedzą w tym, co mamy teraz.

A co mamy?

W większości państw rozwiniętych urzędy pracy nie odprawiają człowieka z niczym. Dostaje oferty szkolenia albo przekwalifikowania. Tylko że co komu po takim przekwalifikowaniu, gdy nieraz okazuje się, że po tym treningu nadal nie ma pracy? Albo wynagrodzenie w pracy, której ofertę dostaje, starcza ledwie na opłacenie kosztów mieszkania albo jedzenia. Raz czy dwa człowiek pójdzie na takie szkolenie. Ale za trzecim razem powie: „Przestańcie robić ze mnie pajaca".

Co zmieni gwarancja zatrudnienia?

Pośrednictwo pracy nadal będzie istniało. Wciąż powinny być oferowane możliwości przekwalifikowania. Ale niech, u licha, będzie także praca dla przekwalifikowanych!

Poza tym, jaka to korzyść dla społeczeństwa, że przekwalifikuję się z np. bezrobotnego historyka na księgowego, skoro potem, aby dostać pracę, muszę poczekać, aż jakiś księgowy ją straci? Dla społeczeństwa korzyść będzie dopiero, gdy powstanie nowe miejsce pracy? Ale kto powiedział, że tylko sektor prywatny może tworzyć miejsca pracy. Państwo ma więcej możliwości ich tworzenia.

Gdzie te miejsca pracy powinny powstawać?

Zgodzimy się chyba, że istnieje wiele rzeczy do zrobienia, których nie ma kto wykonywać.

Na przykład?

Opieka nad osobami zależnymi – starszymi, chorymi, niepełnosprawnymi. Albo ochrona środowiska. Albo usługi na poziomie małych wspólnot lokalnych. W Stanach Zjednoczonych istnieje

np. problem społeczny, który nazywa się „pustynią żywnościową". Może on dotykać nawet 25 mln ludzi. Te „pustynie" to miejsca, których mieszkańców nie stać na dostęp do zdrowego jedzenia po przystępnej cenie. Są więc skazani na jedzenie kupowane w najtańszym supermarkecie albo na stacji benzynowej. Koszty dla zdrowia publicznego są ogromne.

I gwarancja zatrudnienia by tu pomogła?

Likwidacja tych „pustyń" to jeden z obszarów, gdzie program gwarancji zatrudnienia mógłby wysyłać swoich pracowników. Na przykład po to, by rozwijać drobne ekologiczne rolnictwo na potrzeby lokalnej społeczności.

Chodzi o to, że istnieje wiele branż, gdzie sektor prywatny nie tworzy miejsc pracy. Nie dlatego, że nie ma takiej społecznej potrzeby, tylko dlatego, że nie ma tu komercyjnego interesu do zrobienia. Gwarancja zatrudnienia nie jest jednak po to, by „robić interesy", tylko po to, by likwidować bezrobocie, które – jak już ustaliliśmy – jest niszczącą społeczeństwo chorobą.

Dobrze, że daje Pani te przykłady. Wielu lubi powtarzać, że gdy państwo zabierze się za tworzenie miejsc pracy, to będą one co najwyżej bezsensownym przekładaniem papierków.

Jest dokładnie odwrotnie. David Graeber pisał jakiś czas temu o *bullshit jobs* [w książce wydanej po polsku jako „Praca bez sensu" – red.]. Czyli o zajęciach, które nie tworzą dla społeczeństwa żadnej wartości dodanej i są marnowaniem wysiłków czy talentów ludzi, którzy je wykonują. Ale Graeber miał na myśli sektor prywatny. A tu mamy zaprzeczenie *bullshit jobs*. Prace potrzebne społecznie i mogące dawać głębokie poczucie satysfakcji i spełnienia.

Zmierzamy nieuchronnie do pytania o finansowanie.

Bez tego obejść się nie może.

W „Tygodniku" pisaliśmy już o tzw. nowoczesnej teorii monetarnej [*modern monetary theory*, MMT – red.], do której Pani się odwołuje. Dla przypomnienia: MMT zakłada, że emitującemu własną walutę rządowi nie mogą skończyć się pieniądze. Rząd najpierw wydaje stworzone „z niczego" pieniądze, a dopiero potem ściąga je od obywateli w formie podatków. Podatki zaś nie mają celu fiskalnego – są raczej zabezpieczeniem, by inflacja utrzymywała się w bezpiecznej normie. Czy to prawda, że uważa Pani budżet państwa za idealnie rozciągliwy?

Oczywiście, że nie. Myślenie w kategoriach MMT nie oznacza braku jakichkolwiek ram, w których się poruszamy. Także schemat gwarancji zatrudnienia zakłada, że program dysponuje własnym budżetem. Jest on tak skonstruowany, że działa jako automatyczny stabilizator gospodarki i jest powiązany z jej stanem. Czyli w czasie koniunktury państwo wydaje na gwarancję zatrudnienia mniej pieniędzy, bo ludziom łatwiej znaleźć lepiej płatne zatrudnienie w sektorze prywatnym. Gdy zaś nadchodzi kryzys, budżet rośnie, bo potrzeb przybywa. W ten sposób bezrobocia nie ma – każdy, kto chce pracować, pracuje. Na dodatek nie ma tzw. deflacji płac. To znaczy płace nie spadają poniżej poziomu wyznaczonego przez stawkę oferowaną w ramach gwarancji zatrudnienia. To sprawia, że kryzys jest społecznie dużo mniej szkodliwy.

MARTA JARA / ELDIARIO / CC 3.0

PAVLINA TCHERNEVA jest amerykańską ekonomistką z nowojorskiego Bard College, uczelni, która od lat 80. XX w. jest czołowym w świecie ośrodkiem tzw. heterodoksyjnej myśli ekonomicznej. Jej książka „The Case for a Job Guarantee" („Pochwała gwarancji zatrudnienia") była jedną z najważniejszych publikacji ekonomicznych 2020 r. Trwają prace nad jej przekładem na język polski.

Jakieś konkretne liczby?

Przeprowadziliśmy symulacje, z których wynika, że koszt gwarancji zatrudnienia nie byłby wcale taki duży. W przypadku USA byłoby to 1-1,3 proc. PKB w skali rocznej. Przy założeniu, że z gwarancji zatrudnienia korzystałoby od 11 do 15 mln Amerykanów. Efekty? Podniesienie realnej płacy minimalnej do poziomu 15 dolarów za godzinę. Bo za tyle pracowałoby się w ramach programu, więc praca poniżej tej stawki byłaby pozbawiona sensu.

Jest jeszcze coś. Pewnie w rozmowach w Ameryce doświadcza Pani tego rzadziej. Ale u nas mówienie o likwidacji bezrobocia nie kojarzy się z postulatem pełnego zatrudnienia w okresie powojennym czy Nowym Ładem Franklina D. Roosevelta, tylko raczej z doświadczeniem realnego socjalizmu, gdzie bezrobocia nie było.

Pochodzę z Bułgarii i w przeciwieństwie do większości moich kolegów i koleżanek w Ameryce znam tę perspektywę. Ale gwarancja zatrudnienia, o której mówię, to propozycja skrojona pod kapitalistyczne realia. W socjalizmie państwo było pracodawcą pierwszego wyboru i większość ludzi zatrudniona była w przedsiębiorstwach państwowych.

W PRL w rękach prywatnych pozostawała tylko większa część rolnictwa oraz rzemiosła.

Właśnie – a w Bułgarii sektora prywatnego było jeszcze mniej. Ale gwarancja zatrudnienia polega na tym, by państwo było pracodawcą ostatniej szansy. Nie polega ona również na zmuszaniu sektora prywatnego, by dał pracę każdemu. Jest tylko uzupełnieniem tych miejsc, w których sektor prywatny pracy nie oferuje, bo mu się to nie opłaca.

Faktycznie różnic jest wiele.

Dlatego te porównania są bez sensu i – rozumiejąc obawy – myślę, że szkoda poświęcać na nie zbyt wiele czasu. Wolę rozmawiać o tym, co da się zrobić. A nie narzekać, że się nie da.

© Rozmawiał RAFAŁ WOŚ

WIARA

OPCJA ABRAHAMA

Umiera na naszych oczach pewna forma funkcjonowania Kościoła w Polsce. Ale koniec epoki to nie koniec świata.

ZBIGNIEW NOSOWSKI

Ostatnio sporo mówię i pisuję o nadziei bez optymizmu. Minęły (bezpowrotnie?) czasy, gdy byłem niepoprawnym optymistą. Skończyła się też epoka nadziei łatwo znajdującej uzasadnienie. Nastał czas szukania nadziei wbrew nadziei.

Nie, to nie jest pesymizm. Ani zniechęcenie. Jeśli już, to efekt smutku i rozgoryczenia, że w Polsce mamy właściwie do czynienia z sekularyzacją na własne życzenie – z samosekularyzacją. Tak wcale nie musiało być. Nie wpadliśmy przecież w jakieś dziejowe wiry, które zaowocowały sekularyzacją. Na drogę szybkiej dechrystianizacji nasz Kościół wkroczył zbiorowo z własnej nieprzymuszonej woli, właściwie świadomie.

Prosto na mieliznę

„To nie kryzys, to rezultat" – takimi słowami Stefan Kisielewski komentował sytuację gospodarczą PRL. Pasuje jak ulał do opisu ostatniej dekady Kościoła katolickiego w Polsce. Nie chcąc uczyć się na błędach innych, nie słuchając dobrych rad – nasz potężny kościelny transatlantyk wybrał kurs prosto na mieliznę. I wpłynął na nią, wciąż będąc przekonanym o swojej wyjątkowości, o trafności wybranego kursu i o własnej dziejowej misji.

„Połączenie nowoczesności i religijności było w Polsce możliwe" – mówił mi na początku tego roku w rozmowie dla „Więzi" wybitny socjolog religii José Casanova, potwierdzając swoje tezy sprzed kilkunastu lat o możliwym szczególnym charakterze sekularyzacji w Polsce. Amerykańsko-hiszpański analityk wyjaśniał jednak, że obecnie ↦

LESZEK KOWALSKI / REPORTER

Abp Wacław Depo składa kwiaty na figurze Matki Bożej Niepokalanej. Częstochowa, 8 grudnia 2020 r.

↦ trzeba używać czasu przeszłego. Potencjał do takiego procesu jak najbardziej w Polsce istniał, tyle że nasz Kościół musiałby być „bardziej pokorny, bardziej samokrytyczny, otwarty wobec świata, podejmujący dialog ze współczesnością, a nie stojący do niej w opozycji".

Niestety postawami dominującymi w Kościele w tym krytycznym czasie były samozadowolenie, przyzwyczajenie, bierność, brak wizji duszpasterskiej, postawa „jakoś to będzie". Kapitanom naszego transatlantyku to nie przeszkadzało, choć dobrze znali zarówno sytuację w innych krajach, jak i polskie realia. Mimo to nie przebudowali modelu duszpasterstwa nastawionego na masowość. Nie stworzyli żadnej ogólnopolskiej strategii nowej ewangelizacji czy wychodzenia do polskich „wierzących pogan" (wedle określenia ks. Josepha Ratzingera) z autentyczną Dobrą Nowiną. Były za to kolejne nowenny i peregrynacje, czyli przekonywanie najbardziej przekonanych. Oraz w pełni świadomy konkubinat z rządzącą partią, czyli (jak trafnie wskazywał Jarosław Kaczyński, tyle że w 1991 r.) wybór najkrótszej drogi do dechrystianizacji.

Nie odczuwam żadnej satysfakcji, że mieliśmy jako publicyści rację, wielokrotnie przestrzegając, iż bez zmiany kościelnego kursu w Polsce pojawią się negatywne przejawy zachodniego modelu sekularyzacji: porzucanie praktyk religijnych, obojętnienie wobec Kościoła, prywatyzacja wiary, wypłukiwanie zbiorowej wyobraźni z odniesień religijnych, wiązanie religii z opresyjnością, duchowe zagubienie. Odczuwam z tego powodu raczej smutek, bo na niewielu sprawach tak mi zależy, jak na przyszłości żywej wiary chrześcijańskiej w mojej ojczyźnie.

Ciemna noc Kościoła

Jest więc smutek i rozgoryczenie. Nadzieja nie umarła, ale jest dużo trudniejsza, bo nie znajduje tak łatwo punktów oparcia. I wiem dobrze, że nie jest to tylko moje jednostkowe doświadczenie. Dlatego zacząłem mówić o przeżywaniu zbiorowej ciemnej nocy Kościoła. „Noc ciemna" to nie inne określenie na opisanie społecznego wymiaru kryzysu Kościoła, lecz odwołanie do wymiaru fundamentalnego – duchowego.

„Ciemna noc duszy" to doświadczenie duchowe opisywane przez mistyków. Człowiek wierzący odczuwa wtedy wszechogarniającą ciemność, pustkę, a nawet opuszczenie przez Boga. Stan ten może jednak prowadzić do duchowego oczyszczenia, do uwolnienia od własnych iluzji religijnych. Ostatecznie zaś – do odkrycia, że w tym doświadczeniu Bóg był cały czas bliżej, niż się nam wydaje. Być może w takiej właśnie sytuacji znajdujemy się obecnie zbiorowo jako katolicy trwający w Kościele, a zarazem świadomi skali jego problemów oraz faktu, że nie istnieje cudowne rozwiązanie, które by mogło sytuację odmienić szybko i radykalnie.

Na drogę szybkiej dechrystianizacji

nasz Kościół wkroczył zbiorowo z własnej nieprzymuszonej woli, właściwie świadomie.

Na dobre przeżywanie nocy ciemnej nie ma prostej recepty. Łatwiej opisać społeczny wymiar kryzysu.

Coś się wyraźnie kończy. Umiera na naszych oczach pewna forma funkcjonowania Kościoła w Polsce. Katolicyzm był dla niej kulturową oczywistością, niekwestionowanym punktem odniesienia i bezdyskusyjnym źródłem wartości w życiu społecznym. Prawo, kultura i obyczaje były katolicyzmem przesiąknięte. Tylko że tą kulturową oczywistością był właśnie katolicyzm jako ideowy (a z czasem: ideologiczny) fundament społeczny, a nie wiara katolicka. To nie relacja z Bogiem była na pierwszym planie, lecz kulturowa socjalizacja katolicka.

Abraham zaufał

Trudniej odnaleźć duchową drogę, którą można by iść przez tę ciemną noc Kościoła. Wiadomo, że koniec epoki to nie koniec świata. Że można spojrzeć na tę sytuację jako na początek mozolnego procesu odradzania się żywej wiary. Że nie należy w tym procesie oglądać się na tych – i na kościelnej górze, i na dole – którzy długo jeszcze będą żyć w przekonaniu, że da się uratować zdrową tkankę narodu, odprawiając więcej nabożeństw i usilniej modląc się do św. Michała Archanioła, żeby pogrążył siły nieczyste, które się przeciwko nam sprzysięgły.

Wiara podpowiada, że tutaj potrzeba innego spojrzenia. Akcent trzeba położyć nie na ocalanie przeszłości, lecz na budowanie przyszłości. Jest, owszem, sporo dobra do ocalenia, ale chrześcijaństwo jest wciąż przed nami. Nie za nami, w czasie przeszłym – lecz przed nami, jako zadanie. Choć obecnie trzeba przejść przez ponurą dolinę cienia.

W przeżywaniu nocy ciemnej niezbędne jest odpowiednie rozeznawanie duchowe. Rozeznanie nie daje jednak do ręki prostych algorytmów postępowania. Mistycy przekonują, że wchodząc w noc ciemną, chrześcijanin powinien przede wszystkim pogodzić się z sytuacją duchowej pustki, następnie głęboko zaufać Bogu i cierpliwie znosić czas swego opustoszenia – z nadzieją, że noc ciemna dokona w nas oczyszczenia i odsłoni oblicze Boga – bliższe, niż się nam wydaje.

Oznacza to, że zadaniem dla nas jako społeczności polskich katolików jest naśladowanie Abrahama – trzeba wyruszyć w nieznaną drogę. Abraham obrał właściwy kierunek wędrówki właśnie dlatego, że poszedł w kierunku nieznanym. Może to jest obecnie nadzieja dla polskich katolików? Może mamy wyjść z naszej stabilności, z dobrze nam znanego Ur chaldejskiego, z naszych pobożnych przyzwyczajeń, z katolickich oczywistości kulturowych – i wkroczyć w nieznane, w niepewność?

Odważmy się marzyć

W tej sytuacji z pomocą przychodzi papież Franciszek – człowiek i dużo starszy, i mający nieporównywalnie więcej powodów do smutku, że sprawy idą nie tak, jak powinny i jak by się chciało. Przychodzi z zachętą do marzeń.

Znalazłem ją najpierw w jego encyklice „Fratelli tutti". Papież proponuje tam, abyśmy – w obliczu różnorodnych współczesnych sposobów eliminowania lub lekceważenia innych – zdobyli się na odwagę nowego marzenia o braterstwie i przyjaźni społecznej. Franciszek dostrzega, że rozpadają się marzenia, na jakich zbudowano ład społeczny po II wojnie światowej. Ludzkości potrzeba więc dziś nowej wizji przyszłości.

A wkrótce potem przyszła kolejna zachęta ze strony papieża – jego najnowsza książka, wydana już także po polsku, pod znamiennym tytułem „Odważmy się marzyć". To zapis jego rozmów z angielskim

publicystą Austenem Ivereigh. Franciszek zachęca tam: „Nadszedł czas wielkich marzeń, czas na przewartościowanie naszych priorytetów – tego, co cenimy, czego chcemy, czego szukamy – i na zobowiązanie się do działania w naszym codziennym życiu na podstawie tego, o czym marzyliśmy”.

W rozmowach tych przeplatają się wątki duchowe i społeczne. Papież po jezuicku nie boi się kryzysów w żadnym z tych wymiarów. Zachęca, by spojrzeć na kryzys jako na szansę. „Z tego kryzysu możemy wyjść lepsi lub gorsi. Możemy się cofnąć lub stworzyć coś nowego. W tej chwili potrzebujemy chwytać okazję do zmiany (...). Bóg prosi nas, abyśmy mieli odwagę stworzyć coś nowego” – mówi Franciszek. Zachęca do tworzenia nowych wizji przyszłości, bo bez nich społeczeństwo „usycha, stając się bezowocne i sterylne”.

Odbuduj Kościół mój

W polskich środowiskach katolickich świadomość kryzysu jest coraz powszechniejsza. Rozkwitają więc dyskusje, narady, spotkania (rzecz jasna, głównie *online*). Pojawiają się nowe diagnozy i nowe propozycje działania. To bardzo ożywczy ferment. Widać, jak wielu ludziom zależy na dobrej przyszłości Kościoła.

Niepokoją mnie jedynie te pomysły, które wydają mi się próbą chodzenia na skróty. Mam bowiem przekonanie, że do dawania odpowiedzi na wezwanie „Odbuduj Kościół mój” trzeba się zabierać od podstaw, od samych fundamentów, a nie od dachu. Gdy słyszę pytania: „O jakim Kościele marzę? Jakiego pragnę? Jaki chciałbym urzeczywistniać, współtworzyć, budować?”, to myślę nie o strukturach, nie o inkluzywności, lecz przede wszystkim o celowości.

W moim marzeniu ważniejsze od pytania „jaki Kościół?” wydaje mi się „po co?”. Od szkicowanych naprędce scenariuszy reformatorskich istotniejszy – a na pewno bardziej pierwotny – powinien być głęboki namysł nad Bogiem i zbawieniem, a dopiero w konsekwencji: nad Kościołem jako sakramentem zbawienia w historii. Wtedy zyskamy zdolność marzenia nie tylko po swojemu, lecz także wedle Bożych marzeń o nas i o Kościele. Bo Kościół jest po to, żeby ludzie odnajdywali w nim Boga.

Nie chodzi mi tu bynajmniej o zniechęcanie do reform strukturalnych. Od dawna głoszę, że dziś nie wystarczą w Kościele reformy personalne czy pastoralne – próba tchnięcia nowego ducha w stare struktury. Kościół potrzebuje reformy strukturalnej, nawrócenia swoich struktur.

Nie wystarczy jednak także sama reforma struktur. Bo Kościół ma przede wszystkim służyć. Kościół nie jest po to, aby mu służono, lecz aby służyć. Jeśli nie służy, służy do niczego – nawet gdy będzie znakomicie wewnętrznie strukturalnie zreformowany.

Musimy więc przede wszystkim odnowić świadomość, czemu jako Kościół mamy służyć. A to oznacza głęboki namysł nad stwierdzeniem, że Kościół ma być sakramentem, czyli czytelnym znakiem Bożej miłości i skutecznym narzędziem sprawiającym, że Bóg staje się obecny między ludźmi. I że ma być sakramentem jedności z Bogiem i jedności całego rodzaju ludzkiego. Czyli jedności – co bardzo trudne – również z tymi, z którymi się spieramy i polemizujemy.

Motywy życia i nadziei

Odnowienie marzeń jest bardzo potrzebne także dlatego, że bez nich łatwo popaść w pokusę narzekania. A ludziom potrzeba motywów życia i nadziei. „Przyszły los ludzkości leży w ręku tych, którzy potrafią podać następnym pokoleniom motywy życia i nadziei” – trafnie stwierdził II Sobór Watykański w Konstytucji duszpasterskiej o Kościele w świecie współczesnym.

Kiedy w czasie postępującej sekularyzacji w Québecu zaczęły dominować hasła typu: „Kościół w stanie upadku”, „Kościół w fazie terminalnej”, „Kościół w agonii”, w końcu uświadomiono sobie, że nie dawały one ludziom żadnej nadziei. Dlatego z czasem zaczęły się pojawiać inne wyrażenia, jak: „Kościół w transformacji”, „Kościół w stanie metamorfozy”. Dzisiaj i my w Polsce musimy się uczyć takiej perspektywy.

Zacznijmy zatem ponownie mówić o Kościele naszych marzeń. Odważmy się marzyć! Byle tylko nie wpaść w pułapkę utopijnego idealizmu. Kościół nigdy nie będzie Królestwem Bożym. Nie zbudujemy na ziemi raju – ani społecznego, ani eklezjalnego.

Ta droga będzie bardzo trudna. Ogołocenie musi boleć. Wielu jest i nadal będzie przekonanych, że w żadną drogę wyruszać nie trzeba. Że ma być tak, jak jest, bo jest tak, jak ma być. Że raczej obrony cywilizacji nam potrzeba niż wędrownej niepewności Abrahama. Że „Bóg sam wystarczy” to gwarancja zbyt słaba, więc potrzeba innych szańców.

Ale wyjść trzeba. I szukać Boga pośród naszej nocy ciemnej. Jak Abraham – wbrew nadziei, wierząc nadziei.

© ZBIGNIEW NOSOWSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Sąd Boży okiem prawnika

RADOSŁAW GIĘTKOWSKI

Sądzenie ludzi przez Boga nie spełnia elementarnych wymogów sprawiedliwości przewidzianych przez prawo ludzkie.

Każdy człowiek, jak naucza Kościół, po swojej śmierci staje przed Bogiem na sąd. Z Biblii wynika, że Osobą, która sądzi, jest Syn Boży (zob. J 5, 22; 2 Tm 4, 1), a tym, który oskarża przed Bogiem, jest Szatan (por. Ap 12, 10). Skoro jest oskarżyciel, musi być i oskarżony. Status ten ma – jak należałoby przyjąć – sądzony człowiek.

Sądzenie ludzi przez Boga oparte jest jednak na innych zasadach niż nasze ziemskie sądownictwo. Warto spojrzeć na sąd Boga z perspektywy niektórych rozwiązań, które w przekonaniu współczesnego człowieka mają zapewniać wydawanie sprawiedliwych wyroków.

Stronniczy Sędzia

Jednym z podstawowych wymogów, jakie musi spełniać sędzia, jest jego bezstronność. Przyjmuje się, że jest to tak niezbywalna cecha sędziego, że utrata bezstronności czyni go niezdolnym do orzekania. Sprawiedliwy może być bowiem tylko wyrok oparty wyłącznie na prawie. Na jego treść nie może wpływać nastawienie sędziego do stron postępowania. Sędzia musi pozostawać wobec nich neutralny.

Dlatego prawo przewiduje konstrukcję wyłączenia sędziego w przypadkach, w których nie ma zapewnionych warunków do obiektywnego orzekania. Część tego typu przypadków, najbardziej oczywistych, skutkuje bezwzględnym wyłączeniem sędziego od udziału w sprawie (wyłączeniem z mocy prawa). Mamy z nim do czynienia m.in. wtedy, gdy sędzia jest w stosunku do strony krewnym w linii prostej (tzn. jeden pochodzi od drugiego, np. sędzia jest ojcem strony) albo gdy sprawa bezpośrednio dotyczy sędziego.

Wszyscy ludzie tymczasem pochodzą od Jezusa (por. J 1, 10) i są dziećmi Bożymi (1 J 3, 1). Nawet jeśli przyjmiemy, że to nie Jezus stworzył człowieka, tylko Bóg Ojciec, i że – ściśle rzec biorąc – naszym ojcem jest Bóg Ojciec, a nie Jezus, niczego to nie zmieni, bo Jezus stanowi z Ojcem jedno (por. J 10, 30). Chrystusa jako Sędziego bezpośrednio dotyczy też sprawa człowieka, którego sądzi. Chrystus jest w każdej takiej sprawie pokrzywdzonym, bo każdy ludzki grzech jest przyczyną Jego cierpienia. Jest to jednak cierpienie Tego, „który pragnie, aby wszyscy ludzie zostali zbawieni" (1 Tm 2, 4); cierpienie wywołane tym, że grzech oddala człowieka od szczęścia, które zaplanował dla niego Bóg. Jest to cierpienie Jezusa wywyższonego na krzyżu, by przyciągnąć wszystkich do siebie (por. J 12, 32). Przez to również sprawa sądzonego człowieka bezpośrednio dotyczy Jezusa. Od rozstrzygnięcia sprawy zależy to, czy Jezus doprowadzi do celu, na którym Mu bardzo zależy – aby zbawić wszystkich ludzi.

Zresztą już samo to, że Jezus, który sądzi, umiłował człowieka do końca (por. J 13, 1), poświęcił dla niego i jego zbawienia wszystko, okazał mu miłość najmocniej, jak tylko można, oddając za niego swoje życie (por. J 15, 13), że „jest Zbawcą wszystkich ludzi" (1 Tm 4, 10), nie tylko stanowi poważne zagrożenie dla bezstronności sądu Jezusa, ale czyni ten sąd skrajnie stronniczym na korzyść człowieka. Nie bez powodu św. Paweł pisze: „któż może wydać wyrok potępienia? Czy Chrystus Jezus, który poniósł [za nas] śmierć...?" (Rz 8, 34).

Uzasadnione wątpliwości co do bezstronności Jezusa-Sędziego rodzi również Jego skonfliktowanie z oskarżycielem – Szatanem. Nie dość, że Jezus nieskończenie mocno sprzyja oskarżonemu człowiekowi, to jeszcze jest nieprzychylnie nastawiony do oskarżyciela.

Stronniczość sądu Jezusa dodatkowo pogłębia to, że orzeka on w składzie jednoosobowym. Według standardu przyjętego w państwach demokratycznych w najpoważniejszych sprawach orzekają składy wieloosobowe, by przeciwdziałać subiektywizmowi czy arbitralności rozstrzygnięcia, a nie ulega wątpliwości, że rozstrzyganie o życiu wiecznym człowieka jest sprawą najpoważniejszą z możliwych. Standardem sprawiedliwości we współczesnym państwie jest ponadto możliwość odwołania się od wyroku, czyli możliwość skontrolowania jego prawidłowości przez sąd wyższej instancji, również pod względem ewentualnej stronniczości. Stronnicze rozstrzygnięcie Jezusa jest zaś niewzruszalne. Nikt nie jest władny go uchylić ani choćby skorygować.

Gdyby zatem sąd Jezusa zorganizowany był na sposób ludzki, Chrystus bezwzględnie podlegałby wyłączeniu od sądzenia ludzi, jako niedający gwarancji bezstronności, a Jego rozstrzygnięcie w sprawie uchodziłoby za rażąco niesprawiedliwe!

Możliwe nadużycia

Istotne zastrzeżenia z ziemskiego punktu widzenia budzi ponadto stosowane przez Jezusa prawo określające czyny zabronione i grożące za nie kary. Jedną z fundamentalnych zasad nowożytnego prawa karnego jest zasada określoności przestępstwa i kary, formułowana po łacinie jako *nullum crimen et nulla poena sine lege* (dosłownie: nie ma przestępstwa

i kary bez ustawy). Z zasady tej wynika wymóg precyzyjnego określania w ustawie zabronionych zachowań, w szczególności w taki sposób, aby można było jednoznacznie odróżnić typy zachowań zabronionych przez ustawę od tych niezabronionych.

Poza tym ustawa musi oznaczać kary grożące za popełnienie poszczególnych typów przestępstw oraz wyraźnie wskazywać dyrektywy wymiaru kary (czym sąd ma się kierować, wybierając karę). Chodzi o to, że decyzja sądu co do tego, czy zostało popełnione przestępstwo, i co do wymierzanej za nie kary, nie może być dowolna, arbitralna. Rozwiązanie to służy przede wszystkim budowaniu poczucia bezpieczeństwa prawnego w społeczeństwie i ochronie dóbr człowieka (materialnych i niematerialnych, jak np. wolność), w które godzić mogą wyroki sądów karnych. Omawiana zasada zapobiega swobodnym ingerencjom w te dobra. W przypadku sądu Bożego istnieje wszakże niebezpieczeństwo innego rodzaju nadużyć.

Prawo Boże generalnie nie spełnia wymogów zasady określoności przestępstwa i kary. Stosunkowo niewiele jest w nim jednoznacznych zakazów typu „nie zabijaj", „nie cudzołóż" czy „nie kradnij", choć i w stosunku do nich rodzić się mogą wątpliwości. Zdecydowanie częściej spotykamy w tym prawie sformułowania ogólne, pojemne treściowo, wymagające interpretacji, która może prowadzić do różnych rezultatów. W teorii prawa takie sformułowania nazywa się zwrotami niedookreślonymi. Typowym przykładem może tu być przykazanie miłości Boga i bliźniego.

W sytuacji, gdy sędzia sprzyja oskarżonemu (a Jezus-Sędzia czyni to w stopniu skrajnym), istnieje niebezpieczeństwo, że zwroty takie będą interpretowane na jego korzyść, a jeszcze poważniejsze niebezpieczeństwa wiążą się z tym, że w prawie Bożym (Bożym, a nie kościelnym) nie ma przypisania kar do określonych przewinień. Za żaden grzech nie grozi wprost wieczne potępienie (nawet przypadek tzw. grzechu przeciwko Duchowi Świętemu nie jest oczywisty – zob. Mt 12, 32). Jezus może za każdy czyn wymierzyć dowolną karę. W związku z tym, że jest stronniczym Sędzią, będzie zapewne dążył do tego, by orzec karę jak najłagodniejszą, a może nawet do tego, by w ogóle kary nie zastosować. Co więcej, nie będąc związanym żadnymi dyrektywami wymiaru kary, w każdym przypadku może kierować się miłością do człowieka i usprawiedliwiać go, co będzie prowadzić do uniknięcia przez tego człowieka sprawiedliwości.

XURXO LOBATO / GETTY IMAGES

Nicolas de Florentino „Sąd Ostateczny", katedra w Salamance, Hiszpania

Czy to w ogóle sąd?

Jakby tego wszystkiego było mało, Jezus w Ewangelii wg św. Jana mówi: „Kto słucha słowa mego i wierzy w Tego, który Mnie posłał, ma życie wieczne i nie idzie na sąd, lecz ze śmierci przeszedł do życia" oraz „A jeżeli ktoś posłyszy słowa moje, ale ich nie zachowa, to Ja go nie sądzę. Nie przyszedłem bowiem po to, aby świat sądzić, ale by świat zbawić" (J 5, 24 i 12, 47). Jezus jawi się więc jako przedziwny Sędzia, który nie sądzi, bo albo człowiek – w Jego przekonaniu – nie podlega sądowi, albo nie chce człowieka sądzić.

Okazuje się zatem, że takie pojęcia, jak sprawiedliwość czy sąd, Bóg rozumie inaczej niż człowiek. Nie jest to jednak gorsze rozumienie. Wręcz przeciwnie. W Księdze Izajasza czytamy:

Myśli moje nie są myślami waszymi
ani wasze drogi moimi drogami (...).
Bo jak niebiosa górują nad ziemią,
tak drogi moje nad waszymi drogami
i myśli moje nad myślami waszymi.
(Iz 55, 8-9)

Tak, to lepsze rozumienie. Lepsze także z ludzkiej perspektywy. Czyż to nie prawdziwie Dobra Nowina, że ma nas po śmierci sądzić nie obiektywny, bezstronny sędzia, ale nasz bliski Krewny, nasz Ojciec, który nas bezgranicznie miłuje i który pragnie naszego zbawienia, albo że może nawet nie będzie to stanięcie przed sądem, tylko po prostu spotkanie z Bogiem, który „jest miłością" (1 J 4, 8)?

Sąd Boży nie zapewnia rozumianej po ludzku sprawiedliwości i nie spełnia wymogów, jakie ziemskie prawo stawia sądom, ale jest to powodem do wielbienia Boga i do naszej wielkiej radości. ©

RADOSŁAW GIĘTKOWSKI *(ur. 1978) jest doktorem habilitowanym nauk prawnych, profesorem Uniwersytetu Gdańskiego. Autor około stu publikacji z zakresu prawa karnego, dyscyplinarnego i administracyjnego, w tym czterech książek.*

Kłopoty ze świętością papieża

HEIDI SCHLUMPF, REDAKTOR NACZELNA „NATIONAL CATHOLIC REPORTER":

Nasza praca jako katolickich dziennikarzy nie polega na zadowalaniu biskupów, ale na dostarczaniu wiernym informacji o Kościele.

CRAIG F. WALKER / DENVER POST / GETTY IMAGES

Montaż pomnika Jana Pawła II przed katedrą w Denver, 2 kwietnia 2009 r.

MARCIN TERLIK: Raport na temat nadużyć seksualnych byłego kard. Theodore'a McCarricka był dla Pani zaskoczeniem?

HEIDI SCHLUMPF: Przełomowy był dla mnie sam fakt pojawienia się tego raportu. To, że Watykan przeprowadził tak dogłębne śledztwo i okazał się tak transparentny w ujawnianiu swoich dokumentów, zasługuje na docenienie. Mam wielką nadzieję, że ta przejrzystość zostanie utrzymana w przyszłości, przy wyjaśnianiu kolejnych spraw.

A treść raportu?

Dla mnie i dla naszych czytelników nie była aż tak zaskakująca. „National Catholic Reporter" był jednym z pierwszych mediów piszących o skandalach seksualnych w amerykańskim Kościele. Robiliśmy to już w latach 80. W raporcie czytamy, że w New Jersey i w innych miejscach funkcjonowali biskupi, którzy kryli McCarricka i odmawiali przesyłania pełnych informacji do Watykanu. Widzimy też, że pewne decyzje w tej sprawie były podejmowane na samym szczycie hierarchii przez nuncjusza, sekretarza stanu, a nawet papieża. To niewątpliwie bardzo smutne, ale nie była to dla nas niespodzianka.

Jednak to po publikacji właśnie tego raportu Wasza redakcja napisała apel do amerykańskich biskupów, by zatrzymali oficjalny kult Jana Pawła II w USA. Co skłoniło Was do tego kroku?

Nasze pismo od lat krytycznie odnosiło się do Jana Pawła II z powodu jego bezczynności w sprawie kryzysu wykorzystywania seksualnego przez księży. Szeroko pisaliśmy o przestępstwach ks. Degollado ze zgromadzenia Legionistów Chrystusa. Kiedy ukazał się raport o McCarricku, stało się całkowicie jasne, że to Jan Paweł II osobiście podjął decyzję, by awansować go do waszyngtońskiej archidiecezji, gdzie wkrótce potem otrzymał kapelusz kardynalski. Papież zrobił to pomimo ostrzeżeń doradców z obu stron Atlantyku. Zrozumieliśmy, że musimy to głośno powiedzieć: Jan Paweł II nie jest dla nas najwyższym przykładem świętości. Nie jest kimś, kogo powinni naśladować inni liderzy Kościoła.

Naszym zdaniem to niezwykle ważne dla ofiar wykorzystywania seksualnego. Mogę sobie tylko wyobrazić, co czuje taka ofiara, gdy dowiaduje się, że katolicka szkoła w jej dzielnicy nosi imię Jana Pawła II, i zaczyna się zastanawiać, czy posłać tam swoje dziecko.

Jak bardzo kult Jana Pawła II jest rozpowszechniony wśród amerykańskich katolików?

W całym kraju jest ponad 40 szkół nazwanych jego imieniem, w tym co najmniej 20 podstawowych, 20 średnich i jeden uniwersytet. Do tego dochodzą liczne kościoły, fundacje i inne organizacje. Jest wiele godnych podziwu cech Jana Pawła II, które sprawiają, że ludzie go czczą. Z pewnością jedną z nich jest wkład w rozmontowanie komunizmu w Polsce. Przy tym trzeba przyznać, że jego kult cieszy się popularnością przede wszystkim wśród bardziej konserwatywnej części amerykańskich katolików. Widzą go jako papieża, który utrzymał ortodoksyjne nauczanie Kościoła. Ci bardziej liberalni, jak np. nasi czytelnicy, są raczej mniej skłonni, by oddawać mu osobistą cześć.

W polskiej debacie nad raportem dotyczącym McCarricka pojawiły się głosy, że pokazał on, iż Jan Paweł II został oszukany przez innych hierarchów. Zarzutem może być co najwyżej pewna naiwność, nie chęć ukrycia skandalu.

Słyszymy te argumenty również w Stanach Zjednoczonych. Oczywiście nie wiem, co było w umyśle i sercu Jana Pawła II. Jednak znając szczegóły raportu, a także bezczynność Jana Pawła II w przypadku doniesień o innych skandalach seksualnych, jak choćby tych dotyczących ks. Degollado, wydaje mi się, że trudno mówić o pojedynczym incydencie manipulacji.

W raporcie czytamy, że okłamywał go sam były kardynał McCarrick, a amerykańscy hierarchowie przesyłali do Rzymu niepełne informacje.

W tym kontekście warto przyjrzeć się jego osobistemu sekretarzowi kardynałowi Dziwiszowi, który przecież spotkał się ostatnio z oskarżeniami, że sam ukrywał skandale pedofilskie już później, w Polsce.

Inny argument w obronie Jana Pawła II mówi, że gdy podejmował decyzje w sprawie McCarricka, był już w podeszłym wieku i cierpiał na chorobę Parkinsona.

Kościół nie reagował właściwie na doniesienia o wykorzystywaniu seksualnym pojawiające się już od lat 80. Następni papieże podjęli pewne kroki. Benedykt XVI zwrócił się przeciwko ks. Degollado, Franciszek zdecydowanie zadziałał w sprawie biskupów w Chile i właśnie w sprawie McCarricka – przynajmniej w momencie, gdy pojawiły się zarzuty o wykorzystywanie nieletnich. Myślę, że cały Kościół przez te ostatnie dekady mógł zachować się dużo, dużo lepiej. To, co się stało, miało tragiczny skutek dla niego samego. Kościelni hierarchowie utracili wiarygodność, pojedynczy ludzie zmagali się ze swoją wiarą i z instytucjami, ale przede wszystkim ucierpiały ofiary.

Jak wygląda ten kryzys w Stanach?

Zaczął się już jakiś czas temu i z pewnością po części związany jest z szerszymi trendami kulturowymi, takimi jak ogólne odchodzenie ludzi od instytucji, szczególnie tych religijnych. Jednocześnie amerykański Kościół rośnie z powodu napływu latynoskich wiernych, co w pewien sposób rekompensuje mu inne straty. Nie da się jednak zaprzeczyć, że kryzys skandali seksualnych i ukrywanie ich przez hierarchów miały dramatyczny wpływ na indywidualnych katolików, którzy wcześniej ufali księżom przez całe swoje życie. Teraz ich nieufność sięga Jana Pawła II, który był na szczycie hierarchii przez tyle lat. Myślę, że odrywanie się ludzi od Kościoła będzie postępować.

A jak zareagowali amerykańscy hierarchowie teraz, po dekadach skandali? Czy wyciągnęli z nich jakieś wnioski?

Muszę oddać im sprawiedliwość i przyznać, że pewne zasady, które mają zapobiec powtarzaniu się takich rzeczy, zostały wprowadzone na poziomie diecezji i całego Kościoła. Z drugiej strony przysłuchiwałam się dyskusji amerykańskich biskupów na temat raportu o McCarricku. Szczerze mówiąc, nie byłam pod wielkim wrażeniem. Większość z nich chciała uznać, że to sprawa należąca do przeszłości, że należy iść dalej, skupić się na tym, co dobre teraz. Myślę, że biskupi, którzy są tak głęboko przesiąknięci klerykalną kulturą chronienia swojej instytucji, wciąż nie rozumieją szkód, jakie wyrządzono zwykłym katolikom. Być może nigdy tego nie zrozumieją.

Co ma Pani na myśli mówiąc o „klerykalnej kulturze"?

Uważam, że nie jest szczególnie różna od tej, która wytwarza się w innych wielkich organizacjach, np. w policji. Mała liczba przywódców rozmawia tylko w swoim gronie i nie słyszy tego, co mają do przekazania zwykli ludzie. Jeśli w Kościele katolickim nasi liderzy ograniczają się do żyjących w celibacie mężczyzn, to siłą rzeczy reprezentują tylko mały wycinek całej wspólnoty. Poza tym wielu biskupów w Stanach Zjednoczonych zostało podniesionych do swojej rangi w czasach Jana Pawła II. Są kimś, kogo nazywamy tutaj „kulturowymi wojownikami". Bardziej obchodzą ich kwestie seksualności, małżeństw jednopłciowych, aborcji czy antykoncepcji niż inne problemy, które dotykają wiernych i Kościół w codziennym życiu.

Sugeruje Pani, że Kościół powinien zrezygnować z celibatu?

Nasz dwutygodnik od dawna proponował, by otworzyć kapłaństwo dla znacznie większej grupy osób, w tym dla tych w związkach małżeńskich oraz dla kobiet. Nie chodzi tylko o sprawiedliwość, ale też o dodatkową korzyść z poszerzenia naszego przywództwa. Rzecz jasna, dopuszczenie kobiet i małżonków do stanowisk w Kościele nie gwarantuje automatycznie, że będą oni dobrymi liderami, ale czyni to bardziej prawdopodobnym. Po prostu przywódcy mogliby zostać wybrani z większej puli osób. Pozbycie się klerykalnej kultury zajmie oczywiście czas. To kwestia stosunku do hierarchów, struktury, sposobu przepływu pieniędzy. Potrzebnych jest wiele reform. Niektóre z nich już są przeprowadzane.

NATIONAL CATHOLIC REPORTER

HEIDI SCHLUMPF jest teolożką, pisarką i dziennikarką. Z „National Catholic Reporter" związana od niemal dekady – zajmowała się m.in. ujawnianiem nadużyć seksualnych w Kościele. Od 2020 r. jest redaktorką naczelną tego dwutygodnika.

Widzi Pani możliwość istnienia Kościoła jako zdecentralizowanej instytucji, bez ścisłej hierarchii podporządkowanej papieżowi w Rzymie? Czy mógłby on jeszcze wówczas nazywać się katolickim?

Jesteśmy Kościołem hierarchicznym i uniwersalnym. Nie chcielibyśmy, żeby każda parafia działała na własną rękę i nie wzywamy do rezygnacji z urzędu papieskiego. Możemy przeprowadzić reformy, zachowując obecną strukturę. Choć wiem, że są w Stanach Zjednoczonych katolicy, którzy myślą inaczej.

Franciszek uchodzi za reformatora. To, co robi, wystarczy?

Na pewno się stara i niektóre z jego pomysłów działają. Na przykład dokument mówiący o konieczności prowadzenia dochodzeń w sprawie biskupów podejrzanych o wykorzystywanie seksualne wypełnia lukę w kościelnym prawodawstwie. Czy to wystarczy? Ofiary, z którymi rozmawiałam, chciałyby, żeby było tych działań więcej. Większość hierarchów wciąż nie rozumie, jak poważna jest sytuacja, i bardziej zajmuje się chronieniem swoich diecezji, księży i donatorów niż robieniem tego, co jest właściwe.

Mogłaby to zmienić oddolna presja wiernych?

W USA gniew katolików narastał od dekad, szczególnie po 2002 r., gdy światło dzienne ujrzały skandale ujawnione przez „Boston Globe". W 2018 r. złość wybuchła z nową siłą z powodu afery McCarricka. Dużą rolę odgrywają tu media, zarówno świeckie, jak i katolickie. Dają wiernym informacje, których potrzebują, by wywrzeć nacisk na hierarchów. To przyniosło już pewne efekty. Jednak, ↦

↦ jak w przypadku licznych spraw w naszym Kościele, te zmiany są bardzo powolne. To frustruje wielu wiernych.

„National Catholic Reporter" ma tu pewną rolę do odegrania. Nie jest w żaden sposób podporządkowany kościelnej hierarchii.

Zgadza się. Mamy swój własny zarząd i nie podlegamy żadnemu zakonowi, diecezji czy innej katolickiej organizacji. Zostaliśmy założeni tuż po II Soborze Watykańskim przez grupę katolickich dziennikarzy, którzy uważali, że Kościołowi również potrzebne są niezależne media.

Zdarzają się Wam konflikty z hierarchami?

Zdarzały się w przeszłości. Nasza siedziba znajduje się w Kansas City i miejscowy biskup próbował zmusić nas do usunięcia słowa „katolicki" z nazwy. Nie był jednak w stanie tego zrobić, właśnie dlatego, że w żaden sposób mu nie podlegamy. To, że piszemy prawdę, sprowadza na nas czasem kłopoty ze strony hierarchów, dla których jest ona niewygodna. Jednak nasza praca jako katolickich dziennikarzy nie polega na zadowalaniu biskupów, ale na dostarczaniu wiernym potrzebnych informacji o Kościele.

Czy w kontekście wszystkich skandali wyobraża sobie Pani coś, co musiałoby się wydarzyć, żeby odeszła Pani z Kościoła katolickiego?

Cóż, jak wielu katolików w Stanach Zjednoczonych w ciągu swojego życia miałam liczne problemy z instytucjonalnym Kościołem. Jednak byłam, jestem i myślę, że zawsze będę katoliczką. Uważam, że najlepiej przysłużę się Kościołowi, będąc najlepszą dziennikarką, jaką potrafię być. Po wysłuchaniu rozmowy amerykańskich biskupów o raporcie na temat McCarricka czułam się rozczarowana. Tego samego wieczoru wzięłam udział w wirtualnym spotkaniu grupy „Kobiety w Kościele" w kalifornijskim San Diego. I po raz kolejny zostałam podniesiona na duchu przez zwykłych ludzi, którzy starają się wykonywać pracę Jezusa. Myślę, że czasem dobrze nie skupiać się za bardzo na hierarchach.

© Rozmawiał MARCIN TERLIK

Wąska droga

ZUZANNA FLISOWSKA-CARIDI

Dialog biskupów ze świeckimi w Niemczech, który stał się poligonem dla Kościoła w ogóle, napotyka na przeszkody.

Stoję dziś przed Państwem jako siostra zakonna, której powołanie jest teraz wystawione na ciężką próbę. (...) Czuję się głęboko związana z ofiarami przestępstw i przemocy. Cierpię wraz z poranionymi ludźmi, którzy przychodzą do naszego opactwa, którzy zawiedzeni opuścili nasz Kościół albo zbliżają się do tej decyzji. To nie jest margines, nie: to wierzący ludzie, zaangażowane chrześcijanki i chrześcijanie. Ludzie, którzy pełni tęsknoty szukają Boga i wiarygodnych świadków Dobrej Nowiny" – tak podczas pierwszego zebrania plenarnego niemieckiej Drogi Synodalnej rozpoczęła swoje przemówienie siostra Philippa Rath. 65-letnia benedyktynka, na co dzień towarzysząca ludziom w ich duchowych zmaganiach, od lat otwarcie mówi o potrzebie respektowania równości między kobietami a mężczyznami w Kościele. W ramach Drogi Synodalnej uczestniczy w pracach komisji „Kobiety w posługach i urzędach kościelnych".

W grudniu minąłby półmetek rozpisanego na dwa lata eksperymentu. Ale już teraz wiadomo, że bezprecedensowa próba dyskusji o problemach, z którymi zmaga się Kościół, się przedłuży. Nie tylko z powodu pandemii. Wydaje się, że przy niektórych ważnych kwestiach porozumienie na razie jest niemożliwe.

Krok bez precedensu

Droga Synodalna została zwołana wspólnie przez Konferencję Episkopatu Niemiec i Centralny Komitet Katolików Niemieckich (ZdK) w odpowiedzi na wyniki projektu badawczego „Wykorzystywanie seksualne nieletnich przez katolickich księży, diakonów i męskich członków zakonów na terytorium Konferencji Episkopatu Niemiec". Był to zewnętrzny raport zamówiony przez tamtejszych hierarchów i opracowany w latach 2014-17, zwany powszechnie „MHG-Studie", od pierwszych liter miast, których uniwersytety przeprowadzały badanie (Mannheim, Heidelberg, Gießen). Wynika z tego studium jasno, podobnie zresztą jak z analiz przeprowadzonych w innych krajach, że istnieją zjawiska, które systemowo sprzyjają zaistnieniu przemocy seksualnej oraz utrudniają jej rozpoznanie i zapobieganie.

Dziedziny, które raport wskazał jako kluczowe dla uzdrowienia sytuacji w społeczności kościelnej, zostały poddane pod dyskusję w czterech komisjach synodalnych. Zajęły się one władzą, współczesnym życiem księży, etyką seksualną oraz dyskryminacją kobiet. Każda z nich ma przygotować dokumenty, które zostaną przyjęte przez spotkania plenarne, w pierwotnym założeniu cztery, mające się odbywać co pół roku przez dwa lata. Z powodu pandemii już drugi, wrześniowy zjazd był utrudniony i został rozłożony na pięć zebrań regionalnych. Co więcej, niedawno podjęto decyzję, że kolejne spotkanie plenarne, przypadające według planu na początek lutego, zostaje przesunięte na jesień. Nawet najlepiej zorganizowana i merytorycznie przygotowana konferencja internetowa nie zastąpi bowiem realnego spotkania – tak argumentują organizatorzy. W związku z tym cały proces wydłuża się o pół roku i zakończy jesienią 2022 r.

Celem Drogi Synodalnej jest wypracowanie i przedstawienie biskupom oraz Watykanowi konkretnych rad, jak zmienić sytuację w czterech wytypowanych dziedzinach, by rozprawić się z kulturą wykorzystywania władzy i sprzyjania przestępstwom seksualnym. Do udziału w tym procesie zostali zaproszeni katolicy reprezentujący różne stany i grupy, a także kilku przedstawicieli innych Kościołów chrześcijańskich w Niemczech.

Co zmienne, co niezmienne

Pokora biskupów, którzy pytają o radę świeckich, siostry zakonne, księży oraz

ARMANDO BABANI / EPA / PAP

Kard. Reinhard Marx, ówczesny przewodniczący Konferencji Episkopatu Niemiec, i Thomas Sternberg, przewodniczący Centralnego Komitetu Katolików Niemieckich, podczas pierwszego zgromadzenia Drogi Synodalnej. Frankfurt n. Menem, 31 stycznia 2020 r.

ekspertów, i którzy w porządku alfabetycznym, bez żadnych hierarchicznych rozróżnień siedzą razem z nimi przy stole, słuchają ich doświadczeń i wymieniają opinie, jest dla osoby wychowanej w polskim Kościele poruszająca. Wbrew temu, co pisze u nas wielu komentatorów, Droga Synodalna nie jest tubą dla ludzi, którzy za nic mają tradycję i duchowość Kościoła, ale skrupulatną pracą nad tym, by zauważyć i opisać problematyczne doświadczenia współczesnego człowieka i zbiorowe doświadczenie wspólnoty katolickiej – a w ich świetle raz jeszcze przyjrzeć się strukturze i nauczaniu Kościoła. Na tym polega w końcu żywa tradycja i teologia.

Równość wykreowana podczas Drogi Synodalnej chyba najbardziej rzuca się w oczy podczas liturgii. Z wyjątkiem głównych celebransów wszyscy biskupi i księża siedzą w nawie, w codziennych strojach, ramię w ramię wśród pozostałych uczestników. Dla jednych to silny, wzruszający gest braterstwa i rzeczywistej chęci przemierzania Drogi Synodalnej wspólnie. Dla innych – gorszące zaprzeczenie hierarchicznej tradycji katolickiej. I po linii tych dwóch reakcji poruszać się będą właściwie wszystkie argumenty, oczekiwania oraz emocje związane z Drogą.

Dla większości osób zaangażowanych w ten proces pokora biskupów jest pierwszym krokiem do wyczekanych zmian. Z kolei opinię drugiej strony symbolicznie wyrażają słowa arcybiskupa Kolonii (i najgłośniejszego krytyka Drogi), kard. Rainera Woelkiego, który komentując takie rozsadzenie osób podczas mszy rozpoczynającej pierwsze zebranie plenarne, powiedział, że spełniły się jego największe obawy. Za niepokojące uznał właśnie te wszystkie znaki, które relatywizują hierarchiczne relacje między uczestnikami Drogi Synodalnej, ponieważ, według niego, zaprzeczają one podstawowemu rozumieniu Kościoła w katolicyzmie. Tam, gdzie pierwsza grupa widzi nadzieję, druga odczuwa strach, że coś cennego zostanie zniszczone z naszego wspólnego dziedzictwa.

Tak naprawdę więc spór jest znacznie bardziej fundamentalny: o to, co należy do niezmiennej tradycji Kościoła, a co jest tylko jego kulturową lub praktyczną formą, którą należy dopasowywać do realnego doświadczenia katolików tak, by pomagać im żyć zgodnie z Ewangelią. Pytanie to oczywiście towarzyszy sporom teologicznym od początku chrześcijaństwa, teraz w tle ma szczególne emocje: chyba nigdy erozja zaufania do zasad rządzących Kościołem nie była tak głęboka.

Ten kontekst sprawia, że w Niemczech oczekiwania wobec Drogi Synodalnej są bardzo duże. Wielu obserwatorów podkreśla, że główne ryzyko przedsięwzięcia polega na tym, iż nie ma właściwie narzędzi, by ta szeroko otwarta dyskusja skończyła się proporcjonalnie poważnymi zmianami. Formalnie biskupi nie będą zmuszeni do wprowadzenia ich w życie. To oczywiście martwi świeckich zwolenników zmian. „Najbardziej boimy się, że na koniec Drogi Synodalnej nic się nie stanie" – zgodnie powtarzają.

Sytuacja patowa

Zwłaszcza że bezprecedensowość Drogi Synodalnej to właśnie silny głos świeckich – jej należy przypisywać tę odświeżającą niecierpliwość i gotowość łamania tabu. Duża reprezentacja świeckich zagwarantowana została w statucie Drogi, który opisuje jej strukturę, zasady rządzące spotkaniami, kryteria akceptowania dokumentów, wyboru reprezentantów i obserwatorów, a także określony udział procentowy kobiet i mężczyzn, świeckich i księży, biskupów i reprezentantów ZdK, osób przed 30. rokiem życia czy przedstawicieli zakonów. Statut ten, przygotowany przez episkopat i ZdK, dostępny jest na oficjalnej stronie internetowej, podobnie jak wszystkie inne dokumenty dotyczące organizacji Drogi Synodalnej. To kolejna symptomatyczna cecha tego procesu – transparentność. Służyć ma jej również wydelegowanie rzeczników Drogi do każdej diecezji, by byli gotowi na komunikację z wiernymi.

W komisji poświęconej kobietom, której jestem członkinią, większość stanowią wykładowcy akademiccy (różnych dziedzin teologii, a także nauk humanistycznych), poza tym jest kilka sióstr zakonnych, teolożki zatrudnione w episkopacie w jednostkach poświęconych duszpasterstwu kobiet, przedstawiciele młodego pokolenia, reprezentujący katolickie zrzeszenia, a także wiceprzewodnicząca liczącej dziś blisko pół miliona członkiń Katolickiej Wspólnoty Kobiet w Niemczech (KFD), profesor teologii pastoralnej.

Wbrew temu, co można przeczytać w większości polskich doniesień prasowych, komisja nie zajmuje się głównie tematem święcenia kobiet. Na podstawie powstałego przed rozpoczęciem Drogi Synodalnej dokumentu przygotowawczego komisja określiła trzy tematy, które powinny stać się przedmiotem jej prac: udział kobiet w sprawowaniu urzędów i funkcji w ramach obecnego stanu prawa kanonicznego; antropologia płci i kwestie *gender*; oraz możliwości posług sakramentalnych sprawowanych przez ↦

kobiety. Każdy z tych tematów opracowywany jest przez mniejszą grupę redakcyjną, która z kolei na spotkaniach plenarnych ma przedstawiać do dyskusji roboczą wersję swojego tekstu. Dotychczas spójny tekst powstał dopiero na pierwszy temat.

Grupa redakcyjna pracująca nad tematem drugim kończy rok w sytuacji patowej. Mimo przygotowanych różnych propozycji tez, które powinny znaleźć się w dokumencie, dyskusje nad nimi polegają na trudnym do rozwikłania starciu dwóch frakcji.

Po jednej stronie są znacznie liczniejsi zwolennicy przyjęcia tego, co współczesne nauki humanistyczne mówią o płci społecznej. W duchu konstytucji duszpasterskiej o Kościele „Gaudium et spes" zwracają uwagę, że nieteologiczne nauki dostarczają danych, które dopiero potem powinny być interpretowane przez teologię. Ta frakcja wskazuje również na konieczność spojrzenia na chrześcijańską antropologię z większym uwzględnieniem faktycznego współczesnego doświadczenia katolików.

Po drugiej stronie stoją zaś ci, którzy bezpośrednio w tekstach Pisma Świętego i Tradycji upatrują obiektywnej i niezmiennej odpowiedzi na dzisiejsze pytania dotyczące relacji między płciami, również w sensie psychologicznym i społecznym. Znaczące jest zresztą, że uzasadnienie dla swoich poglądów obie frakcje widzą w Piśmie Świętym i dokumentach Kościoła.

Nadzieja na pogodzenie tych dwóch sposobów myślenia w jednym spójnym tekście wydaje się złudna. Pat więc trwa, pojawiają się propozycje wprowadzenia zewnętrznej mediacji w spotkania grupy redakcyjnej. Podobnych trudności spodziewać się należy podczas przygotowań trzeciej części dokumentu, dotyczącej posługi sakramentalnej, w tym możliwości udzielania kobietom święceń diakonatu i prezbiteratu. Jako odprysk tej dyskusji w lutym ukaże się książka pod redakcją wspomnianej siostry Philippy Rath, która zebrała świadectwa kobiet zmagających się z niezrealizowanym powołaniem do takiej właśnie służby sakramentalnej.

Dyskusja między tymi dwiema frakcjami na co dzień odbywa się za zamkniętymi drzwiami, ponieważ członków komisji obowiązuje dyskrecja względem konkretnych wypowiedzi. Spór stał się jednak po części publicznie znany w przeddzień drugiego spotkania plenarnego we wrześniu, podczas którego zaprezentowany miał zostać tekst pierwszej grupy. Biskup Ratyzbony Rudolf Voderholzer, członek komisji znany z krytycznego nastawienia do Drogi Synodalnej, wystosował list otwarty do członków Drogi, wyrażając swój sprzeciw wobec dodanego, nieskonsultowanego z całą komisją fragmentu interpretującego Ewangelię w duchu równościowym.

Pokora niemieckich biskupów, którzy pytają o radę świeckich, słuchają ich doświadczeń i wymieniają opinie, jest dla osoby wychowanej w polskim Kościele poruszająca.

Tymczasem oprócz kontrowersyjnego dodatku biblijnego w dokumencie znajduje się wiele propozycji, które biskupi niemieccy mogą wprowadzić w życie. Każdy paragraf tekstu zawiera krótką diagnozę lub zalecany kierunek i sugeruje następny krok dla Kościoła. Wspomina się więc o konieczności stałej obecności liderów świeckich, na kształt zasugerowany w adhortacji Franciszka „Querida Amazonia", czy też o zespołach parafialnych, które mogą prowadzić lokalną wspólnotę („propozycja: diecezje, które zdobyły doświadczenie w stosowaniu takiego modelu przywództwa, udostępniają ocenę swoich doświadczeń wszystkim diecezjom niemieckim"). Autorzy dokumentu postulują ponadto umożliwienie posługi kaznodziejskiej świeckim o kwalifikacjach teologicznych oraz aktywną promocję takich rozwiązań przez biskupów. W zarządzaniu Kościołem lokalnym oraz edukacją katolicką zalecają m.in. wprowadzenie przez diecezje środków mających na celu systematyczne włączanie kobiet w formację kapłanów, zwiększenie zatrudnienia kobiet na stanowiskach kierowniczych w instytucjach diecezjalnych czy też wsparcie naukowej ścieżki rozwoju teolożek.

Dotychczas, zgodnie z planem, dwie z czterech komisji przedstawiły publicznie wyniki swojej pracy. Oprócz „kobiecej" – komisja „Życie w udanych związkach – przeżywanie miłości w seksualności i partnerstwie". Przygotowany przez nią dokument jest znacznie bardziej lakoniczny, próżno w nim również szukać konkretnych rozwiązań i postulatów. Wyznacza raczej kierunek, a i to nie bez kontrowersji: na jedenaście przedstawionych tez sześć podanych jest w dwóch alternatywnych formach.

To, wobec czego zdają się być zgodni autorzy tekstu, to pozytywne wartościowanie ludzkiej seksualności, zauważenie i przyjęcie z szacunkiem realnych, a często skomplikowanych sytuacji życiowych oraz konieczność traktowania każdej z nich z indywidualnym rozeznawaniem i dążeniem do włączenia do wspólnoty Kościoła. Przed przepisami priorytet mają mieć wartości, które są cechą rozpoznawczą związków budowanych przez uczniów i uczennice Chrystusa: wierność, trwałość i wyłączność.

Deficyt pokory

Przyglądając się Drodze Synodalnej z bliska, mam duży szacunek do pracy wszystkich osób, które przygotowały to przedsięwzięcie i walczą o to, by było przestrzenią rzeczywistego dialogu. Zdumiewa mnie łatwość, z jaką Droga jest krytykowana lub relacjonowana z podejrzliwością w Polsce. Przecież wobec kryzysu, którego sygnały w tym roku szczególnie zaczęły przebijać się do powszechnej świadomości w naszym kraju, podniosły się głosy o konieczności strukturalnych zmian w zarządzaniu także Kościołem w Polsce.

Formy dialogu i dekonstrukcji szkodliwego systemu władzy w Kościele mogą być różne i prawdopodobnie powinny być dostosowane do specyfiki każdego regionu. Warto jednak z większą pokorą spojrzeć na przykład niemiecki, choćby po to, żeby zrozumieć, że również nas czeka tytaniczna praca.

© ZUZANNA FLISOWSKA-CARIDI

AUTORKA *jest absolwentką teologii w Collegium Bobolanum oraz historii sztuki na UW. Współzałożycielka Fundacji Tekla. Pracuje w Rzymie dla organizacji Voices of Faith działającej na rzecz obecności kobiet na stanowiskach decyzyjnych w Kościele i z jej ramienia uczestniczy w Drodze Synodalnej.*

WOJCIECH

Bonowicz:
Z dołu do góry

Ktoś włożył nasze osiedle do pudełka, a w przestrzeń między domami napchał waty. Kiedy nakrył pudełko wieczkiem, zrobiło się naprawdę ciemno. Świecimy, ale trochę bezradnie, światło dociera nie dalej niż wyciągnięta ręka.

Lecz właśnie o ręce chciałbym napisać. Bo jest koniec jednego roku, początek drugiego, przejście niby bez znaczenia, a jednak – zawsze jakoś znaczące. To naturalne, że chcemy, aby nowy był lepszy niż stary. Chcemy, żeby to, co przyszło w tym, poszło sobie w tamtym: żeby nasi bliscy nie cierpieli i żebyśmy mogli ich widywać bez lęku. Rzadko jednak życzymy sobie, żebyśmy to my byli „nowi". Kolejny rok będzie po prostu rokiem, jedyną nowością możemy być my sami. Lat ani wyzwań nam nie ubędzie, ale możemy spróbować pozbyć się z siebie tego, co nas uwiera, krępuje, powstrzymuje. Może zawsze żyliśmy w zamknięciu, nawet wtedy, kiedy biegaliśmy na kolejne spotkania? Kiedy wydawało się nam, że jesteśmy zajęci, jesteśmy w nurcie życia, nic nam nie umyka – może także wtedy życie przepływało obok?

„Problem w tym, że ludzie boją się być dobrymi", zauważył kiedyś Tischner. Nie pamiętam, w jakich okolicznościach to powiedział ani jakie konkretnie doświadczenia miał na myśli. Sądzę jednak, że te słowa każdy z nas może wziąć do siebie. Bo jak jest ze mną? Jak jest z tym dobrem, które beze mnie na tym świecie się nie pojawi? Dobro chodzi różnymi drogami i trzeba poszukać własnej. Nie szkodzi, że będzie w tym odrobina egoizmu: mierzymy świat według siebie, ważne, żeby nie tylko dla siebie go zagarniać. Nie uratujemy wszystkich żuków, które wiatr przewrócił na grzbiet i które machają bezradnie odnóżami, nie mogąc się odwrócić. Byłoby jednak czymś dziwnym, gdybyśmy nie próbowali pomóc przynajmniej niektórym. Zresztą świat – tak jak go doświadczamy – to nie nieskończone plaże pełne cierpiących żuków, ale konkretny skrawek ziemi i konkretne istnienia, wobec których musimy się określić: bierzemy za nie odpowiedzialność czy nie? „Zdarza się, że jeden pchnięty kamyczek rodzi lawinę z dołu do góry", napisał kiedyś Lec.

Może boimy się być dobrymi, bo dobro – takie rozdawane bezinteresownie – wydaje się nam czymś absurdalnym. Właśnie jak z tymi żukami u Gombrowicza. I wtedy co? Wtedy mówimy, że należy skupić się na sobie, nie rozpraszać energii: jeśli ja będę szczęśliwy, inni wokół mnie także to odczują. To ładne hasło, nawet jakoś słuszne, tyle że może stać się alibi dla bezczynności. Ale może być i tak, że boimy się być dobrymi, bo dobro nas „wciągnie". Zrobimy coś małego, a ono będzie prosić o jeszcze. Lepiej już niech ten kamyczek leży, gdzie leżał. Jak pchniemy, nie wiadomo, dokąd nas to zaprowadzi.

Wyciągnięta ręka jest właśnie jak ten kamyczek. Za dużo lawin spadało już z góry na dół, czas, by sytuacja się odwróciła. Na moim osiedlu skrzyknęła się grupa ludzi, moich przyjaciół, którzy gotują obiady dla starszych, rozdają jedzenie bezdomnym, przygotowują prezenty dla tych, których rzadko ktoś odwiedza. Pomoc dociera do kilkudziesięciu osób. Ci moi przyjaciele robią to od kilku miesięcy, dzień w dzień, stopniowo gromadząc wokół siebie coraz więcej wolontariuszy. Wyobraźmy sobie, że by nie było tego pierwszego kamyczka. Co nas czeka w przyszłym roku, pytamy. A powinniśmy pytać: co my możemy „pchnąć" w nas samych, żeby uruchomić kolejne lawiny?

Mgła i poza mgłą nic nie widać. Tylko te światła pojedyncze, czuwające, od których nawet w zimny wieczór robi się jakoś cieplej. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

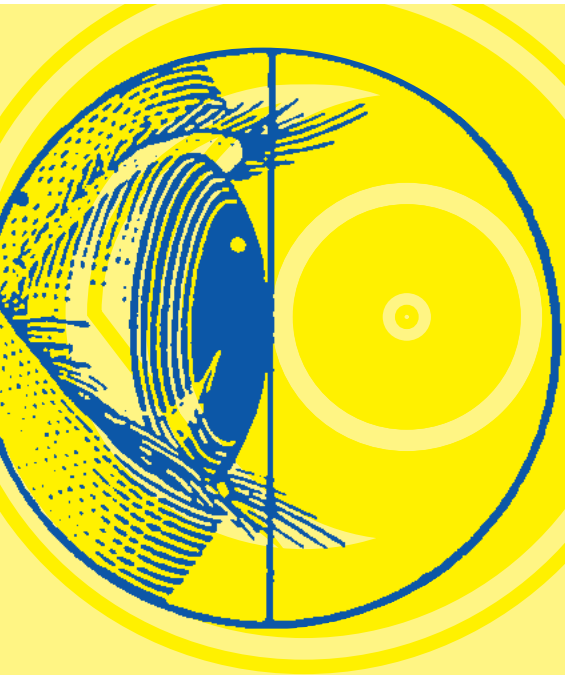

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących!

Już ponad 1200 osób z orzeczeniem niepełnosprawności z tytułu wzroku czyta regularnie „Tygodnik"!

Bezpłatną lekturę „Tygodnika Powszechnego" umożliwia im rejestracja w internetowym kiosku Stowarzyszenia „De Facto".

Serdecznie prosimy Państwa o przekazanie tej informacji bliskim, przyjaciołom lub sąsiadom, którzy mogą być zainteresowani czytaniem naszego pisma w takiej formie.

Więcej informacji na powszech.net/dostepny

DE STOWARZYSZENIE FACTO

TYGODNIK POWSZECHNY

KONIEC PANDEMII, KONIEC ERY MERKEL

Wśród Niemców powszechne jest oczekiwanie, że w ostatnim roku swojego urzędowania kanclerz wyciągnie kraj z pandemicznego kryzysu.

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA

INA FASSBENDER / AFP / EAST NEWS

ŁUKASZ GRAJEWSKI

Jana Lüpke w kawiarni Ocka, której jest współwłaścicielką. Lipsk, 11 grudnia 2020 r.

Obok: kino samochodowe to jedna z niewielu rozrywek dostępnych w czasie pandemii. Miasto Marl w landzie Nadrenia Północna-Westfalia, 6 kwietnia 2020 r.

Jana Lüpke od trzech lat prowadzi w Lipsku na wschodzie Niemiec kawiarnię Ocka. Na początku roku 2020 wraz z trójką znajomych, z którymi zakładała ten lokal, planowała ambitnie rozwój działalności.

– W okresie letnim, gdy przychodzi do nas mniej klientów, chcieliśmy ruszyć z mobilną kawiarnią i objechać festiwale muzyczne – wspomina dziś Jana. Jednak żadne festiwale się nie odbyły, a od listopada kawiarnia pozostaje zamknięta. Przed świętami Bożego Narodzenia władze po raz drugi w czasie pandemii wprowadziły twardy lockdown.

Wraz z zespołem Jana regularnie spotyka się w pustej kawiarni. Mają teraz dużo czasu na rozmowy. Nie poddają się rozgoryczeniu. Dalej omawiają plany na przyszłość. Ostatnio obliczali, jak szybko w 2021 r. może przebiegać w Niemczech szczepienie. Wyszło im, że jeśli co tydzień szczepionych będzie po kilkaset tysięcy ludzi, proces może trwać latami. – Dlatego jeśli coś planujemy na rok 2021, to dopiero od miesięcy letnich. Obojętne, na jakim etapie będzie wtedy zwalczanie covida, powinni nam pozwolić na wznowienie działalności, przynajmniej na zewnątrz – mówi Jana.

Perspektywa, że Ocka będzie mogła otworzyć na podwórku ogródek, to również konsekwencja epidemii. Wcześniej władze dzielnicy nie chciały na to zezwolić, ze względu na znajdujący się w pobliżu plac zabaw. – Po wybuchu pandemii władze zaczęły się bardziej interesować małymi lokalnymi biznesami. I obiecały pomóc nam w otwarciu ogródka – wyjaśnia Jana.

Do lata wciąż jest dużo czasu. Na razie Jana i jej zespół nie pracują. – Podczas pierwszej fali epidemii nagle okazało się, że mam bardzo dużo wolnego czasu. Przeczytałam mnóstwo książek, często jeździłam nad jezioro, zapisałam się też na studia, które obecnie pochłaniają dużo mojego czasu – dziewczyna nie kryje, że czas wolny „tymczasowego bezrobocia" chce spędzać produktywnie.

Na czas pierwszego lockdownu, wiosną 2020 r., Ocka otrzymała publiczną pomoc finansową, która pozwoliła pokryć stałe koszty, zwłaszcza czynsz. W tamtym okresie zespół skorzystał też z ułatwionych procedur dotyczących zasiłku dla bezrobotnych. Potem, w okresie letnim i jesiennym, kawiarnia wznowiła działalność. – Gdzieś tam latem myśleliśmy nawet, że najgorsze już za nami – wspomina Jana.

Jednak podczas jesiennej fali Saksonia – land, w którym leży Lipsk – stała się jednym z większych ognisk infekcji na mapie Niemiec. Zespół kawiarni znów wnioskował o wsparcie, podobnie jak zdecydowana większość ze 190 tys. przedsiębiorstw gastronomicznych, które odpowiadają w Niemczech za 1,8 mln miejsc pracy. W miesiącach jesiennych i zimowych na ich konto wpływa 75 proc. średniego miesięcznego obrotu z 2019 r. Programy pomocowe, na które władze federalne i landowe przeznaczyły już setki miliardów euro, powodują, że tutejsi przedsiębiorcy, którzy wstrzymali działalność, a także pracownicy na „postojowym" wciąż dostają pieniądze i mogą w miarę spokojnie czekać na poprawę sytuacji.

Mimo wszystko perspektywa wydłużenia lockdownu na rok 2021 to dla małych biznesów ciągła gra nerwów. W pierwszych miesiącach pandemii Jana Lüpke w pełni wspierała decyzje polityków. Dziś coraz częściej ma wątpliwości. – Zadaję sobie pytanie, dlaczego kawiarnie i teatry od razu zamknięto, a sklepy mogły długo pozostać otwarte? – podaje przykład.

Jana dodaje, że w Niemczech trudno jest krytykować rządowe obostrzenia, nie narażając się na przypięcie łatki radykała. Ale faktem jest, że nieudany eksperyment, jakim był trwający od listopada do połowy grudnia *lockdown light*, podkopał społeczne morale. Połowiczne zamknięcie, które umożliwiało dalszą działalność sklepom i szkołom, zamiast do opanowania sytuacji doprowadziło do rekordów dobowych infekcji i zgonów. Przed świętami politycy ratowali się więc wprowadzeniem radykalnych restrykcji.

Obecny, znów ostry lockdown potrwa w Niemczech przynajmniej do niedzieli 10 stycznia. Jednak Jana spodziewa się jego wydłużenia. – Denerwuje mnie, że ↦

↦ decyzje zapadają na ostatni moment. Nawet wznowienie naszej niewielkiej działalności wymaga przygotowań i złożenia zamówień u dostawców. Jesteśmy w stanie ciągłej niepewności – żali się Jana. – Podejrzewam, że restauracje i kawiarnie zostaną otwarte jako ostatnie...

Dopóki płyną środki z programów pomocowych, Jana nie myśli o zamknięciu Ocki. Kawiarnię ratuje niewielka skala prowadzonej działalności i brak stałych pracowników, prócz czwórki właścicieli. Inni, więksi, mają gorzej: w Niemczech pandemia doprowadziła już do bankructwa dużych sieci lokali gastronomicznych.

Podjęte wiosną studia, na kierunku praca socjalna, to dla Jany raczej zabezpieczenie na dalszą przyszłość, a nie przygotowanie na ewentualny czarny covidowy scenariusz. – Mam 29 lat i nie wiem, czy mając 40 lat nadal będę chciała prowadzić kawiarnię, a lubię pracę z ludźmi – tłumaczy.

Wśród życzeń Jany na rok 2021 na pierwszym miejscu jest oczywiście przezwyciężenie pandemii. Martwi ją, że przedłużający się kryzys prowadzi do radykalizacji społeczeństwa. Nie godząc się na kolejne miesiące obostrzeń, część Niemców podchwytuje teorie spiskowe i wychodzi na ulice, domagając się zniesienia wszelkich restrykcji.

W wyborach do Bundestagu, planowanych na wrzesień 2021 r., Jana zagłosuje, jak mówi, na „mniejsze zło" – w jej przypadku to głos na Partię Lewicy.

Czy będzie tęsknić za kanclerz Angelą Merkel, która po 15 latach rządów odejdzie na emeryturę właśnie jesienią 2021 r.? – Ona nie jest zła. Patrząc na jej potencjalnych następców, jeszcze będziemy ją dobrze wspominać – przyznaje Jana Lüpke.

Angela Merkel cieszy się zaufaniem nawet wśród tych, którzy nigdy nie głosują na jej obóz polityczny, takich jak Jana. Dlatego można powiedzieć, że zdecydowana większość społeczeństwa Niemiec oczekuje, że w ostatnim roku swojej służby kanclerz wyciągnie jeszcze kraj z pandemicznego kryzysu.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI

Pod szczęśliwą gwiazdą

PATRYCJA BUKALSKA

Rok 2021 może być dla Wielkiej Brytanii brzemienny w wydarzenia. Brexit i pandemia to tylko początek długiej listy.

Dom z fotografii to stary młyn nad rzeką Thurso w Caithness, w północnej Szkocji. Scena wygląda magicznie: rzeczne fale przypominają kłęby dymu, niebo rozświetla zieleń zorzy polarnej, a nad wszystkim unoszą się niezliczone gwiazdy. Autorem jest brytyjski fotograf Ollie Taylor, specjalizujący się w nocnych obrazach. Jego prace ukazywały się w mediach na całym świecie.

Zdjęcie młyna w Caithness, które w listopadzie 2020 r. Taylor opublikował na Twitterze, spodobało się nie tylko miłośnikom nocnego nieba. Przyciągnęło też uwagę Iana Blackforda, jednego z liderów Szkockiej Partii Narodowej (SNP). Choć nie z powodów artystycznych.

Niebo nad Szkocją

Blackford zaatakował Taylora, zarzucając mu, że złamał obowiązujące w pandemii restrykcje dotyczące podróży i przyjechał do Szkocji z Anglii, by fotografować.

Jednak polityk najwyraźniej nie dość dokładnie śledził losy fotografa. Ten już wcześniej opisał w mediach społecznościowych, jak to epidemia skomplikowała mu życie, uniemożliwiając m.in. zaplanowany wyjazd do Islandii. W tej sytuacji postanowił przeprowadzić się na północ i tu pracować nad albumem o Szkocji i jej nocnym niebie. Gdy robił spektakularne zdjęcie zorzy polarnej nad starym młynem, przebywał zaledwie pięć mil od swojego nowego domu – właśnie w Caithness.

Nieprzyjemne nieporozumienie koniec końców przysporzyło Taylorowi w Szkocji nowych fanów: przepraszali artystę na Facebooku i zapewniali, że Szkoci to naród gościnny i przyjazny. Na swój sposób to jednak sytuacja symptomatyczna. Bo podobne spięcia zdarzają się ostatnio wcale często, a przybysze nie zawsze są na północy mile widziani. Powodem jest oczywiście pandemia i lęk przed wzrostem zakażeń w odludnych częściach kraju, gdzie do lekarza trzeba nieraz jechać kilkadziesiąt kilometrów.

Swoje dokłada też polityka: narastające napięcie na linii Edynburg–Londyn.

Rozedrgane Królestwo

Każdy z czterech krajów Zjednoczonego Królestwa może decydować o restrykcjach, w tym o podróżach i kwarantannie. Pandemia, z którą szefowa szkockiego rządu autonomicznego Nicola Sturgeon radzi sobie lepiej niż brytyjski premier Boris Johnson, sprawia więc, że łatwiej jest dziś podkreślać odrębność Szkocji. Sturgeon nie omieszka co i rusz przypominać, że granica między Anglią a Szkocją, choć w terenie niewidoczna, jednak istnieje.

Ian Blackford szybko przeprosił Olliego Taylora, tłumacząc się, że wyborcy z jego okręgu w szkockich Highlands (regionie odludnym i górzystym) boją się, iż łamanie zakazu podróży niesie ryzyko. Nie uchroniło go to od zarzutu, że nakręca antyangielskie nastroje.

Tymczasem w 2021 r. napięć szkocko-angielskich będzie raczej więcej niż mniej. W maju w Szkocji odbędą się wybory parlamentarne. Jeśli SNP wygra je z dużą przewagą – a na to wskazują wszystkie sondaże – Szkoci zażądają kolejnego referendum w sprawie niepodległości. Poparcie dla niej od miesięcy rośnie i stale przekracza 50 proc. Sprawa jest więc poważna i nawet rząd w Londynie jest już świadomy, że odmawianie Szkotom prawa do nowego głosowania nie rozwiązuje problemu.

Co mogłoby złagodzić napięcia wewnątrz Zjednoczonego Królestwa? Być może przyjęcie bardziej federalnego systemu. Do tego jednak trzeba dalekowzroczności i woli brytyjskich polityków. A ponieważ tych brakuje, nie można wykluczyć, że na Wyspach narastać będą zgoła inne nastroje, nacjonalistyczne, za które odpowiedzialny jest inny z tutejszych problemów – brexit.

Bez pracy i pieniędzy

Od początku 2021 r. Wielka Brytania już nie tylko formalnie, ale też praktycznie znajdzie się poza Unią Europejską. Gdy w połowie grudnia kończyłam ten tekst,

OLLIE TAYLOR

WIKTOR SZYMANOWICZ / AFP / EAST NEWS

Kreatywna demonstracja pod hasłem „Jak przetrwać na ulicy", mająca pokazać trudną sytuację artystów w czasie pandemii. Londyn, 8 października 2020 r.

Młyn w Caithness nad rzeką Thurso, zdjęcie Olliego Taylora

nie było jeszcze wiadomo, czy ostatecznemu rozwodowi – po zakończeniu 31 grudnia 2020 r. okresu przejściowego – towarzyszyć będzie umowa regulująca na nowo relacje między Londynem a kontynentem.

Z umową lub bez, brexit to dla brytyjskiej gospodarki wyzwanie. Przynajmniej na początku. Pandemia sprawia, że w nową epokę Brytania wchodzi osłabiona. Bezrobocie w ostatnich miesiącach wzrosło i będzie rosnąć – według rządu liczba bezrobotnych może sięgnąć 2,6 mln (7,5 proc.). Obecnie bez pracy jest 1,6 mln Brytyjczyków. A co z tymi, którzy z powodu pandemii zostali „urlopowani", czyli objęci programem pomocy dla przedsiębiorców, w ramach którego rząd płaci 80 proc. pensji „zawieszonego" pracownika? Program miał skończyć się w październiku, został przedłużony do marca 2021 r., ale nie będzie trwać wiecznie. Nie wiadomo, czy „urlopowani" będą mieli do czego wracać.

Rok 2020 był ciężki także dla Olliego Taylora. Jak wielu małych przedsiębiorców, freelancerów i artystów pracujących na własny rachunek, przepadł on w sicie państwowej pomocy. – Rząd zignorował trzy miliony ludzi takich jak ja. Nie otrzymaliśmy żadnego wsparcia, choć musieliśmy przestać pracować – opowiada fotograf „Tygodnikowi".

– Nie mogłem zarabiać, bo w mojej pracy muszę podróżować. Moi przyjaciele sprzedawali auta i domy, ja też musiałem sprzedać wiele z mojego sprzętu fotograficznego, żeby przeżyć – mówi artysta. – Rząd ma dla nas radę: przekwalifikujcie się, znajdźcie inną pracę. Przez ponad 10 lat budowałem moją firmę. Mam się teraz poddać?

Taylor ma drugi zawód, z wykształcenia jest architektem. Ale dla architektów też pracy nie ma.

Wyżywić Wyspy

Przez pandemię zwiększyła się liczba brytyjskich rodzin dotkniętych ubóstwem. Według niektórych szacunków nawet dwukrotnie. To oznacza, że 2 mln rodzin może nie mieć dość pieniędzy, by kupić żywność czy ogrzać mieszkanie. Między kwietniem a czerwcem 2020 r. aż 100 tys. osób było zmuszonych po raz pierwszy skorzystać z banku żywności. Od tego czasu zapotrzebowanie na taką formę pomocy się zwiększyło.

Tymczasem z powodu brexitu ceny żywności w sklepach zapewne wzrosną – jeśli uda się podpisać umowę handlową, wtedy tylko trochę (produkty importowane z Unii średnio o 4,7 proc., według London School of Economics), ale jeśli nie uda się porozumieć z Brukselą, wówczas znacznie (o 12,5 proc.).

Epidemia wepchnęła tysiące ludzi w ubóstwo żywnościowe, brexit może ich sytuację pogorszyć. Obawy budzi też ciągłość dostaw żywności importowanej z Unii, w tym warzyw. Szczególnie na początku należy spodziewać się opóźnień i utrudnień.

Może to takie prognozy, a może również potrzeba oderwania się od przygnębiającej codzienności zwiększyły zainteresowanie Brytyjczyków komunalnymi ogródkami działkowymi. Przeciętny czas oczekiwania na przyznanie ogródka zwiększył się do 18 miesięcy, a listy oczekujących w niektórych regionach liczą po kilkaset osób.

Obecnie w Anglii jest 330 tys. ogródków działkowych, w większości zarządzanych przez władze samorządowe. Ale mogłoby być ich więcej. Już latem apelowano, by grunty pod uprawy udostępniły ministerstwo obrony i Kościół anglikański. W końcu podczas II wojny światowej, gdy w ramach akcji „Kop dla zwycięstwa!" rząd propagował własne uprawy, aż jedna piąta warzyw i owoców pochodziła z przydomowych ogrodów i działek (w latach 2017-18 było to tylko 3 proc.).

Na Nowy Rok

Kalendarz Olliego Taylora na rok 2021 wypełniają fotograficzne wyjazdy i warsztaty, które chciałby prowadzić w całej Europie: na Wyspach Kanaryjskich, w Grecji, Islandii. Wygląda to optymistycznie. Ale czy będzie możliwe? – Musiałem je zaplanować, bo musiałem przesunąć moich klientów z roku 2020 na kolejny – tłumaczy fotograf.

Jednak nikt dziś nie wie, czy i kiedy podróże będą znów możliwe. Tym bardziej że w czasie pandemii wjazd do Unii dla obywateli państw trzecich (czyli po 1 stycznia także obywateli Wielkiej Brytanii) może być utrudniony.

Taylor planuje zostać w Szkocji na dłużej. – Może uda im się uzyskać niepodległość i ponownie dołączyć do Unii? – zastanawia się, bo brexit bardzo go martwi. A poza tym, jak mówi: – Caithness i sąsiednie Sutherland bez wątpienia mają najciemniejsze niebo w Wielkiej Brytanii.

W takich miejscach najlepiej widać gwiazdy. Również te szczęśliwe. ©℗

ARCHIWUM PRYWATNE

SERGEI GAPON / AFP / EAST NEWS

Iwan ma już za sobą trzy aresztowania

Obok: uczestniczka protestów trzyma zdjęcie mężczyzny, który został ranny w czasie demonstracji w Mińsku 15 sierpnia 2020 r.

Rewolucja zwyciężyła w naszych głowach

AGNIESZKA ZIELIŃSKA, MAŁGORZATA PROCHAL

Na Białorusi nic już nie będzie takie samo. Protesty trwają tutaj non stop od prawie pięciu miesięcy, a Iwan uczestniczy w nich, kiedy tylko może.

Czasem wyobrażaliśmy sobie, że drzwi aresztu otwierają się, strażnik patrzy na nas i mówi: „Możecie iść. Wygraliście" – tak 31-letni Iwan z Mińska wspomina swoją trzecią odsiadkę.

W celi dla ośmiu osób było 24 mężczyzn, złapanych podczas protestu lub przypadkiem, w drodze do sklepu. Młodzi spali skuleni na podłodze, starsi na kawałku gołej pryczy. – Nikt się nad sobą nie litował. My byliśmy za kratkami, a dzięki temu ktoś mógł pozostać na wolności – mówi mężczyzna.

Zatrzymali go 8 listopada 2020 r. Była niedziela, dzień największych protestów. Iwan i jego matka Elena szli w kierunku pomnika Miasta-Bohatera, gdy otoczyli ich OMON-owcy. Elenę puścili, choć błagała, żeby zabrali ją wraz z synem. Iwan martwił się, jak mama zniesie jego kolejny areszt. Wiedział jednak, że jest silna. Jak tysiące innych Białorusinek, które stały się twarzą tej rewolucji, rozpoczętej 9 sierpnia 2020 r., po sfałszowanych przez Alaksandra Łukaszenkę wyborach prezydenckich. Iwan słyszał śmiech więźniarek w sąsiedniej celi. – Nie dały się złamać – mówi nam dzisiaj.

On też złamać się nie dał. Podczas rewizji, przy wejściu do ciasnego, cuchnącego stęchlizną pomieszczenia, leżała na ziemi biało-czerwono-biała flaga, symbol protestów. Strażnicy oczekiwali, że każdy zatrzymany przejdzie po niej jak po wycieraczce. Iwan nie dał im tej satysfakcji. Wtedy jeden dryblas wezwał na pomoc czterech. Kopali go. Raz za razem.

Gdyby Iwan prowadził kronikę swoich zatrzymań, odnotowałby: 4 sierpnia – 10 dni aresztu. 20 września – 2 dni aresztu. 8 listopada – 13 dni aresztu.

Dwie minuty wystarczą, by przesądzić o winie. Spreparowane dowody, brak adwokata i świadków: tak wygląda codzienność białoruskich sądów, które za udział w protestach karzą masowo. – Nikt cię nie słucha, jesteś winny i tyle. Dostajesz karę pieniężną lub lądujesz za kratkami – tłumaczy Iwan.

Mówi, że pierwsze trzy dni w celi to dni nadziei, że wszystko skończy się na grzywnie. Kolejne to czas na poznanie się i rozmowy (np. o skuteczności pokojowych protestów). A ostatnie to planowanie powrotu. Iwan: – Gdy areszty są przepełnione, wywożą zatrzymanych nawet 200 km od domu. Bez pieniędzy czy telefonu. Z pomocą przychodzą wolontariusze, którzy organizują potem transport do domu.

Od tamtego 9 sierpnia właściwie każda kartka z kalendarza to kolejni zatrzymani. Protesty na Białorusi trwają non stop już od prawie pięciu miesięcy. Według portalu Tut.by do początku grudnia zatrzymano łącznie 26 tys. osób. Jedną z ostatnich ofiar jest aktywista Raman Bandarenka, współautor słynnego muralu na placu Przemian. – Myślałem, że jego śmierć przeleje czarę goryczy, ale Białorusini nie chcą odpowiadać przemocą na przemoc – mówi Iwan.

O śmiertelnym pobiciu Bandarenki przeczytali w celi, w gazecie „Nowy Czas", ukrytej w paczce, którą jeden z więźniów dostał od rodziny (gdyby milicjanci nie zabrali im telefonu, dobrym źródłem byłby Telegram: najpopularniejszy komunikator w czasach protestów). W celi słyszeli tylko wiadomości reżimowego radia. – Wątpię, czy ktoś jeszcze w tę propagandę wierzy – mówi 31-latek.

Przemoc na ulicach, pogarszająca się sytuacja ekonomiczna, lekceważenie pandemii – lista wstydu Łukaszenki się wydłuża.

Iwan: – Kolejny miesiąc protestujemy... Są aresztowania, potem wychodzimy na wolność i historia zatacza koło. Wielu wydaje się, że to nie ma sensu. Ale to nieprawda. Ta rewolucja zwyciężyła w naszych głowach. Bo nic już nie będzie takie samo. ©

Wyzerowane nadzieje

ANNA ŁABUSZEWSKA

Prezydent Rosji przesiedział rok 2020 w bunkrze, z obawy przed złapaniem koronawirusa. Nic nie wskazuje, aby w tym względzie coś się szybko zmieniło.

Z bunkra lub bunkrów, umiejscowionych w odizolowanych od świata zewnętrznego rezydencjach, Władimir Putin zawiaduje *online* kryzysem pandemicznym, politycznym i gospodarczym.

Pierwsza połowa roku 2020 była poświęcona operacji „wieczność", czyli zapewnieniu możliwości pozostania Putina na Kremlu po zakończeniu obecnej kadencji (w 2024 r.) jeszcze przez dwie kolejne kadencje, aż do 2036 r. Kieszonkowy parlament, który w Rosji od dawna nie jest miejscem do dyskusji, przegłosował wszystkie niezbędne akty prawne towarzyszące nowelizacji konstytucji. Przede wszystkim: wyzerowanie dotychczasowych kadencji prezydenckich. Wybrane rozwiązanie jest domknięciem autorytaryzmu formującego się pod rządami Putina.

Rosja coraz bardziej się zamyka w sobie. Kreml znalazł się w izolacji po aneksji Krymu i agresji na Donbas w 2014 r., a przez minionych sześć lat Moskwie nie udało się przełamać negatywnych trendów w stosunkach z Zachodem. Tendencje te nasiliły się jeszcze w 2020 r. po próbie otrucia Aleksieja Nawalnego nowiczokiem (substancją, do której dostęp mają tylko służby specjalne, a decyzja o jej użyciu musi pochodzić z wysokiego szczebla władz). Wyeliminowanie tego najważniejszego rosyjskiego opozycjonisty miało zapewne uniemożliwić sformowanie realnej siły politycznej zdolnej do odegrania samodzielnej roli w wyborach do Dumy w 2021 r. Na scenie politycznej nie ma bowiem miejsca dla ludzi spoza systemu, którzy mogliby zostać przypadkiem wybrani wolą niezadowolonego z władzy ludu.

Rosja nerwowo spogląda na ceny ropy i gazu na światowych giełdach, które spadły w czasie pandemii. Mimo haseł o zdynamizowaniu i dywersyfikacji rosyjska gospodarka nie zmienia swego surowcowego charakteru – dochody ze sprzedaży ropy są nadal fundamentem budżetu. Rośnie natomiast aktywność Rosji w światowej cyberwojnie: co rusz wychodzą na jaw próby (czasem udane) włamań na ważne wrażliwe serwery, o których autorstwo podejrzewa się rosyjskie służby specjalne.

Bunkier Putina stał się symbolem systemu politycznego, zastygłego w strachu o własny los. Pandemia jeszcze te obawy podsyciła. Władze lawirują, to zaostrzając, to łagodząc reżim sanitarny i obiecując pomoc państwa dla poszkodowanych.

Pandemia bezlitośnie obnażyła też stan służby zdrowia. Kolejna jej fala zbiera śmiertelne żniwo i pogarsza nastroje. Rosyjskie społeczeństwo wkracza w rok 2021 niezadowolone ze spadku poziomu życia i niemrawej reakcji władz na pojawiające się wyzwania.

Jednak poza nielicznymi lokalnymi wyjątkami (jak Chabarowsk, który od lipca 2020 r. nieprzerwanie protestuje w obronie aresztowanego gubernatora i przeciw „wiecznemu" Putinowi) chęci do wielkiego buntu nie widać. Inercja, obawa przed utratą skromnego stanu posiadania, brak widocznej alternatywy wobec władzy siedzącego już od 20 lat na tronie autokraty robią swoje. Socjolodzy oceniają, że trzeba by potężnego wstrząsu, aby zatomizowane i śpiące społeczeństwo zmotywować do przeciwstawienia się władzy.

Jakieś światełko w tunelu? Przemawiający z bunkra prezydent zapewnia o skutecznej akcji szczepień, którą rozpoczęto już w pierwszej połowie grudnia. Szczepionka Sputnik V – i dwie kolejne zapowiadane przez Putina rosyjskie szczepionki, nad którymi trwają prace – ma być lekiem na całe zło. ©

Tymczasowy szpital dla chorych na COVID-19 w hali dawnego lodowiska. Moskwa, 13 listopada 2020 r.

MAXIM SHEMETOV / REUTERS / FORUM

Mocarstwo bez przyjaciół

PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

Coraz częściej Chiny są postrzegane jako zagrożenie już nie tylko gospodarcze, ale również dla ładu światowego i wartości uznawanych za uniwersalne.

Sześćset milionów wycieczek po kraju odbyli chińscy turyści na początku października 2020 r., w czasie dni wolnych od pracy z okazji kolejnej rocznicy powstania Chińskiej Republiki Ludowej. Plebiscyt najpopularniejszych atrakcji do odwiedzenia wygrała Wieża Żółtego Żurawia z Wuhan – miasta, gdzie zaczęła się epidemia koronawirusa. Wysoko plasują się też miejscowości związane z początkami ruchu komunistycznego pod wodzą Mao Tse-tunga. Popularność tych lokalizacji, promowanych przez władze, nabiera dziś dodatkowego znaczenia.

Pomijając drakońskie metody, Chiny uporały się bowiem z wirusem dużo lepiej niż Zachód, podobnie jak z tąpnięciem gospodarczym na początku 2020 r. Sukcesy te prezentuje się oficjalnie jako dowód wyższości chińskiego modelu komunizmu, którego ojcowie założyciele musieli na początku swej drogi zmagać się z wieloma przeciwnościami losu. Taka wytrwałość jest dziś – zdaniem władz – znowu Chińczykom potrzebna, ponieważ za granicą wielu źle życzy ojczyźnie. Przewodniczący Xi Jinping strategię na nowe czasy określa jako „podwójny obieg", co oznaczać ma wykorzystanie głównie zasobów wewnętrznych do rozwoju kraju i uniezależnienie się od koniunktury międzynarodowej.

Tak się bowiem składa, że kraj, który chciałby być wzorem dla innych, ma zaskakująco niewielu przyjaciół. Wskaźniki sympatii dla Chin są dziś rekordowo niskie niemal na całym Zachodzie. Trudno mówić też o kordialnych relacjach Pekinu z większością azjatyckich sąsiadów.

Chińscy dziennikarze, uczestnicy zorganizowanej przez rząd wycieczki, pod Wieżą Żółtego Żurawia w Wuhan – mieście, gdzie zaczęła się epidemia koronawirusa. 3 września 2020 r.

ALY SONG / REUTERS / FORUM

Masą krytyczną, zmieniającą postrzeganie Państwa Środka, stała się wojna handlowa narzucona temu krajowi przez USA, która wymusiła pozycjonowanie się innych państw po jednej ze stron konfliktu. Równocześnie kumulacji uległo dużo czynników, które utrwaliły skazę na wizerunku Chin: ich panoszenie się po Morzu Południowochińskim, groźby wobec Tajwanu, brutalne traktowanie ludności islamskiej Sinciangu, duszenie autonomii Hongkongu, ukrywanie epidemii i brudne praktyki biznesowe. Coraz częściej Chiny są postrzegane jako zagrożenie już nie tylko gospodarcze, ale również dla ładu światowego i wartości uznawanych dotąd za uniwersalne.

Czy prezydentura Joego Bidena wprowadzi nową dynamikę do relacji Zachodu z Chinami? Poprawa stosunków USA z Europą umożliwi zapewne lepszą koordynację polityki państw zachodnich wobec Chin. Zmienić się też powinna, na bardziej stonowaną, retoryka amerykańskiej dyplomacji. Warto jednak pamiętać, że to Biden w trakcie kampanii nazwał przewodniczącego Xi „bandytą" (ang. *thug*) i zapowiedział inwestowanie „jak diabli" wewnątrz USA. Również sankcje spowodowane sytuacją w Hongkongu przechodziły przez Kongres w Waszyngtonie niemal jednogłośnie, co dziś jest rzadkie. Z drugiej strony wpływowe środowiska amerykańskiego biznesu wciąż chcą robić interesy z Pekinem i będą teraz lobbować u Bidena za nowym otwarciem we wzajemnych stosunkach.

Na przeszkodzie temu stanąć może „wilcza dyplomacja", coraz częściej stosowana przez Chiny. Boleśnie doświadcza jej akurat Australia: Pekin blokuje import żywności i węgla z tego kraju. Za co ta kara? Za to, że Canberra wycofała się z systemu 5G firmy Huawei, a także zażądała (poprzez WHO) wyjaśnienia początków epidemii i ograniczyła u siebie chińską infiltrację. Tak samo postępują USA czy Wielka Brytania, ale Australia jest słabsza i zależna gospodarczo od Chin.

W ramach spontanicznej akcji konsumenci na świecie kupują dziś „wino wolności" z Australii, obłożone przez Pekin zaporowymi cłami. Na skoordynowaną presję wobec Chin, wykraczającą poza partykularne interesy poszczególnych państw, przyjdzie jeszcze poczekać. ©

ARCHIWUM PRYWATNE

PATRICK SEMANSKY / AP / EAST NEWS

Nauczycielka Jami Jackson-Cole

Obok: spotkanie Joego Bidena, jeszcze kandydata na prezydenta USA, z dziennikarzami i ekspertami od zdrowia publicznego. Wilmington, 1 września 2020 r.

Jami czeka na Bidena

MARTA ZDZIEBORSKA

„Najważniejsze, żebyśmy dostali szczepionkę, i żeby mój mąż był zdrowy" – to marzenie amerykańskiej nauczycielki. Fakt, że w tak trudnych czasach nie będzie już rządził Trump, daje jej nadzieję.

W Oklahomie program szczepień na koronawirusa obejmie nauczycieli dopiero w trzeciej kolejności. Dla Jami Jackson-Cole oznacza to, że jeszcze co najmniej do początku lutego będzie prowadzić lekcje w strachu przed zakażeniem.

Bo nawet gdy w niemal czteromilionowej Oklahomie liczba notowanych codziennie zachorowań przekroczyła 3 tys., władze lokalne nie zezwoliły na szkolne zajęcia *online*. Jami przyjeżdża więc do szkoły i całymi dniami uczy w masce i przyłbicy. Tak samo robi jej mąż Drew, również nauczyciel, który cierpi na białaczkę i ma obniżoną odporność. Aby zmniejszyć ryzyko zakażenia, małżeństwo ograniczyło swoje życie po pracy do minimum. Nie spotykają się ze znajomymi, a zakupy robią tylko przez internet.

– Wolimy nie chodzić do sklepów, bo w Oklahomie sporo ludzi nie nosi masek – tłumaczy 48-letnia Jami. – Wiesz, że niektórzy nie wierzą nawet w koronawirusa? Podobnie zresztą jak w to, że Donald Trump przegrał wybory. Wstyd mi przyznać, ale kilka osób w mojej rodzinie dało się złapać na brednie dotyczące fałszerstw wyborczych. To jest chore! – Jami podnosi głos. Kobieta podkreśla, że nie może doczekać się zaprzysiężenia Joego Bidena na prezydenta, które odbędzie się 20 stycznia 2021 r.

Jami wierzy, że Biden rozprawi się z pandemią i wyciągnie Stany z kryzysu. – Szpitale w Oklahomie jeszcze nigdy nie były tak przepełnione. W połowie listopada bardzo poważnie zachorowałam: wymiotowałam kilkanaście razy dziennie, miałam 40 stopni gorączki, dreszcze i silną migrenę. Było tak źle, że Drew musiał zabrać mnie do szpitala. I co okazało się na miejscu? Że nie podadzą mi kroplówki, bo mam negatywny wynik testu na koronawirusa, a oni prowadzą tylko oddziały dla chorych na COVID-19 – wspomina nauczycielka.

Przyjęto ją dopiero następnego dnia, w ambulatorium przy szpitalu oddalonym o sto kilometrów od ich miejscowości. – Nawet nie wiem, co dokładnie mi było. Lekarz nie wykluczył zakażenia bakterią *Escherichia coli*. Tylko niby kiedy miałabym ją złapać? – zastanawia się Jami. W jej szkole kilku nauczycieli przeszło zakażenie koronawirusem, niektórzy mieli łudząco podobne objawy, co ona.

– Nie mam już sił przychodzić do pracy z myślą, że mogę przynieść to świństwo do domu. Najbardziej boję się o męża. Kilka miesięcy temu zastanawialiśmy się, czy ze względu na białaczkę nie powinien rzucić pracy. – Jami jest zmęczona sytuacją. – Ale Ameryka to chory kraj, pracujesz tu głównie po to, by mieć ubezpieczenie zdrowotne. Gdyby Drew odszedł ze szkoły, za polisę musiałby płacić 1200 dolarów miesięcznie. Nie mamy takich pieniędzy ani tym bardziej nie stać nas na utrzymanie się z jednej nauczycielskiej pensji.

Jami ma już dość tego, że – jak mówi – zawód jej i męża jest niedoceniany: – Wiesz, że nie dają nam dodatkowych funduszy na zakup maseczek i środków dezynfekujących? Za to wszystko płacimy sami. Mam nadzieję, że Biden wybierze rozsądnego kandydata na stanowisko sekretarza edukacji. Powtarzam sobie, że ma dobrą doradczynię, bo jego żona Jill jest nauczycielką i zna nasze problemy – dodaje.

Jami nie ma jednak teraz wobec życia dużych oczekiwań: – Najważniejsze, żebyśmy dostali szczepionkę, i żeby mój mąż był zdrowy. Sam fakt, że w tych trudnych czasach nie będzie już rządził Donald Trump, daje mi nadzieję na przyszłość. ©

MOSTAFA ALKHAROUF / ANADOLU AGENCY / AFP / EAST NEWS

ARCHIWUM PRYWATNE

Dziennikarka Judy Maltz

Obok: protest przeciw premierowi Netanjahu. Jerozolima, 1 listopada 2020 r.

W impasie

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET
Z TEL AWIWU

Judy marzy, żeby szczepionki zakończyły kryzys epidemiczny. I żeby również izraelska polityka stała się choć trochę bardziej normalna.

Także w Izraelu rok 2020 był inny. Trudny, weryfikujący. Dla Judy Maltz – mieszkanki Tel Awiwu i reporterki czołowego izraelskiego dziennika – na liście najważniejszych wydarzeń przoduje oczywiście epidemia. Kraj przeszedł dwie jej fale i szykuje się na trzecią. – Pierwsza partia szczepionek już do nas dotarła, wkrótce zaczną się szczepienia. Wciąż jednak dominuje strach – mówi Judy.

W niespełna dziewięciomilionowym Izraelu na COVID-19 zmarło dotąd 3 tys. ludzi. – Jak na tak mały kraj to duża liczba. Smuci mnie, że te śmierci pozostają niezauważone, jest ich tak wiele, że przechodzimy nad nimi do porządku dziennego – komentuje dziennikarka.

Judy uważa, że pandemia odbiła się na Izraelczykach w niemożliwy do odwrócenia sposób: – Już wprowadzone podczas tych miesięcy restrykcje były trudne, bo dystans społeczny jest dla nas, przyzwyczajonych do robienia wszystkiego razem, wyjątkowo nienaturalny. Tak jak prawie całkowite zamknięcie lotnisk i ograniczenie podróży. Izraelczycy dużo podróżują, dla nas to nie luksus, lecz konieczność wyrwania się na chwilę z kraju, który jest tak intensywny. Nie wiem, co się wydarzy, gdy wszyscy dostaniemy szczepionki. Ruszymy pewnie na masowy exodus.

Judy Maltz nie ma wątpliwości, że dla Izraelczyków kluczowa w 2020 r. była również fala protestów przeciwko premierowi Beniaminowi Netanjahu, która zaczęła się latem i trwa do dziś: – Ich skala wszystkich zaskoczyła. Choć motywacje ludzi, którzy dołączają do protestów, są różne, wszyscy żądają zaprzestania korupcji w izraelskiej polityce oraz jej uspokojenia. I co za tym idzie, dobrej przyszłości dla kraju i dla swoich dzieci.

Dla Judy – Izraelki i Amerykanki jednocześnie – ważnym wydarzeniem roku 2020 były też wybory w USA i przegrana Donalda Trumpa. Izrael, którego bezpieczeństwo bazuje na relacjach ze Stanami, bacznie obserwował przebieg tych wyborów, wiedząc, że przyszły prezydent będzie miał wpływ także na relacje między Izraelczykami a Palestyńczykami.

Judy nie ma złudzeń. Uważa, że rok 2021 nie przyniesie realnej zmiany w tym temacie: – W ostatnich miesiącach Izrael podpisał umowy o normalizacji stosunków z kolejnymi krajami regionu: ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi, Bahrajnem i Sudanem. Byłoby natomiast świetnie, gdyby umowę pokojową podpisał wreszcie ze swoimi najbliższymi sąsiadami, Palestyńczykami. Potrzeba, aby tak się stało, jest pilna. Niestety mamy *status quo*: tym konfliktem się zarządza, a nie rozwiązuje się go. Nie oddziałuje on dziś bezpośrednio na życie Izraelczyków, bo nie ma intifady czy innych ataków, więc nie trzeba się nim zajmować.

– Izrael ma zresztą w tej chwili masę innych wewnętrznych problemów – dodaje Judy. – Dlatego obawiam się, że w 2021 r. nie zobaczymy żadnego posunięcia w tym temacie. Nawet z nową amerykańską administracją, która będzie mieć masę własnych problemów i w pierwszych miesiącach Bliski Wschód raczej nie będzie dla niej priorytetem.

Rok 2020 zmienił kilka spraw w życiu osobistym Judy: ostatnie z jej dzieci wyprowadziło się z domu. – Zmiana jest dla mnie ogromna. Nie mam już dla kogo gotować i robić rano kanapek – uśmiecha się. – Po latach mam nagle tyle czasu do zagospodarowania... Na plus dla mojej pracy, bo właśnie zmieniłam pozycję w mojej gazecie: dotąd zajmowałam się światem żydowskim, teraz zaczynam pracę korespondentki dyplomatycznej.

Życzenia na rok 2021? Judy marzy, aby szczepionki zakończyły kryzys związany z epidemią i żeby można było wrócić do normalnego życia: – Do kin, teatrów, restauracji, odwiedzania rodziny, przytulania się. Do normalnie funkcjonujących biznesów, do stabilnej sytuacji finansowej. Zwłaszcza dla tych, których epidemia pozbawiła pracy. Mam też nadzieję, że uda nam się pokonać ten ogromny impas polityczny, w którym tkwimy od dwóch lat, a który sprawia, że nie mamy normalnie funkcjonującego rządu.

Kraj czekają zapewne kolejne, czwarte już z kolei wybory parlamentarne w ciągu dwu lat. Izraelczycy są dziś głęboko podzielonym społeczeństwem. Szybko się to nie zmieni. ©℗

Kolejny rok niepewności

PAWEŁ PIENIĄŻEK

Choć trwają rozmowy pokojowe między rządem a talibami, Afgańczycy nie wierzą, że szybko doczekają się wymarzonego pokoju.

Szer Dżafari przez większość życia był uczestnikiem lub świadkiem wojen, które w jego kraju się nie kończą. Ten dostojnie wyglądający mężczyzna, zbliżający się do siedemdziesiątki, kiedyś był mudżahedinem. Walczył przeciw komunistycznej władzy i wspierającym ją Sowietom, za co spędził w więzieniu 10 lat. Gdy wyszedł na wolność, trafił na wojnę domową, która według niego była najtragiczniejszym rozdziałem trwającego od ponad czterech dekad konfliktu. Następnie brał udział w walkach przeciw talibom. Był blisko związany z legendarnym przywódcą Ahmadem Szahem Masudem i znajdował się w pobliżu, gdy w 2001 r. talibowie przeprowadzili skuteczny zamach na Masuda. Złożył broń dopiero, gdy talibowie zostali (tymczasowo) pokonani na skutek amerykańskiej interwencji. Wówczas wydawało się, że może zapanować długo wyczekiwany pokój.

– Wraz z pojawieniem się Amerykanów wojna się nie skończyła, tylko zmieniła się jej forma – wspominał Dżafari. – Nie nadeszła stabilność. Wciąż toczą się walki, jest mnóstwo biedy, a ludzie nie mają nadziei na przyszłość.

Administracja odchodzącego prezydenta Donalda Trumpa naciskała, by jak najszybciej wycofać wojska USA z Afganistanu. Porozumienie między Stanami a talibami podpisano w lutym 2020 r. – zgodnie z nim wszyscy zagraniczni żołnierze muszą opuścić kraj do maja 2021 r. Z kolei we wrześniu zaczęły się przełomowe (choć jak dotąd z punktu widzenia dyplomacji, a nie zwykłego Afgańczyka) rozmowy między rządem a talibami.

Liczba amerykańskich żołnierzy w Afganistanie spada od lat: w 2011 r. było ich 100 tys., obecnie jest to ok. 4 tys. A to nie koniec redukcji. Dowódca amerykańskich i natowskich wojsk w ramach misji „Zdecydowane Wsparcie" gen. Scott Miller powiedział w połowie grudnia, że otrzymał rozkaz, by do połowy stycznia zmniejszyć kontyngent USA do 2,5 tys. żołnierzy. Nie wiadomo, czy nowy prezydent Joe Biden podtrzyma stanowisko poprzednika i postanowi całkowicie wycofać wojska.

Miller podkreślił, że liczba żołnierzy, którzy mają zostać w Afganistanie, jest wystarczająca do dalszego wspierania afgańskich wojsk, w tym do bezpośredniego udziału w walkach. Jednak sytuacja ulega gwałtownemu pogorszeniu. Według ostatniego raportu kwartalnego Specjalnego Inspektora Generalnego ds. Odbudowy Afganistanu (powołanego przez Kongres USA) liczba ataków wzrosła o 50 proc. W okresie od 1 lipca do 30 września 2020 r. zginęło 876 cywilów, a 1685 odniosło rany (to wzrost o 43 proc. w stosunku do poprzedniego raportu). Z kolei według statystyk prowadzonych przez dziennik „New York Times" tylko w listopadzie zginęło przynajmniej 164 cywilów.

Codziennie pojawiają się informacje o kolejnych atakach, a przede wszystkim o ofiarach. Stoją za nimi talibowie, lokalna filia Państwa Islamskiego, która pozostaje aktywna w Afganistanie, lub też nie da się zidentyfikować sprawców. Kilka tygodni temu w mieście Bamian w środkowym Afganistanie doszło do dwóch eksplozji. Zginęło co najmniej 14 osób, w tym 12 cywilów. Bamian uchodziło za jedno z najbezpieczniejszych miast, jest popularne wśród afgańskich i zagranicznych turystów.

W stołecznym Kabulu niemal codziennie wybuchają bomby lub organizowane są zabójstwa. W 2020 r. doszło do licznych i krwawych ataków, w tym na szpital położniczy (w jego pobliżu mieszka Dżafari) i uniwersytet. Tylko w tych dwóch starciach zginęło 59 osób, a 47 raniono.

Dżafari obawia się, że jeśli amerykańskie wojska opuszczą kraj, Afganistan może czekać kolejna odsłona konfliktu. – Jestem pewien, że zacznie się nowa wojna domowa – przyznał mężczyzna, gdy rozmawialiśmy wiosną w Kabulu.

To częsty lęk wśród Afgańczyków, bo pokój narzucony z góry i zawierany w pośpiechu może doprowadzić do skutków przeciwnych od zamierzonych. ©

Współpraca: ALISZER SZACHIR

Szer Dżafari, weteran wojen afgańskich ostatnich dekad. Kabul, marzec 2020 r.

PAWEŁ PIENIĄŻEK

Robcio Muzykant

WOJCIECH JAGIELSKI

Im młodsza staje się Afryka, tym starsi wydają się jej przywódcy. Nie rozumieją młodych. Natomiast młodzi szukają przewodników na nowe czasy wśród swoich idoli. Im wciąż wierzą.

Choć Robert Kyagulanyi zbliża się do czterdziestki, nie pamięta polityków, którzy rządzili jego krajem, zanim władzę objął 76-letni dziś prezydent Yoweri Museveni. Robert tego nie żałuje – w Ugandzie mało kto lubi wspominać stare dzieje.

Pierwsi przywódcy niepodległego od 1962 r. kraju szybko wzięli się za łby. Walcząc o władzę, premier Milton Obote i Idi Amin (podoficer dawnych oddziałów kolonialnych, awansowany na dowódcę armii) przemienili Ugandę z „perły w koronie" brytyjskiego imperium w afrykańskie pola śmierci. Przez 10 lat zginęło na nich milion ludzi, jedna dziesiąta ludności kraju. Koszmarowi położył kres dopiero Museveni, komendant partyzantki, który w 1986 r. wygrał wojnę domową i ogłosił się nowym przywódcą. Jest nim do dziś.

Matka nieraz mówiła małemu Robertowi, że spokojne dzieciństwo zawdzięcza Museveniemu. Wcześniej żołnierze Amina zabili dziadka Roberta, a żołnierze Obotego wzięli do niewoli jego ojca. Mieli go rozstrzelać, ale rodzina zdążyła zebrać pieniądze i wykupić go od śmierci.

Robert wychował się w Kamwokyi – ubogim przedmieściu, jednym z wielu, w jakie obrosła Kampala, stolica Ugandy. Wystarczyło, że nastał pokój, a miasto rozpełzło się aż nad brzegi Jeziora Wiktorii i na zielone wzgórza, porośnięte zagajnikami bananowców. Ludzie, którzy podczas wojny uciekli z Kampali, aby przetrwać zły czas na wsi, teraz wracali, ciągnąc za sobą młodych. W wielkim mieście widzieli szansę na lepszą przyszłość.

Autokrata trochę oświecony

Od tamtych czasów Kamwokya niewiele się zmieniła. Rozłożona na zboczu wzdłuż polnej czerwonej drogi, zastawionej straganami, chatami, budami i zagrodami z dykty oraz palmowych liści, pulsuje życiem od świtu do zmierzchu, wiecznie gwarna i tłoczna. Wśród przekupniów z targowisk i ludzi wracających z miasta uwijają się sfory motocykli boda-boda, które służą mieszkańcom za najtańszy, a więc jedyny środek transportu.

Kampala szybko podniosła się z upadku. W Musevenim doczekała się dobrego gospodarza. Raz-dwa zaprowadził porządek, ukrócił złodziejstwo, uprościł biurokrację i przepisy. Na początku lat 90. XX w., gdy zacząłem jeździć do Afryki jako dziennikarz, Kampala przyćmiewała dynamiką i rozmachem kenijską stolicę Nairobi, dotąd uchodzącą za główną regionalną metropolię. Wielu cudzoziemców zastanawiało się nad przeprowadzką z Kenii do Ugandy.

Museveni rządził dobrze, ale żelazną ręką, jak partyzancki komendant przywykły do wydawania rozkazów. Długo nie chciał pozwolić na wolne wybory i partie polityczne. Twierdził, że ludzie nie są na to gotowi, a w upartyjnieniu polityki widział źródło wszelkiego zła. Dopiero w połowie lat 90. zgodził się przywrócić partie, ale w zamian za unieważnienie przepisu ograniczającego jego prezydenckie rządy do dwóch kadencji.

Zachód wszystko mu wybaczał, bo na przełomie stuleci na takich właśnie przywódców stawiał w Afryce: autokratów skutecznych i oświeconych, jak Museveni, Meles Zenawi z Etiopii, Paul Kagame z Rwandy czy zmarły przed miesiącem Jerry John Rawlings z Ghany.

Wyzwanie na pojedynek

Museveni nie cierpiał sprzeciwu, ale przeciwników nie zamykał w więzieniach, słuchał zachodnich doradców gospodarczych i jako pierwszy w Afryce wygrał wojnę z AIDS. Wtrącał się w sprawy sąsiadów (Rwandy, Sudanu i Konga), ale posyłał żołnierzy również na „zachodnie" wojny do Somalii, Afganistanu i Iraku.

I tak, nie wiedzieć nawet kiedy, zleciało prawie 35 lat. Museveni wygrywał kolejne wybory – oszukując, ale nigdy przesadnie. Przed najbliższymi, wyznaczonymi na 14 stycznia 2021 r., wykreślił z konstytucji zapis, który z walki o prezydenturę wykluczał osoby starsze niż

75 lat. Jego najgroźniejszy rywal Kizza Besigye – dawny towarzysz broni i osobisty lekarz z czasów partyzantki – po czterech przegranych wyborach machnął ręką. „Tak się go pokonać nie da" – powiedział i do kolejnych już nie stanął.

I gdyby nie Robert Kyagulanyi – muzykant i samozwańczy „król getta" ze stołecznych przedmieść – Museveni już dawno winszowałby sobie szóstej wyborczej wygranej. „W imieniu ludu Ugandy wyzywam cię na pojedynek w wolnych i uczciwych wyborach, jeśli starczy ci odwagi, by takie urządzić – ogłosił bowiem Kyagulanyi. – Przemawiam w imieniu słabych i uciśnionych. Miałeś być zbawcą, ale zapomniałeś już, w co sam wierzyłeś. Stałeś się tyranem i kieruje tobą tylko żądza władzy. Zwyciężę cię, aby cię ocalić przed samym sobą".

Czasy nadeszły nowe

Museveni, Uganda i cała Afryka stali się ofiarą własnego sukcesu: pokoju, gospo-

GETTY IMAGES

Wiec wyborczy muzyka Roberta Kyagulanyiego (na zdjęciu w odkrytym samochodzie), który rzucił wyzwanie prezydentowi Yoweriemu Museveniemu. Miasto Jinja w Ugandzie, 1 grudnia 2020 r.

darczego rozwoju i demokratycznych porządków, jakie pod koniec XX w. zaczęły nastawać na kontynencie. Stało się tak po dwóch „zmarnowanych dekadach" tyranii, bezprawia, powszechnego złodziejstwa i marnotrawstwa, a także wojen zastępczych, które Wschód i Zachód toczyły w Afryce.

W nowych czasach nigdzie na świecie ludzi nie przybyło tak wielu, jak w Afryce. W ciągu ostatniego ćwierćwiecza liczba Afrykanów wzrosła dwukrotnie. Statystyczny mieszkaniec kontynentu jest dziś dwudziestolatkiem, z rodzinnej wsi wywędrował po lepsze życie do jednego z wielkich miast, które pod ciężarem przybyszów przepoczwarzyły się w urbanistyczne potwory. Gospodarka rozwijała się jak nigdy wcześniej, ale i tak nie była w stanie nadążyć za demografią.

Za panowania Museveniego ludność Ugandy zwiększyła się trzykrotnie. Trzy czwarte obywateli to młodzi, poniżej trzydziestki (tylko jeden na stu Ugandyjczyków jest starszy niż 65 lat), co czyni ją najmłodszą na całym kontynencie i jedną z najmłodszych na świecie. Równocześnie trzy czwarte młodych nie ma stałej pracy ani żadnych na nią widoków.

Im młodsi stają się Afrykanie, tym starsi wydają się być ich przywódcy. Ugandzie przewodzi dobiegający osiemdziesiątki Museveni. Problemem nie jest nawet pokoleniowa przepaść, lecz bardziej niechęć czy niemożność starych przywódców, by nadążyć za tymi nowymi czasami i za światem, który nabrał przyspieszenia. Myślą po staremu, nie rozumieją młodych ani tego, skąd bierze się ich rozpacz i gniew.

Gdy młodzi wychodzą na ulice Kampali, by protestować przeciw wszechwładzy Museveniego, ten ich poucza. Trzy czwarte Ugandyjczyków urodziło się za jego panowania, więc zwraca się do nich: „moje dzieci", „moje wnuczęta, *bazakulu*". Dobrotliwie karci, że bywają niewdzięczni i nieposłuszni, a trzeba być grzecznym. Mówi o sobie w trzeciej osobie, pozuje na patriarchę, *mzee*, któremu należne są szacunek i posłuszeństwo. Powołuje się na zasługi z czasów dawnych, które dla młodych są przeszłością zamierzchłą, już bez znaczenia.

Seks, wino i rock'n'roll

Fakt, także Robert Kyagulanyi nie jest już młodzieniaszkiem. Młodym z getta czterdziestolatek w garniturze mógłby wydać się kolejnym burżujem. Ale nie on, nie Bobi, bo tak go wszyscy w gettach nazywają. Bobi wie, jak boli życie.

Pierwszą piosenkę nagrał jako osiemnastolatek. Najpierw śpiewał o dziewczynach, miłości, zabawie. O beznadziei życia w getcie, zbrodni, krzywdzie i złej władzy zaczął opowiadać dopiero, gdy zauroczył się reggae i Bobem Marleyem. To na cześć Marleya zaczął nazywać się Bobim. Przydomek „Wine", Wino, wziął z ówczesnego upodobania do hulanki, „seksu, narkotyków i rock'n'rolla". ↦

↦ Wybił się, zaczął zarabiać. Sprowadził sobie z Ameryki wielkiego terenowego cadillaca, a z getta wyniósł się do podmiejskiej dzielnicy Magere i zamieszkał wśród statecznych zamożnych sąsiadów. W Kamwokyi nikt mu tego nie wypominał. Wyrwał się stąd, a czy nie o tym marzą ci, którym wypadło tam żyć?

W Kamwokyi przeżył swoją polityczną inicjację. Pewnego razu, gdy po nocnej imprezie wsiadał do cadillaca, podszedł jakiś młodziak i zdzielił go pięścią w twarz. „Nie strugaj ważniaka" – rzucił. Niedługo potem zatrzymał go policjant. Grożąc mandatem, próbował wymusić łapówkę. Bobi sądził, że sława czyni go nietykalnym, ale na jego protesty policjant obił go pałką. Tego dnia nauczył się, że ten, kto ma pałkę i władzę, jest panem życia i śmierci. Odtąd polityka rozgościła się w słowach jego pieśni.

Głośno zrobiło się o nim przed wyborami w 2016 r., gdy Museveni, aby przypodobać się młodym, zaprzągł do swojej kampanii najpopularniejszych muzyków. Zapłacił każdemu po sto tysięcy dolarów, żeby na koncertach śpiewali hymny na jego cześć. Zgodzili się na to wszyscy z wyjątkiem Robcia Muzykanta. „Sprzedawczycy!" – gwizdali potem młodzi na ich koncertach. „Bobi! Bobi!" – wiwatowali na widok Kyagulanyiego. – „Nasz król z getta!".

CYRIL NDEGEYA / AFP / EAST NEWS

Muzyk Kizito Mihigo opuszcza więzienie w Kigali, 15 września 2018 r. Na początku 2020 r. Mihigo został znów aresztowany, a kilka dni później znaleziony martwy w celi.

Światła politycznej sceny

Odkąd odmówił Museveniemu, stał się bożyszczem tłumów – i gdy zwolnił się poselski mandat, w 2017 r. stanął jako niezależny kandydat do wyborów uzupełniających. Zdobył ponad trzy czwarte głosów i pokonał zarówno faworyta Museveniego, jak też kandydata opozycji.

Jeszcze w tym samym roku stanął na czele posłów, którzy sprzeciwili się Museveniemu, gdy zażądał on wykreślenia z konstytucji zapisu ograniczającego wiek prezydenta. Opornych posłów złamali dopiero wezwani do parlamentu policjanci i żołnierze. Ale Bobi nie poddał się i ogłosił, że skoro Museveni ma za nic parlament, to on będzie dochodzić sprawiedliwości na ulicy. Wcisnął na głowę czerwony beret, jaki noszą spadochroniarze i rewolucjoniści, i obwieścił, że powołuje People's Power – ruch pokojowego oporu.

Wkrótce też, na czele ruchu, Bobi poprowadził uliczne protesty przeciw nowym opłatom za korzystanie z internetowych portali społecznościowych i komunikatorów (równowartość ok. 20 groszy dziennie). Museveni znów postawił na swoim, ale młodzi kolejny raz uznali Robcia Muzykanta za jedynego obrońcę. Nie minął rok, odkąd został posłem, a politycy, którym udzielał poparcia, zaczęli jeden po drugim wygrywać we wszystkich wyborach.

Museveni uznał, że żarty się skończyły. W sierpniu 2018 r. pojechał do miasteczka Arua na północy kraju, by w lokalnych wyborach osobiście wesprzeć kandydata rządzącej partii. Wybrał się tam również Bobi, by pomóc swojemu faworytowi. Prezydencka karawana wyjeżdżała już z miasta, gdy zwolennicy Robcia Muzykanta obrzucili ją kamieniami. Policjanci odstawili prezydenta na lotnisko, po czym wrócili do miasta, żeby rozprawić się z buntownikami. Wybuchły zamieszki, kierowca Bobiego zginął od policyjnej kuli. Była przeznaczona Muzykantowi, a szofer zginął tylko dlatego, że czekając na niego przed hotelem, usiadł w fotelu pasażera.

Wiece, rozruchy, wybory

Policjanci aresztowali wtedy Bobiego i skatowali tak brutalnie, że do sądu trzeba go było dostarczyć z aresztu na noszach. Gdy nieco wydobrzał, Museveni pozwolił mu wyjechać na leczenie do Ameryki. Miał nadzieję, że po nauczce, jaką dostał, już nie wróci do kraju.

Wrócił jednak, a na jego powitanie na ulice Kampali wyległy tłumy, które policja musiała rozpędzać pałkami i gazem łzawiącym. Władze zakazały Muzykantowi koncertów, tłumacząc, że policja nie będzie w stanie zapewnić bezpieczeństwa. Rozgłośnie radiowe, zastraszone przez rząd, przestały nadawać piosenki Bobiego.

Dziś nie sposób zliczyć, ile razy był już zatrzymywany. Rząd zabronił nawet jego zwolennikom noszenia czerwonych beretów, uznając, że to część munduru i cywilom nie wolno ich używać. Oskarżono go, że sfałszował metrykę i szkolne świadectwa, że oszukuje przy podatkach, że ukradł nazwę partii politycznej, którą musiał założyć, aby jako jej kandydat stanąć do prezydenckiego pojedynku przeciw Museveniemu (wyrok skazujący wykluczyłby go z elekcji).

Od wybuchu epidemii pozostaje w faktycznym areszcie domowym. Wystarczy, że ruszy się z domu, a gromadzą się wokół niego tłumy. Wtedy policja rozpędza je pod pretekstem, że zagrażają zdrowiu publicznemu, a Bobiego aresztuje za wszczynanie zamieszek. Aresztowano go też, gdy pojechał do centralnej komisji wyborczej, by zarejestrować się jako kandydat, a także podczas pierwszego wyborczego wiecu. Za każdym razem w Kampali wybuchały rozruchy, w których zginęło pół setki ludzi.

Museveni, któremu nikt nie zakazuje organizowania wieców, rozpowiada, że Robcio Muzykant wysługuje się „pederastom" i Zachodowi, oraz że skarży się za-

chodnim politykom i donosi im na własną ojczyznę. A Zachód, wiadomo, marzy tylko, by mieć w Kampali swoją marionetkę i ponownie zniewolić Ugandę.

Scenariusz chartumski?

W Ugandzie i Afryce mało kto wierzy, że Robert Kyagulanyi pokona ugandyjskiego patriarchę. W wyborczą wygraną nie wierzy chyba nawet sam Muzykant. Liczy jednak, że uda mu się namówić ludzi, by mimo wszystko poszli głosować. Im więcej ich się zbierze, tym trudniej będzie Museveniemu sfałszować wybory. Jeśli zaś tego spróbuje, ludzie wyjdą na ulice, by upomnieć się o sprawiedliwość, a rewolucja zmusi go do ustąpienia. Tak właśnie uliczne rewolucje z Chartumu czy Algieru, sprzed półtora roku, doprowadziły do upadku miejscowych satrapów.

„Chcę tego samego, czego chciał i co obiecywał Museveni, kiedy miał tyle lat co ja. Ale cały ten system przegnił, nic już nie działa, jak należy. Zwykli ludzie nie mają nic do powiedzenia, a wszystko zostało zawłaszczone przez dyktatora i jego sitwę – tak Kyagulanyi przekonuje zagranicznych dziennikarzy. – Zamienili demokrację na konstytucyjną dyktaturę i korporację, utrzymującą się z politycznej władzy. (...) Dla nich najlepiej byłoby, aby ludzie w ogóle przestali się polityką zajmować i tylko co parę lat głosowali na nich w wyborach".

„Jestem tylko muzykiem – tłumaczy swój wybór – ale wkurza mnie to wszystko i nie mogę dłużej milczeć. Nie mam pojęcia o rządzeniu, ale w Ugandzie znajdzie się wystarczająco wielu mądrych i uczciwych ludzi, którzy temu podołają. Trzeba tylko odebrać władzę Museveniemu".

Czas muzykantów

Słowa Bobiego podziela większość kolegów po fachu w Ugandzie i całej Afryce. W styczniowych wyborach tuzin muzyków zamierza zostać posłami, a Joseph „Jose Kameleon" Mayanja stanie do walki o urząd burmistrza Kampali.

Z kolei w Nigerii, podczas ulicznych protestów w 2020 r. przeciw brutalności policji i arogancji klasy politycznej, zbuntowana młodzież przepędzała ze swoich szeregów polityków, za to chętnie zapraszała muzycznych idoli – raperów Azeeza „Nairę Marleya" Fasholę, Olubankolego „Banky'ego W" Wellingtona, „Davido" Adedejiego Adelekego i Folarina „Falza" Falanę. Młodzi ufają im – tak jak ich ojcowie w latach 70. XX w. wierzyli Feli Anikulapo Kutiemu, który śpiewał o tyranii, korupcji i pysze ówczesnych dyktatorów w mundurach. Chciał nawet zmierzyć się z nimi w wyborach, ale nie został do nich dopuszczony. Seun, najmłodszy syn Kutiego i także muzyk, wskrzesił właśnie założoną przez ojca partię: Movement of the People (Ruch Ludu).

Wtedy, w czasach Kutiego, w Republice Południowej Afryki do walki z apartheidem zagrzewali Hugh Masekela i Miriam Makeba (potem Lucky Dube i Johnny Clegg), a w sąsiedniej Rodezji-Zimbabwe miejscowi partyzanci wsłuchiwali się w pieśni Thomasa Mapfumo (wszyscy, ma się rozumieć, słuchali też Boba Marleya). Gdzie indziej w Afryce muzyka przygrywała jednak do tańca, a „kongijska rumba" zawojowała cały kontynent.

Dziś raperzy z kongijskiej Kinszasy – Lexxus Legal (dwa lata temu bez powodzenia startował w wyborach do parlamentu), DDT czy Alesh – oskarżają starych wyznawców „kongijskiej rumby" o służalczość wobec władców, a rządzącym wytykają korupcję, skłonność do tyranii i niekończące się wojny, które wykrwawiają Demokratyczną Republikę Konga, tego ponad stumilionowego kontynentalnego giganta demograficznego.

Także w Kamerunie, Republice Środkowoafrykańskiej i Burkina Faso muzycy wzywają ze scen do zgody i przerwania wojen wywołanych przez polityków. Dziesięć lat temu, na Wybrzeżu Kości Słoniowej, roli apostołów pokoju podjęli się tamtejszy pieśniarz reggae Alpha Blondy i piłkarze drużyny narodowej z Didierem Drogbą na czele. W Liberii, udręczonej skorumpowanymi politykami i barbarzyńską wojną z przełomu wieków, na prezydenta wybrano George'a Weah, najlepszego piłkarza, jakiego wydała Afryka. Niewiele brakowało, a w pobliskim Senegalu prezydentem zostałby Youssou N'Dour, najsławniejszy z miejscowych muzyków. Jego samego nie dopuszczono do wyborów, za to kandydat, któremu udzielił poparcia, rządzi krajem do dziś.

Ludzie im wierzą

W Etiopii głosem buntu i pokrzywdzonych był do niedawna Hachalu Hundessa. Jego pieśni śpiewano podczas rewolucji, która przed dwoma laty odsunęła dyktatorskie władze. W czerwcu 2020 r. Hundessa zginął, zastrzelony przez nieznanych zamachowców, a pogrzeb pieśniarza przerodził się w rozruchy i pogromy, w których zginęły setki ludzi.

Za mariaż z polityką życiem zapłacił także Kizito Mihigo z Rwandy. Kiedyś był ulubieńcem władz, które zleciły mu ułożenie nowego hymnu państwowego. Potem jednak zaczął śpiewać o wybaczeniu i karze w kraju, w którym doszło do ludobójczej zbrodni. Śpiewał, że po pierwszej zbrodni, tej na Tutsich, doszło do drugiej, tym razem na Hutu, kiedy to ofiary wzięły odwet na oprawcach. Najpierw trafił do więzienia, a na początku roku aresztowano go, gdy próbował przekraść się do sąsiedniego Burundi. Kilka dni później ogłoszono, że powiesił się w celi.

Uciekać z kraju musiał z kolei Fumba „Pilato" Chama z Zambii. Pieśniami o korupcji i dyktaturze naraził się zambijskiemu prezydentowi. „Ludzie nam wierzą, bo śpiewamy o ich życiu, troskach i tęsknotach, mówimy ich głosem. Polityków to przeraża i dlatego się nas boją" – zwierzał się dziennikarzom, gdy znalazł się już na emigracji w RPA.

Chama zastrzegł, że polityka go nie obchodzi. Ale nie wykluczył, że tak jak Robcio Muzykant stanie do wyborów, aby odebrać władzę politykom.

©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

OGŁOSZENIE

Sąd Rejonowy w Brzesku, Wydział I Cywilny, pod sygn. I Ns 34/20 prowadzi postępowanie z wniosku Bronisławy Gagatek o zasiedzenie służebności gruntowej drogi koniecznej na rzecz dz. nr 40 Niedźwiedza gm. Dębno – m.in. przez dz. nr 613 Niedźwiedza gm. Dębno. Dla dz. nr 613 prowadzona jest księga wieczysta TR1B/00006398/7, w której jako właściciele wpisani są: Władysław Koniarz, Julia Rylewicz, Zofia Rylewicz, Janina Koniarz.

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, w szczególności ww. osoby lub ich następców prawnych, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły się w siedzibie Sądu i udowodniły swoje prawo do dz. nr 613, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie służebności gruntowej zgodnie z wnioskiem, o ile zostanie udowodnione.

POKORA JEST SIŁĄ

HANKA GRUPIŃSKA:

Do Indii pojechałam nie z powodu Tybetańczyków, lecz jogi. I tam wessało mnie ich życie na wygnaniu. Do Tybetu nie pojechałam, nie chciałam patrzeć, jak Chińczycy upokarzają Tybetańczyków.

BARTEK DOBROCH: „Dalekowysoko" – takim nowosłowem zatytułowałaś książkę. Dalekowysoko, czyli gdzie?

HANKA GRUPIŃSKA: No właśnie tam, bo to jest i daleko, i wysoko, i to nie są jakieś osobności, tylko jedna wartość, geograficzna i emocjonalna. Cała moja podróż była podróżą na zewnątrz i podróżą we mnie, daleko i wysoko od punktu wyjścia.

Jest w tym też metafora świata buddyjskiej myśli, idei, która jest tak dalekowysoko, że wiele rzeczy wymaga wyjaśnienia, choć niektóre są niemożliwe do przełożenia?

Tam jest dalekowysoko w sensie mentalnym. Cały świat, który próbuję opowiedzieć, jest okropnie daleko od tego sposobu rozumienia świata, jaki jest nam tutaj, nisko i blisko, wspólny. Pierwszy trud polega na zrozumieniu, dostrzeżeniu, drugi – na ponazywaniu tego tak, aby nie było zbyt hermetyczne.

To było poszukiwanie jakiejś stosowności ze świadomością, że mogę znaleźć w słowach jedynie przybliżenie tego, czego doświadczyłam. Tę świadomość miałam pierwszy raz, kiedy wiele lat temu opowiadałam o chasydzkich kobietach w Izraelu. Choć tamten świat jest łatwiejszy do opowiadania niż buddyjski.

Czy w naszej próbie zrozumienia świat tybetański jest skazany na „lost in translation" – zagubienie w przekładzie?

Bardzo lubię tę angielską frazę i książkę Evy Hoffman „Zagubione w przekładzie". Świat żydowski jest światem kulturowo nam bliższym. Mówimy, że jesteśmy z kręgu kultury judeochrześcijańskiej, choć życie izraelskiej chasydki bardzo się różni od życia poznańskiej nauczycielki.

Głównym kluczem jest inne rozumienie świata, nabyte przez wieki i mocno ugruntowane, z którym my mamy mało wspólnego. Student filozofii nie studiuje filozofii Wschodu, ale filozofie zachodnie. Buddyzm nie jest obecny w szkołach i uczelniach, a medytacja, czyli podstawowa formuła ćwiczenia umysłu, tu jest mało znana. Postronni ludzie mają do niej często stosunek ironiczny. Nasze umysły, a zatem i zmysły, od pokoleń funkcjonują różnie. Inaczej widzimy, smakujemy, wąchamy i inaczej opisujemy światy.

Łapiesz się na niestosowności pewnych słów, gdy np. nazywasz kamienie mani religijnym pomnikiem. Często miałaś problem z takim kulturowym przekładem?

Bardzo często. Ten trud przekładania dotyczy pojedynczych elementów i także całej myśli, poglądu. Każdy Tybetańczyk nosi w ręku malę, a według niektórych polskich tekstów – różaniec, bo palcami przesuwasz koraliki i mówisz mantry. Jak się oddaje szacunek słowom, które są stamtąd, łatwiej ten świat uplastycznić, zobaczyć go przez inne pojęcia. Bo nasze słowa żyją w swoich kontekstach i gdy je wypowiadamy, uruchamia się ten znany kontekst. Z różańcem mamy inne skojarzenia niż z malą. A ja bardzo chciałam się odsunąć od świata tu, opisując tamten.

Taką próbą wpisania w kontekst jest fraza „mały Tybet" stosowana dla określenia tybetańskich miejsc w Indiach. Czy jednak jest właściwa?

Nigdy przez dziesięć lat, w ciągu których w sumie dwa i pół roku spędziłam tam, nie słyszałam, by Tybetańczyk używał frazy „mały Tybet". Funkcjonuje określenie „Little Lhasa" dla nazwania Dharamsali i jej okolic, ale też nigdy nie słyszałam żadnego Tybetańczyka, który by go używał. Wydaje mi się, że te frazy zostały wymyślone przez zachodnich opisywaczy tamtego świata.

Dlaczego nie wybrałaś się nigdy do tego prawdziwego Tybetu?

Do Indii pierwszy raz pojechałam nie z powodu Tybetańczyków, lecz jogi. I tam wessało mnie ich życie na wygnaniu. Do Tybetu nie pojechałam, bo ta ziemia jest pod okupacją chińską. Nie chciałam – tak jak brzuch mnie boli, bo za chwilę jakiś policjant pod moim warszawskim oknem uderzy pałką człowieka – tak też nie chciałam patrzeć, jak Chińczycy upokarzają Tybetańczyków. Tybetańczyk pod rządami Chin jest nieustannie zagrożony pobiciem, więzieniem, brakiem szkoły, pracy czy klasztoru. A alkohol jest jednym ze sposobów przeprowadzania zagłady kulturowej.

Mechanizmy podobne do stosowanych kiedyś w relacjach z rdzennymi mieszkańcami Ameryki Północnej czy Australii.

We wsiach tybetańskich albo tych, w których, obok Chińczyków, mieszka wielu Tybetańczyków, w sklepach zawsze kupisz whisky w plastikowych butelkach, świeczki i zapałki. Gorzej z innymi produktami. A poza tym: nie ma mnichów, klasztoru, który jest oparciem, w szkołach język tybetański jest zakazany, dzieci muszą uczyć się po chińsku. Później oczywiście Tybetańczycy nie mają pracy, są przenoszeni do miast, do jakichś betonowych pudełek.

Wierzę, że jeszcze kiedyś zdążę tam pojechać. W 1988 r. nie wiedzieliśmy, że za chwilę przyjedzie 1989 i będziemy mieli paszporty w szufladach. Nie mogliśmy też przewidzieć, że kolejnego 13 grudnia policjanci będą bili młodych ludzi na ulicach ↦

BARTEK SOLIK

Mnich modlący się w świątyni Dalajlamy Tsuglagkhang w McLeod Gandż. Dharamsala, Indie, 2008 r.

↦ Warszawy. Możliwa jest więc taka przemiana, że tam pojadę.

Mówisz „prawdziwy Tybet”... Czy chcemy odbierać prawdziwość światu Tybetańczyków, którzy uciekli z Tybetu i są teraz w Indiach, albo tych, którzy są kolejnym pokoleniem urodzonym w Indiach i ciągle zachowują tybetańskość? Jasne, że są inni, niż byli ich dziadkowie w Tybecie. Ale te dziewczyny, które dziś idą warszawską ulicą w demonstracji, też są inne niż te z mojego pokolenia.

Wiele z tego autentycznego świata już nie istnieje, tysiące klasztorów w Tybecie zrównano z ziemią lub zdewastowano, wiele z nich odtworzono w Indiach pod tymi samymi nazwami. Stąd pytanie o „prawdziwość”.

A ja nie chcę się zgodzić na to słowo. Nazwałabym to różnorodnością albo przemianą. Oczywiście, jest tak, jak mówisz. To, co dzieje się w Tybecie pod Chińczykami, ma niewiele wspólnego z religią. Tamtejsi mnisi zamiast thangk – obrazów religijnych – mają obowiązek wieszać portrety chińskich przywódców.

Natomiast społeczność tybetańska, która znalazła się w Indiach razem z Jego Świątobliwością XIV Dalajlamą, po wielkim marszu przez góry, restaurowała swoje życie przez kilkadziesiąt lat. Szczęśliwie rząd indyjski temu sprzyjał, Tybetańczycy dostawali ziemię w dzierżawę, mogli budować domy, jest ponad 50 szkół i klasztorów. Te odtworzone właściwie zawsze były budowane przez mnichów-uchodźców, więc niejako odbudowywano je na innej ziemi. Są też klasztory, które nie miały swojej „matki” w Tybecie.

Mieszkałam w takim żeńskim klasztorze Jamyang Choeling. Mniszki w Tybecie miały inne życie. Od lat 90. powstało wiele nowych klasztorów w Indiach, mniszki studiują Dharmę jak mnisi, a od kilku lat mogą nawet zdawać egzaminy geszema – to odpowiednik doktoratu filozofii buddyjskiej.

Pierwsze pokolenie ludzi, którzy przybyli do Indii, zderza się z kolejnymi pokoleniami. Jak mocne są różnice w postrzeganiu tybetańskości?

Rozmawiając ze starymi i młodymi ludźmi, miałam zawsze wrażenie bardzo wspierającego się wewnętrznie życia społecznego. Nawet jeśli nie potrafią się porozumieć w swoich językach, to istnieje już coś takiego jak uchodźczy język tybetański – ten jest wspólny dla większości.

ARCHIWUM HANKI GRUPIŃSKIEJ

HANKA GRUPIŃSKA jest pisarką, reportażystką, autorką książek (jako Anka Grupińska): „Najtrudniej jest spotkać Lilit”, „Odczytanie listy”, „12 opowieści żydowskich”. W latach 80. współpracowała z pismami podziemnymi, była współzałożycielką poznańskiego „Czasu Kultury”. Jej nowa książka „Dalekowysoko. Tybetańczycy bez ziemi” ukazała się nakładem Wielkiej Litery.

Kiedy są nauki Jego Świątobliwości Dalajlamy w świątyni, to idą na nie wszyscy. Przychodzą mnisi, mniszki, zwykli ludzie, poeci, którzy sprzedają swoje tomiki pod świątynią, i uczniowie ze szkół. Bo ta społeczność ma też sieci szkół podstawowych, średnich – najstarszą i największą jest TCV. W latach 60. wiele dzieci przybywało bez rodziców, ktoś się nimi musiał zaopiekować. Powstawały systemy edukacyjne dające schronienie na 24 godziny: żłobek, przedszkole i szkołę.

Podobnie jak na nauki w świątyni, wszyscy, całe rodziny, wiele mniszek i mnichów przybywa na organizowane w Dharamkot, w TIPA – Tybetańskim Instytucie Sztuk Scenicznych – występy artystyczne. Byłam ostatnio na koncercie Mariko, pierwszej transseksualistki w tej społeczności. Poznałam ją, gdy miała 11 lat i była chłopcem, a teraz Mariko ma 22 lata i jest kobietą, artystką, która tańczy i śpiewa.

I tylko Ty, nowoczesna Europejka, zauważasz niestosowność w tym, że przypominający występ drag queen show Mariko odbywa się na tle portretu Dalajlamy.

Rzeczywiście, gdy zobaczyłam to po raz pierwszy, oczom własnym nie mogłam uwierzyć. Po koncercie ją o to zapytałam. Uświadomiła mi prostą rzecz: Tybetańczycy tak kochają Jego Świątobliwość Dalajlamę, że wieszają jego portret zawsze i wszędzie, z okazji jakiegokolwiek wydarzenia. To też pokazuje, jak inny mamy stosunek do *sacrum* i *profanum*. Oni tego podziału nie widzą. Natomiast kiedy spotkałam Marikę kolejnego roku, powiedziała: „Ucieszysz się, Hanka, jadę na koncerty do Europy i poprosiłam ich, żeby portret Jego Świątobliwości wisiał z boku sceny, a nie za moimi plecami”.

Jej inność w tamtym świecie także nie w każdym przypadku spotyka się z pełną tolerancją.

Ale popatrz za okno w Krakowie czy w Warszawie, jaki tu jest stosunek do ludzi homo- czy transseksualnych, choć rzekomo jesteśmy tolerancyjnym i wykształconym społeczeństwem.

Tybetańczycy są ludźmi otwartymi i łagodnymi. My mamy dalekowysoko do tej ich tolerancji i akceptacji. Mariko jest pierwszą taką osobą w tej społeczności, a *coming out* zrobiła zaledwie pięć lat temu. Trochę trudno było jej z ojcem, ale dlatego, że on nie wiedział, jak to zrozumieć, a nie dlatego, że ją potępiał. Jej brat pyta: „To ty jesteś właściwie dziewczyną czy chłopakiem? Jak ja mam do ciebie mówić?”. Nie ma w tym odrzucenia, braku akceptacji, tylko zagubienie w sytuacji. Gdy opowiadałam o Mariko mnichowi ze Spiti, robił wielkie oczy, ale nie z obrzydzenia czy poczucia lepszości, ale dlatego że w życiu o czymś takim nie słyszał. Pytał mnie, czy w moim kraju też są mężczyźni, którzy stają się kobietami.

Oni wychowywali się w zupełnie innym rozumieniu świata, w ogromnych Himalajach. Jak się stoi u podnóża takich gór albo jest się w nich wysoko, rodzą się w człowieku dwie siły: ogromna pokora i wielka moc. Góral jest inny niż rybak – Tybetańczyk inaczej postrzega świat niż Polka z Warszawy.

W 2008 r. chińskie represje w Tybecie i uszczelnienie granic zatrzymały uchodźców zasilających wcześniej tybetańską diasporę w Indiach. Czy coś się zmieniło w tej kwestii w ciągu ostatniej dekady?

Większość ludzi, która uciekła z Tybetu, trafiła do Indii w latach 80. i 90. – pomijając oczywiście pierwszą wielką falę ucieczek w latach 60. W 2008 r. zdarzyła się jeszcze jedna istotna rzecz. Nepal nie był już królestwem, przestał wyciągać

pomocną rękę do Tybetańczyków, którzy uciekając z Tybetu do Indii musieli przejść przez jego terytorium. Został państwem satelitarnym dla Chin. Do dziś dochodzi do aktów przemocy Nepalczyków w stosunku do Tybetańczyków.

W ostatnich latach bardzo rzadko ktoś ucieka w dawny sposób, czyli na nogach przez góry. Zdarza się, że ktoś ucieka tak, jak spotkana przeze mnie grupa chłopców z Amdo, którzy na chińskich paszportach wylecieli samolotem na pielgrzymkę, po czym zostali w Indiach. Trzeba też powiedzieć o sinizacji Tybetańczyków. Kolejne pokolenia Tybetańczyków rodzą się pod okupacją i chodzą do chińskich szkół. Oni już nie ulegają tej silnej potrzebie ucieczki i przebywania tam, gdzie ich Dalajlama.

I to powoduje znikanie tamtego świata, „małej Lhasy", stopniowe zastępowanie tybetańskiej tkanki w McLeod Gandż tkanką induską?

Nowi nie przybywają, najstarsi odchodzą, młodsi często wyjeżdżają. Tybetańczycy rozpraszają się po świecie. Jeden z rozmówców powiedział mi kilka lat temu: „Ja już swoje tutaj zrobiłem dla społeczności tybetańskiej, a teraz chcę wyjechać do Australii dla mojej rodziny, żeby moje dzieci miały lepsze życie". Lepsze życie oznacza pieniądze i edukację.

Wcześniej takim miejscem była Szwajcaria.

Na samym początku, czyli w latach 60., w Szwajcarii osiedliła się głównie arystokracja lhaska. Dziś jest tam też społeczność tybetańska, ale tych pierwszych uciekinierów nie zdążyłam już spotkać.

To, że w 1959 r. udało się uciec spod okupacji Jego Świątobliwości Dalajlamie i wielu Tybetańczykom, było też niesamowitym prezentem dla świata zachodniego. Gdyby nie uchodźcy i imigranci na Zachodzie, nie mielibyśmy zielonego pojęcia o buddyzmie tybetańskim. Jestem jedną z beneficjentek tej sytuacji. Buddyzm, który w ten sposób trafia do naszego świata, jest dobrem, które wynika z ogromnego zła i cierpienia, jakiego doświadczają Tybetańczycy.

Entuzjazm dla sprawy Tybetu trochę jednak osłabł. Był silny w okolicy 2008 r., gdy prócz prześladowań dochodziło do mordów, choć informacjom, że dzieje się zagłada, że funkcjonują obozy koncentracyjne, także wówczas nie wszyscy dawali wiarę.

Teraz to wiemy na pewno. Jakkolwiek by Chińczycy starali się zamknąć przepływ informacji, nie jest to już możliwe. Wiemy o obozach koncentracyjnych nie tylko dla Tybetańczyków, ale dla Ujgurów i innych mniejszości. Ale jesteśmy kapryśnymi obywatelami, żyjącymi w świecie pełnym wygody, obfitości, niestabilnymi w empatyzowaniu. Nasze zainteresowania skaczą jak pchła po kożuchu. Jednego dnia bardzo przeżywamy Aleppo, a drugiego o Syryjczykach nie pamiętamy.

Bardzo mocno zwracamy się w stronę przeszłości. Karmimy się nią emocjonalnie i intelektualnie, podczas gdy obok nas dzieją się rzeczy, wobec których jesteśmy zaledwie kapryśni.

Po raz ostatni temat Tybetu zaistniał w światowym obiegu informacji, gdy doszło tam do fali samospaleń. Czy jednak forma tego protestu nie skupiła naszego zainteresowania bardziej niż treść, którą wyrażał?

To są akty odwagi cywilnej, a nie samobójstwa. To bardzo drastyczna i do niedawna powszechna forma wyrażania sprzeciwu, oddawania swojego życia w imię najważniejszych wartości: religii, wolności tybetańskiej, na którą składają się możliwość edukacji, język, kultura. Bo zabierane są im nie tylko góry, lasy i rzeki, ale także to, co ich wypełnia. Za posiadanie zdjęcia Dalajlamy trafia się do więzienia na kilka lat. To, co najistotniejsze, co mają w sobie w środku, jest też zagrożone.

Najwięcej samospaleń w Tybecie było w latach 2008-16. Są znane od wieków. Świat zachodni pamięta głośne samospalenie wietnamskiego mnicha Thích Quảng Đức – jego sprzeciw wobec katolickiej władzy, która represjonowała buddystów. Wtedy na ulicy w Sajgonie ten mnich – często powtarzam tę frazę – oddał swoje ciało. Nie swoją świadomość – to, co w ciele mieszka, ale swoje ciało.

Z Twojej książki wynotowałem inną frazę. Bhuchung D. Sonam nazywa politykę chińską „holistyczną zagładą". Dlatego, że dotyka ona tak wielu aspektów życia?

Wszystkich. Każdy aspekt życia Tybetańczyka jest pod chińską kontrolą, chińskim butem i pod chińskim prawem, które „prawem" się tylko nazywa.

Pół życia poświęciłaś tematowi Zagłady i tutaj także zajmujesz się zagładą. Czy możemy los Tybetu porównywać z Holokaustem?

To bardzo trudne pytanie. Mogłabym odpowiedzieć: tak, możemy porównywać, i nie, nie możemy. I obie odpowiedzi będą uczciwe i prawdziwe.

Możemy porównywać, dlatego że po jednej i po drugiej stronie zagłada równa się cierpieniu. Nie możemy porównywać, bo każda historia jest inna. Zagłada tybetańska jest przede wszystkim zagładą zadawaną kulturze, religii i tożsamości. Oczywiście jest też zagładą biologiczną: począwszy od ofiar wojny w latach 50., tybetańskich ofiar rewolucji kulturalnej, po ludzi, którzy umierają w więzieniach, z tortur i głodu.

To, że 25 lat zajmowałam się zagładą żydowską i nagle wpadłam w świat zagłady tybetańskiej i tam zostałam na 10 lat, wynikało z dwóch rzeczy. Kiedy pierwszy raz w Indiach zobaczyłam Tybetańczyków, poczułam taką łagodność i dobroć, że nie chciało mi się od nich odchodzić. Gdy z kolei dostrzegłam, z jakimi oni borykali się cierpieniem i pamięcią cierpienia, oraz jak się z tym obchodzą, byłam w zadziwieniu. Pokora to wcale nie jest słabość. To jest łagodność, zrozumienie, akceptacja, zgoda, ale też siła.

A czym z kolei jest polsko-tybetańskie siostrzeństwo, jak nazywasz relację z Tenzin?

Moje siostrzeństwo z Tenzin Choeden, mniszką, polega na tym, że czuję ją jako moją młodszą siostrę, a ona zawsze odnosi się do mnie jak do starszej siostry. To nie ma nic wspólnego z feministycznym rozumieniem siostrzeństwa przez kobiecość, płciowość. Tenzin urodziła się w Spiti, na północnym wschodzie indyjskiego stanu Himaćal Pradeś – bez niej bym tam nie pojechała, a moja książka by nie powstała. Jej pierwszym domowym językiem jest bhoti, czyli tybetański, ale w szkole, w klasztorze uczyła się hindi, w którym istnieje słowo *didi*, co znaczy „siostra", tak jak „przyjaciółka", „bliska", „droga". Ale jest jeszcze głębsze uzasadnienie słowa „siostrzeństwo" wynikające z buddyzmu: że ludzie są sobie siostrami i braćmi, są wielką wspólnotą na planecie. Ból siostry jest moim bólem, a radość siostry – moją radością. Jesteśmy jednością.

© Rozmawiał BARTEK DOBROCH

Żniwa w PGR-ze pod Tomaszowem Lubelskim, lata 60. XX w.

MACHNÓW IDZIE NA SIEW

Pod koniec PRL-u Państwowe Gospodarstwa Rolne zatrudniały tylu ludzi, co górnictwo. 30 lat temu zaczął się proces ich likwidacji.

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

Jechaliśmy z mężem na szparagi do Niemiec, bo nie było czym domu ogrzać. To był koniec lat 90. Nie chcieliśmy się wtedy przyznać, że my z PGR-u. Czemu? A to pani nie wie, co o pegerusach w gazetach pisali? Że pijacy, dzieciorobу, że kraść się nauczyli i robić im się nie chce. Jeszcze by nas na te szparagi nie wzięli... – wspomina Jolka i prosi, żeby, broń Boże, nie podawać jej nazwiska.

Artykuły, które po 1989 r. publikowały polskie media, utrwaliły w społeczeństwie obraz pegeerowskich osiedli jako miejsc zaniedbanych i biednych, dotkniętych alkoholizmem. Często prezentowano pogląd, że „pegerusy" są sami sobie winni. Bo przecież wszystko zależy od człowieka, wystarczy wziąć sprawy w swoje ręce. Gdy w Polsce rodził się kapitalizm, mało kto dostrzegał, że w tym nowym świecie nie wszyscy dostali równe szanse.

Byłam szczęśliwa

Pieniądze zarobione wtedy w Niemczech poszły na remont ogrzewania i spłatę długów. Jolka jeszcze przez dwa lata z rzędu zostawiała córkę u teściów i jeździła do pracy za granicę.

Jej ojciec był kombajnistą w PGR-ze w Nowosiółkach (gmina Telatyn, dziś powiat Tomaszów Lubelski). Ona skończyła szkołę zawodową, potem zaszła w ciążę i nie miała już głowy do dalszej nauki. Pamięta marzenia z tamtego czasu: że wyjdzie za mąż, podejmie pracę, z czasem wykupią mieszkanie w bloku (w PGR-ach często mieszkano w niewielkich blokach). Nikt z jej znajomych nie marzył o wyjeździe z rodzinnej wsi, nie mówiąc o studiach. Nie było takich wzorców.

Był koniec lat 80., Jolka nie interesowała się polityką. Nie wierzyła, że ten uporządkowany świat zmieni jedno zarządzenie. – Byłam wtedy szczęśliwa i lubiłam swoje życie – wspomina dziś. – Mąż skończył samochodówkę [szkołę zawodową mechaników samochodowych – red.] i zaraz dali mu pracę. Urodziły się dzieci. Może z perspektywy jednego żałuję: że się dalej nie uczyłam. Dlatego dzieciom kładłam do głowy, że bez szkoły nigdy się z tej dziury nie wyrwą.

Jolka mówi, że tutaj ludzie tęsknią za dawnymi czasami. Także ona tęskni. Bo 30 lat temu Machnów Nowy – miejscowość w pobliżu Tomaszowa, dziś licząca nieco poniżej tysiąca mieszkańców – tętnił życiem. Był to największy kombinat rolny na Lubelszczyźnie i trzeci co do wielkości w Polsce. Przypominał wymyślone przez sowieckiego przywódcę Nikitę Chruszczowa agromiasto, w którym robotnik rolny miał dom, pracę i rozrywkę. W najlepszym okresie kombinat gospodarował na obszarze ponad 11 tys. hektarów. Zrzeszał okoliczne PGR-y (w Żurawcach, Rudzie Żurawickiej, Korniach, Nowosiółkach, Dyniskach, Wierzbicy, Machnowie Starym i Plebance), a także zakłady: mechaniczny, remontowo-budowlany, przemysłu rolnego. Działały: masarnia, suszarnia pasz, piekarnia, gorzelnia. Kombinat zatrudniał 1200 pracowników, pola ciągnęły się pod granicę ze Związkiem Sowieckim.

– Rano kilka autobusów dowoziło pracowników – wspomina sołtys Zbigniew Sikora. – Ludzie wysypywali się na przystanku jak cukier z torby i każdy szedł na swój odcinek.

Rolnicza Nowa Huta

Kombinat w Machnowie Nowym miał być czymś w rodzaju Nowej Huty polskiego rolnictwa. Powstał w gminie Lubycza Królewska na terenach odebranych rodzinom ziemiańskim. Pamiątki po przedwojennych dworach wciąż można znaleźć w okolicy. Pod koniec lat 40. brygady robotnicze postawiły w szczerym polu 57 bliźniaczych domów – i tak powstał Machnów Nowy (w pobliżu Machnowa Starego). Każdy dom mógł pomieścić dwie rodziny, a poddasze mógł zająć kawaler lub młode małżeństwo jeszcze bez dzieci.

Z lotu ptaka osiedle wygląda jak oaza wśród pól i lasów. Ogrody i sady wokół domów pozwalały odpocząć po pracy. O Machnowie Nowym pisały gazety, Polska Kronika Filmowa poświęciła mu kilka materiałów. Jeden z filmów pokazuje traktorzystów jadących na siew, na maszynach umocowane portrety Bolesława Bieruta, przywódcy powojennej komunistycznej PRL – to akurat urodziny Bieruta. Radość maluje się na twarzach robotników, a „robota pali im się w rękach" – słychać głos lektora, Andrzeja Łapickiego. Pracują w otwartych kabinach, bez wygłuszaczy.

– Pamiętam te stare ciągniki na gąsienicach, nazywaliśmy je stalińce, bo przyjechały z ZSRR – wspomina Jan Wójtowicz, który zatrudnił się w PGR-ze w latach 60. – Jeździłem też na czeskich zetorach i naszych ursusach. Pracowaliśmy 12 godzin na 12, robota w polu szła na dwie zmiany. Kiedyś traktorzysta na nocnej zmianie tak się zagapił, że kilka razy przeorał granicę.

Czas kolektywizacji

Państwowe Gospodarstwa Rolne powołano w 1949 r., odwołując się do wzorców sowieckich. Stały się oczkiem w głowie komunistycznej władzy, która – w ramach tworzenia nowego społeczeństwa – postanowiła przebudować także polską wieś. Zamiast gospodarstw prywatnych na wsi miały istnieć dwie formy własności: państwowa (właśnie PGR-y) i spółdzielcza. Chłop miał pozbyć się własności i uzyskać „przywileje" robotnicze. Tak o tym mówił później Jakub Berman, do 1956 r. członek ścisłych władz PRL, w rozmowie z Teresą Torańską: „Chłop upodabnia się w stylu życia do robotnika, w innych układach społecznych zaczyna egzystować, pracuje 8 godzin, ma urlop, może odpocząć".

W PGR-ach wprowadzono brygadowy system pracy i administrację, która z czasem bardzo się rozrosła. W 1951 r. powołano odrębne Ministerstwo Państwowych Gospodarstw Rolnych i siedem zarządów terytorialnych, a prócz tego Centralne Laboratorium Przemysłu Rolnego oraz Biuro Urządzeń i Melioracji Rolnych. Rozbudowana struktura sprawiła, że decyzje podejmowane w centrali przechodziły kolejne szczeble. Gospodarstwa nie miały samodzielności, ich pracownicy musieli realizować nawet absurdalne decyzje z góry.

Okres do roku 1956 to także czas represji wobec rolników przeciwnych zrzeszaniu się w spółdzielnie i niechętnych oddawaniu ziemi (w tym tej, którą im nowe państwo niedawno z taką pompą rozdało). Rewizje, grzywny, niszczenie dobytku i aresztowania spadały na opornych – również tych, którzy nie wywiązywali się z przymusowych dostaw.

Z gospodarczego punktu widzenia ta rewolucja w rolnictwie nie przyniosła spodziewanych rezultatów. Po 1950 r. nastąpił wręcz spadek produkcji rolnej. Gdy w budżecie pieniądze szły na zbrojenia, w sektorze rolnym brakowało przysłowiowych grabi i kos, nie mówiąc o sprzęcie ciężkim. Nastąpiły braki w zaopatrzeniu, półki sklepowe świeciły pustkami, rosły ceny mięsa w nielegalnym handlu. Władza zrzucała winę na kułaków i imperialistów. Polska Kronika Filmowa grzmiała o spisku państw zachodnich, które zrzucają stonkę na uprawy.

Zanim upadł PRL

Przełom październikowy 1956 r. to także przynajmniej częściowa zmiana nastawienia władz PRL do rolnictwa. Odstąpiono od kolektywizacji, która kontrowersje budziła zresztą także wśród działaczy komunistycznych. Sceptyczny był wobec niej Władysław Gomułka, po 1956 r. nowy lider partii i państwa (w swych „Pamiętnikach" pisał, że odebranie chłopom ziemi nie jest dobrym pomysłem, a Polska powinna iść własną drogą do socjalizmu).

Po roku 1956 z ok. 10 tys. spółdzielni, tworzonych pod przymusem na odebranej chłopom ziemi, pozostała więc jedynie garstka. Przetrwały natomiast PGR-y, zakładane na bazie skonfiskowanych majątków ziemskich oraz ziemi odebranej wysiedlanej ludności ukraińskiej, łemkowskiej czy niemieckiej. Zlikwidowano tylko odrębny resort – ich sprawami zajmowało się odtąd Ministerstwo Rolnictwa.

Z czasem PGR-y zyskały większą samodzielność: mogły działać na własny rachunek, miały osobowość prawną, możliwość ↦

MUZEUM REGIONALNE W TOMASZOWIE LUBELSKIM

↦ decydowania o produkcji. Gdy jednak okazało się, że wiele z nich ma problem z wykonaniem planu i popada w długi, w latach 60. PGR-y większe i lepiej zarządzane przejęły te słabsze – w ten sposób powstały duże kombinaty rolne.

W 1989 r. sektor PGR-ów obejmował prawie 18 proc. powierzchni ziemi rolnej w Polsce i zatrudniał 395 tys. osób. Ustawą z 19 października 1991 r. zlikwidowano Państwowe Gospodarstwa Rolne – ich majątek przejęła Agencja Własności Rolnej Skarbu Państwa. Stało się tak, choć wiele z nich miało zyski i dobrze radziło sobie w nowej sytuacji.

Ze społecznego punktu widzenia to trochę tak, jakby jedną ustawą zamknąć wszystkie kopalnie – u progu III Rzeczypospolitej w górnictwie oraz w PGR-ach zatrudniona była podobna liczba ludzi.

Maria Hejzer przed swoim blokiem w Machnowie, jesień 2020 r.

Katarzyna Chmielowiec-Kaluźniak prowadzi na FB grupę Przyjazny Machnów Nowy.

Poczucie odcięcia

Gdyby Jolka chciała dziś posłać córkę do szkoły muzycznej albo na kurs języka obcego, musiałaby o tym szybko zapomnieć. Takie zajęcia odbywają się 20 km stąd, w Tomaszowie Lubelskim. Ostatni autobus z Tomaszowa odjeżdża w stronę Machnowa około 17, a zajęcia w szkole muzycznej trwają do wieczora.

Gdy upadł transport publiczny, rynek przejęli prywatni przedsiębiorcy transportowi. Choć po okolicy jeżdżą busy, z niektórych wiosek nie można się wydostać, nie mając własnego auta – busom nie opłaca się do nich zajeżdżać po jednego czy dwóch pasażerów.

Teraz poczucie odcięcia i alienacji wzmocniła epidemia: młodzież przestała chodzić do szkoły, a prywatne firmy transportowe są na granicy bankructwa, bo nie mają kogo wozić. Bez własnego auta trudno tu funkcjonować. Z czego ma jednak utrzymać auto sprzedawczyni w sklepie, zatrudniona na śmieciówce?

– Mam umowę-śmieciówkę i zarabiam tyle, że na emeryturze będę biedną staruszką. Nie mam nawet minimalnej krajowej – mówi Jolka. – W okolicy ciężko z pracą, więc pracodawcy robią, co chcą.

Transport i praca to nie jedyne przyczyny, dla których wiele terenów dawnych PGR-ów jest w strukturalnie gorszym położeniu. Teraz doszła edukacja. Jolka nie ma pieniędzy, aby kupić córce dobry komputer z mikrofonem i kamerką, a także zapłacić za szybszy internet. Lekcje online się tną, uczniowie słyszą co drugie zdanie albo przez kilka dni nie mogą zalogować się na platformę.

Wiatr w oczy

Problem z edukacją zaczął się jednak wcześniej – z chwilą, gdy rząd PiS zlikwidował gimnazja. Wcześniej to one były dla tutejszych dzieci szansą na szybsze rozpoczęcie lepszej edukacji – gimnazja były lepiej wyposażone niż podstawówki, oferowały nie tylko pracownie biologiczne i chemiczne, ale też zajęcia pozalekcyjne. Teraz wprowadzone na nowo ośmioklasowe podstawówki zatrzymały młodzież na wsi, gdzie poziom nauki jest niższy, a nakłady na szkoły mniejsze. Absolwentom tych podstawówek trudniej jest dostać się do lepszego liceum czy technikum w mieście.

Jolka cieszy się, że syn skończył studia w stolicy i nie chce wracać do Machnowa. Co by tu robił? – Jak to, co? Stałby pod sklepem i drobne liczył – śmieje się koleżanka Jolki, która wpadła po sąsiedzku pożyczyć cukier.

W jesienne przedpołudnie przed sklepem spotykam czterech mężczyzn w średnim wieku, na zewnętrznym parapecie sklepowego okna stoi kieliszek. Mówią, że nie ma tu dla nich pracy. Trochę się więc po okolicy pokręcą, odwiedzą matki, skopią im ziemię w ogrodzie na zimę, zrobią konieczne remonty, a potem jadą w świat szukać zarobku.

– Macie rodziny? – pytam. – Jakieś przyrodnie żony i dzieci w świecie każdy ma – odpowiada Maciej, który już jako 14-latek pracował w PGR-ze przy cielakach, uczyć się nie chciał, a rodzice nie zachęcali, bo i po co? Robota była na miejscu.

Jolka nie chciałaby takiej przyszłości dla swoich dzieci. Ale podkreśla, że choć chłopaki spod sklepu nie wylewają za kołnierz, są chętni do pomocy i nikomu krzywdy nie robią. Tak im się życie ułożyło, ludzie różnie znoszą nieszczęścia. Jolka widzi to po swoim mężu: jeździł busami, przez pandemię firma padła i wylądował na zasiłku: – Mąż wstydził się iść do opieki społecznej, zawsze dobrze pracował, a tu nagle po zasiłek trzeba się zarejestrować. Biednym zawsze wiatr w oczy. Bogatszy sobie w takiej pandemii poradzi, a my co? Możemy tylko obrączki ślubne w lombardzie zastawić.

Stan umysłu

30 lat temu likwidowane PGR-y, zlokalizowane daleko od ośrodków miejskich, okazały się dla pracowników i ich rodzin pułapką. W promieniu 20-30 km nie było widoków na pracę.

– Było ciężko, rodzice żyli z opieki społecznej. Ojciec pił, czasem trafiła mu się dorywcza robota w polu. Wiedziałam, że nie mogę na nich liczyć – opowiada Magda, brunetka po trzydziestce. – Musiałam sama zarobić na książki i ubrania. Chodziłam zbierać truskawki i maliny.

Magda mieszkała w Dyniskach Nowych (także gmina Lubycza Królewska).

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK X3

Barbara Greszta, przewodnicząca Koła Gospodyń Wiejskich w Machnowie Nowym, i Anna Knap, jej zastępczyni. Jesień 2020 r.

W 2011 r. miejscowość liczyła 155 mieszkańców. Kilka bloków i dawny PGR, nawet sklepu nie ma. W XIX w. właścicielem wsi była rodzina Skolimowskich, bywali u nich kompozytor Franciszek Liszt i malarz Artur Grottger, który stworzył tu cykl rysunków o powstaniu styczniowym pt. „Lithuania". Grottger chodził po okolicy na spacery z ukochaną Wandą Monné. Przypomina o tym rzeźba postawiona na pamiątkę ich pobytu we dworze.

Po maturze Magda wyjechała do Warszawy, skończyła studia, znalazła pracę. – Zawsze uważałam, że jeśli tam wrócę, będzie to moja porażka życiowa. Nie oszukujmy się, wybicie się z takiej miejscowości to było coś, co udawało się nielicznym – wspomina. – Moje koleżanki zostały w tych blokach, żyją z 500 plus, ich mężowie pracują w gospodarstwach, które powstały na terenie dawnych PGR-ów, lub wyjechali za granicę. Nie chciałam tak żyć, ciężko pracowałam i doszłam do stanowiska asystenta kierownika w McDonaldzie.

Znajomi Magdy z Warszawy nie wiedzieli, co to takiego PGR. Przyjechali z innych części Polski, w pośpiechu kończyli studia zaoczne, bo na dzienne nie było ich stać. Każdy coś za sobą zostawił.

Magda czuła, że wszystko zależy od niej, że wzięła los w swoje ręce, że oderwała się od przeszłości. Ale przeszłość nie dała o sobie zapomnieć. Wyszła za chłopaka z PGR-u, znali się jeszcze ze szkoły. Po kilku latach zaczęło się piekło. Alkohol, awantury, rozwód.

Dziś uważa, że można z PGR-u wyjechać, ale wszędzie zabiera się go ze sobą, bo PGR to stan umysłu. Ojciec pije, matka ledwie wiąże koniec z końcem, ale nie ma dokąd uciec, nie może się wyprowadzić, bo nie ma pracy. Znosi awantury, czasem przemoc. Strach odkłada się w dzieciach, które, bywa, powtarzają wyuczony scenariusz: robią to, od czego długo próbowały uciekać. Magda nie chce, aby takie życie stało się udziałem jej dzieci.

Republika kobiet

Maria Hejzer ma kłopoty ze słuchem. Stoję przed jej blokiem w Machnowie Starym i krzyczę na całą ulicę. Głos niesie się po okolicy, odbija się od budynków dawnego PGR-u. To tam Maria nabawiła się wady słuchu, jakieś nieleczone zapalenie czy coś w tym rodzaju, jak potem wytłumaczy.

Była dojarką. Wstawała o trzeciej rano, aby zdążyć z robotą i potem naszykować dzieciom śniadanie. Dzieci urodziła jedenaścioro. Wszystkie zdrowe, dawno poszły na swoje.

– Gdyby wtedy dawali 500 plus, nie musiałabym pracować, z dzieci byśmy żyli. A teraz emerytury mam tyle, co kot napłakał, tysiąc złotych z ogonkiem. Świadczenie dla matek, co urodziły czworo dzieci i więcej, nie należy mi się, bo pracowałam – opowiada Maria. – Urabiałam sobie ręce po łokcie, a koleżanki nie pracowały i teraz mi się w nos śmieją.

Kiedy upadł PGR, chwytała się różnych prac, by wykarmić dzieci. Rwała pokrzywy na skup, zbierała owoce, wynajmowała się do buraków. Jakoś dotrwała do emerytury. – Pani patrzy, jak tu teraz smutno, budynki pegeerowskie w ruinie, dużo ludzi wyjechało. Baby same gospodarzą, bo chłopy za granicą albo na tirach po kraju jeżdżą – mówi Maria.

Pewnie dlatego powodzeniem cieszy się Koło Gospodyń Wiejskich w Machnowie Nowym. Mąż Barbary Greszty, przewodniczącej Koła, jeździ ciężarówkami od 15 lat. Jej zastępczyni Anna Knap też widzi męża raz na kilka tygodni. Kobiety spotykają się w kuchni przy dużym stole.

– Naszą specjalnością jest bigos. Ale to nie gotowanie jest najważniejsze. Liczy się to, że możemy pobyć razem. Lepiej przyjść tutaj, niż w domu oglądać telewizję – podkreśla Barbara. – Mój mąż pracował w PGR-ze, jeździł na ciągniku. Pewnego dnia przyszedł i powiedział: „Dzieci trzeba normalnie wychować, nie możemy na wszystkim oszczędzać". Gdy zaczął jeździć na ciężarówkach, zrobiło nam się lepiej. Ale coś za coś, przyszła rozłąka, ze wszystkim w domu jestem sama.

Katarzyna Chmielowiec-Kaluźniak pracuje w sklepie, a na Facebooku prowadzi Lokalną Grupę Działania – Przyjazny Machnów Nowy. Z nostalgią wspomina dzieciństwo, choć jest dopiero po trzydziestce i gdy się urodziła, kombinat miał już za sobą czasy świetności.

Gdy Katarzyna wyszła za mąż, okazało się, że w okolicy nie ma pracy. Wyjechali z mężem za granicę. – Ale nie umiałam tam żyć, tu jest moje miejsce. Jestem pegeruską – uśmiecha się dziś. Mąż został w Anglii, pracuje na wózku widłowym. – Wierzę, że coś się w Polsce zmieni i mąż znajdzie tutaj pracę. Ciężko tak żyć na dłuższą metę – dodaje.

Katarzyna jest radną w gminie Lubycza Królewska, angażuje się w pomoc charytatywną. Akcja „Hania", zorganizowana dla dziewczynki z zespołem Downa, skonsolidowała całą osadę. Udało im się zebrać potrzebne pieniądze, Hania pojechała na obóz.

– Nie zdarzyło się, żeby ktoś odmówił. Wszyscy się tu znają, nawet jak chłopaków spod sklepu o coś poproszę, pomagają. Może to jest właśnie to „coś", co wyróżnia pozytywnie mieszkańców dawnych PGR-ów? – zastanawia się ↦

↦ Katarzyna. – Że żyli w jednej społeczności i pozostała im solidarność.

Ona sama pomaga innym, bo zna smak nieszczęścia: straciła dwuletniego synka.

Ziarno pierwszej kategorii

Włodzimierz Kotyła trafił do PGR-u po raz pierwszy z grupą studentów Akademii Rolniczej. Zamieszkali w barakach w Żurawcach. Pamięta, że lał deszcz, więc kartofle kopali, stojąc na rozłożonych deskach. No i pili. Bo co innego robić wieczorem na takim odludziu?

Ponownie trafił do PGR-u w 1976 r., jako świeżo upieczony magister inżynier, specjalista do spraw agrolotniczych. To była szansa dla młodych ludzi na przydział mieszkania i dobrą pracę. On miał uzdolnienie do mechaniki, usprawnił gospodarstwo, wymyślił taśmociąg do załadunku nawozów na samoloty. Szybko został kierownikiem PGR-u w Rudzie Żurawieckiej. Zarządzał oborami, w których stało 200 krów i 700 cieląt, a także areałem ziemi o powierzchni 1100 hektarów.

– Miałem pod sobą 75 ludzi i już na początku wyrzuciłem piętnastu za picie – wspomina. – Przymykało się oko na wiele rzeczy, ale zabraniałem chlać przy robocie. Ludzie mało zarabiali, trzymali świnki w przydomowych komórkach, zboże kradli z magazynów, ale co było robić? Wszystkich musiałbym zwolnić.

Włodzimierz Kotyła broni PGR-ów, bo te dobrze zarządzane przynosiły zyski. Gospodarstwa były uprzemysłowione, wapnowali gleby, dawali dobre opryski, ziarno było pierwszej kategorii, no i stosowali innowacje, o których rolnik indywidualny mógł tylko marzyć. Właśnie o tym donosiła Polska Kronika Filmowa: „Dziś w Machnowie niezwykły ruch i niezwykli goście. Po raz pierwszy zastosujemy tutaj rozsiewanie nawozów sztucznych przy pomocy samolotów" – mówił lektor.

– PGR czarterował samoloty z Mielca razem z pilotami i mechanikami. To był AN24, latał cztery metry nad ziemią, rozsiewał saletrę amonową. Piloci siedzieli w kombinacie od kwietnia do jesieni – wspomina Włodzimierz.

Największym świętem w PGR-ze były dożynki. Była zabawa dla pracowników i słodycze dla dzieci, wieńce i przyśpiewki. Do Machnowa przyjeżdżali artyści: Hanka Bielicka, Jerzy Połomski, Karin Stanek. Śpiewali w świetlicy, którą robotnicy rozebrali nocą i przenieśli do Machnowa Nowego, gdy w 1951 r. na rozkaz Stalina przesuwano w tej okolicy granicę polsko-sowiecką.

BARBARA GRESZTA
Z KOŁA GOSPODYŃ WIEJSKICH W MACHNOWIE:

Nasza specjalność to bigos. Ale nie gotowanie jest najważniejsze. Liczy się, że możemy pobyć razem.

– Jak nie było nic innego, kiełbasa z nutrii dobrze szła pod wódkę – wspomina Włodzimierz Kotyła. – Na szczęście miałem pod sobą staw i gorzelnię, więc na dożynki była też rybka i spirytus.

Nikt nie chciał rozmawiać

Jan Błaszczuk zaczął pracę w PGR-ze w Machnowie w 1980 r. Gdy skończył Akademię Rolniczą w Lublinie, objeżdżał okoliczne gospodarstwa w poszukiwaniu pracy i tu spodobało mu się najbardziej.

– Dostałem mieszkanie, ludzie byli serdeczni, na miejscu szkoła, przedszkole, ośrodek zdrowia, apteka. Była stołówka, gdzie można było zamówić obiady. Pracownicy PGR-u mieli za darmo deputat mleczny i działki 25-arowe pod ziemniaki. Moje dzieci w mieście nie mają takich warunków socjalnych, jakie miałem – wspomina. Zaczynał jako specjalista produkcji zwierzęcej, ale szybko został zastępcą dyrektora do spraw produkcji.

Gdy ogłoszono prywatyzację PGR-ów, Jan Błaszczuk wszedł do zarządu komisarycznego, który tutejszy kombinat rolny musiał przekazać Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa (dziś to Agencja Nieruchomości Rolnych).

– Żal gardło ściska, jak się popatrzy na rolnictwo czeskie. Tam zmodernizowano duże gospodarstwa i do dziś funkcjonują one na zasadach spółdzielczych – mówi Błaszczuk. – W Polsce był inny klimat polityczny, nikt nie chciał z nami rozmawiać. A przecież u nas produkcja szła dobrze. Mieliśmy trochę kredytu, ale bez problemu byśmy go spłacili... Dyrektor PGR-u w pobliskim Przewodowie opierał się kilka lat, ale i on musiał skapitulować.

Wtedy jak grzyby po deszczu zaczęły powstawać spółki pracownicze. Ale istniały tylko po dwa-trzy lata i padały. Brakowało dobrej kadry zarządzającej, a wśród załogi dominowało pegeerowskie myślenie: „To nie moje, to co się będę starał?".

Z czasem Skarb Państwa wyprzedał lub oddał w dzierżawę majątek dawnego kombinatu. Jan Błaszczuk wraz z dwoma kolegami założył w 1995 r. spółkę Astra, która działała przez 25 lat i obrabiała 650 hektarów. Zatrudnili sześciu pracowników, podczas gdy przed restrukturyzacją na takim terenie pracowało kilkadziesiąt osób.

Błaszczuk: – Ale kiedyś nie było takiego sprzętu. Dziś nikt już obornika końmi nie wywozi, nikt go też nie narzuca widłami na wóz. Mechanizacja usprawniła pracę. Natomiast prawdziwą zmorą PGR-ów była rozbudowana administracja, roiło się od sekretarek, księgowych, kierowników. Gdy ruszyliśmy z naszą spółką, sami wszystko robiliśmy.

W Machnowie mówili, że magister inżynier jeździ ciągnikiem, ale dzięki temu spółka radziła sobie w zmieniających się warunkach.

– Teraz nie ma żadnej satysfakcji z pracy w rolnictwie – uważa Jan Błaszczuk. – Wszystkim chcą sterować urzędnicy. Wciąż nowe zakazy, zalecenia i stosy papierów. Podam przykład: ktoś wymyślił, że do 15 października musi być zaorane i zasiane. I trzymałem się tego jak pijany płotu, choćby dwa tygodnie lało i w pole nie można było wyjść, bo inaczej dopłaty unijne zabiorą.

NIE WSZYSTKIM udało się tak, jak Janowi Błaszczukowi. Część pracowników dawnego kombinatu w Machnowie poszła na wcześniejsze emerytury, wielu żyło z pomocy społecznej, sporo wyjechało do pracy za granicę. W okresie świąt do Machnowa i okolic zjeżdżają samochody z rejestracją niemiecką, szwajcarską, brytyjską.

– Nasza młodzież i średnie pokolenie pracuje za granicą, bo Polska się na nich wypięła. Niby jedna konstytucja, a takie różne traktowanie, nie ma co się dziwić, że wielu ma żal do państwa. Są ludzie, co na restrukturyzacji zbili kokosy, a inni musieli za chlebem jechać w świat – mówi sołtys Zbigniew Sikora.

– Może pani na całą Polskę napisać, że pracowników PGR-ów z dnia na dzień wyrzucili na bruk – dodaje. – Aż dziw bierze, że większość jakoś to przetrwała.

© ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

VYACHESLAV MADIYEVSKYY / EAST NEWS

Manifestacja pod pomnikiem Tarasa Szewczenki w Charkowie w 7. rocznicę wybuchu protestów na kijowskim Majdanie, 21 listopada 2020 r.

O Ukrainie z dystansem

WOJCIECH KONOŃCZUK

Autor tej książki jest zwolennikiem metody, że chcąc zrozumieć naród, najpierw trzeba poznać jego kulturę oraz duszę.

Choć na Ukrainie niezmiennie dużo się dzieje, to w Polsce powstaje zaskakująco mało książek na temat współczesności i historii tego państwa. Tym bardziej warto zauważyć wydaną niedawno publikację „Ukraińskie stulecie 1914–2014. Szkice historyczne" Tadeusza A. Olszańskiego. Autor był przez wiele lat analitykiem ds. ukraińskich w warszawskim Ośrodku Studiów Wschodnich, ale tematyką tą zaczął zajmować się jeszcze w latach 80. XX w. – był wówczas wśród uczestników pierwszych dyskusji polsko-ukraińskich o trudnej przeszłości. Olszański to bez wątpienia jeden z najbardziej doświadczonych polskich obserwatorów sytuacji nad Zbruczem i Dnieprem, mający unikalną wiedzę na temat Ukrainy i Ukraińców.

Napisane w przystępny sposób, „Ukraińskie stulecie" składa się głównie z artykułów publikowanych na łamach „Tygodnika Powszechnego", które zostały rozbudowane i uaktualnione. W efekcie otrzymujemy swoistą autorską wersję historii Ukrainy ostatnich stu lat, z kilkoma wycieczkami do czasów odleglejszych (bez nich, jak przekonuje autor, trudno byłoby zrozumieć obecną sytuację). Olszański pisze o Ukrainie z empatią, ale bywa i surowym sędzią, który nie boi się ostrych wyroków.

Jeden z pierwszych rozdziałów poświęcony jest Tarasowi Szewczence, XIX-wiecznemu ukraińskiemu wieszczowi, któremu wystawiono ponad 1200 pomników. Był on „prawodawcą tożsamości ukraińskiej", a jego twórczość „na zawsze umeblowała wyobraźnię Ukraińców". Dlaczego Szewczenko? Olszański jest zwolennikiem metody, rzadko dziś stosowanej, która głosi, że chcąc zrozumieć naród, najpierw trzeba poznać jego kulturę i (przynajmniej spróbować) zrozumieć jego duszę. Świetna znajomość literatury ukraińskiej autora i liczne odwołania do kultury przebijają zresztą z wielu stron.

Olszański przekonuje, że Ukraińców jako naród konstytuuje nie tylko szewczenkowska poezja, ale też pamięć o Hołodomorze, czyli o głodzie z lat 30. Ale zdziwi się ten, kto spodziewa się tu wyłącznie opowieści martyrologicznej. Firmowym stylem Olszańskiego są niewygodne pytania. Pisze więc, że wprawdzie to decyzje Moskwy doprowadziły do tej katastrofy „apokaliptycznych" rozmiarów, ale „niestety, w dużej mierze uczynili to Ukraińcy Ukraińcom".

Trudne pytania Olszański stawia też, gdy pisze o dyskusji, czy na Ukrainie miała miejsce sowiecka okupacja. Wskazuje, że trudno uniknąć problemu współodpowiedzialności samych Ukraińców za komunizm: „Prawda, że wielka część Ukraińców sprzeciwiała się bolszewizmowi, ale wielka część Rosjan (i innych narodów) przecież też". Wyciąga również kilka „szkieletów" z ukraińskiej szafy, w tym masowe pogromy dokonane przez siły ukraińskie w 1919 r. na Żydach. Autor przyznaje, że przed rokiem 2014 na Ukrainie dojrzewała krytyczna dyskusja nad ciemnymi kartami własnej historii, ale potem wstrzymała ją wojna z rosyjską agresją – wojna, która nie służy „ważeniu racji".

Znajdziemy tu także wątki polsko-ukraińskie. Jest rozdział o wojnie o Lwów z 1918 r., która wybuchła, gdyż „ani Polska, ani Ukraina nie wyobrażała sobie siebie bez Lwowa". Olszański przypomina twórcę ukraińskiego hymnu rodem spod Sanoka i pokazuje, że sojusz Piłsudski–Petlura postrzegany jest w Polsce zupełnie inaczej niż na Ukrainie.

Sporo miejsca poświęcono tu rewolucji godności, która ujawniła potencjał nowego pokolenia, oraz próbie reform, ale też trzymającemu się mocno systemowi oligarchicznemu. Rozważania o ostatnich latach ukraińskiej polityki kończy optymistyczna konstatacja, że Ukraińcy „to już inny naród", który wciąż się zmienia. Także dlatego, że „każdego roku grupa kolejnych »absolwentów« Związku Sowieckiego odchodzi z życia publicznego".

Olszański przyznaje, że Ukraińcy i Ukraina są mu bliscy, ale zarazem wyraża nadzieję, iż udało mu się ustrzec utraty dystansu, który musi zachowywać każdy niezależny analityk. W efekcie otrzymaliśmy książkę ważną, która nie jest wolna od tez mogących wywoływać polemiki. I jednocześnie niebanalny głos na temat jednego z naszych najważniejszych sąsiadów. ©

Tadeusz A. Olszański
UKRAIŃSKIE STULECIE 1914–2014. SZKICE HISTORYCZNE
Wysoki Zamek, Kraków 2020

ANDRZEJ

Stasiuk:
O bohaterach

Dla Magdy Budzińskiej

Zaczyna się zawsze od obrazu. Nigdy od myśli, nigdy od idei. Jak zaczyna się od myśli albo idei, to potem trzeba się tego trzymać. Taka jest natura umysłu: dość trudno zdradza sam siebie, dość trudno myśli przeciw sobie. Obraz po prostu się zjawia. A po nim następne i następne. W odróżnieniu od myślenia, to nie wymaga żadnego wysiłku. A ja jestem leniem. Więc czekam, aż nadejdą obrazy. Najczęściej są to krajobrazy. Geografia w dość czystej postaci. Bez architektury, historii oraz ludzkiej obecności. Te rzeczy przychodzą później. Trudno jest opisywać czyste krajobrazy, bo przecież pisze się jednak, żeby ktoś to przeczytał. Z jakiegoś względu ludzie lubią czytać o sobie, czyli o ludziach. Nie do końca to rozumiem, ale idę na kompromis i zaludniam, zabudowuję, dodaję jakieś historyczne czy społeczne okoliczności.

Widzę krajobraz, wpuszczam do niego człowieka i patrzę, co zrobi. W powieści, którą teraz piszę, a Ty czytasz, jeden z bohaterów miał być ostatnim skurwysynem, ale już nie jest, ponieważ spotkał inne postacie. Nie wymyśliłem tych postaci. Zjawiły się jak pierwszy obraz: obraz leniwej, dzikiej rzeki, podmokłych brzegów i lekko falujących równin. Obraz, jaki zapamiętałem z dzieciństwa, i jest to dla mnie pejzaż wewnętrzny i fundamentalny. I kolejne postacie wyszły z niego już gotowe. Teraz przyglądam im się i czekam, co zrobią. Bo naprawdę nie wiem. Z rozdziału na rozdział czekam, co będzie dalej. Oczywiście, jak jest, powiedzmy, 20 czerwca 1941 roku, to mniej więcej wiadomo, że hitlerowcy zaraz pójdą na ruskich, ale co zrobią bohaterowie – nie wiadomo. Wiesz, ich potencjały uwalniają się stopniowo i trochę niezależnie od mojej woli. To jest najlepsze w pisaniu powieści: niewiadoma. Oczywiście, można by ich wszystkich wziąć za pysk i powiedzieć: ty robisz to, a ty tamto. Ale co to jest za radość? Żadna. To jest nuda, a przecież nie ma nic gorszego niż nudna praca w życiu. Tak więc bohaterowie hasają i dokazują, ja tylko spisuję ich słowa i czyny. Daję im wolność i mogą się świnić, oddawać cnocie, bohaterstwu albo tchórzostwu, ale zawsze mają wybór. I zawsze są szybsi od mojej wyobraźni. Wymyślam dla nich jakąś rzeczywistość, oni w nią wchodzą, a ja patrzę, co zrobią. I często robią rzeczy dla mnie zaskakujące. Tak jak ta para młodych ludzi, prawdopodobnie rodzeństwo. Groźba śmierci sprawia, że wchodzą ze sobą w bardzo bliskie relacje. Nie wiedziałem, że tak będzie, nie podejrzewałem nawet. Po prostu tak się stało, bo nie było innego wyjścia.

Ale tak jak Ci mówiłem, wszyscy są dziećmi krajobrazu. Wychodzą z niego. On ich kształtuje i jednocześnie przytłacza. Czasami ich niszczy. Bo jest starszy i większy od nich, i koniec końców zamknie się nad nimi, pochłonie ich. To jest oczywiście dość fatalistyczna wizja. Ale też niesie swoistą pociechę. Mianowicie taką, że jednak bierzemy udział w czymś, co ma większy sens niż my sami. Chociaż jest to sens okrutny. Po prostu zjawiamy się, robimy swoje i znikamy.

Wiesz, mnie chyba jednak ukształtowały westerny oglądane w dzieciństwie i młodości. Ten archetypiczny obraz, gdy zza horyzontu wyłania się maleńka figurka jeźdźca. Znikoma, prawie niedostrzegalna, w tumanie kurzu. Oczywiście westerny tamtych czasów to był taki amerykański socrealizm. Z tym zwalistym jak stodoła i pozbawionym krzty dramatyzmu, o tragizmie nawet nie wspominając, Johnem Wayne'em. Ale potem zjawił się Sam Peckinpah i western nabrał prawdziwie epickiej siły. No i pochlebiam sobie, że moi bohaterowie są chociaż trochę peckinpahowscy. Jest taka fenomenalna scena, u Clinta Eastwooda wprawdzie, w „Bez przebaczenia", gdy łajdacki szeryf Hackman leży na podłodze, a równie albo jeszcze bardziej łajdacki bandyta Eastwood mierzy do niego z karabinu. Hackman mówi: „Nie zasłużyłem". A Eastwood odpowiada: „Zasługi nie mają tu nic do rzeczy". I oczywiście strzela.

Może tak powinno być z bohaterami? Że ich zasługi nie mają nic do rzeczy? I dając im życie, nie potrafimy przewidzieć ich losu? Ale może dajemy im wolność? Nie wiem. ©

REKLAMA

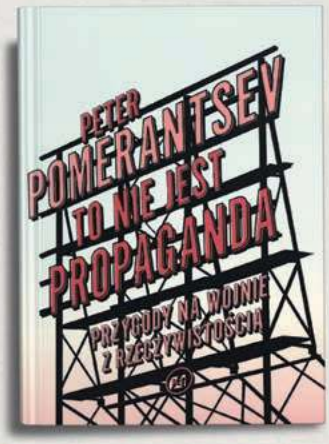

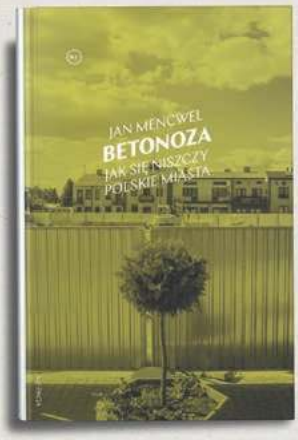

→ WYDAWNICTWO.KRYTYKAPOLITYCZNA.PL

znajdziesz w empik salony/online/aplikacja i dobrych księgarniach

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 01-02/2021

ZŁOTO BAŁTYKU

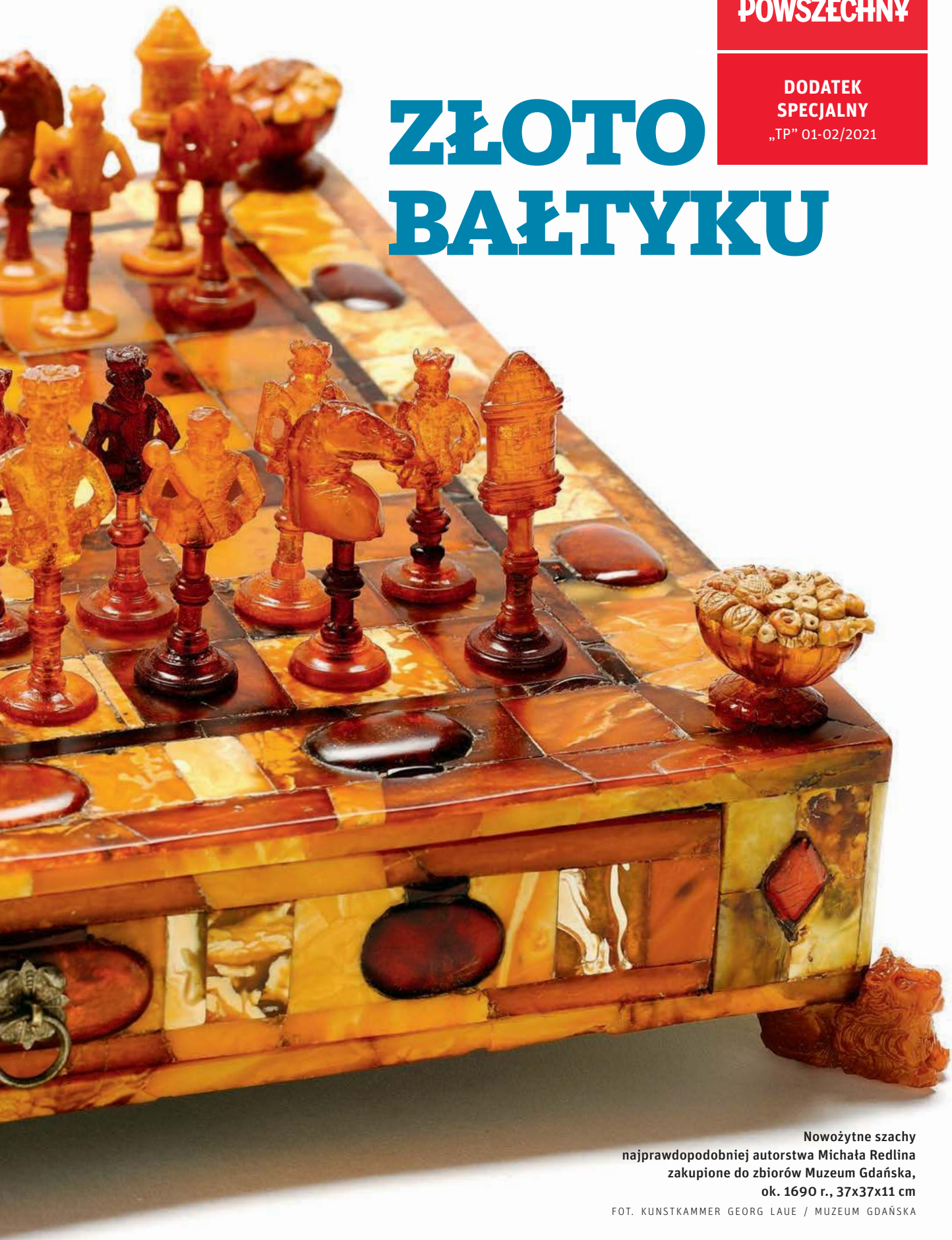

Nowożytne szachy najprawdopodobniej autorstwa Michała Redlina zakupione do zbiorów Muzeum Gdańska, ok. 1690 r., 37x37x11 cm

FOT. KUNSTKAMMER GEORG LAUE / MUZEUM GDAŃSKA

MATERIAŁY JONAS DAMZEN / AMBER INCLUSIONS X3

Inkluzje w bursztynie bałtyckim. Od góry: ptasznik, chwytonóg i gekon

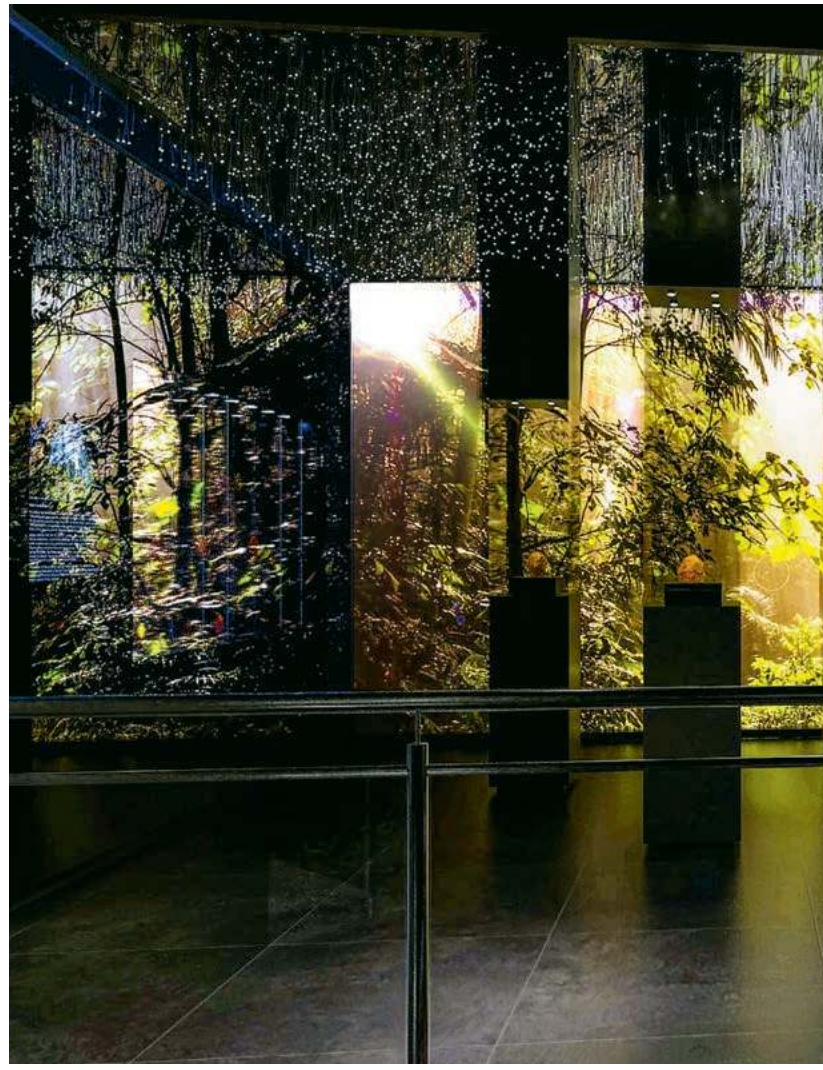

Bursztyn łączy

WALDEMAR OSSOWSKI, DYREKTOR MUZEUM GDAŃSKA:

Muzeum Bursztynu stało się jedną z najważniejszych atrakcji turystycznych w Gdańsku.

GRZEGORZ NUREK: Bursztyny mają różne kolory: wiśniowy, żółty, biały, czerwony, fioletowy... Od czego zależy ich barwa?

WALDEMAR OSSOWSKI: Mimo rozwoju badań naukowych bursztyn ciągle nas zaskakuje, pewne zagadnienia pozostają wciąż tajemnicą! Powstawanie żywic podobnych do bursztynu to proces, który rozpoczął się ponad 300 mln lat temu i nie będzie przesadą, jeśli stwierdzimy, że trwa do dziś... na całym świecie. Jedynym miejscem, w którym nie znaleźliśmy jeszcze bursztynopodobnych kopalin, jest Antarktyda. Tam jeszcze nikt bursztynu nie szukał, a pod pokrywą lodowca być może kryją się nowe złoża. Ale wśród niemal 400 znanych na świecie żywic kopalnych to właśnie eoceński bursztyn bałtycki sprzed ok. 40 mln lat został doceniony przez naszych przodków, a zawarte w nim inkluzje budziły zainteresowanie już w starożytności.

Dziś potrafimy wyjaśnić większość odmian barwnych oraz determinujących je czynników, takich jak np. aktywność wulkaniczna. Kolory żywic kopalnych będą jedną z pierwszych opowieści w nowym Muzeum Bursztynu. Każdy będzie mógł wejść do instalacji przedstawiającej dawny las, zobaczyć, jak wewnątrz drzew formował się bursztyn oraz efekty tego procesu, np. największą bryłę fioletowego bursztynu na świecie, który pochodzi z Sumatry.

Bursztyn bałtycki nie występuje jedynie w pasie nadmorskim,

MATERIAŁY MUZEUM GDAŃSKA

Fragment wizualizacji wystawy nowego Muzeum Bursztynu w Wielkim Młynie autorstwa Anny Zachowicz-Bocek pt. „Las bursztynowy"

spotyka się go także w głębi Polski. Można go też znaleźć w kilku innych krajach.

Jeśli wierzyć badaniom, to aż 95% światowych złóż bursztynu znajduje się w dzisiejszym Jantarnym w rosyjskim obwodzie kaliningradzkim. Według wyliczeń rosyjskiego uczonego Światosława S. Sawkiewicza w ciągu ostatnich trzech tysiącleci na wybrzeżu Morza Bałtyckiego zebrano 60 tys. ton bursztynu. Naturalny bursztyn bałtycki z Gdańska i delty Wisły wyróżnia się szczególnym bogactwem barw i stopniem przeźroczystości. Jest stwardniałą żywicą, ale lekką i kruchą.

W niedalekiej przeszłości bursztyn wydobywano na Mazurach, w niemieckim Bitterfeld koło Lipska, a nawet w Danii. Od niedawna bursztyn zaczęto wydobywać na Ukrainie oraz pod Lubartowem koło Lublina. Te dwa ostatnie złoża zaliczamy wciąż do bursztynu bałtyckiego. Lubartowskie bursztyny o wiśniowym kolorze również znajdą się w salach wystawowych w nowym Muzeum Bursztynu.

Dlaczego to właśnie Gdańsk jest nazywany światową stolicą bursztynu?

Bursztyn bałtycki stał się częścią sieci obrotu surowcami już ponad pięć tysięcy lat temu i wciąż pozostaje symbolem kultury europejskiej rozpoznawalnym na całym świecie. Choć cech bursztynników powstał w Gdańsku w 1477 r., a najcenniejszy bursztyn wydobywano właśnie w okolicach naszego miasta, to złoty okres Złota Bałtyku w Gdańsku rozpoczął się stosunkowo późno, na przełomie XVI-XVII w., i trwał do połowy XVIII w. To właśnie z tego okresu pochodzą najcenniejsze wyroby, np. kabinety, szachy czy ołtarzyki modlitewne. Kupowały je elity nowożytnej Europy. Mistrzowie gdańscy zaprojektowali i wykonali dwa najbardziej znaczące w skali dzieła bursztynowe: tron cesarski Leopolda I (1678) oraz bursztynowy wystrój gabinetu króla pruskiego Fryderyka I w Berlinie (1701-12) – ten drugi wszedł później w skład Bursztynowej Komnaty. W dwudziestoleciu międzywojennym głównym ośrodkiem produkcyjnym był z kolei Królewiec, dzisiejszy Kaliningrad.

Obecnie bursztynową stolicą jesteśmy głównie dzięki temu, że pomorscy i gdańscy bursztynnicy umiejętnie wykorzystali przemianę polityczną, gospodarczą oraz otwarcie Polski na świat. W żadnym innym mieście nie działa tyle firm wyspecjalizowanych w produkcji biżuterii z bursztynu. Obok nich działają również projektanci. Nowoczesna, designerska biżuteria, łamiąca nieraz stereotypowy związek bursztynu ze srebrem, pokazywana jest na całym świecie. Ważnym miejscem kreowania współczesnej stylistyki bursztynu stała się działająca od 2006 r. na Wydziale Architektury i Wzornictwa gdańskiej Akademii Sztuk Pięknych Pracownia Designu Eksperymentalnego. W Gdańsku odbywają się co roku najważniejsze targi związane z bursztynem, czyli Amberif.

Sercem światowej stolicy bursztynu jest jednak Muzeum Bursztynu, które stało się jedną z najważniejszych atrakcji turystycznych w Gdańsku. Zgromadziliśmy i wciąż gromadzimy nagradzane w konkursach projekty, niektóre kupujemy, ale zdarza się, że otrzymujemy je w darze z intencją, by zostały pokazane na wystawie. Dzięki pasji i zaangażowaniu bursztynników w tworzenie naszej kolekcji we wnętrzach nowego muzeum opowiemy również o światowych trendach i modzie.

Co nas czeka latem w Wielkim Młynie?

Wielkie otwarcie! Warto jednak zwrócić uwagę na ideę i formułę nowego gdańskiego Muzeum Bursztynu. Będzie ono nie tylko centralnym punktem na mapie turystycznej, centrum opowieści o bursztynie bałtyckim i wizytówką światowej stolicy bursztynu, ale przede wszystkim spełni rolę łącznika między przeszłością a teraźniejszością. ↦

Będzie łączyć ludzi ponad granicami i ponad barierami. Bursztyn... łączy. Warto zauważyć ciekawą rzecz: w muzeach dosyć często dzieli się sztukę na tę dawną i tę współczesną. U nas zwiedzający zobaczy zarówno arcydzieła sztuki sprzed wieków, jak i te sprzed kilku lat.

Nowe Muzeum Bursztynu powstaje także w ramach współpracy transgranicznej. W jej ramach, w programie Polska-Rosja 2014-2020 finansowanym ze środków Unii Europejskiej i Federacji Rosyjskiej, współpracujemy z Muzeum Światowego Oceanu w Kaliningradzie nad przygotowaniem dwóch wystaw opowiadających o bursztynie, a także nad wymianą doświadczeń, wiedzy i wystaw. Dla nas jest to sprawa priorytetowa. Mamy nadzieję, że wspólna inicjatywa znajdzie uznanie także w oczach turystów.

Nie zapominamy o osobach wykluczonych – cały budynek muzeum, poziomy wystaw i oferta edukacyjna będą dostępne dla osób z niepełnosprawnościami ruchu, wzroku i słuchu.

To właśnie z tego względu inicjatywę powstania nowego Muzeum Bursztynu w takiej formule gorąco wspierał śp. Paweł Adamowicz, a obecnie prezydent Gdańska Aleksandra Dulkiewicz.

Za sprawą serialu „Gambit królowej" oraz sukcesów szachowych Jana Krzysztofa Dudy wzrasta w Polsce zainteresowanie szachami. Muzeum zakupiło ostatnio komplet szachów wart 2,4 mln złotych. Jaka jest jego historia?

Obie historie – zabytku i jego pozyskania do zbiorów muzealnych – są ciekawe. Szachy, wyprodukowane ok. 1690 r., prawdopodobnie w warsztacie jednego z najbardziej uznanych gdańskich mistrzów i artystów, Michała Redlina, omal nie trafiły do Nowego Jorku. Postawiliśmy wszystko na jedną kartę, by po ponad trzech wiekach wróciły do Gdańska. Ogromnego wsparcia udzieliła nam Unia Europejska i urzędnicy Wspólnego Sekretariatu Technicznego Programu Polska-Rosja, wyrażając zgodę na sfinansowanie zakupu ze środków naszego transgranicznego projektu „Połączeni bursztynem". To, że w Gdańsku zobaczymy jeden z czterech w pełni zachowanych kompletów nowożytnych szachów na świecie oraz – można powiedzieć – najbardziej okazały i najpiękniejszy, jest zasługą nas wszystkich.

Szachy są w idealnym stanie, jeśli wziąć pod uwagę, że mają ok. 330 lat, a wraz z upływem czasu bursztyn staje się coraz bardziej podatny na uszkodzenia. Ponad dwa i pół wieku przechowywano je w skarbcu na zamku Blair w Szkocji, który należy do rodziny książąt Atholl. Warto zobaczyć na własne oczy, jak delikatne są pionki do gry. Każdy jest inny i widać to nawet na poziomie takich detali, jak warkocze włosów. Z mistrzostwem zakupionych szachów nie może się równać nawet komplet, który posiada w swoich zbiorach duńska rodzina królewska. Warto, by najlepsze bursztynowe eksponaty były pokazywane w miejscu, w którym były wytwarzane. W Gdańsku.

A jak powstają inkluzje?

Inkluzje są nieocenionym źródłem wiedzy o dawnych czasach, dawnych środowiskach i organizmach je zamieszkujących oraz o panującym kiedyś klimacie. Inkluzja – roślinna, zwierzęca czy nawet inkluzja kropli wody – to zawsze dzieło przypadku. Aby taki obraz przeszłości mógł powstać w okolicy niezaschniętej żywicy, musi się pojawić jakieś obce ciało i w nią „wpaść", a następnie – najczęściej – zostać przykryte kolejną warstwą żywicy. Co ciekawe, najwięcej inkluzji jest w najmłodszych żywicach kopalnych, tych sprzed ok. miliona lat, np. w okolicach Morza Karaibskiego. W najstarszych okazach, sprzed 300 mln lat, nie ma ich praktycznie wcale. Bursztyny bałtyckie, które pochodzą sprzed 40-55 mln lat, również zawierają inkluzje, czyli „odciski" dawnych form życia. Gdybyśmy przepołowili bursztyn z owadem, w środku znaleźlibyśmy... próżnię w kształcie insekta.

Jakie inkluzje zobaczymy w muzeum?

Inkluzje w bursztynie uważano od wieków za cenne przedmioty kolekcjonerskie. Jeden z największych zbiorów znajdował się do II wojny światowej właśnie w Gdańsku. Najcenniejsze są te najrzadsze, np. słynna, pokazywana w muzeum jaszczurka Gierłowskiej. Niedawno dzięki dotacji Narodowego Instytutu Muzealnictwa i Ochrony Zbiorów trafił do naszych zbiorów drugi na świecie i najbardziej spektakularny okaz gekona. Towarzyszą mu chwytonóg i aż czterocentymetrowy ptasznik. W darze otrzymaliśmy także piękną osę w bursztynie. Poza tym w naszych zbiorach znajdują się inne obrazy przeszłości – życia roślinnego i zwierzęcego, które będziemy mogli podziwiać również w mikroskali. Niektóre nawet noszą nazwę naszego miasta...

Jak dotąd, istnieje 17 nazw rodzajowych i gatunkowych związanych z Gdańskiem, kolejne są w trakcie oficjalnego nadawania. Jedną z pierwszych formalnie opisanych jest karaluch gdański, obecnie znany pod nazwą *Ischnoptera gedanensis 1856*. Odkrywca nowego gatunku ma przywilej nadania mu oficjalnej nazwy, a jego nazwisko jest zawsze z nim skojarzone.

Muzeum będzie też można zwiedzać wirtualnie.

Taki zamysł towarzyszy nam od początku, choć zrealizujemy go najwcześniej trzy miesiące po otwarciu muzeum. Dzięki dotacji Narodowego Centrum Kultury we wrześniu 2020 r. udostępniliśmy internautom wirtualne wycieczki po oddziałach Muzeum Gdańska; trasa w nowym Muzeum Bursztynu w Wielkim Młynie uzupełni tę ofertę. Pokażemy kilka panoram w technologii 360° uzupełnionych o opisy najciekawszych miejsc i przedmiotów. Będą temu towarzyszyły nagrania audio oraz na system języka migowego, audiodeskrypcje i w końcu archiwalne bądź współczesne zdjęcia. Ale choć takie muzeum będzie można zwiedzać w dowolnej porze dnia, nic nie zastąpi wizyty i nawiązania własnej relacji z przeszłością. Tym bardziej że jak wspominałem, wnętrza Wielkiego Młyna będą w pełni dostępne dla osób z niepełnosprawnościami.

A. GRABOWSKA / MUZEUM GDAŃSKA

DR HAB. WALDEMAR OSSOWSKI jest z wykształcenia archeologiem, profesorem Uniwersytetu Gdańskiego, dyrektorem Muzeum Gdańska, którego jednym z dziesięciu oddziałów jest Muzeum Bursztynu.

To właśnie mistrzowie bursztyniarskiego cechu z Gdańska przez 11 lat tworzyli Bursztynową Komnatę. Wierzy Pan w jej odnalezienie?

Po II wojnie światowej na czarnym rynku pojawiły się kamienne fragmenty oryginalnej Bursztynowej Komnaty, ale osobiście nie jestem przekonany, by kiedykolwiek ktoś ją odnalazł, a jeśli już, to stan jej zachowania po tylu latach będzie fatalny. Legenda żyje, bo Komnatę zaliczono do katalogu cudów świata. Każde kolejne poszukiwanie domniemanego miejsca jej ukrycia staje się jednocześnie szeroko komentowaną akcją marketingowo-promocyjną firmy bądź regionu, ale informacje są w miarę jasne: Komnata spłonęła podczas bombardowań Królewca w 1944-45 r. Dziś możemy podziwiać jej replikę w Carskim Siole w Rosji, a jej miniaturę w Kleinmachnow pod Berlinem. W nowym Muzeum Bursztynu zajrzymy do niej dzięki goglom i archiwalnym zdjęciom.

Czego jeszcze o bursztynie nie wiemy?

Wielu rzeczy – np. nie znamy do tej pory dokładnej lokalizacji wszystkich światowych złóż żywic kopalnych, w tym bursztynu bałtyckiego. Do dziś nie ustalono, z jakiego konkretnie drzewa wyciekła ta żywica. Naukowcy stwierdzają jedynie, że najpewniej jest to drzewo iglaste z rodziny sosnowatych lub sośnicowatych. Wiek bursztynu bałtyckiego również jest przedmiotem zaciekłych sporów. W literaturze naukowej waha się zazwyczaj między 35 a 50 milionami lat. Na pewno czekają nas jeszcze ciekawe odkrycia.

I także z myślą o nich tworzymy nowe muzeum. W jego wnętrzach znajdą się nie tylko sale wystaw czasowych, w których będzie można rozwijać opowieść o bursztynie, ale także – co stanowi nowość – wyspecjalizowana pracownia badawczo-konserwatorska, pozwalająca zabezpieczać dawne dzieła sztuki przed zniszczeniem oraz badać bursztyn. W takiej formule nie działa obecnie żadne muzeum na świecie, które w swojej kolekcji posiada eksponaty z bursztynu. Gdańsk i jego nowe Muzeum Bursztynu umożliwią poznanie fragmentów naszej przeszłości również w takim zakresie.

© Rozmawiał GRZEGORZ NUREK

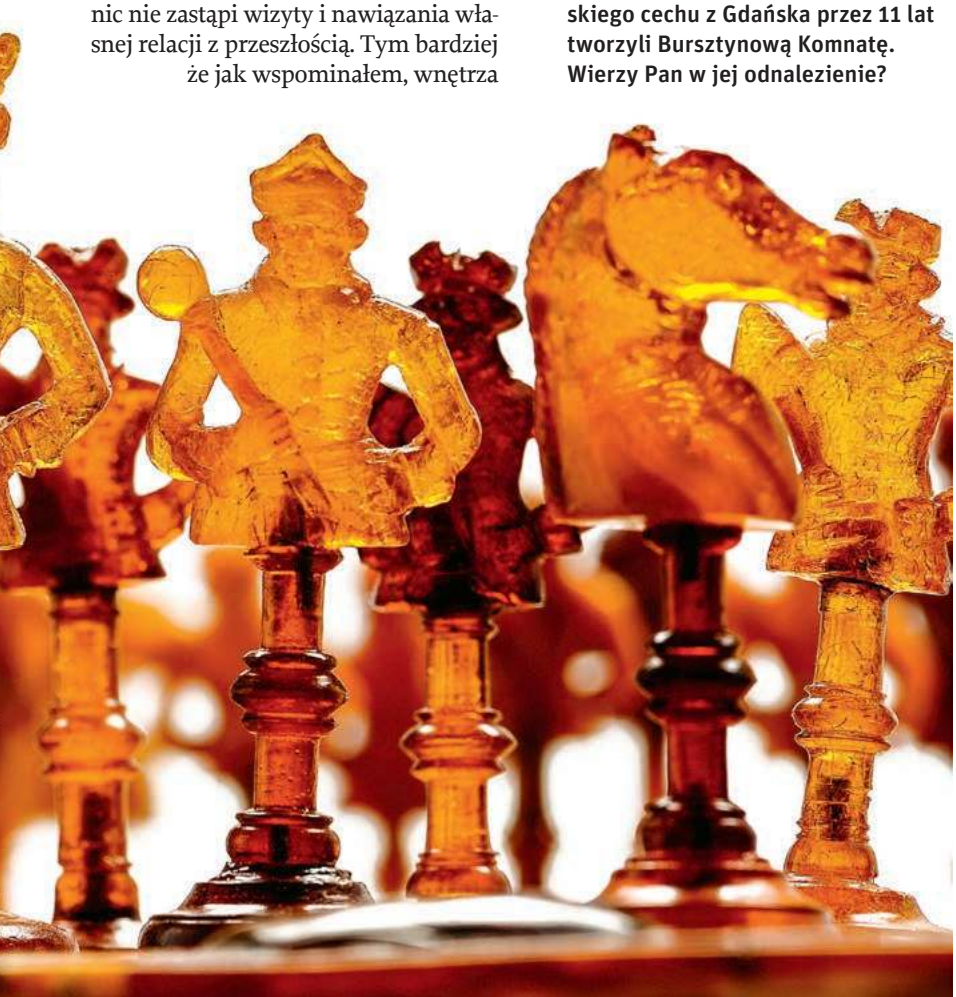

KUNSTKAMMER GEORG LAUE / MUZEUM GDAŃSKA

Nowożytne szachy najprawdopodobniej autorstwa Michała Redlina, zakupione do zbiorów Muzeum Gdańska, ok. 1690 r., 37x37x11 cm

W Wielkim Młynie

ANDRZEJ GIERSZEWSKI

W pomieszczeniach będzie panował półmrok. W tej tajemniczej aurze zobaczymy piękno i żywioł bursztynu bałtyckiego.

Majestatyczna bryła największego zakładu przemysłowego średniowiecznej Europy wraz z wysokim kominem przy ul. Wielkie Młyny 16 dominuje nad lokalnym krajobrazem. Opowiada o dawnej potędze (budynek był również elementem średniowiecznego systemu fortyfikacji), organizacji gospodarczej Gdańska oraz świadczy o geniuszu technicznym dawnych inżynierów. To stąd zaopatrywano całe miasto w mąkę i potrzebny do produkcji piwa słód. I to właśnie tu rozpoczął się bunt gdańszczan przeciwko panowaniu krzyżackiemu w 1454 r.

Do Wielkiego Młyna, przyszłej siedziby Muzeum Bursztynu, oddziału Muzeum Gdańska, będzie można wejść od ul. Rajskiej, od strony placu Jana Heweliusza, znanego gdańskiego astronoma... i piwowara. Uwagę zwiedzających od razu zwróci kolorystyka otoczenia i panujący w pomieszczeniach półmrok. To właśnie w tej tajemniczej aurze zobaczymy piękno i żywioł bursztynu bałtyckiego, wszystkich jego odcieni kolorystycznych, a naszą uwagę będą przyciągać iluminowane instalacje multimedialne.

Jak powstawał bursztyn

Po zakupie biletu będzie można pójść albo wprost do znajdującej się nieopodal sali wystaw czasowych, albo do windy, która zabierze nas na pierwsze piętro. To tu znajdziemy pasjonującą i nowoczesną opowieść o historii powstania bursztynu bałtyckiego, podzieloną na dziesięć części. Najpierw jednak warto zwrócić uwagę na pierwszą z dwóch taśm czasu, która rozpoczyna historię żywic kopalnych od wydarzeń sprzed ponad 300 milionów lat aż do czasów obecnych.

Zwiedzanie rozpocznie się od kolekcji unikatowych okazów naturalnych brył bursztynu, ukazujących ich różnorodność w zależności od umiejscowienia skamieniałego nacieku żywicy wewnątrz lub na zewnątrz macierzystego drzewa. Zaraz za nimi znajdzie się Bursztynowe Drzewo: iluminowana instalacja artystyczna złożona z dziewięciu ścian drzewa wykonanych z czarnego dębu i złotej żywicy. Na znajdującej się wewnątrz „drzewa" ścianie stalowej zobaczymy film animowany o powstaniu bursztynu.

Czymże byłby bursztyn bez uwięzionych w nim form życia? Na wystawie znajdą się również okazy przyrodnicze i zwierzęce, a w osobnej gablocie zobaczymy najciekawsze okazy, np. jaszczurkę Gierłowskiej (znalazła ją gdańska bursztynniczka Gabriela Gierłowska), solifugę i gekona gdańskiego. Ekspozycję uzupełni film animowany o powstawaniu inkluzji oraz – dla osób o stalowych nerwach – zdjęcia inkluzji w dużym powiększeniu. Kolejne dwie części wystawy będą poświęcone odmianom kolorystycznym bursztynu (od żółtego po czarny), miejscom występowania żywic kopalnych na świecie oraz „odciskach" dawnej flory i fauny w skamieniałej żywicy.

W Bursztynowym Lesie

Czas na krótki odpoczynek! Kącik familijny to specjalnie zaprojektowana przestrzeń edukacyjna – w cieniu wydrukowanej w technologii 3D jaszczurki Gierłowskiej znajdzie się okrągły stół z interaktywnymi reliefami, na którym dzieci będą mogły odrysować owady występujące w bursztynie.

Ostatnie trzy części wystawy przyrodniczej zawierają dwie wielkoformatowe instalacje. Raz jeszcze powrócimy do Bursztynowego Lasu, nie tylko po to, by się dowiedzieć, jakie drzewa wytwarzały żywicę, ale także po to, by przypomnieć sobie najważniejsze informacje – pomoże w tym gra multimedialna. Po ukończeniu zadań przeniesiemy się do epoki lodowców, które cyklicznie pokrywały Europę co kilkaset tysięcy lat.

DARIUSZ KULA / MUZEUM GDAŃSKA

Muzeum Bursztynu w Wielkim Młynie w Gdańsku

MATERIAŁY MUZEUM GDAŃSKA

Wizualizacja wystawy nowego Muzeum Bursztynu w Wielkim Młynie autorstwa Anny Zachowicz-Bocek

Dzięki animacjom zobaczymy poszczególne fazy zlodowaceń wpływających na usytuowanie złóż bursztynu bałtyckiego. Techniki jego wydobycia, nie tylko na plaży, to temat kolejnej części wystawy.

Na tym etapie niejeden zwiedzający zapyta: „jak wygląda bursztyn w mikroskali?". Na to pytanie na pewno odpowie Amberator, czyli multimedialna instalacja edukacyjna z przestrzennymi elementami interaktywnymi, która pokaże niedostępny nam świat właściwości fizycznych i chemicznych bursztynu. Urządzenie znajdziemy tuż obok trójwymiarowego, wielkoformatowego modelu cząsteczki chemicznej kwasu bursztynowego.

Przed udaniem się na drugie piętro wystawy, która opowie o bursztynie w kulturze, zajrzymy jeszcze do bursztynowej apteki. To tu poznamy powody, dla których bursztyn jest dziś tak ceniony i cenny oraz dlaczego jego historia jest dziś pokazywana w muzeach. W XVIII-wiecznej szafie aptecznej, wypełnionej starymi butelkami, słoikami, menzurkami i narzędziami aptekarskimi, znajdziemy produkty pochodzące z suchej destylacji bursztynu – kwas bursztynowy, olej bursztynowy, kalafonię oraz inne produkty z nich powstające, np. werniksy. Tu jednym z ciekawszych eksponatów będzie pomander, czyli bursztynowe jabłko, wykonane według nowożytnej receptury, które swoim zapachem miało odstraszać zarazę. Opowieści i wierzenia naszych przodków związane z bursztynem zostaną zilustrowane za pomocą instalacji multimedialnych.

Nowe muzeum już latem

Przygoda z przyrodniczą historią żywic kopalnych i bursztynu nie skończy się na wierzeniach o ich leczniczych właściwościach. Drugą część wystawy warto opisać własnymi słowami, odwiedzając nowe Muzeum Bursztynu już niebawem – latem 2021 r. W wakacje, aż do 18 września, muzeum przy ulicy Wielkie Młyny 16 będzie czynne od godziny 10 do 19.

Zwiedzanie ekspozycji potrwa kilka godzin. W budynku znajdą się także restauracja, kafeteria oraz sklep, w którym będzie można zakupić certyfikowane wyroby z naturalnego bursztynu bałtyckiego oraz pamiątki i publikacje Muzeum Gdańska. ©

DR ANDRZEJ GIERSZEWSKI *jest rzecznikiem prasowym Muzeum Gdańska.*

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 01-02/2021

REDAKCJA: Grzegorz Nurek | PROJ. GRAF. Marek Zalejski
FOTOEDYCJA: Grażyna Makara | SKŁAD: Zuzanna Kardyś

PARTNER MUZEUM GDAŃSKA

KULTURA

NASZA KLASA

No to mamy nowego zbiorowego faworyta. W gorączkowych harcach wokół ludu chodzi o to, by stanąć po właściwej stronie historii.

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Pod koniec roku doszłam do wniosku, że aplikacje do wideokonferencji, takie jak MS Teams, Zoom czy Skype, to bardzo przewrotne narzędzia, za pomocą których ziemiaństwo oraz burżuazja I i II Rzeczypospolitej kontaktują się z zaświatów z potomnymi. Dzięki technologii elity intelektualne mogą mimo turbulentnych czasów pandemii nieprzerwanie, komfortowo i bezpiecznie dla zdrowia rozprawiać o historii ucisku ludu, pochylać się nad włościanami i robotnikami, nawet uronić łzę.

Przy okazji wracają obrazy Polski szlacheckiej i fabrykanckiej, głosy okrutnych i oświeconych panów, ich nazwiska, herby, tytuły, nazwy dworów i manufaktur. Lud, który miał być protagonistą obrachunkowej narracji, jest nie tylko anonimowy. Przede wszystkim jego człowieczeństwo zostaje zredukowane do wymiaru nagiego życia. Bieda, głód, wyczerpanie, gwałt, cielesne kary, przedwczesna śmierć – oto główny katalog krzywd. Wizja totalnej ofiary ludu budzi gniew, litość i sprzeciw, ale czy rodzi współczucie? Z bohaterem zbiorowym, który nie ma osobowości, trudno się identyfikować. Bardzo możliwe, że rozprawa historyków i socjologów z dziejami polskiego ucisku nie może wyglądać inaczej. Podporządkowani rzadko mówią tu własnym głosem.

Pierwszy krok do tego, by lustro zostało odwrócone, został już zrobiony. Można powiedzieć, za sławnym esejem Gayatri Chakravorty Spivak o uprawianiu myśli krytycznej, pt. „Czy podporządkowani inni mogą przemówić?", że i w Polsce lud „został rozpoznany jako potencjalny obiekt uwodzenia dla reprezentującego podmiot intelektualisty". Od paru lat można przebierać w książkach historycznych i dziennikarskich o dawnych robotnicach i robotnikach, chłopach pańszczyźnianych i służących. To wyraźny odwrót od utożsamiania historii Polski ze zmieniającą właścicieli koroną i zdjęcie z cokołu postaci magnata, a w jej miejsce postawienie kamerdynera.

DANIEL FRYMARK / FORUM

Darcie pierza.
Dożynki gminne w Konarzynach,
7 września 2019 r.

Apogeum tej fali nadeszło jesienią. Sezon na lud otworzył w wielkim stylu Radek Rak, odbierając Nagrodę Nike za „Baśń o wężowym sercu albo wtóre słowo o Jakóbie Szeli". Zaraz potem rozsypał się worek z fantami. Międzynarodowe Centrum Kultury wydało wyczekiwany polski przekład „Wynalezienia Europy Wschodniej. Mapy cywilizacji w dobie Oświecenia" Larry'ego Wolffa (wyd. ang. 1994, przeł. Tomasz Bieroń) oraz pierwszą „polską" książkę tego amerykańskiego historyka, pt. „Idea Galicji. Historia i fantazja w habsburskiej kulturze politycznej". Niemal równocześnie do księgarń trafiły „Bękarty pańszczyzny. Historia buntów chłopskich" Michała Rauszera (Wydawnictwo RM), a kilka tygodni później „Śladami Szeli, czyli diabły polskie. Wymazana historia Polski" Piotra Korczyńskiego (Wydawnictwo RM) i „Ludowa historia Polski" Adama Leszczyńskiego (W.A.B.). A gdyby komu było mało, może sięgnąć po „Złoty róg" Maryli Szymiczkowej (czyli Jacka Dehnela i Piotra Tarczyńskiego), który przeniesie nas w szczytowy okres młodopolskiej chłopomanii.

Gorszy sort

I zaczęło się. Łatwość, z jaką można zorganizować w sieci dyskusję panelową, sprawiła, że doszło do cudownego rozmnożenia spotkań wokół wspomnianych książek historycznych. Oczywiście w internetowych dyskusjach gadających głów (w czasach zdalnej akademii frazeologizm „gadające głowy" szalenie się udosłownił) szlachta, fabrykanci i inne uprzywilejowane grupy odgrywają najczęściej rolę czarnych bohaterów. Ale to o nich głównie się mówi albo mówi się o ludzie ich słowami, przechowanymi w diariuszach, dekretach i pismach sądowych.

Wyjątkiem potwierdzającym regułę jest książka Rauszera. Zebranymi przez niego przykładami pieśni i zawołań chłopskich można się fascynować równie mocno jak dzisiejszymi hasłami z protestów kobiet. Zazwyczaj jednak opowieść o ludzie toczy się według znanych zasad. Elity ubolewają nad losem maluczkich we własnym, ekskluzywnym towarzystwie wzajemnej adoracji. Kiedy ogląda się te niezliczone transmisje rozmów nadawane w mediach społecznościowych, przed oczyma staje słynna scena z „Casablanki", kiedy Ilsa zwraca się swym czarującym głosem do czarnego i nieposiadającego w filmie nazwiska Sama, by zagrał jej ulubioną miłosną piosenkę. Niedługo potem zagrać jeszcze raz to samo każe mu Rick, tym razem tonem nieznoszącym sprzeciwu. Sam gra i jest doskonałym tłem dla popisów głównych bohaterów widowiska.

Najgłośniejsza z nowo wydanych książek, „Ludowa historia Polski" Leszczyńskiego, nosi nieco mylący tytuł. Otrzymujemy nie tyle dzieje ludu, co konsekwentną narrację o stosunku szlachty, duchowieństwa i piśmiennego mieszczaństwa do chłopstwa i biedoty. Treść tomu dobrze oddaje jego podtytuł: ↦

↦ „Historia wyzysku i oporu. Mitologia panowania". Wiele miejsca autor poświęca quasi-intelektualnym próbom wywodzenia chłopstwa od biblijnego Chama, syna Noego, oraz teoriom podboju Słowian przez Sarmatów, które miały uzasadniać rzekomym etnicznym zróżnicowaniem Polaków „przyrodzoną" różnicę społeczną między nimi. Leszczyński rekonstruuje także proces krystalizacji i zwiększania zakresu pańszczyzny oraz jego naturalizacji w kulturze szlacheckiej. Był to „dyskurs represji i pogardy, polski rasizm bez koloru" – nie stosuje wobec ówczesnych elit żadnej taryfy ulgowej. Te rozważania, choć ciekawe, więcej mówią o rządzących niż o rządzonych.

Książkę otwierają obszerne cytaty z epistolarnego dziennika Kajetana Węgierskiego, wówczas dwudziestosiedmioletniego szlachcica, wykształconego i oczytanego, z ambicjami literackimi, który w 1783 r. wybrał się w rejs do kolonii francuskich. Towarzyszył mu lokaj, którego krnąbrność tak męczyła pana, aż ten zakuł go dla nauki w kajdany. Na Karaibach szczególnie zainteresowało Węgierskiego położenie czarnych niewolników. Trzeźwo zapisywał, że ich los niewiele różni się od sytuacji chłopów pańszczyźnianych: „Nie ma chłopa, który by pracował mniej od murzyna, a są z pewnością tacy, którzy umierają z głodu lub się oddają najstraszniejszej rozpaczy, widząc swoje mienie porwane przez urzędników podatkowych albo swoje domy zniszczone przez jakąś naturalną plagę. Czy są oni zresztą wolniejszymi niż murzyni? Ci ostatni zależą od jednego pana, tamci są igraszką tysięcy tyranów".

Na figurach retorycznych jednak krytycyzm szlachcica się kończy. Zmienić nic się nie da, gdyż chłopstwo w wizji elit nie jest podmiotem politycznym. Leszczyński podaje szereg przykładów wylewania krokodylich łez nad dolą chłopów przez ziemian, pisarzy, a także intelektualistów doby oświecenia i pozytywizmu. Obronną ręką nie wychodzą z tego rozliczenia nawet zwolennicy reform: Andrzej Frycz Modrzewski, król Stanisław Leszczyński, Stanisław Staszic czy Tadeusz Kościuszko. Wiosny nie czyni kilkoro sprawiedliwych, jak inspektorka pracy Halina Krahelska, dzięki której wiemy dziś wiele o skali wyzysku, mobbingu i molestowania seksualnego w międzywojennych zakładach przemysłowych. Autor podejmuje zresztą uczciwą refleksję na temat ograniczeń pisania historii ludowych: pierwsze zapisy perspektywy chłopskiej pochodzą z XV w., z ksiąg sądowych i wiejskich, a więc też są relacją z drugiej ręki, najstarszy zachowany pamiętnik chłopski pochodzi dopiero z lat 30. XIX w. (jego autorem był Kazimierz Deczyński ze wsi Brodnia). Podobny dylemat metodologiczny był także udziałem Howarda Zinna, ikony historiografii podporządkowanych, autora „Historii ludowej Stanów Zjednoczonych" (wyd. ang. 1980), który mimo skąpych źródeł dociążył szalę krytycznej interpretacji dyskursu elit.

Leszczyński nie odkrywa nieznanych faktów i nie eksploruje nowatorskich tez. Jego praca jest uczciwą i krytyczną summą dorobku historyków, opartą głównie na znanych wcześniej źródłach. Autor skrupulatnie odnotowuje małe i duże bunty. Tropi polityczne gry chłopską kartą, np. „obracanie w chłopów" zbuntowanych przeciwko ukraińskim magnatom Kozaków czy straszenie przez konfederatów barskich, że Stanisław August zniesie poddaństwo. Za jeden z nielicznych triumfów chłopskiego oporu uznaje zatrzymanie przez Władysława Gomułkę kolektywizacji wsi. Mniej go zajmuje codzienna chłopska samoorganizacja czy wewnętrzne rozwarstwienia tej grupy społecznej.

Po dwóch trzecich wywodu, kiedy wkraczamy w okres nowoczesnej modernizacji, także opowieść Leszczyńskiego ulega nagłemu przyspieszeniu. Na dłużej zatrzymuje go rewolucja 1905 r., następnie pospiesznie prowadzi czytelników przez II Rzeczpospolitą i PRL (którego obrazu wszakże nie wygładza ani nie idealizuje, akcentując dążenia partii komunistycznej do absolutnej i niepodzielnej władzy w fabrykach i zakładach pracy). Okresu transformacji „Ludowa historia Polski" nie obejmuje – co wydaje się błędnym wyborem. Opowieść urywa się przed kluczowym rozdziałem najnowszych dziejów polskiej klasy ludowej.

W świetle świadectw o czasach transformacji, zebranych w ważnych publikacjach z ostatnich lat Marty Madejskiej, Aleksandry Leyk i Joanny Wawrzyniak, Aleksandry Boćkowskiej, Michała Matysa i Piotra Lipińskiego czy Rafała Wosia, mało przekonująco brzmi konkluzja Leszczyńskiego, iż jego książka „niesie budujące przesłanie". Oczywiście, pańszczyzny już nie ma – ale, jak sam autor przyznaje, wyobrażenia elit o ludzie nie zmieniły się w jakiś dramatyczny sposób.

Klasa ludowa

Dopiero na ostatnich stronach „Ludowej historii Polski" dowiadujemy się, kto jest podmiotem tej opowieści. Lud według Leszczyńskiego składa się z „dolnych 90 proc. społeczeństwa – ludzi rządzonych, a nie rządzących; biednych, a nie bogatych; zwykle niewykształconych i zawsze podporządkowanych władzy". Uwaga historyka koncentruje się jednak na chłopstwie, dzieje rozwarstwionego mieszczaństwa stanowią margines narracji, nieco więcej miejsca otrzymuje społeczność żydowska (antysemityzm to zresztą najpoważniejsza skaza na malowanym przez Leszczyńskiego portrecie zbiorowym chłopów). Ten wybór uzasadnia cezurą ekonomiczną. Jeszcze „pod koniec lat 30. [XX wieku] licząca 20 mln populacja wsi otrzymywała tylko 14 proc. dochodów pieniężnych kraju" – dodaje.

Także w „Bękartach pańszczyzny", inaugurujących serię wydawniczą pod nazwą „Ludowa historia Polski", Michał Rauszer jasno deklaruje, że interesuje go perspektywa chłopska. Jego motywacja jest po części osobista. „Moja babcia pokazywała mi wielorodzinny dom, w którym się wychowała, opowiadała o przedwojennym głodzie i ciężkiej pracy. Tymczasem na lekcjach historii i na języku polskim dowiadywałem się o wspaniałościach dworów królewskich i magnackich, o przebiegłych politykach, oddanych dyplomatach, o kulturze szlacheckiej, kulturze spokojnego dworku na wsi, w którym toczy się sielankowe życie upływające pod dyktando uczt, obcowania ze sztuką, polowań i plotek. (...) Nigdzie w tych miejscach nie było moich przodków" – pisze.

Wprowadzanie biograficznych emocji do warsztatu naukowego bywa ślepą

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl

uliczką. Głos Rauszera, fana filmów Quentina Tarantino, wychowanego na „Świecie według Kiepskich", nie wydaje się jednak zafałszowany. Od „Bękartów pańszczyzny" warto zacząć przygodę z historią ludową – zwłaszcza jeśli w szkole temat poddaństwa chłopów był marginalizowany. Autor drobiazgowo tłumaczy genezę i mechanizm pańszczyzny. Tak, obiema stopami, bez najmniejszego zawahania, staje po jednej, nie-pańskiej stronie historii, ale co najważniejsze, jego interpretacja nie jest w tej opowieści głosem jedynym. Wybrzmiewają tu wiejskie pieśni, poezja, lamenty i przepowiednie. Choć książka ma charakter zdecydowanie bardziej popularny niż praca Leszczyńskiego, to tutaj chłopi zyskują większą imienną reprezentację, dostają biografię i psychikę. Osobne rozdziały Rauszer poświęca powstaniom chłopskim, w tym najsławniejszemu z nich, rabacji galicyjskiej, lecz w równym stopniu interesuje go opór codzienny – niespektakularne, lecz notoryczne uprzykrzanie życia panom.

Dyskusje nad książkami o ludzie w jakiejś mierze przekładają się na kształt i język debaty publicznej. Po pierwsze, trudno dziś znaleźć szanującego się polityka, dziennikarza lub publicystkę, którzy nie upominaliby się o perspektywę ludu w gorących sprawach politycznych i gospodarczych, w kwestii szczepionek, prawa do aborcji czy Unii Europejskiej. Medialne dyskusje coraz częściej przypominają oratorskie pojedynki trybunów ludu – ale bez udziału samego ludu. Po drugie, osoby publiczne, o ile nie mają skłonności autodestrukcyjnych, dwa razy się zastanowią, zanim wypowiedzą słowa „masa", „motłoch" czy „ciemnogród". Wybiorą raczej swojski, choć paternalistyczny zwrot „zwykli Polacy" albo brzmiące fachowo określenie „klasa ludowa". To ostatnie nawiązuje do teorii reprodukcji Pierre'a Bourdieu i Jeana-Claude'a Passerona. Klasą ludową są ci, którzy dysponują niskim kapitałem kulturowym i ekonomicznym. Nie mają szerokiej wiedzy intelektualnej, nie są obyci, nie prowadzą „jakościowego" życia. Deficyt jednego kapitału przekłada się na braki drugiego i na odwrót – ale to położenie społeczne, klasowe, sprawia, że tak trudno wyrwać się z tego koła i stać kimś innym niż rodzice i dziadkowie.

Etykieta klasy ludowej jest więc szalenie ambiwalentna. Z pozoru nie dyskryminuje, traktując niższe warstwy jako podmiot społeczny i ekonomiczny. Jednak w gruncie rzeczy odbija na skórze jej nosicieli niewidzialne piętno fatalizmu. Być z klasy ludowej to znaczy całe życie aspirować do wyrównania kapitałów z minimalną szansą na powodzenie. A rozmawiać o klasie ludowej to wciąż zbyt często tylko gest pochylania się nad kimś, kogo nie bierze się na poważnie jako konkurenta na rynku idei.

> Medialne dyskusje coraz częściej przypominają **oratorskie pojedynki trybunów ludu** – ale bez udziału samego ludu.

Słowiański przykuc

Jest jeszcze jeden bohater ludowej historii Polski. Zanim go przedstawię, przytoczę krótką anegdotę. W lepszych czasach, kiedy jeszcze chodziło się na koncerty bez strachu i bez maseczek, widziałam w Łodzi występ zespołu jazzowego Cykada. Zastanawiałam się, jak to możliwe, że obiecująca formacja z Londynu wybrała nagrywanie płyt w małej wytwórni założonej przez Polaka – tak silne było u mnie myślenie, że mariaż Zachodu ze Wschodem musi być związkiem morganatycznym. Latem 2020 r. Cykada promując swój drugi album, zrobiła polskim fanom niespodziankę (a może raczej psikus) – zapozowała w słowiańskim przykucu. Tyle starań, żeby zrzucić łatkę Orientu Europy, a tu nieszczęsny przykuc przypomina o pozycji, z której Polska zapisuje swoją kartę w Europie (ale niech nikt nie ośmieli się twierdzić, że Rosjanie lepiej przykucają...).

Także w naszej historii ludowej to trzecie oko zachodniego obserwatora odgrywa niepoślednią rolę. Aż do czasów nowoczesnych nie jest to spojrzenie obrońcy polskiego ludu przed okrucieństwem panów, ale kolekcjonera osobliwości, tropiciela maszkar i samozwańczego antropologa egzotycznej (czytaj: prymitywnej) kultury Słowian. Bieda i poddaństwo chłopów, niebędące wszak czymś nietypowym dla ówczesnego kontynentu, stają się w tych relacjach przesłanką do patrzenia z góry na zacofaną kulturę, gdzie szlachta nie potrafi zarządzać swoimi ludźmi inaczej niż za pomocą bata.

Dopiero u schyłku XX w. te relacje przestały być traktowane przez zachodnich historyków jako wiarygodne źródło wiedzy, a przede wszystkim jako uprzedzeniowa konstrukcja. Fundamentalną pracą dla rewizji stereotypów Europy Wschodniej jako barbarii była książka Larry'ego Wolffa. Wydane w 1994 r. „Wynalezienie Europy Wschodniej" zostało powitane przez polskich historyków i socjologów jako długo wyczekiwana korekta dyskursu o naszym regionie. Nieprzypadkowo porównywano jego doniosłość do krytycznej roli, jaką odegrał „Orientalizm" Edwarda W. Saida wobec dyskursu o Bliskim Wschodzie. Wolff nie umniejsza zbrodni niewolnictwa w I Rzeczypospolitej, ale akcentuje nierówność miar, jakie oświeceniowi zachodni intelektualiści i podróżnicy przykładali do oceny pańszczyzny i do kolonializmu praktykowanego przez ich własne imperia. Wskazuje nie tylko na ich pogardę, lecz także na hipokryzję, podając liczne przykłady czerpania przez cudzoziemców korzyści osobistych z polskiego feudalizmu. Kilkanaście lat później, kiedy do księgarń trafia przekład rozprawy Amerykanina, intelektualny klimat w Polsce jest zupełnie inny. To, co w pierwszej dekadzie transformacji uchodziło za lewicujący samokrytyczny głos Zachodu, dzisiaj może zostać dość instrumentalnie potraktowane jako konserwatywny argument na rzecz wybielania Polski szlacheckiej. Dlatego dzieło Wolffa okazuje się kłopotliwe dla postępowej historiografii ludu.

Od Wolffa dystansuje się nawet Leszczyński, mimo że obaj uprawiają zbliżony nurt historiografii krytycznej. W swej polemice autor „Historii ludowej Polski" przekonuje, że cudzoziemcy trafiający do I Rzeczypospolitej „opisywali jednak to, co widzieli na własne oczy". Nie powstrzymywali panów szlachty przed barbarzyństwem, ale byli autentycznie nim zadziwieni. Podkreśla też, że jeden z nielicznych epizodów poprawy stosunków na wsi i dobrobytu włościan przyniosła kolonizacja niemiecka w wiekach od XII do XIV. Wobec Zachodu ↦

↦ narracja Leszczyńskiego pozostaje więc w pewnym rozkroku (żeby nie powiedzieć – w przykucu).

Problem tkwi jednak w czym innym. Leszczyński nie proponuje żadnej świeżej, prowokującej do dyskusji tezy albo ramy pojęciowej, w której umieściłby historię wyzysku. Zamiast tego *de facto* imituje coś, co już powiedziano w zachodniej myśli krytycznej o poddaństwie. Sięga do ojców historiografii krytycznej: Fryderyka Nietzschego, Haydena White'a i Michela Foucaulta, ale nie wyciąga z ich słownika niczego, co pozwoliłoby podporządkowanym przemówić. Nie komponuje też słownika własnego – odpowiadającego polskiej sprawie. Bardziej inspirujące są pod tym względem książki mniej medialnych autorów, jak Wiktor Marzec, Agata Zysiak czy właśnie Rauszer, piszący o krystalizacji etyki ludowej sprawiedliwości. Ich publikacje zajmują się tylko niewielkim wycinkiem historii, ale proponują lokalną genealogię wyzysku, zamiast poprzestawać na poprawnej politycznie archiwizacji jej świadectw.

Co nam, często potomkom chłopów, po tym obrachunku z dawną Polską? Niektórzy będą historię ludową czytać jako uniwersalną opowieść o panowaniu i doszukiwać się aluzji do współczesności, np. w dziejach ewolucji władzy sądowniczej i stopniowego przekazywania przez Piastów i Jagiellonów jurysdykcji nad chłopami w ręce dowolnie dysponujących ich losem magnatów, którzy sądząc poddanych, sądzili we własnej sprawie. Inni, za Rauszerem, skupią się na anatomii buntu, tropiąc moment, w którym protest ekonomiczny przeradza się w polityczny – jak wielokrotnie bywało także w czasach najnowszych. Takie analogie są uprawnione, o ile przyjmiemy, że historia oznacza długie trwanie i powolne przemiany struktur społecznych.

Jednak zamiast wyłuskiwać niepewne podobieństwa między dziś a wtedy, warto spojrzeć w siebie. Czy słowo „lud" jest też moim słowem, etykietą, której się nie powstydzę? Czy fascynuje mnie tylko przemoc historycznie z ludem powiązana? Po której stronie historii stanę bez wstrętu i nie dlatego, że tak wypada?

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Po burzy

DARIUSZ KOSIŃSKI

Pandemiczną wiosną teatr usiłował przetrwać w rejestracjach i projektach sieciowych. Jesienią zanurzył się już w strumieniu. A w grudniu przeszedł w fazę potopu.

Gdyby istniał konkurs na teatralne słowo roku, to „streaming" byłby jednym z najpoważniejszych kandydatów, choć także w teatrze *streaming* nie jest absolutną nowością. Podobnie jak inne spopularyzowane przez pandemię narzędzia i praktyki, był już używany wcześniej, co świetnie wiedzą choćby widzowie transmisji przedstawień operowych i dramatycznych pokazywanych w kinach. Był też możliwy w wersji domowej, z czego jednak teatry korzystały dotąd stosunkowo rzadko.

Cicha woda brzegi rwie

Pandemia także i tu dokonała zasadniczych zmian. Gdy teatry zostały zamknięte, strumienie popłynęły wartko. Najpierw dominowały prezentacje wcześniej nagranych spektakli, których pokazywanie w sieci było technicznie najprostsze. Już jednak w czasie wiosennego lockdownu niektóre teatry rozpoczęły przygotowania do działania poprzez media strumieniowe, a nawet nad stworzeniem własnych platform. Dzięki temu były o wiele lepiej przygotowane na drugą falę pandemii niż rząd.

Wkrótce po ponownym zamknięciu teatrów na początku listopada jesienne premiery i festiwale rozpoczęły życie internetowe. W formie pokazów *online* odbył się najpierw Festiwal Prapremier, potem Festiwal Reżyserii Teatralnej

MONIKA STOLARSKA / MATERIAŁY PRASOWE

Natalia Kalita w roli Ferdynanda w spektaklu „2020: Burza", reż. Grzegorz Jarzyna, TR Warszawa, 28 października 2020 r.

„Interpretacje", Festiwal Szekspirowski i Festiwal Szkół Teatralnych, a w końcu w pierwszym tygodniu grudnia strumień przeszedł w fazę potopu. Niemal w tym samym terminie odbyły się dwa największe krajowe przeglądy „najciekawszych spektakli sezonu": Boska Komedia i Warszawskie Spotkania Teatralne. Jeśli dodać do tego narastającą pod koniec roku liczbę premier (dotacje wszak trzeba rozliczyć), to niewychodzący z domu teatroman musi się wysilić, by w tym wszystkim nie utonąć.

Przed pandemią takie terminowe kolizje oznaczały konieczność jednoznacznego wyboru. Jeśli jedziesz do Szczecina, nie będzie cię ani w Wałbrzychu, ani w Bydgoszczy, choć jeśli dobrze poukładasz harmonogram podróży, a ciało i umysł wytrzymają, możesz w popremierową niedzielę wpaść jeszcze do Gniezna, gdzie – jak już wszyscy wiedzą – wpadać warto. Strumień teatralny płynący przez udomowionego widza wybory te utrudnia, zwłaszcza jeśli przedstawienie nie jest dostępne przez czas dłuższy, niż samo trwa. Można zatem po obejrzeniu czegoś na WST przenieść się na Boską, a potem jeszcze obejrzeć coś, co dostępne jest dłużej, czasem nawet całą dobę. Ale umówmy się – to jest prawdziwe wyzwanie i nie każdy wytrzyma, nie mówiąc już o sensie takiego teatralnego obżarstwa.

Inna rzecz, że i tak mniej wysiłku kosztuje obejrzenie nawet kilku przedstawień w domu niż udział w festiwalowych maratonach teatralnych, nie wspominając o podróżach. To ogromna zaleta streamingu, nad którą teatry będą się musiały pochylić także po ich ponownym otwarciu. Polska, kraj małych miast, nie ma nadal sprawnej sieci komunikacji publicznej, która pozwoliłaby szybko i bez wielkich kosztów dotrzeć na przedstawienie i z niego wrócić bez dodatkowych wydatków na nocleg lub bez męczących podróży samochodowych. Osobom mieszkającym poza metropoliami trudno być na bieżąco z życiem teatralnym. Streaming te trudności w jakiejś mierze znosi. Nie mając takiej monopolistycznej pozycji i patologicznych skłonności do słabych produkcji niby-filmowych, jak Teatr Telewizji, pozwala na względnie swobodne wybieranie interesujących pozycji i oglądanie ich niewielkim kosztem i wysiłkiem.

Jeszcze się tam żagiel bieli...

Trudno oczekiwać, że teatry po pandemii będą strumieniowały wszystko, że przeniosą do sieci premiery i kontrowersyjne wydarzenia (wyobraźcie to sobie: „Klątwa" *online*...), ale nie widzę powodu, by nie organizowały na własnych platformach pokazów głośnych i uznanych spektakli, nie poszerzały widowni o tysiące ludzi, którzy z racji oddalenia od siedziby teatru nigdy do niego nie dotrą, czy nie upowszechniały przez sieć cennych skarbów dziedzictwa teatralnego. Może to być też ekonomicznie opłacalne, bo wydanie niewielkiej kwoty na dostęp do przedstawienia granego gdzieś tam na żywo w czasie „rzeczywistym" to nie jest duży wysiłek i być może zechce go ponieść o wiele więcej osób niż te, które stać na bilety za ponad sto złotych do Teatru Narodowego, nie mówiąc już o wydatkach na ewentualną podróż i nocleg w Warszawie. Tak bardzo jak mam nadzieję, że pandemia skończy się szybko, tak też liczę na to, że po jej zakończeniu teatry nie zwiną usług VOD, ale zaczną z nich roztropnie i z pożytkiem dla wszystkich korzystać.

Przeżycie czegoś „naprawdę" pozostanie jednak doświadczeniem specjalnym i wyróżniającym. Sądziłbym nawet, że obejrzenie interesującego przedstawienia w sieci może wręcz zachęcić do podjęcia wyprawy, by bardziej świadomie w nim uczestniczyć. Sam tęsknię za tym, by móc znów wejść w ten niezapośredniczony przepływ wzajemnej energii, który sprawia, że organicznie czuję, jak przedstawienie (oczywiście nie każde) dobiera się do mnie i na moje reakcje odpowiada.

Teatr oglądany przed ekranem też miewa taką moc, ale jednak o wiele trudniej wspomniany proces uruchomić, nawet nie dlatego, że ekran tworzy barierę – po prostu ciało wie, że jest w okolicznościach domowych, swojskich, i samo nie jest wystawione na czyjeś spojrzenie. O wiele łatwiej więc osunąć się w to, co oswojone i bezpieczne, tracąc niezwykły stan bycia w podwyższonej gotowości i uważności, która łączy się z wizytą w miejscu, gdzie potencjalnie wszyscy – także ci, dla których tu przyszliśmy – na nas patrzą i gdzie tak często czegoś się od nas bardzo chce.

W tym kontekście jest coś zaskakującego i jednocześnie logicznego w tym, że do pracy z mediami strumieniowymi ochoczo i bardzo wcześnie zabrały się teatry, które się wtrącają i wytrącają swoich widzów z równowagi. Warszawskie TR, Powszechny, Nowy, Studio, teatry w Legnicy, Wałbrzychu czy Bydgoszczy, a także liczne zespoły niezależne nie miały problemu z wejściem w strumień.

Ujście

Nic więc dziwnego, że to TR Warszawa pierwszy zdecydował się na przeniesienie do sieci oczekiwanej i mogącej liczyć na wielu widzów premiery. Pierwsze pokazy adaptacji Szekspirowskiej „Burzy" zapowiadano na wiosnę, potem przesunięto je na jesień, wciąż planując granie na żywo. Ogłoszono już nawet datę, rozsyłano zaproszenia i sprzedawano bilety, ale w ostatniej chwili premierę odwołano.

Sytuacja pandemiczna stawała się coraz trudniejsza, więc ta decyzja wydawała się racjonalna – co innego wszyscy mieliśmy na głowie i twórcy mogli się obawiać, że wydarzenie, do którego się tak długo przygotowywali, przejdzie niezauważone. Efekt był jednak zaskakujący, bo wkrótce doszło do eksplozji kobiecego ↦

↦ gniewu i masowych protestów, które mocno naznaczyły przedstawienie pokazane w końcu po raz pierwszy w sieci. Jestem pewien, że gdyby do premiery doszło w październiku (nie mówiąc już o tej, która odbyłaby się wiosną), oglądalibyśmy zupełnie inny spektakl. Bardzo możliwe, że zapowiadane na styczeń kolejne prezentacje też będą zupełnie inne (kto wie: może uda się już zagrać na żywo?), więc pisząc o „Burzy" w strumieniu muszę się zastrzec, że piszę dokładnie o tej, którą widziałem siedząc przed komputerem pewnego konkretnego wieczoru.

Przedstawienie wyreżyserowane przez Grzegorza Jarzynę pokazano wprawdzie w ramach Festiwalu Szekspirowskiego, ale miłośnicy stratfordczyka na pewno narzekali, że Szekspira w nim mało. Tekst scenariusza został rzeczywiście przepisany przez Grzegorza Jarzynę i Weronikę Murek, materiał literacki uzupełniono cytatami z wielu innych dzieł, wymienionych w informacji o premierze i niekiedy bardzo od Szekspira odległych, a na dodatek przeniesiono w kontekst odmienny od oryginalnego.

Zamiast zagubionej na oceanie wyspy jest tu raczej zagubiona w kosmosie planeta i to z dalekiej przyszłości. Prospero (Agnieszka Podsiadlik) sprawia wrażenie posthumanistycznego władcy-cyborga, Ariel (Justyna Wasilewska) porusza się w skafandrze, który przypominałby kosmiczne, gdyby nie to, że dziś raczej kojarzy się ze szpitalem covidowym. Nad przebiegiem przedstawienia czuwa zaś sztuczna inteligencja, na której decyzje dotyczące kolejności scen, a nawet ich przebiegu wpływać mają analizy wielu różnorodnych danych, w tym odpowiedzi, jakich na specjalne ankiety udzielają widzowie (trudno to sprawdzić przy pojedynczym oglądaniu).

A przecież cała ta rozbudowana futurologiczna aranżacja nie jest niczym innym jak maską dla przedstawienia zanurzonego w teraźniejszości i do niej wprost się odwołującego. Cóż z tego, że Prospero ukrywa się w pełnym ekranów i wskaźników centrum dowodzenia, skoro całą tę technologię przecina mocnym znakiem czerwona błyskawica na twarzy Mirandy (Natalia Kalita), a ostatnim słowem w przedstawieniu jest okrzyk obnoszony i wznoszony na polskich ulicach w listopadzie?

Nie dziwię się i nie mam pretensji, że twórczynie „2020: Burza" podążyły za tym, co dzieje się wokół. Pewnie same do siebie miałyby pretensje, gdyby tego nie zrobiły. Ale żal mi, że presja czasów spowodowała przykrycie przemyślanej i przejmującej reinterpretacji „Burzy", wypełniającej pierwszą część przedstawienia, przez nużące dramaturgiczno-aktorskie dywagacje i dekonstrukcje tworzące część drugą. Zbudowane z najbardziej stereotypowych i manierycznych środków „postdramatycznych" stanowią rozpaczliwą próbę dodania zbędnego komentarza do czegoś, co właśnie dlatego, że tego komentarza nie potrzebuje, robi w pierwszej części tak wielkie wrażenie.

MONIKA STOLARSKA / MATERIAŁY PRASOWE

Agnieszka Podsiadlik jako Prospero, „2020: Burza", spektakl z 30 października 2020 r.

Do pracy z mediami strumieniowymi ochoczo zabrały się teatry, **które się wtrącają i wytrącają swoich widzów z równowagi.**

Nad wodą wielką i czystą

Jarzyna i Murek znacząco zmienili kilka podstawowych ogniw szekspirowskiej kompozycji. Usunęli też binarne identyfikacje genderowe jako znaczące. To że Mirandę gra znakomity w tej roli Mateusz Górski, a oryginalną interpretację pary Stefano-Trinkulo budują Monika Frajczyk i Sara Celler-Jezierska, oczywiście ma znaczenie, ale nie chodzi tu o „zamianę miejsc" między dwiema płciami, lecz o śmiałą próbę uczynienia z palety genderowych możliwości jeszcze jednego środka aktorskiego budowania postaci. Próba jest udana i pod tym względem „2020: Burza" może być uznana za przedstawienie wyjątkowe, nie w deklaracjach, lecz w praktyce zajmujące mocne stanowisko w toczącej się (także na ulicach) debacie o płci kulturowej.

W efekcie tych przepisań i przesunięć powstała nie tylko cała gama znakomitych ról (do już wymienionych dodać trzeba koniecznie Kalibana Tomasza Tyndyka – wartego osobnego opisu, frapującego Alonsa Lecha Łotockiego i Gonzala Sebastiana Pawlaka – pełniącego szczególną funkcję w drugiej części spektaklu). Ich rezultatem jest przede wszystkim dojmująco współczesna reinterpretacja dramatu, który w XX w. zyskał status niemal świętego – jakiegoś marzenia cywilizacji białego człowieka o zadośćuczynieniu za krzywdy wyrządzone innym i pogodzeniu z samym sobą. I właśnie to marzenie Jarzyna i Murek w pierwszej części rozbijają w pył nie przez słowne ataki (jak w drugiej), ale przez powrót do szekspirowskiego finału i rozegranie przejmującej prośby Prospera, powiedzianej ze ściśniętym gardłem przez Agnieszkę Podsiadlik, jako nic niezmieniającej, nikogo nieobchodzącej, kompletnie nikomu do niczego niepotrzebnej. Wobec mistrzowsko rozegranej zbędności tego, co nauczyliśmy się ze wzruszeniem przyjmować jako akt zadośćuczynienia i przywrócenia ładu, wszystkie padające w drugiej części ciężkie mądrości i gniewne okrzyki tracą wagę i sens.

Gdy Prospero kończy swój monolog, w jej oczach widać bolesną pewność, że wszystko, w co wierzyła, przepadło. To aktorski szczyt przedstawienia. Podsiadlik zostaje na scenie. Zapada cisza. Patrzę w oczy Prospero widzącej przyszłość, w której jej i nas nie ma. „Kto oczy od ócz tych uleczy?". Może na sali ktoś mógłby coś zrobić, jakoś zareagować. Prospero przecież prosi, byśmy ją uwolnili brawami, więc na pewno widzowie by zaklaskali (bo taki zwyczaj nam się utrwalił niemądry, że się klaszcze po każdym akcie). A jeśli ona nawet po tym pozostałaby na scenie nieruchoma, wpatrzona w nas, to już byłaby jej i reżysera decyzja, a my moglibyśmy iść na kawę i siku.

Ale siedzę przed ekranem i nie mogę oderwać wzroku. Strumień płynie w ciszy i pustce ku brzegom wyspy i niemal słyszę, jak wpada w wody nieznanego oceanu.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Zabij to i wyjedź z tego miasta", reż. Mariusz Wilczyński

Zamknięcie i otwarcie

ANITA PIOTROWSKA

Czy widz rozleniwiony domowym oglądaniem i sformatowany przez algorytmy będzie miał potrzebę wspólnotowego doświadczania kina w kinie?

Rok 2020 w historii polskiego filmu nie będzie białą plamą. Rozpoczęty nominacją do Oscara dla „Bożego Ciała" Jana Komasy i zwieńczony gdyńskimi Złotymi Lwami dla „Zabij to i wyjedź z tego miasta" Mariusza Wilczyńskiego, był siłą rzeczy czasem kryzysu: zamkniętych kin, spowolnionych produkcji czy wirtualnych festiwali. Był to też rok, w którym tak wiele się działo – w naszych domach, w szpitalach, na ulicach – że tylko nieliczni mieli siłę, by szukać na ekranie czegoś więcej niż ucieczki. I choć wciąż rządzi ponura mantra, że nic już nie będzie takie samo, spróbujmy ją odczytać w zupełnie innym tonie. Wraz z nowymi wyzwaniami pojawiły się bowiem w Polsce także nowe nazwiska, zjawiska i tytuły.

„Jakoś przeżyliśmy, ale czy uda się nam odżyć?" – takie hasło (w oryginale „*From survival to revival*") przyświecało dyskusji zorganizowanej w grudniu przez Europejską Akademię Filmową. Uczestnicy, w tym nowa prezydentka Akademii Agnieszka Holland, zastanawiali się nad najbliższą przyszłością europejskiego kina w dobie streamingu, szczególnie – kina artystycznego. I większość z tych rozważań przekłada się na nasze warunki.

Tylko nieliczne polskie filmy zdążyły w 2020 r. trafić na duże ekrany. Załapały się głównie potencjalne hity: przed pierwszym lockdownem „365 dni" Barbary Białowąs, „Zenek" Jana Hryniaka, „Bad Boy" Patryka Vegi czy „Sala samobójców. Hejter" Jana Komasy. Lecz i one wcześniej czy później musiały trafić na VOD albo do Netfliksa. Horror „W lesie dziś nie zaśnie nikt" Bartosza M. Kowalskiego miał premierę od razu na tej platformie.

Przy drugim otwarciu można było jeszcze pokazać „Eastern" Piotra Adamskiego, „Dolinę Bogów" Lecha Majewskiego, „Jak najdalej stąd" Piotra Domalewskiego czy „25 lat. Sprawę Tomka Komendy" Jana Holoubka – i tylko ten ostatni z wysoką frekwencją. Bo dramatyczne pytania o krajobraz po pandemii dotyczą dziś przede wszystkim kina „trudniejszego", autorskiego. Czy widz, coraz bardziej rozleniwiony domowym oglądaniem i coraz częściej formatowany przez algorytmy stosowane przez internetowych dostawców, będzie miał potrzebę wspólnotowego doświadczania kina w kinie? Zgromadzeni w Berlinie przedstawiciele EFA w jednym byli zgodni: ambitne filmy, jeśli chcą trafić do widza, muszą być jakościowe, innowacyjne, dotykające tego, czym naprawdę żyjemy, i oczywiście różnorodne.

Zakończony 12 grudnia festiwal w Gdyni, odbywający się w przymusowej izolacji od widza, pokazał, że z grubsza spełniamy te postulaty, mimo że priorytety mogą być różne.

Na przekór światu

Werdykt jury festiwalu na czele z Lechem Majewskim wywołał kontrowersje. I nie tylko dlatego, że „Zabij to..." jest pierwszym pełnometrażowym filmem animowanym wygrywającym gdyński festiwal. Mariusz Wilczyński pracował nad obrazem przez 14 lat i włożył ↦

weń nie tylko siebie, swoje życie i talent, ale i kawał polskiej kultury. Stworzył film idący pod prąd Polsce i światu. To osobista wyprawa do wyimaginowanej Łodzi Fabrycznej, a w niej swoiste „Dziady" przywołujące duchy bliskich i dalekich. Mówią do nas głosami Andrzeja Wajdy, Ireny Kwiatkowskiej czy Gustawa Holoubka, albo piosenkami Tadeusza Nalepy.

Ożywione obrazki, rysowane drżącą kreską na wymiętym papierze (to jeden z tych filmów, które w pełni stają się sobą dopiero na wielkim ekranie), zapraszają do świata pamięci i niepamięci, w krąg intensywnych doznań, nadrealistycznych skojarzeń i zaniechanych kiedyś gestów, lecz to przecież coś więcej niż czyjaś autobiografia wewnętrzna. Jednakże całkowite pominięcie w nagrodach festiwalowych takich faworytów, jak „Śniegu już nigdy nie będzie" Małgorzaty Szumowskiej i Michała Englerta czy „Hejtera", w dodatku na festiwalu firmowanym przez TVP, wywołało podejrzenia o eskapistyczną apolityczność werdyktu. Albo o gest przekory wobec środowiska filmowego, w którym nagrodzony Wilczyński, podobnie jak przewodniczący jury, uchodzi za outsidera.

Niezależnie od intencji tegoroczne Złote Lwy to nagroda przełomowa i w pełni zasłużona, aczkolwiek to w zupełnie innych filmach przeglądała się dzisiejsza Polska i świat. I choć rację ma Dorota Masłowska, jedna z tegorocznych jurorek, kiedy mówi, że polskie kino „ma pewną obsuwę względem rzeczywistości", przywołując sytuację pandemiczną, to rzeczywistość jakoś w nim jednak zaistniała.

W „Śniegu" Szumowskiej i Englerta np. udało się przewrotnie sfotografować znajomą pustkę – emocjonalną, duchową, intelektualną – jaka wypełnia grodzone osiedla i ich mieszkańców, którzy jeszcze przed pandemią zastygli w izolacji, a zarazem w głodnym oczekiwaniu na ludzki dotyk. Przynosi go Polakom i Polkom młody masażysta z Ukrainy, uruchamiając po drodze różne stereotypy i fantazje.

Innego rodzaju rozsadnikiem złudnego porządku jest hejter z filmu Komasy – sfrustrowany prowincjusz zagrany przez Macieja Musiałowskiego, który w osobistym odwecie uruchamia lawinę politycznej przemocy. Chociaż wizja oddzielonych, wzajemnie się nienawidzących Polsk wydaje się tu przerysowana i uproszczona, żaden inny film nie zostawia tak mocnego śladu po tym, co przyniosły nam ostatnie lata, z ich odgórnie podsycaną polaryzacją i graniem na afektach. W dzisiejszej „Sali samobójców" łatwo też spotkać siebie samych – niby po słusznej stronie barykady, acz nie zawsze świadomych mechanizmów, jakie rządzą coraz bardziej wirtualnym światem i nami w nim.

MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Śniegu już nigdy nie będzie", reż. Małgorzata Szumowska

Tragiczną zakładniczką innego pokoju w tym matriksie zdaje się sławna instagramerka ze „Sweat". Film nagrodzony aż sześcioma nagrodami regulaminowymi, w tym za reżyserię Magnusa von Horna, zdjęcia Michała Dymka, montaż Agnieszki Glińskiej oraz za role żeńskie Magdaleny Koleśnik i Aleksandry Koniecznej, widzieli dotąd tylko wybrańcy (nie był dostępny na gdyńskim festiwalu *online*), trudno więc na razie komentować tę nadzwyczajną jurorską hojność.

I inni

Ważny obraz, „Jak najdalej stąd", drugi filmu Domalewskiego z młodziutką Zofią Stafiej w roli głównej, słusznie nagrodzoną za aktorski debiut, rozgrywa się głównie w Irlandii i proponuje odmienne spojrzenie na emigrację zarobkową – oczami zadziornej nastolatki, która przybyła do Dublina, by przywieźć stamtąd ciało ojca. Przed nami przedstawicielka nowego pokolenia kobiet, które nie pielęgnuje polskich kompleksów i potrafi zawalczyć o swoje.

Ten film, skupiony i emocjonalnie wytłumiony, jest przeciwieństwem szarpiącej nerwy „Sprawy Tomka Komendy" ze świetną rolą Piotra Trojana, też nagrodzoną w Gdyni. Z dramatu Jana Holoubka bije wręcz obezwładniająca nieufność do państwa i poczucie zdradzenia przez jego instytucje. Jeśli coś łączy go z „Jak najdalej stąd", to – mimo wszystko – wiara w dobrą wolę pojedynczych ludzi i indywidualne samozaparcie.

Wybór gdyńskich tytułów, dokonany przez Tomasza Kolankiewicza, nowego dyrektora artystycznego festiwalu, okazał się wielostronny, nieskupiony na jednym profilu kina. Konkurs główny przyniósł też dwa skromne i uroczo niedoskonałe filmy, w których odbija się jakże modna w tym sezonie czułość. „Bliscy" Grzegorza Jaroszuka ze świetną rolą Olafa Lubaszenki, z humorem o kamiennej twarzy i swojskim blokowiskiem w tle, rozmontowują rodzinny układ, a tytułowa bliskość nagle zaczyna mienić się zaskakującymi barwami.

W „Amatorach" Iwony Siekierzyńskiej teatr złożony z osób niepełnosprawnych umysłowo próbuje pod okiem reżysera zapaleńca wystawić „Hamleta" i w pewnym momencie trafia... na czerwony dywan festiwalu w Gdyni.

Bywało też nieco bardziej brutalnie. Nagrodzony w nowym konkursie filmów mikrobudżetowych „Ostatni komers" Dawida Nickela, na motywach powieści „Ma być czysto" Anny Cieplak, uhonorowanej m.in. Nagrodą Conrada, przynosi niezafałszowany obraz osiedlowych dzieciaków mierzących się z dorosłymi problemami. Dla odmiany „Biały Potok" Michała Grzybowskiego to brawurowa tragikomedia, w której dwie pary z klasy średniej wpadają w pułapkę własnych sekretów, kłamstw i pomyłek, z czasem

przyjmującej postać istnej trąby powietrznej.

Wyjście z domu

Ale formuła sprawozdania rocznego przypomina, że przecież nie samą Gdynią człowiek żył. I choć nielicznym imprezom szczęśliwie udało się wskoczyć w otwarte na jesieni okna (w „realu" odbył się Festiwal „Młodzi i Film" w Koszalinie czy Warszawski Festiwal Filmowy), miniony rok zapamiętany będzie głównie ze względu na festiwale z konieczności przeniesione do sieci i tym samym szeroko dostępne. Krakowski Festiwal Filmowy, połączone edycje Nowych Horyzontów i American Film Festival czy, w wydaniu hybrydowym, Millenium Docs Against Gravity, miały imponująco liczną widownię, a nawet coś na kształt wirtualnego życia towarzyskiego.

Były też u nas w ostatnim roku wydarzenia filmowe wzbudzające gorące debaty. Pokazana na YouTubie „Zabawa w chowanego", kolejna niezależna produkcja braci Sekielskich o systemowym tuszowaniu pedofilii w Kościele, doczekała się już prawie ośmiu milionów wyświetleń. Z kolei telewizyjny hit tej jesieni, czyli serial „Król" Jana P. Matuszyńskiego wedle powieści Szczepana Twardocha, podzielił widzów na zachwyconych „światową" jakością produkcji Canal+ i na tych, którzy mu jej definitywnie odmawiają. Przyznać jednak trzeba, że serial zdecydowanie zyskuje z czasem: przestaje przeszkadzać umowność inscenizacji, postacie rosną w głąb, a rekonstruowana z różnym efektem przeszłość staje się niepokojąco aktualna.

Ze skrajnym przyjęciem, najczęściej negatywnym, spotkał się natomiast pierwszy polski film wyprodukowany przez Netflix, czyli „Erotica 2022", będąca wspólnym głosem polskich pisarek i reżyserek. Mimo iż miał premierę w czas kobiecych demonstracji, dla jednych okazał się propozycją zbyt śmiałą i/lub niezrozumiałą formalnie, dla innych wręcz przeciwnie – za bardzo jednowymiarową, skalibrowaną pod określone (czytaj: snobistyczne) gusta i postępowe poglądy. Mało kto zobaczył w antologii po prostu oryginalną ekspresję gniewu i rozpaczy, schowaną pod erotycznym tytułem.

Nie był to także czas stracony dla innych rodzajów kina: dla rodzimego dokumentu czy filmu krótkometrażowego. W pierwszej dziedzinie najsilniej zaznaczył się „Wieloryb z Lorino" Macieja Cuskego, „Zwyczajny kraj" Tomasza Wolskiego, „Między nami" Doroty Proby czy „Ostatni rycerze prawej strony" Michała Edelmana. Znaleźć w nich można różne języki opowiadania o rzeczywistości – tej najbliższej i tej bardzo od nas odległej – w czasie, przestrzeni czy w sposobie myślenia, jak w dokumencie o łódzkim ONR.

Polska animacja, nie licząc dzieła Wilczyńskiego, należała w tym roku do młodego pokolenia kobiet: do Julii Orlik („Jestem tutaj"), Darii Kopiec („Własne śmieci") czy Weroniki Szymy („Ciałość"), które udowodniły, że właśnie nieskrępowana, ale wymagająca żelaznej dyscypliny forma animowana potrafi dziś powiedzieć najwięcej o ludzkiej intymności. Gdyby zaś szukać najbardziej bezkompromisowo opowiedzianych historii, to ich kopalnią stały się w polskim kinie etiudy fabularne.

„Alicja i żabka" Olgi Bołądź, „Sukienka" Tadeusza Łysiaka, „Maria nie żyje" Martyny Majewskiej, „Dalej jest dzień" Damiana Kocura czy „Noamia" Antonia Galdameza nie boją się tematów tabu ani eksperymentów z obrazem i stylem narracji. Podczas oglądania takich filmów chciałoby się mocno zacisnąć kciuki – żeby tylko w przyszłości, przy okazji pełnometrażowych debiutów, ich twórcy nie stępili swoich kłów, pazurów czy po prostu filmowej wrażliwości.

Te zaciśnięte kciuki należą się dziś polskiemu kinu bardziej niż kiedykolwiek, bo jest komu i czemu kibicować. A że zaleją nas streamingi? Podczas wspomnianej debaty EFA Mark Cousins, twórca odysei dokumentalnych przepisujących na nowo historię filmu, skwitował te obawy barwną figurą. Oto muzułmanie mają dywaniki, na których modlą się w domach po pięć razy dziennie. Równocześnie co piątek udają się do meczetu, by modlić się z tłumem innych ludzi – jedno przecież nie wyklucza drugiego. Nawet jeśli metafora świątyni kina trąci myszką, a cała wypowiedź pobożnym życzeniem, to już wiadomo, że przynajmniej kilka polskich piątków na pewno nie będzie w nowym roku straconych.

© ANITA PIOTROWSKA

WARTO ZOBACZYĆ

1. Nigdy, rzadko, czasami, zawsze

Dramat, reż. Eliza Hittman, USA 2020, CHILI

Jeden z najlepszych amerykańskich filmów minionego roku to wyciszona historia, która szczególnie dziś w Polsce znajdzie mocny wydźwięk. Nastoletnia bohaterka, grana przez debiutantkę Sidney Flanigan, wyjeżdża do Nowego Jorku, by potajemnie przerwać ciążę. A reżyserka pozostawia wszelki osąd widzowi, po prostu towarzysząc dziewczynie i jej kuzynce w tej wyprawie.

2. Skandal. Ewenement Molesty

Dokumentalny, reż. Bartosz Paduch, Polska 2020, Moje ekino

W polskim hip hopie jak nigdzie indziej zapisał się klimat czasów transformacji. Nie tylko w tekstach piosenek, lecz również w historii takich grup jak Molesta Ewenement, założona przez chłopaków z Ursynowa. Film zanurza się z nostalgią w lata 90., przywołując ich chaos i energię, sprawnie wykorzystane przez ówczesny przemysł muzyczny.

3. Niech gadają

Komediodramat, reż. Steven Soderbergh, USA 2020, HBO GO

Reżyser, który już kilkakrotnie żegnał się z kinem, tym razem wyrusza w transatlantycki rejs ze znaną nowojorską pisarką (Meryl Streep), jej agentką, przyjaciółkami i bratankiem. Lekkim tonem opowiada o twórczej mocy i niemocy, o eksploatowaniu życia innych i odpowiedzialności za słowo – nie tylko to zapisane w książkach.

4. Niedosyt

Dramat, reż. Carlo Mirabella-Davis, Francja/ /USA 2019, Player, Premiery CANAL+

Połykanie ostrych przedmiotów uchodzi za przejaw autoagresji. Ale kto by podejrzewał o to Hunter (Haley Bennett) – żyjącą w luksusie młodą żonę i perfekcyjną panią domu? Film, który chwilami jest niczym dreszczowiec, a chwilami jak feministyczny manifest, opowiada o możliwych przyczynach takiego stanu i o desperackiej próbie przejęcia kontroli nad swoim życiem.

JAN

Klata:
Wczoraj w Betlejem

Zawsze mi się wydawało, że aktor jest człowiekiem, który zawodowo bywa kimś innym, ujawniając ów fakt w postaci ukłonów lub napisów końcowych. Niejednokrotnie aktor gra kogoś bardzo, ale to bardzo od siebie różnego, np. Hannibala Lectera albo Karola Wojtyłę. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że niektóre hmm... prądy umysłowe chciałyby z aktorstwem skończyć.

Może świeży przykład: oto Maciej Stuhr pozwolił sobie wcielić się w Chińczyka... Internety zawyły piętnującymi komentarzami. Hańba! Jak Stuhr śmiał? Nie słyszał o prapolskim pojęciu *cultural appropriation*? Przecież białym nie wolno nawet jeść ryżu pałeczkami, nosić warkoczyków ani tańczyć latynoskich tańców, żeby nie urazić tych, co to tyle wycierpieli, a tu takie *faux pas*. Logiczne pytanie, czy Lang Lang może grać Chopina, pozostawiam symetrystom, prawdopodobnie palącym na poprawnie politycznym stosie płyty Bach Collegium Japan oraz Sepultury. Może po prostu to białym Polakom ze Stuhrem na czele nie wolno nic oprócz bycia tymi, kim są? Hmm, Marian Kowalski chętnie przyklaśnie, i to z liścia. On przyklaśnie, a aktorzy mogą się przebranżowić lub pozostaje im jedynie „Korona królów" i „Ojciec Mateusz". Chociaż w sumie nie, bo nie są królami ani nie mają rowerów. Muszą po prostu postteatralnie być sobą, zamiast przywłaszczać sobie tożsamość innych, i to za pieniądze. Ale skończenie z aktorami jawi się dopiero jako początek długiego marszu do nowego, wspaniałego świata, w którym nikt nikogo nie uraża.

Żeby nie szukać daleko: Boże Narodzenie jest klasycznym przykładem *cultural appropriation*, to właściwie jedno wielkie przywłaszczenie kulturowe. „Dzisiaj w Betlejem" można śpiewać tylko w Betlejem, na Swarożyca! A zatem zróbmy coś dobrego w parszywym roku ZOZO: wyrzućmy choinkę jeszcze przed świętami i niech nas ręka Boska broni przed przebieraniem się za któregokolwiek z trzech monarchów, o palestyńskich pastuszkach nie wspominając. Również godziny turonia są policzone... ©

Lektor:
Powrót na Sycylię

▪ *Leonardo Sciascia*
RADA EGIPSKA
Tłum. Halina Kralowa, wyd. Próby – wyd. Austeria, Warszawa–Kraków 2020, ss. 196.

Najpierw jest – jak u Szekspira – burza i wyspa. Grudzień 1782, sztorm u wybrzeży Sycylii uszkodził statek, którym z Neapolu płynął marokański dyplomata. Neapol i Sycylia to królestwa złączone unią, dostojnicy w Palermo muszą roztoczyć opiekę nad rozbitkiem – niestety nie mówi on po włosku ani po francusku. Sytuację ratuje duchowny z Malty, Giuseppe Vella, którego język ojczysty bliski jest arabskiemu. W klasztorze San Martino Marokańczyk ogląda manuskrypt arabski. „Żadnych spraw sycylijskich – komentuje rozczarowany – żywot proroka, jakich wiele". Vella, któremu rola *cicerone* podniosła standard życia i chętnie by go utrzymał, uświadamia sobie, że towarzyszący im monsignore Airoldi tego komentarza nie rozumie, a Marokańczyk zaraz wyjedzie... Kodeks z San Martino okazuje się więc bezcennym źródłem do dziejów panowania arabskiego i normańskiego na Sycylii, a Vella ma je opracować – oczywiście w stosownych warunkach (dom) i za wynagrodzeniem. Wśród elit poruszenie: czy źródło potwierdzi ich historyczne prawa, np. do ziemi, czy wręcz przeciwnie? Oszustwo zdarzyło się naprawdę, a Vella oraz inni bohaterowie „Rady egipskiej" to postacie autentyczne. Leonardo Sciascia (1921–1989), pisarz z Sycylii znany nam jako autor parakryminalnych powieści analizujących funkcjonowanie mafii i jej związki z władzą („Dzień puszczyka", „Każdemu, co mu się należy", „Kontekst", „Todo modo"), w przeszłości szukał podobnych tematów i opowiadał o nich z podobnie jadowitą ironią. W „Radzie egipskiej" mamy zmurszałe państwo, z miernym skutkiem reformowane przez wicekróla Caracciolo, zarażonego oświeceniowymi ideami. Mamy idealistę Di Blasiego, prawnika i czytelnika francuskich wywrotowców (a zaliczany do nich jest nawet Montaigne!), oraz gromadę arystokratów, dla których sama myśl o równości ludzi to horrendum. Świat okrutnej i arbitralnej władzy, gdzie rozum i szlachetne porywy skazane są na przegraną. Na tym tle szalone oszustwo Velli nabiera innych wymiarów, a on sam budzi coraz większą sympatię i staje się na przestrzeni tych niespełna dwustu stron kimś wielowymiarowym. Świetną i pięknie wydaną książką Sciascii debiutuje (we współpracy z Austerią) Wydawnictwo Próby. Tytuł następny, „Europa w zwierciadle" Roberta Byrona, już się ukazał; w zapowiedziach „Dziennik wojenny" Józefa Czapskiego. Trzymam kciuki! ©℗

Podwójne wydanie specjalne ŚWIĘTO SPOTKANIA – do czytania i do słuchania!

Mistrzowskie teksty i rozmowy o byciu razem, wspólnocie, tęsknocie i... stole.

Do czytania – szukaj w sklepach z dobrą prasą i na powszech.net/swietospotkania, a do słuchania jako audiobook, w interpretacji znakomitych lektorów – tylko w aplikacji Audioteka.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PARTNERZY WYDANIA

TYGODNIK POWSZECHNY
FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO
ZAiKS
SOS WIOSKI DZIECIĘCE
Wrocławski Dom Literatury

PARTNER STRATEGICZNY:

audioteka

ROZMOWA

SCHODY DO OGRODU

KRYSTYNA MIŁOBĘDZKA, POETKA:

Wszystko, co przychodzi, przychodzi do mnie z zewnątrz. Wszystkie moje najlepsze teksty są stamtąd, ze świata, a nie ze środka, nie z wewnątrz.

MARIUSZ FORECKI

JUSTYNA DĄBROWSKA: Pani Krystyno, ile ma Pani lat?

KRYSTYNA MIŁOBĘDZKA: Osiemdziesiąt osiem, urodziłam się w czerwcu 1932 roku.

To jest dużo?

Czterokrotnie za dużo.

Jak to?

Dwadzieścia dwa lata to jest taki zupełnie w porządku wiek. Mieć osiemdziesiąt osiem lat jest niekiedy bardzo trudno.

Jeszcze jak się człowiekowi trafi coś takiego, że chodzi o kulach, bo ma endoprotezę, sama pani widzi. Siódmy rok wędruję z tymi kulami. Powinnam się nauczyć chodzić bez nich, bo są takie cudowne osoby, które z protezą radzą sobie bez żadnej kuli, no ale mnie się to nie udało.

A ile ma Pani lat w środku?

Nie wiem. Tam w środku jest zupełnie pusto. Tam czas inaczej płynie. Oczywiście, że znam daty – wiem, kiedy urodził się mój syn, mój wnuk, wiem, kiedy umarł mój mąż. To są fakty i ja je znam. Ale wewnątrz nie ma żadnych lat, tam jest takie uczucie, jakbym doświadczała w każdej chwili płynącego życia. Ono nie ma wieku. Oczywiście czuję swoje ograniczenia: tego nie dosięgnę, tamtego nie zrobię, i wtedy mówię sobie: psiakrew! Ale to nie jest związane z liczeniem lat.

Jest jakieś takie stworzenie, które coś robi, a czegoś nie robi, to jest zupełnie poza rachubą.

A są myśli o przemijaniu?

Tylko wtedy, kiedy wiem, że mam mało czasu i muszę, bardzo chcę zdążyć. Robię wszystko, co jeszcze mogę zrobić. Niech pani spojrzy, ile tu wokół mnie leży papierów. Jeszcze chcę te książki wydać, tamte listy przygotować do druku. Przepraszam, na chwilę przerwiemy, bo muszę wstać i zrobić kilka kroków. Takie jest to moje wędrowanie, sama pani widzi. Ale przecież nie mogę ciągle siedzieć, nie mogę się nie ruszać, bo w ogóle przestanę chodzić. Przygotowując rozmaite rzeczy wstaję, chodzę. Czasem nawet próbuję z tych schodów zejść do ogrodu.

Wiem, że mam mało dni, mało godzin, a muszę to skończyć i to skończyć, i tamto jeszcze też skończyć. Listy są najważniejsze.

Co to za listy?

Między moim mężem a mną. Andrzej Falkiewicz był moim mężem przez czterdzieści lat.

Aż się Pani rozpromieniła.

Rozeszliśmy się z Jerzym Miłobędzkim i zanim wyszłam za mąż za Andrzeja, pisaliśmy do siebie przez cztery lata, bo on był w Koszalinie, a ja zostałam tutaj, w Puszczykowie. Zanim się pobraliśmy, napisaliśmy dziesiątki listów. To są listy ↦

↦ miłością do siebie pisane. Andrzej zawsze mówił, że najważniejsze jest, żebyśmy byli razem. I byliśmy do końca. Po prostu.

Można z taką stratą się uporać?

Najpierw tłukłam głową o ścianę, ale to nie pomogło. Teraz cały czas jestem w Andrzeja pisaniu i w tych listach. Pyta pani – czy można się uporać? Nie można. Robi się wszystko, żeby zachować to, cośmy oboje przez całe życie robili. Żeby nie zmarnować tego wspólnego życia. To nie jest sprawa historii literatury, tylko historia spotkania, związania dwojga ludzi. Zdarza się takie spotkanie. I nie jest głupstwem, że są dwie połówki jednego owocu.

Tak było?

Tak to czułam. Myślę, że to było z mojej strony konieczne spotkanie. Nie wiem, czy to był dobry związek, czy zły, ale myśmy nawzajem ciągle sobie siebie dawali: w pracy, w pisaniu, nieustannie. Znam na pamięć początki książek Andrzeja. On znał moje teksty. W nocy się budził i mówił do mnie: słuchaj, to nie tak, zmień. Nieustannie bazgrałam na czymkolwiek, on mówił: nie na tym. A mnie nie zależało. Nie ceniłam tego aż tak. Gdyby nie nasze spotkanie, moje pisanie wyglądałoby zupełnie inaczej, nawet nie wiem, czy nie skończyłoby się jakąś średnią uniwersytecką pracą. On mnie pilnował.

Wspaniale, że takie rzeczy się w ogóle na świecie zdarzają. Mieliście szczęście.

Był silniejszy ode mnie i nad wyraz uparty, więc było rozmaicie, ale oboje myśleliśmy o tym, że jest mało czasu.

Co się wtedy robi? Rano po obudzeniu myśli się, ile jeszcze?

Przede wszystkim chodzi o to, by nie marnować czasu.

To jest konieczność. Nie wstaje się o dziesiątej, tylko o siódmej, robi się, co jest do zrobienia, to jest oczywiste. Nie byliśmy leniwi, spieszyliśmy się. W moich tekstach jest to uczucie, że jest mało czasu.

Spieszę się także z porządkowaniem. Gdy przyjeżdżają dzieci, mówię: pamiętaj, tutaj jest album, w którym są te zdjęcia, nie zapomnij, weź koniecznie. Muszę ich pilnować, bo mają swoje sprawy. Ciągle wszystkich pospieszam, pytam: a kiedy zrobimy to, a czy zdążymy tamto?

bliżej tych co poszli
blisko tych których tu już nie ma
blisko tych do których mi coraz bliżej

---

wypadłam sobie z rąk
nie mam się czego chwycić
z niczego nie mogę się unieść
ciebie unieść

---

wiatr którym żyłam
piasek po odejściu

Krystyna Miłobędzka, „jest / jestem (wiersze wybrane 1960/2020)", Wydawnictwo Wolno, Lusowo 2020 r.

Pisanie jest tą najważniejszą jakością życia?

Jakoś się tak złożyło. Ale jak było małe dziecko, to ono było najważniejsze. Zresztą ileż moich tekstów jest wywołanych, napisanych tylko dlatego, że urodził się nasz syn – Wojtek. Jak byłam młodsza, pracowałam w teatrach, w przedszkolach, bibliotece i nie miałam jeszcze świadomości pisząc, że to jest takie ważne i że tego się tyle nazbierało.

Skąd te wiersze płyną?

Te wiersze, które uważam za trafione, są pisane, notowane w chwili zupełnej pustki. W tę pustkę wpada jakieś słowo i od tego się zaczyna. Zwykle jestem na to zupełnie nieprzygotowana. I nie wiem, kiedy to się zdarza. To jest dosyć niewygodne. Wiem, że trzeba zapisać, a czasem jestem w miejscu, w którym nie mam ani ołówka, ani kartki. I zapominam. I to jest fatalne, bo jak nie zostało zapisane, to przepada. Potem mi szkoda.

Czyli ciągle trzeba być gotową na wiersz, bo może się pojawi znienacka?

W każdej chwili. To nieprzerwane otwarcie jest bardzo męczące. Są ludzie, którzy sobie zadają pisanie: dziś siadam o szóstej i piszę. Ja takich godzin nie mam. Tak pisałam doktorat. Ile razy ktoś mnie prosił: napisz tekst o drzewie, o sobie, o ptaku. No jak? Nie wiem, jak miałabym to zrobić. Jak się do czegoś takiego siada. Notuję, zapisuję, bazgrzę – mam tego pełne brudnopisy i dopiero z tych brudnopisów wyciągam, wybieram sens. Nigdy nie wiem, kiedy wiersz się pojawi, kiedy mi się odsłoni.

Często się Pani uśmiecha, skąd bierze Pani tę pogodę ducha?

Jestem, rozmawiam z panią, nic mnie nie boli. To jest właściwie taka kojąca nieobecność. Powiedziałabym, że mnie teraz nie ma, bo jak jestem, to mnie zaraz coś nęka i boli, nie tylko fizycznie. Ból fizyczny umiem znieść. Mój wnuk mówi: babcia wytrzyma, jest mocna. Ale to nieprawda. Babcia jest bardzo słaba psychicznie.

Wrażliwa?

Szybko poddaję się życiu. Nigdy nie walczę z tym, co mi się przydarza. To, że teraz muszę o coś dla siebie prosić, żeby żyć, to są dla mnie rzeczy okropne. Najtrudniejsze chwile. Jeżeli nie potrafię sobie sama poradzić, to jest bardzo trudne. Ale staram się chodzić, schodzić do ogrodu, wbrew zdrowemu rozsądkowi, ale po swojemu.

Oj, ale tych schodów dużo tu, na pierwsze piętro.

Ogród jest bardzo dla mnie ważny, chcę tam czasem zejść. Niestety wielu rzeczy nie mogę pogodzić ze sobą. Na przykład ten ogród zarasta, a ja nic nie mogę na to poradzić. Albo nie mogę tyle czytać, ile bym chciała, te szkła już mi nie wystarczają.

Ale wiersze pani ojca przeczytam z przyjemnością. Bardzo za nie dziękuję.

Myśli Pani o takich rzeczach jak testament?

Nigdy mi do głowy nie przyszło odkładać spraw na po śmierci. Wszystko, co mogę zrobić, robię teraz. Co moje dzieci zrobią z tym, co po mnie zostanie, to już będzie ich zmartwienie. Szczęśliwie mam komu zostawić tych kilka rzeczy.

To daje otuchę?

Tak, to jest świetne. Otuchę niosą też te chwile, kiedy się nie boję. Na przykład że upadnę i nie zrobię tego, co mam jeszcze do zrobienia. Albo nie boję się, że stanie się coś moim najbliższym. Albo nie boję się przejść stąd do łóżka. Od śmierci męża mieszkam sama.

Tak Pani chciała?

Myślę, że nie należy sobą nikomu robić kłopotu. Dopóki mogę, jakoś sobie radzę. Jarosław bardzo mi pomaga, to jest wspaniały człowiek, naprawdę. Dzięki niemu jest tu wiele spraw, dzięki niemu ukazują się kolejne książki. Jestem bardzo szczęśliwa, że one wychodzą, to dla mnie ogromnie ważne.

Pani Krystyno, a co jest w życiu warte starania?

Nie uważać siebie za istnienie ważne. W ogóle nie brać siebie pod uwagę, nie stawiać siebie w centrum. Nie ma czegoś takiego jak ego. To iluzja.

Pani jest buddystką?

Nie wiem.

Na to wychodzi.

Wszystko, co przychodzi, przychodzi do mnie z zewnątrz. Wszystkie moje najlepsze teksty są stamtąd, ze świata, a nie ze środka, nie z wewnątrz. Tu w środku, jak już mówiłam, jest pusto. I w tę pustkę wpada coś wspaniałego. To są sekundy, chwile, w których się to pojawia. Nie da się tego z niczym porównać.

To są olśnienia?

Można tak powiedzieć, właśnie olśnienia, a nie natchnienia. Warto jest nie brać siebie pod uwagę.

To bardzo trudne.

Ale jeżeli człowiek raz czegoś takiego doświadczy, to wie, że to jest możliwe. I do tego bardzo ciekawe. Tylko jak się tego rozpaczliwie szuka, to się nie znajdzie.

Myślałam, że powie mi Pani o miłości.

To właśnie jest miłość.

To, że się siebie nie bierze pod uwagę?

Tak. Nie kocham siebie. Zupełnie nie. Czasami tylko ból może mi przypomnieć, że jestem. Jest taki mój wiersz o tym. „Jestem. Współżywa, współczynna, współwinna. Współzielona, współdrzewna. Współistnieję. Ty jeszcze nie wiesz co to znaczy. Obdarowana przenikaniem. Znikam jestem. Współtrwam (z Tobą) w tym szklistym dniu (z tym szklistym dniem w którym znikam) który znika ze mną tak lekko. Nie wiem co to znaczy. Współotwarta z oknem, współpłynna z rzeką. Jestem żeby wiedzieć znikam? Znikam żeby wiedzieć jestem? Cała ale całej nigdzie nie ma. Współprzelatująca, współniebna. Pół wieku żyłam po to!”.

Albo taki: „od kiedy jestem / cząstką domu / cząstką dziecka / cząstką jednego nieskończonego zdania, cząstka to moje największe imię / cząstką śmierci / cząstką życia...”. Zawsze to jest oddzielone, zrzucone gdzieś na innych, na inne.

A jak się siebie nie bierze pod uwagę, czy wtedy człowiek mniej boi się śmierci?

Ależ tak! To się wszystko przenika. W książce rozmów z Willigisem Jägerem jest taka jego opowieść o starej kobiecie, do której przychodził anioł śmierci. I ona za każdym razem prosiła: jeszcze chwilę poczekaj, bo muszę pójść nakarmić zwierzęta, muszę zacerować wnukom skarpety. I gdy wreszcie przyszedł po raz kolejny, powiedziała: teraz możesz mnie wziąć do wiecznej szczęśliwości. I wtedy anioł zapytał: a gdzie ty przez cały ten czas byłaś? Oczywiste jest, że my jesteśmy tutaj, w tych wszystkich czynnościach, właśnie w tym świecie, który mamy pod ręką. I to jest nasze niebo, nas nie ma dokąd zabrać.

Podoba mi się ta koncepcja.

Wtedy dopiero bierze się szklankę z całym zachwytem.

Jeśli wiemy, że nic oprócz tego nie ma.

Wszystko jest tutaj, teraz, w wieczności.

No tak, ale smutno byłoby to zostawiać, czy nie?

Ale to jest takie zwyczajne. Życie przecież zostanie. Ja umrę, ale zostaną dzieci, wnuki zostaną. Ta wiewiórka, ten kot, drzewa. Wszystko.

© Rozmawiała JUSTYNA DĄBROWSKA

- OD REDAKCJI: Wydawcą wierszy Krystyny Miłobędzkiej jest Jarosław Borowiec, historyk literatury, redaktor naczelny Wydawnictwa Wolno. Ojciec Justyny Dąbrowskiej to poeta i tłumacz literatury rosyjskiej Witold Dąbrowski.

Oczy podążają za ruchem, myśli podążają za życiem

„W NAJWCZEŚNIEJSZYCH wspomnieniach z dzieciństwa nie umiem od siebie niczego oddzielić” – wyznała prawie trzydzieści lat temu Krystyna Miłobędzka. Oddzielać – definiować i wytyczać granice – nauczyć miała przyszłą poetkę, obarczając ciężarem tradycji, dopiero szkoła. Odważną próbę powrotu do intuicyjnego doświadczania świata widać już w wydanym w 1970 r. tomie „Pokrewne”. Tytuł odsyła do świata jako ekosystemu, w którym wszystko jest sobie niebezpiecznie bliskie, nierozerwalnie splątane. „Komu potrzebne nazywanie” – czytamy w wierszu „Ogród” – najlepiej, gdy „nie ma żadnych ścieżek, nie ma dojścia”. „Pokrewne” to alternatywny podręcznik biologii pozbawiony definicji, książka poświęcona tajemniczym ruchom roślin, które „pchają się, tłoczą, wtulają w siebie” – pęd ku życiu w najczystszej postaci. A jednocześnie literacka gra, bo przecież nie da się wpatrywać w roślinę tak długo, by dostrzec jej ruch, wszak według Miłobędzkiej „oczy nie widzą głęboko”. Oczyszczając doświadczenie z tego, co szkolne, a więc oddzielające od żywości świata, ale też z przyswojonych środków poetyckich, Miłobędzka dokonała – jak napisał Tymoteusz Karpowicz – „zamachu na wszystkość”. Nic dziwnego – patronami jej twórczości są jednocześnie Bolesław Leśmian i Miron Białoszewski. Jej wiersze nie tylko próbowały opowiadać naturę (poemat rozkwitający „Wiersz róża”) czy sam ruch („Wiersz most”), ale także ruch myśli piszącej o ruchu poetki („Wiersz gęstwina” i „Wiersz przesieka”). Ostatnio ukazał się ich wybór pt. „jest / jestem (wiersze wybrane 1960 / 2020)”, skąd pochodzą publikowane tu trzy wiersze.

Krystyna Miłobędzka jest także autorką sztuk teatralnych, wydała zbiór szkiców o teatrze dziecka. Laureatka wielu nagród, w tym Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius za całokształt twórczości, a także Nagrody im. Adama Mickiewicza (2020 r.).

©℗ MOC

ZA PAMIĘCI

HANNA

Krall:
Sceny żałujące

DŻINSY

Sekretarz zabębnił palcami po biurku i uśmiechnął się serdecznie. – Towarzyszko G., słyszeliście o stachanowcach?

– Co macie na myśli, towarzyszu sekretarzu? – spytała towarzyszka G.

Towarzysz sekretarz miał na myśli trzecią stronę maszyny. Dotychczas tkaczki pracowały przy dwóch stronach, chodziło o to, żeby z sąsiedniej maszyny przejęły i trzecią.

Towarzyszce G. ta myśl błysnęła w mózgu jak reflektor i zawołała: – Towarzyszu sekretarzu, ja przejdę na trzy strony!

Sekretarz powiedział do towarzyszki G. dziwnie ciepłym głosem:

– Spodziewaliśmy się tego po was.

Książeczkę Wandy Gościmińskiej „Mój wielki dzień" wyciągnęłam na ustnej maturze razem z Kuźnicą Kołłątajowską i snem Nowosilcowa z trzeciej części „Dziadów".

Piątkę dostałam, pochwaliłam się autorce wielkiego dnia jakieś trzydzieści lat po maturze.

Siedziałyśmy w Domu Chłopa i rozmawiałyśmy o żalu. Taki miałam pomysł na reportaż – kto czego żałuje w swoim życiu.

Że zasiadała w Komitecie Obchodów Urodzin Józefa Stalina?

E, tam. Taki był czas, to się zasiadało.

Że w Komitecie Obchodów Rocznicy PZPR?

Taki był czas.

Jednego żałowała. Że nie nosiła dżinsów.

Figurę miała, nogi miała, świetnie wyglądałaby – w gazetach, komitetach, prezydiach i przy maszynie.

Niestety, dżinsy niewynalezione były.

KUROŃ

O Grażynie Budzie, praserze tworzyw sztucznych.

Był strajk, maszyny stanęły. Wszystkie, poza jedną.

Był to godzinny strajk, ostrzegawczy, i przez całą godzinę słyszeliśmy jedno jedyne brzęczenie, wysokie, trochę jazgotliwe.

Nie wyłączyła maszyny w przerwie śniadaniowej, bo robili izolatory z wtórnego surowca. Wtórny surowiec nie lubi wyłączeń, to po pierwsze. Po drugie, jak maszyna szła, to nie musiała jej uruchamiać po syrenie strajkowej.

Przychodził na szkolenia lektor z komitetu i mówił im, co i jak. Ona dbała, żeby miło było, i zabezpieczała kawę.

Kiedyś o Kuroniu im mówił, no nie, nie najlepiej.

Szynki nie ma. Jakby była i tak nie kupiłaby, za droga dla niej. Nie je i nie potrzeba.

Ojciec jej córki nie zajmuje się dzieckiem. I nie trzeba, człowiek musi umieć być sam.

Ludzie strasznie chcą komuś wierzyć.

Ona nie musi.

Ludzie strasznie chcą być ze wszystkimi.

Ona nie chce.

Ona nie może patrzeć, jak ludzie tak ślepo za innymi idą.

Kuroń przyszedł do nich na strajk i coś mówił. Nawet miała ochotę go posłuchać.

Nie dało się. Jej maszyna jest jakaś głośna, hałas robi, powinna mechanika wezwać.

Może i szkoda.

ZAMIAST NIE PÓJŚĆ

Z Markiem Przybylikiem u jego stryja, Stefana, cichociemnego. Zakopane na Kasprusiach. Notatki.

Wrzesień, Sowiety, pięć lat Pieczorłagu.

Wyrąb lasu, śnieg, wiatr, czterdzieści stopni. Pelagra.

Amnestia (Sikorski–Majski, układ).

Pięć suszonych ryb, chleb i machorka, to na drogę.

I pustynia i piasek i upał i szczury i szczury i szczury.

I wojsko. Polskie. Afryka Południowa.

Statek „Laconia", konwój do Anglii, włoscy jeńcy.

Ale cóż.

Torpeda. Koło Wyspy Wniebowstąpienia. Na zegarku dwudziesta zero pięć – i buch.

I przechył.

I druga torpeda.

Jedna szalupa na ilu, może na stu, reszta w morzu. Do szalupy chcą, to wiosłami ich, to toporem, po rękach, po głowach, wiosłami, toporem.

Dryfują.

Francuski krążownik, Casablanca i wojsko. Polskie. Chcecie walczyć w kraju z okupantem?

Liberator z Brindisi. Pod Piotrkowem Trybunalskim ognisko, noc, skok, polska, ach, polska ziemia, ale niestety.

Kolacja u siostry zakonnej.

Zamiast nie pójść, to idzie. No cóż, no żałuje. Sypie rodzony brat ich łączniczki. Blondyn, w oczy nie patrzył, od razu nie spodobał mu się ten brat, ale idzie, zamiast nie pójść. Stukanie do drzwi, gestapo.

Tortury, na szczęście cyjanek jest. Na wyposażeniu. Dziesięć sekund... Nic. Piętnaście... No, żyje. No co on poradzi, zwietrzały jakiś ten cyjanek.

Sowiecki nalot.

Wojny nie ma, ale nie dla wszystkich.

Dla niego las i radiostacja.

Sen, dziwny jakiś. Obcy facet chce go pocałować. Zły znak, i rzeczywiście. Obława, bezpieka, przesłuchanie.

W sali pułkownik. Ten ze snu. Moczar, okazuje się, szef bezpieki.

Patrzy na niego, patrzy... Mówi – ten to mi się dzisiaj śnił.

To on – pan pułkownik też mi się śnił.

To tamten – o, jaki bezczelny.

I amnestia.

I już.

To wszystko.

TRZY LITERY

Zofii Kucównie – wielkiej, natchnionej, nostalgicznie.

Ojciec wrócił z więzienia. Chorował, nie mógł pracować. Dużo spał, trochę czytał i rozwiązywał krzyżówki.

Nie chciał zaglądać do encyklopedii, mówił, że ćwiczy mózg.

Kiedyś utknął przy haśle – rzeka w Aleksandrii. Na trzy litery.

Sięgnął po mapę. Ucieszył się – Nil!

Nie, nie Nil. Nie pasuje.

Zmarkotniał.

Zajrzała mu przez ramię.

Tatusiu, to San. Popatrz – AlekSANdria.

Wyjęła mu z ręki długopis i wpisała w krzyżówkę San.

Zawstydził się: – Nigdy bym na to nie wpadł.

Odłożył niedokończoną krzyżówkę.

Powiedziała: – Jeszcze kilka słów, ja ci pomogę.

Ojciec poprawił pled i przymknął oczy. – Zostaw, prześpię się.

Z wielu rzeczy usprawiedliwiała się przed nim – później, kiedy go już nie było, ale z Sanu najczęściej. Z idiotycznego pośpiechu. Z głupawej dumy, z jaką wpisała trzy litery w puste kratki.

NIEPYTANIE

Aneta siedziała w pierwszej ławce od okna, ławka dotykała jej stołu. Na lekcji słuchała nieuważnie, myślała o czymś innym i nie lubiła matematyki.

Mieszkały w jednym bloku, mama Anety była dozorczynią. Przedtem mieszkały gdzieś dalej, za torami. Mama Anety pilnowała magazynów i pracowała na nockach.

Spotkała kiedyś mamę Anety na podwórku przed blokiem i mama Anety powiedziała, że jak wychodziła z domu na nockę, to jej mąż, drugi mąż, ojczym Anety, mówił: – Chodź Anetka, nauczę cię miłości.

Ale on to mówił żartem, zapewniała mama Anety, on by nikogo nie skrzywdził.

Któregoś dnia ojczym Anety zapukał i poprosił o pięćdziesiąt złotych. Dała mu, potem Aneta zapukała. Położyła na stole dług i spytała, czy może usiąść.

Usiadła.

Chyba chciała coś powiedzieć.

Nie spytała Anety, co chce powiedzieć. Nie chciała być nietaktowna ani natrętna.

Gdyby Aneta chciała mówić, to mówiłaby.

Głupio, że nie spytała.

No głupio, głupio z jej strony.

Aneta posiedziała, pomilczała i poszła.

Kilka dni później weszła na dach. Robotnicy siedzieli na dachu i jedli drugie śniadanie.

Aneta powiedziała im, że zeskoczy.

Skoczyła. ©

TYGODNIK POWSZECHNY

Podkast Powszechny

Zapraszamy do słuchania autorskich cyklów podkastów „Tygodnika Powszechnego”

Punkt zwrotny
Katarzyna Kubisiowska i jej goście

#DOM
czyli rozmowy Krzysztofa Storego o małej ojczyźnie

Miesiąc w nauce
z autorskim przeglądem newsów naukowych Łukasza Lamży

Sztuka powszechnie nieznana
Magdaleny Łanuszki, która odkrywa dla nas na nowo średniowieczne dzieła

Opowieści z Izraela
korespondencje Karoliny Przewrockiej-Aderet

weź, słuchaj!

Więcej na **powszech.net/podkast**

SALESmanago
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Z ODDECHEM

ROK PUSTEGO CZASU

Nie jesteśmy obywatelami swojego czasu, kształtującymi jego znaczenie, tylko jego pokornymi poddanymi. Pokazał nam to rok 2020, który już nie przynależał do starej epoki i jeszcze nie przynależy do nowej.

WOJCIECH ENGELKING

To było 31 grudnia 2019 r. nad ranem. Czekałem na samolot na lotnisku imienia Dawida Ben Guriona. Knajpy były jeszcze zamknięte, sklepy wolnocłowe – również. By się nie nudzić, otworzyłem komputer, w nim kalendarz i zacząłem nanosić na tworzące rok 2020 okienka kolejne plany.

Rok po raz pierwszy

Im dłużej zastanawiałem się nad tym zachowaniem, tym wyraźniej dostrzegałem jego absurd. Jakie dla mojego myślenia o najbliższej przyszłości miałoby znaczenie, że będzie ona wydarzała się właśnie w roku 2020? Od dawna żyję w innych cyklach niż ten rozciągający się między styczniem a grudniem – latach akademickich i terminach oddania powieści. Gdy chodzi o coś nieodległego (a perspektywa roczna jest nieodległą), planuję, że będzie miało to miejsce po lub przed napisaniem książki, albo w semestrze zimowym bądź letnim, a nie w roku 2016 czy 2018. Podejrzewam, że mimo specyfiki wolnego zawodu nie jestem w tym osamotniony. Mało kto mierzy czas uniwersalnym kalendarzem, znaczące punkty – urlop, ślub – umieszczając na jego powierzchni tyleż własnoręcznie, co obojętnie, bez zastanowienia, który akurat przewidziano rok od umownych narodzin Chrystusa.

Gdy zdążyłem sobie zdać z tego sprawę, ogłoszono mój *boarding*, schowałem komputer i ruszyłem w podróż do Warszawy, nieświadomy, że gdy wyląduję i miną styczeń oraz luty, rok 2020 okaże się najdziwniejszym rokiem, jaki kiedykolwiek był moim udziałem.

Właśnie tak: rokiem. Choć wtedy, na telawiwskim lotnisku, zrozumiałem, że porządkowanie rzeczywistości cyklami styczeń–grudzień jest nie dla mnie i w ogóle mało dla kogo, dziś o roku 2020 nie potrafię myśleć inaczej niż właśnie jako o roku, a nie tylko wydarzeniach nanizanych na nitki jego miesięcy. Pandemia bowiem – pandemią. Protesty – protestami. Wszystkie te sprawy zdarzyły się w roku 2020 i bez niego jako punktu odniesienia nie tyle nie istnieją w mojej głowie, ile wręcz bez niego nie istniały, gdy się wydarzały.

To naiwne – powie ktoś. Czyżbym utrzymywał, że gdyby mijał właśnie rok 2019, a nie 2020, nie miałyby one miejsca? Czy zdaje mi się, iż w nocy z 31 grudnia 2020 r. na dzień następny ludzkość w sekundę zaszczepi się na COVID-19, napięcia polityczne i społeczne zaś znikną? Może wręcz wierzę, że

MARTIN MEISSNER / AP / EAST NEWS

Park zegarowy w Düsseldorfie, 24 kwietnia, 2020 r.

1 stycznia 2021 r. obudzi mnie Philip Larkin: „I nagle cały konflikt, co trwał bez ustanku, / Ustał: ni stąd, ni zowąd ludzkość wstała rano / I stwierdziła, że każdy zaczął czuć to samo (...)”?

Nie, nie sądzę tak. Uważam natomiast, że czymś innym jest czas, a innym – jego świadomość. W roku 2020 splotły się one ciasno jak w żeglarskim węźle: dzięki temu rok 2020 – jako pierwszy bodaj w życiu – właśnie jako rok żyłem.

Potworny i cudowny

„Wydarzenia historyczne – powiada Kołakowski – nie są znakami, przez które ktokolwiek chciałby cokolwiek ludziom zakomunikować (...). Historii niepodobna zrozumieć jako struktury znaczącej, jeśli nie założymy esencji, która wciela się w jej przebiegi”. W ostatnich latach esencję tę zakładano często, rozumiejąc ją jako postęp liberalizmu. Wszystko, co się zdarzyło wbrew niemu, jak – powiedzmy – najazd Rosji na Ukrainę, interpretowano więc jako ulotnienie się owej esencji. Czy słusznie? I tak, i nie. Zdarzenia, które składają się na wspomnienie cyklów styczeń–grudzień z połowy tej dekady, miały – owszem – miejsce. Żyjąc je, nie czuło się jednak, że są puzzlami pewnego sensu. Esencja się więc w tamtych latach ulatniała – jednak *ex post*; wyłącznie, gdy się tuzin miesięcy podsumowywało, starając znaleźć istotę rozpiętego między pierwszym a ostatnim okresu.

Szczególnie wdzięczny był dla podobnych poszukiwań rok 2016. Nie dość, że zdarzyła się wówczas przegrana Hillary Clinton, to jeszcze umarli Leonard Cohen, David Bowie i Carrie Fisher – politycy i artyści kojarzeni z pokoleniem *baby boomers*. Sens jawił się więc tak: kończy się trwające od dawna polityczne i kulturalne panowanie tej generacji nad Zachodem.

I chociaż *ex post* w istocie się tak zdawało, żyjąc rok 2016, nie miało się poczucia, iż jako rok 2016 jest dla tych zdarzeń znaczący; że ma sens właśnie jako rok 2016. Dym z pożarów na kolejnych przystankach od stycznia do grudnia układał się w wiadomość, jednak wyłącznie widziany z perspektywy. W tamtych latach nie było się Odyseuszem na dworze króla Feaków, zdumionym, że słucha opowieści o swej wyprawie, gdy ta wciąż trwa; było się Odyseuszem, który słuchał jej, dotarłszy już do Itaki.

Rok 2020 jawi się inaczej. Nie wiem, czy to w drugim, czy trzecim tygodniu lockdownu zdałem sobie sprawę, ↦

↦ iż żyję zdarzeniem, które już zdążyło się okazać historią – a więc: konstrukcją o większym znaczeniu, przekraczającym horyzont samego zdarzenia – stało się to jednak dość prędko. Podobnie było w przypadku protestów na Białorusi. Nie zajęło mi długo pomyślenie – poczucie – że obok mnie wydarzają się sprawy, którym sens już został nadany, i jest to sens większy niż one same. Wychodząc na demonstracje w obronie Margot czy przeciwko wyrokowi Trybunału Konstytucyjnego wiedziałem, że uczestniczę w sensownej całości, w której mój okrzyk i obecność tę ostatnią i tworzą, i są przez nią tworzone. Tą sensowną całością była zaś nie (albo: nie tylko) niezgoda na systemową homofobię i mizoginię, ale: rok 2020.

O ile poprzednie lata dopiero po czasie, zsumowawszy przewleczone przez nie zdarzenia, można było usensownić, życie w roku 2020 miało ten sens od samego początku. (*Ex post* można go nadać spoglądaniu na powiadomienia na ekranie telefonu w styczniu i lutym – o raczkującej wówczas pandemii czy pożarach w Australii). Sens ów stanowiło – stanowi – ono samo: życie w roku 2020 jako w czasie specjalnym i niebywałym, roku i potwornym, *annus horribilis*, i cudownym, *annus mirabilis*.

Już nie i jeszcze nie

A przede wszystkim – w roku pustym. Kto chce wiedzieć, co to znaczy, musi sięgnąć do pewnej rozmowy, która odbyła się w miejscowości Brundisium na Półwyspie Salentyńskim w 19 roku p.n.e., we wrześniu – tak ją przedstawia Hermann Broch w „Śmierci Wergilego". Bohaterami ciągnącej się przez kilkadziesiąt stron wymiany zdań czyni cesarza Oktawiana Augusta i Wergiliusza właśnie. Ten, w agonii, wydaje swym sługom ostatnie polecenie: zależy mu, by – nim wyzionie ducha – zniszczono manuskrypt jego „Eneidy". Oktawian nie może tego zrozumieć.

Dlaczego – zapytuje – chce pozbawić Rzymian tak wspaniałego utworu? Wcale nie wspaniałego, rzecze Wergiliusz. Dzieło jego jest niedoskonałe – pisząc je, utracił bowiem cel, a dzieło bez celu nie może być wiecznotrwałe. Takie było, podaje Wergiliusz przykład, dzieło Ajschylosa – dlatego, iż Ajschylos wypełniał zadanie swego czasu. Ów ostatni jest kluczowy: „Czas wytycza kierunek zadań, kto zaś działa wbrew kierunkowi, zawieść musi". W czasach Wergiliusza zaś pisanie nie jest podobnego rodzaju zadaniem. „(...) nie istnieją już żadne zadania poetyckie".

Oktawian się dziwi: już nie istnieją? „Mówisz, jakbyśmy znajdywali się u kresu". Wergiliusz odpowiada: „Należało raczej powiedzieć: jeszcze nie istnieją" – co wprawia Oktawiana w rodzaj dziwacznego transu. „– Już nie i jeszcze nie – Cezar, niemile zaskoczony, ważył słowa – pomiędzy tym zieje pusta przestrzeń. (...) Pusta przestrzeń pomiędzy czasami (...) pusta nicość, dla której wszystko nastaje za późno i wszystko zbyt wcześnie, pusta przepaść nicości popod czasem i popod czasami, nad którą czas, lękliwie włoskowaty, chwila za chwilą usiłuje przerzucić mosty, aby ta kamienista przyczyna kamienienia stała się niewidoczna. O, przepaść nieukształtowanego czasu, nie wolno jej się uwidoczniać (...)!".

W roku 2020 przepaść nie posłuchała Oktawiana Augusta. Uwidoczniła się w całej rozciągłości, pokazując tym, którzy się w nią schwytali, jak potwornie jest tkwić między przeszłością a przyszłością, w przecięciu historii, w „już nie i jeszcze nie" – i zdawać sobie z tego sprawę.

Rok powiadamia

Bo – tak, przecież zdawano sobie sprawę, że żyjąc rok 2020 żyje się ten punkt w dziejach świata; zdawano ją sobie nawet bez ustanku. Wiedza, że to właśnie ten moment, najmocniej bodaj uwidoczniła się w nieumiejętności znalezienia analogii do tego, czym rok 2020 jest. Była owa nieumiejętność tym dziwniejsza, że przecież w przypadku poszczególnych składających się na niego zdarzeń można było to jak najbardziej uczynić. COVID-19 to nie pierwsza globalna epidemia; insurekcja kobiet w Polsce może zostać wpisana w strukturę zachodniego 1968 r.; rewolucja na Białorusi porównana do Majdanu, protesty czarnoskórych w USA zinterpretowane przy użyciu narzędzi zapewnianych przez socjologię od dekad.

A jednak: takich porównań się zbyt wiele nie słyszało – i dobrze, że się nie słyszało. „Porównywać" oznaczałoby bowiem „naśladować" któregoś z „myślicieli, którzy, doświadczywszy czegoś nowego, usiłowali to niemal natychmiast przezwyciężyć i sprowadzić do jakiejś znanej postaci" (Hannah Arendt). Rok 2020 był zaś – jest – nie do rozgromienia za pomocą paralel. Jego unikatowość każdego dnia potwierdzało rozświetlenie telefonu powiadomieniem: tylu dzisiaj umarło, tylu się zakaziło, tyle po kolejnych starciach z policją wylądowało na komisariatach.

Powiadomienia przypominały: w tych czasach wszystko może się zdarzyć i zostać uznane za codzienność. Przypominały: i ty możesz się zakazić i umrzeć, i ty możesz znaleźć się na demonstracji i zostać zabrany do aresztu. Przypominały: nie jesteś obywatelem swojego czasu, kształtującym jego znaczenie, jeno pokornym poddanym. Przypominając, nadawały i nadają każdemu dniowi 2020 r. sens, którym jest życie w tym roku jako w momencie, który już nie przynależy do starej epoki i jeszcze nie do nowej.

Bezprecedensowość zdarzeń z 2020 r. uświadamia też brak zrozumiałego, uznawanego za adekwatny języka, który pozwalałby się w epoce pustego czasu poruszać i na jej temat komunikować. Dobrze pokazała to w Polsce sprawa Margot: dyskutując o tym, co się jej w sierpniu 2020 r. zdarzyło, wielu z życzliwych aktywistce zdało sobie sprawę, że sformułowania, których używają (przekonani o ich przezroczystości), są przez innych odczytywane jako transfobiczne. Inny kazus to październikowa różnica w sposobach (naukowym, teologicznym) mówienia o aborcji, gdy i strona naukowa, i teologiczna mniemały o uniwersalności własnej mowy.

Oczywiście – naukowa uniwersalną była. W roku 2020, w obliczu braku instancji, która by regulowała, co mieści się w granicach języka, a co stanowi bełkot, jego granice radykalnie się jednak poszerzyły. Do krainy debaty przyjęto QAnonowców, przeciwników chodzenia w maseczkach, rządy zamykające lasy i siłownie, prezydenta i jego akolitów plotących o „ideologii LGBT", zrywającego ze zwyczajem poddania się przez pokonanego w wyborach w Ameryce Donalda Trumpa i tylu innych, że ich policzyć nie zdolna.

Taka tylko metafora

„Między tymi, którzy z jakiegoś powodu nadal należą do starych, a tymi, którzy albo czują katastrofę w swoich kościach,

albo z nią dorastali, łańcuch jest zerwany i powstaje pusta przestrzeń, rodzaj historycznej ziemi niczyjej" – powiada Hannah Arendt. Z ziemi tej wyrastały pewne nadzieje. Najłatwiej było dostrzec ich kiełkowanie u zarania pandemii: nie na samym początku (kiedy sądzono, że po dwóch tygodniach zamknięcia w domach drzwi się otworzą; zdaję sobie jednak sprawę, że piszę o tym z perspektywy osoby uprzywilejowanej, nie *essential worker*) – ale gdy było już wiadomo, że COVID-19 potrwa dłużej. W obliczu rozprzestrzeniającej się zarazy stało się jasne, że przygotowane zawczasu sposoby zarządzania nią nie działają – być może, uznano więc, nie działa też cały model instytucjonalny, z jakiego się wywodzą.

Gazety i portale spuchły wówczas od analiz, jaki będzie świat po pandemii – którą rychło uczyniono synonimem roku 2020. Przebijało z nich przeświadczenie, że ten ostatni okaże się położnikiem rozwiązań, o które wnoszono i w zeszłych latach. Sądzono, że ułatwi narodziny powszechnej redystrybucji, dochodu podstawowego, wysokich podatków dla krezusów, które by były następnie inwestowane w publiczną służbę zdrowia. Czas spowolnienia – uważano – pozwoli ludzkości wślizgnąć się w ekologiczny sposób życia, zapobiegający rozprzestrzenianiu się zarazy z kontynentu na kontynent przez pasażerów samolotów na podobieństwo broni masowego rażenia. Podobnie było jesienią, gdy w powietrzu unosiło się wrażenie, że demonstracje, które niósł rok 2020, wygumkują z prawa nie-kompromis aborcyjny, wymuszą rozdział tronu od ołtarza, do szkół wprowadzą edukację seksualną, do aptek zaś dostęp do darmowej antykoncepcji i środków higieny intymnej.

> Powiadomienia w telefonie przypominały: **w tych czasach wszystko może się zdarzyć** i zostać uznane za codzienność.

Kusi przyjęcie łatwego sposobu rozumienia roku 2020, w ramach którego w warunkach epoki „już" te nadzieje stanowiłyby radykalne mrzonki, a w warunkach „jeszcze" – oczywiste dla wszystkich, polityczne postulaty. Problem w tym, że w czasie „już nie i jeszcze nie", choć wiadomo, że pochodzą one ze świata, który dopiero nadejdzie, nie jest wcale oczywiste, czy dla wszystkich pozostają opisem tego, jak piękny i cudowny będzie. Dlaczego by nie miały być zaprzeczeniem tego opisu?

Zresztą to pytanie można odwrócić. Więc: jakkolwiek to, że żyjemy w momencie „już nie i jeszcze nie" jest przeświadczeniem dość powszechnym, skąd mamy wiedzieć, co zalicza się do „już nie"? Owszem, brutalność policji na polskich ulicach zdaje się obrazkiem jak z poprzedniej epoki – ale która to epoka? Ta, która odeszła w roku 1989? Ta, która odchodzi w roku 2020 – kurczowo się go trzymając, czy może ta, która odejdzie za kilka dekad? Bezkarność biskupów w sprawie kościelnej pedofilii zdaje się tendencją z innego czasu – jednak: którego? Trzech dekad od początku lat 90.? A może wielu następnych? I, co najważniejsze, kto ma o tym zdecydować? Jednak rok 2020, jak wielce znaczącym uczyniłem go tu politycznym symbolem, być nim nie może. Owszem, stanowi sens mijających miesięcy – im bliżej jednak 2021 r., tym bardziej ten sens okazuje się tym, czym był od początku. Czyli: li tylko metaforą, taką samą, jaką były sensy *ex post* nadawane latom poprzednim.

Szekspir nazwał ów lej pomiędzy cyklami historii mianem czasu, który wypadł z formy – a człowiekowi, który go zasypał, nadał nawet imię.

Dobranoc, mój książę

Imię Fortynbrasa jest w „Hamlecie" wspomniane bodaj dwa razy – wprzódy, gdy jego wojska przechodzą przez Danię wojować przeciw Polakom, następnie zaś: gdy przyjeżdża na skąpany we krwi po niedawnym pojedynku dwór na zamku Elsynor. Cokolwiek skromnie opisany, Fortynbras pozostaje jednak dla „Hamleta" kluczowy: to on, gdy dramat żałobny się kończy, pozwala wszystkiemu zająć tyleż swoje, co zupełnie nowe miejsca.

Przyszły król Danii to bohater opowieści o historii, która, jak rok 2020, znalazła się w szczególnym momencie: czasie, gdy stare reguły (świat wojen, honorowych rycerzy z grubymi mieczami) wyczerpały się, nowe zaś (świat dyplomacji i jej magicznych sztuczek, niehonorowych trucizn na ostrzu cienkiej szpady) budzą zdziwienie. O ile Hamlet to człowiek, który po części jest z epoki dawnej (potrafi rozmawiać ze skrzypiącymi stalą duchami), po części z nowej (uczył się w końcu w Wittenberdze), Fortynbras cały pochodzi z nowości. Dlatego Hamlet umiera, a on zostaje królem. Urządza komuś, kto wyrażał w sobie świat „już nie i jeszcze nie" żołnierski pogrzeb, zaliczając tym samym również i epokę przejściową do czasu „już" – by przejść do zarządzania krajem.

Fortynbras rozumie to, co Hamlet wyłącznie przewidywał – nowe języki i nowe normy. Rozumiejąc, potrafi je ustanawiać i uprawomocniać, zrzucając jednocześnie ten obowiązek ze swoich poddanych. To on żyje w roku 2019 lub 2021, lub 2016, lub 1989 – nie oni. To jego życiu nadaje sens historia. On każdego dnia, dostawszy na telefon powiadomienie, ile osób zmarło, a ile się zakaziło, myśli: to moja wielka sprawa. Jego poddani w swych dniach mają własne sensy. Nie żyją w roku 2020, lecz między jedną powieścią a drugą, w semestrze zimowym lub letnim, w związku z osobą X czy osobą Y, w nieskończonej, wszechogarniającej teraźniejszości, która większe znaczenie zyskuje dopiero, kiedy się na nią spojrzy z dystansu.

Swój spisany 31 grudnia 2019 r. nad ranem kalendarz na rok 2020 – z sensami nadanymi kolejnym tygodniom wyłącznie przeze mnie – zachowałem. Nie miałem ochoty usuwać z niego kolejnych wyjazdów i spotkań, przekładać czegokolwiek na 2021 r. Trzymam go na pamiątkę, by otworzyć po epoce „już nie i jeszcze nie" – i, jeśli mi się uda, wyłuskać z niego sens inny niż nadany mu przez ową epokę.

Ale to będzie za jakiś czas. Teraz czekam na Fortynbrasa.

© WOJCIECH ENGELKING

Cytaty z Hannah Arendt w przekładzie Wojciecha Madeja i Mieczysława Godynia; z Hermanna Brocha – Marii Kureckiej i Witolda Wirpszy; z Philipa Larkina – Stanisława Barańczaka.
Śródtytuły pochodzą od redakcji.

PAWEŁ

Bravo:
Bez podstawy

Milion bąbelków dwutlenku węgla emituje kieliszek wina musującego zrobionego metodą zwaną – zgodnie z unijnymi przepisami – tradycyjną. Choć każdy normalny winopijca wie, że to po prostu metoda szampańska, bo w tymże regionie Francji ludzie sprytni (albo zdesperowani) znaleźli sposób na podrasowanie wina, które wychodzi zbyt kwaśne i zbyt nietrwałe z racji miejscowego klimatu. Jest prosta co do zasady działania, ale pracochłonna i wymagająca czasu, co znajduje odzwierciedlenie w cenie butelki. Dziś rzadko już po chłodnych piwnicznych loszkach chodzi *remueur* (czyli po naszemu krętacz) ręcznie obracając butelki na specjalnych stojakach. Tę robotę przeważnie wykonują zrobotyzowane żyropalety. Ale i tak Francuzi postanowili uchronić swoją pozycję na rynku. Unia, co prawda, pootwierała fizyczne granice, ale coraz więcej w niej mamy opalikowanych nazw i wyrażeń.

Ta nazewnicza zazdrość niech skieruje naszą uwagę na fakt, że porządne wina musujące powstają w wielu innych miejscach Europy. Różnią się od szampańskich kuzynów spektrum wrażeń na języku i w nosie, ale mają zawsze ten sam podstawowy charakter, łącząc smaki przywodzące na myśl skórki dojrzałego jabłka z wrażeniem, jakie ma człowiek po schrupaniu mocno spieczonej bułeczki drożdżowej. W zalewie masówki można spokojnie wyłowić okazy zapewniające dobrą równowagę wrażeń i elegancję za godziwe ceny w granicach stówy – zacząłbym od grzebania na półkach z katalońską cavą. A i Polacy w tej dziedzinie wstali ostatnio z kolan, czego dowodem choćby butelki z winnic Miłosz i Gostchorze, które lubię bez żadnej taryfy ulgowej za „krajowość".

Skalę emisji CO_2 z kieliszka policzono stosując solidną analizę fizykochemiczną, ale w grę wchodzi tyle pobocznych czynników, że trzeba ją traktować oczywiście jako przybliżenie. I nie żądajmy więcej. „Jest bowiem cechą człowieka wykształconego żądać w każdej dziedzinie ścisłości w tej mierze, w jakiej na to pozwala natura przedmiotu" – czytamy we wstępie do „Etyki nikomachejskiej", która była w naszym kręgu wstępem do wszelkiej rozmowy o wartościach w życiu jednostki i narodu.

Powiecie, że nawet jak na standardy naszej rubryczki to lekka przesada wyjeżdżać z Arystotelesem, kiedy planujemy, co otworzyć na sylwestra. A jednak! Niezależne od nas okoliczności sprawiają, że będzie to noc szczególna. Rząd każe zostać w domach, a wokół tego narosło tyle etycznych nieporozumień, że trzeba zrobić to, co zawsze, gdy chcemy mieć jasność: sięgnąć do korzeni naszej cywilizacji. Te zaś, tak się przyjęło sądzić, są trzy: grecki rozum, rzymskie prawo i chrześcijańskie miłosierdzie. Zostawmy na boku miłosierdzie, zajmijmy się za to równowagą między rozumem a prawem. Świeżym dowodem jej zachwiania są liczne wypowiedzi o tym, że skoro godzina policyjna nie ma podstaw prawnych, to można – czy wręcz chwalebne byłoby – zbojkotować to zarządzenie. Mówią tak nie tylko politycy opozycji, gotowi paplać cokolwiek, byle na złość władzy, ale też kompetentni i zasłużeni dla dbania o czystość systemu prawnicy. Sytuacja, w której kapłani prawa zalecają działania w oczywisty sposób sprzeczne z racjami ochrony zdrowia, pokazuje, że samo prawo (ściślej: w postaci, jaką przyjmuje w tzw. liberalnym państwie prawa) nie zawsze wystarcza jako kompas działania w sferze publicznej. Obecnej władzy zarzuca się, że depcząc prymat Konstytucji, ciągnie nas w stronę wschodniej satrapii, gdzie jednostka i jej swobody są niczym. Ale równie barbarzyńskie (w sensie pierwotnie związanym z tym słowem) jest lekceważenie Greków, dla których celem polityki było „uczynić obywateli dzielnymi i zdolnymi do dokonywania czynów moralnie pięknych". Zważmy: moralnie pięknych nie znaczy z automatu „mających podstawy prawne".

Widać na odległość, że ta postać liberalnej doktryny ustrojowej, którą w publicystyce utożsamiamy z „Zachodem", kłóci się z arystotelejskim pojęciem etyki i polityki. Może to nic złego, bo całe dzieje Europy można opowiedzieć jako fascynującą grę między różnymi jej duchowymi filarami. Dziś jedna z trzech nóg tego stolika – grecka – wyraźnie spróchniała. Powiecie, że rozumowo wywiedzione nakazy dobrego postępowania obywatelskiego to czysta utopia dla społeczeństw zatrutych sieciową demagogią, o jakiej się Grekom nie śniło. Być może. Nie mam dobrej odpowiedzi. Będzie o czym dumać w sylwestrową noc, którą bez podstawy prawnej, ale w poczuciu moralnej słuszności spędzę w domu. A potem spróbuję oczyścić umysł z dylematów i zacznę liczyć bąbelki wędrujące perlistym sznureczkiem ku powierzchni. ©℗

Nieumiarkowane picie jest obrazą dla ciężkiej pracy ludzi w winnicy i piwnicy. Ale że wino musujące szybciej uderza do głowy i osłabia hamulce, to w tę noc bardziej niż zwykle ryzykujemy przesadą. Warto wtedy zawczasu zjeść coś dość sycącego. Oto np. wenecka wersja bigosu – verse sofegae. Główkę włoskiej kapusty kroimy na szerokie paski. Do wysokiego garnka wlewamy pół szklanki wody i zaczynamy dusić kapustę, dodając jej po trochu, w miarę jak poprzednia porcja zwiędnie i się skurczy. Skrapiamy łyżką octu. W drugim garnku szklimy cebulę na paru łyżkach oliwy, podsmażamy plaster lub dwa surowego boczku, parę żeberek czy inne wieprzowe mięso pokrojone w kostkę. Jego ilość nie powinna przekraczać objętości kapusty. Kiedy mięso się ładnie zrumieni, przerzucamy je do kapusty i dusimy dalej, podlewając w razie potrzeby wodą i białym winem, co najmniej godzinę, aż kapusta ładnie zmięknie. Solimy dopiero na sam koniec! Jedyne przyprawy, jakie przewiduje to danie, to liść laurowy i goździki, ewentualnie jagoda jałowca.

ADOBE STOCK

WIELKIE PYTANIA NA NOWO

MORALNOŚĆ

TYGODNIK POWSZECHNY
1/2021
WARTOŚCI DZIŚ

111 Do czego służy stado
ŁUKASZ KWIATEK
Od presji środowiska do reguł panujących w grupie

115 Spór o fundamenty
MARTA SONIEWICKA
Historia idei prawa naturalnego

118 Wszystkie smaki moralności
ROZMOWA Z JESSEM PRINZEM
Rozum i emocje, geny i wychowanie

123 Życie na chłodno
ŁUKASZ JACH
Skąd się biorą psychopaci?

126 Lepsza jest nicość
KASPER KALINOWSKI
O co chodzi antynatalistom

128 Sumienni oportuniści
RADOSŁAW ZYZIK
O eksperymentalnych badaniach ludzkiej uczciwości

131 Jedenaste: przemyśl całą dziesiątkę
MARCIN MAJEWSKI
Dlaczego odrzucamy biblijne przykazania

Redakcja: Katarzyna Dziadowicz, Łukasz Kwiatek, Łukasz Lamża
Projekt graficzny: Marek Zalejski
Fotoedycja: Grażyna Makara, Edward Augustyn
TP Typografia: Andrzej Leśniak
Okładka: Marek Zalejski / POGONICI/STOCK.ADOBE.COM

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Projekt „Wielkie Pytania dla Polski na nowo" realizujemy dzięki wsparciu z grantu Templeton Religion Trust. Menedżerem projektu jest Grzegorz Jankowicz, Łukasz Lamża zaś jest redaktorem serii wydawnictw.

TEMPLETON RELIGION TRUST

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego

Copernicus Center

ŁUKASZ LAMŻA

ZROZUMIEĆ WSZECHŚWIAT

REWOLUCJA NEURONAUKOWA

WARTOŚCI DZIŚ

SPOŁECZEŃSTWO I KOMUNIKACJA

Opinie wyrażone na łamach niniejszej publikacji należą wyłącznie do ich autorów i nie muszą odzwierciedlać stanowiska Templeton Religion Trust.

Oto i ostatni dodatek z serii „Wielkie Pytania na Nowo". Przez dwa lata wspólnie pochylaliśmy się nad następującymi zagadnieniami: matematyka, sztuczna inteligencja, kultura, Bóg, teorie wszystkiego, mózg i język. A teraz moralność. Poważnie, prawda?

Pewnie wypadałoby teraz powiedzieć, że Wielkie Pytania trapią ludzkość od wieków i że na zawsze będą opierać się naszym próbom zrozumienia. W sensie fundamentalnym – pewnie tak jest. Ale przecież ja sam tak wiele dowiedziałem się, czytając i redagując tych 65 artykułów! (Jeśli nie mieliście wcześniej okazji, zajrzyjcie na tygodnikpowszechny.pl/wielkiepytania – znajdziecie je wszystkie). Niby wciąż mgła, ale przecież jakby miejscowo nabierająca formy.

Ot, dzisiejszy dodatek. Łukasz Kwiatek pokazuje, że nawet (nieliczne) pająki i (liczne) ptaki – nie mówiąc już o małpach! – muszą jakoś uporządkować reguły życia w grupie i ponoszą konsekwencje, jeśli ich nie przestrzegają. Łukasz Jach pisze o umyśle psychopaty, który rozumie kategorie moralne i potrafi nawet czasem zachowywać się zgodnie z nimi, ale jakoś tak ich... „nie czuje". Marcin Majewski zastanawia się zaś nad tym, dlaczego właściwie trzech ostatnich papieży tak stanowczo protestuje przeciwko karze śmierci – wbrew nauczaniu Starego i Nowego Testamentu? A to dopiero połowa objętości tego zbiorku!

A może jednak gdzieś tam we mgle majaczą nam zarysy Wielkich Odpowiedzi? ©℗

GERARD LACZ / ADOBE STOCK

Leniwcom trójpalczastym samotność opłaca się bardziej niż życie w grupie

Do czego służy stado

ŁUKASZ KWIATEK

Zwierzęta łączą się w grupy, by zapewnić sobie bezpieczeństwo i ułatwić zdobywanie pożywienia oraz płodzenie potomstwa. Ale płacą za to wysoką cenę: muszą przestrzegać panujących reguł i zapobiegać konfliktom.

↦

Obecnie znamy około 50 tys. gatunków pająków. Ogromna większość z nich to samotnicy i jedynie kilkadziesiąt gatunków tworzy grupy społeczne. Mogą one powstawać i funkcjonować na kilka sposobów. W najsłabiej skonsolidowanej grupie – nazwijmy ją kolonią – każdy pająk tka własny kawałek sieci, na który inne osobniki nie mają wstępu, ale za to rezydują blisko siebie i nierzadko ich sieci są do siebie podoczepiane – razem tworzą większą strukturę. Członkowie takiej kolonii korzystają z obecności sąsiadów na dwa sposoby.

Pierwszy wiąże się z „efektem rykoszetu": ofiara, która odbije się od sieci jednego pająka lub z niej wyrwie, może zaplątać się w sieć jego sąsiada. Dzięki temu jakiś pająk nie pójdzie spać głodny. Drugim plusem jest to, że złożona z wielu osobników kolonia może rozpleść swoje sieci na większym obszarze, w miejscu, w którym samotny pająk nie byłby w stanie utrzymać sieci. Otwiera to dostęp do nowych lokalizacji, zasobnych w potencjalne ofiary.

Niektóre gatunki pająków – np. *Anelosimus domingo* – tworzą jednak bardziej skonsolidowane społeczności, których członkowie zdobywają pożywienie aktywnie współpracując. Razem plotą jedną dużą sieć, w którą można złowić większą ofiarę.

Zgodnie z ideą darwinizmu, każda złożona cecha organizmu – czy to fizyczna, czy behawioralna – wyewoluowała z prostszej postaci. Możemy więc postawić pytanie o to, jak wytworzyły się grupowe sposoby życia pająków.

Według biolożek Mary Whitehouse i Yael Lubin, kolonie najprawdopodobniej wyewoluowały z tzw. kleptopasożytnictwa, czyli strategii polegającej na podkradaniu pożywienia innym drapieżnikom. Kleptopasożytnicze pająki nie są skłonne do współpracy – gromadzą się na sieci wykonanej przez pająka należącego do innego gatunku i pożywiają tym, co w nią wpadnie. Ale z czasem może opłacić im się zmiana strategii – np. wtedy, gdy pokarm można zdobyć samemu względnie niewielkim kosztem. Wówczas zbudują własne sieci i, przyzwyczajone już do bliskości innych osobników swojego gatunku, zaczną życie w kolonii.

Ewolucyjnym prekursorem ściślej współpracujących społeczności pająków mogły być natomiast małe, rodzinne grupki, w których samice silnie angażują się w opiekę nad potomstwem. Jednak nawet najlepsza matka-pajęczyca ma do rozstrzygnięcia dylemat: ilość czy jakość. Jeśli będzie inwestować czas i zasoby w mniejszą liczbę dzieci, to każde z nich bardziej urośnie i będzie mieć ułatwiony start w dorosłość. Może też zaryzykować i spłodzić większą liczbę potomków, ale wtedy każdy otrzyma odpowiednio mniejsze wsparcie.

Trafność wyboru każdej z tych strategii (mierzona tym, jak wiele kopii genów samicy uda się przekazać kolejnym pokoleniom) zależy oczywiście od aktualnych warunków środowiskowych. Jeśli samica postawi na jakość potomstwa, to jej rodzinna grupa może okazać się zbyt mała, by mogła skutecznie bronić swojego terytorium i polować na wystarczająco duże ofiary. Dlatego czasem małym rodzinnym grupom może opłacać się łączenie w duże wspólnoty. Niemniej fakt, że żyjących w ten sposób gatunków pająków jest garstka, wiele mówi o tym, jak wyśrubowane warunki muszą zostać spełnione, by przynależność do tak zorganizowanego stada była dla osobników bardziej korzystna niż przebywanie w samotności albo tylko rodzinnym gronie.

Na straży młodych

Uspołecznionym pająkom życie w grupie zapewnia przede wszystkim łatwiejszy dostęp do pożywienia. To jeden z trzech najważniejszych powodów, dla których zwierzęta w ogóle tworzą stada. Oczywiście, nie decydują się na to świadomie – mówimy o efekcie działania doboru naturalnego, co oznacza, że w pewnych warunkach osobniki, które są skłonne łączyć się w stada, radzą sobie lepiej niż jednostki preferujące życie w samotności. Czyli: zostawią więcej potomstwa, które odziedziczy po nich skłonność do życia w grupie.

Drugą korzyścią wynikającą z życia w stadzie jest bezpieczeństwo – większość zwierząt musi się przecież martwić nie tylko tym, jak napełnić własny żołądek, ale także tym, jak nie znaleźć się w cudzym. Ewolucjoniści uważają, że to właśnie zagrożenie ze strony drapieżników jest największą motywacją do tworzenia stada. Np. Russell Hill i Phyllis Lee wykazali, że w rodzinie makakowatych (małp ogoniastych zamieszkujących Azję i Afrykę) u ponad 120 populacji należących do 39 gatunków rozmiar grupy społecznej zależy od poziomu zagrożenia ze strony drapieżników na danym terenie. Im większe ryzyko śmierci w paszczy lwa czy pantery, w tym liczniejsze stada łączyły się małpy.

U wielu gatunków w grupach społecznych dochodzi do aktywnej współpracy w zakresie bezpieczeństwa: zwierzęta ostrzegają się przed drapieżnikami, wystawiają wartowników, którzy patrolują teren albo pilnują młodych, podczas gdy reszta stada spokojnie się posila albo odpoczywa, a gdy dojdzie do ataku – ruszają sobie na pomoc. Mogą też uprzedzić drapieżnika i całą grupą rzucić się na niego, by przegonić go ze swojego terytorium – takie zachowanie określa się mianem mobbingu.

Czasami jednak życie w grupie gwarantuje osobnikom bezpieczeństwo, nawet jeśli one same nie kiwną łapą w obronie swoich towarzyszy. Jeśli, na przykład, jesteś antylopą i pasiesz się spokojnie na sawannie, aż nagle dostrzeżesz pędzącego lwa, to wcale nie musisz umieć biec od niego szybciej. Wystarczy, że nie będziesz biec najwolniej w całym stadzie. Drapieżnik po prostu ma w czym wybierać – więc niemal wszystkim osobnikom uda się uciec. Zginie tylko największy nieudacznik – lub największy pechowiec.

Drzewo na schadzki

Trzeci główny powód łączenia się w grupy to kwestie reprodukcyjne. Przebywanie w stadzie w oczywisty sposób ułatwia spotkanie partnerów seksualnych, nie trzeba więc tracić czasu i energii na ich poszukiwania. A koszty z tym związane mogą być poważne. U prowadzącego samotniczy tryb życia leniwca pstrego doszło nawet do tego, że chętne do reprodukcji osobniki preferują inny gatunek drzew niż młode z matkami. Są to drzewa wyższe i rzadziej porośnięte liśćmi, czyli takie, na których łatwiej zlokalizować potencjalnego partnera. Nie trzeba się więc za nim uganiać po całej dżungli – co dla leniwców byłoby kłopotliwe. To również dobry przykład na to, że podstawowe problemy życiowe można rozwiązywać prostymi metodami – nie trzeba zakładać stada. Zwłaszcza jeśli w okolicy nie ma drapieżników, a o żywność nie jest trudno. W takiej sytuacji znajdują się również orangutany – jedyne małpy człowiekowate, które żyją w samotności. Po-

JASON / ADOBE STOCK

Życie w kolonii ułatwia pająkom *Stegodyphus mimosarum* zdobywanie pożywienia

dobnie jak leniwce, nie mają one zbyt wielu wrogów i zjadają głównie liście – a do znalezienia ich w lesie nie potrzeba przecież pomocy kolegów.

W stadach wyewoluowały natomiast bardzo skomplikowane formy współpracy rozrodczej. Najciekawsza znana jest jako strategia wspólnego wychowu (ang. *cooperative breeding*). Polega ona na tym, że w opiekę nad młodymi angażują się nie tylko rodzice, lecz także pozostali członkowie grupy.

Osobniki te określa się mianem pomocników. Wykonują oni rozmaite obowiązki – mogą wysiadywać jaja, patrolować terytorium, budować gniazdo – ale sami powstrzymują się od reprodukcji. Strategia wspólnego wychowu występuje u 9 proc. gatunków ptaków i 1-3 proc. ssaków. Z rzadka zdarza się u ryb. Jednak tylko u kilku gatunków jest obowiązkowa – tzn. bez obecności pomocników nie może w ogóle dojść do reprodukcji. Jednym z nich jest występujący w Australii skałowron, ptak tworzący spore grupy, osiągające liczebność 20 osobników, spośród których rozmnaża się wyłącznie jedna para. Zaobserwowano nawet, że skałowrony atakują cudze gniazda i porywają z nich młode – po to, by włączyć je jako kolejnych pomocników do swojej grupy.

Trzeba oczywiście zapytać, jakie korzyści odnoszą ze swojej roli pomocnicy. Dobór naturalny troszczy się przecież tylko o rozprzestrzenianie genów, a te zachowania, które temu nie sprzyjają, powinny być eliminowane z populacji. Po pierwsze, pomocnicy mogą być spokrewnieni z rozmnażającą się parą – krewni zaś dzielą część tych samych genów. Sukces reprodukcyjny krewnego jest więc po części także moim własnym sukcesem reprodukcyjnym. Dlatego zachowania altruistyczne – czyli takie, w których jeden osobnik ponosi pewne koszty na rzecz innego osobnika – w przyrodzie najczęściej ewoluują wśród krewnych.

Po drugie, pomocnicy mogą rekrutować się spośród tych osobników, które w danym sezonie nie zdołały stworzyć pary – albo jeszcze nie były na to gotowe. Ich rola społeczna nie jest więc określona raz na zawsze – w danym stadzie przebywają tymczasowo, zwiększając równocześnie swoje szanse na sukces rozrodczy w przyszłości.

Małe jądra – wielki głos

U niektórych zwierząt – takich jak naczelne czy delfiny – stada umożliwiają także uczenie się społeczne, czyli kształtowanie umiejętności dzięki podpatrywaniu innych, bardziej doświadczonych osobników. Młode szympansy mogą przejąć od dorosłych rozmaite tradycje kulturowe – np. właściwe dla danej grupy techniki polowania, rozłupywania orzechów czy łowienia termitów. Szansa na naukę to kolejna pozycja w ogólnym rozrachunku kosztów i korzyści, który decyduje o tym, czy życie stadne utrzyma się w toku ewolucji, czy jednak osobniki zdecydują się na samotność. Bo przecież przynależność do stada oznacza nie tylko pewne korzyści, lecz także rozmaite obowiązki, wyrzeczenia i zupełnie nowe wyzwania. Gdyby było inaczej, to nie obserwowalibyśmy zwierząt żyjących w samotności. Jednym z tych wyzwań, jak dzisiaj dobrze wiemy, jest znacznie większe ryzyko pojawienia się epidemii.

Tymale dwubarwne – ptaki występujące na południu Afryki – są jednym z tych gatunków, u których występują „zachowania wartownicze". Z badań Amandy Ridley i współpracowników wynika, że osobniki stające na straży biorą na siebie dodatkowe ryzyko: to oni najczęściej są atakowani przez drapieżników, ponieważ znajdują się najdalej od bezpiecznego schronienia, a emitowanymi sygnałami alarmowymi zwracają na siebie uwagę. Nie u wszystkich gatunków stosujących podobne strategie strażnicy muszą być w równie złej sytuacji – ale przynajmniej u niektórych stanie na warcie jest zachowaniem kosztownym.

Inną kategorią kosztów są naturalne napięcia pojawiające się w stadzie – biorące się stąd, że członkowie tej samej grupy konkurują o zasoby między sobą. Jedną z konsekwencji tych napięć może być dzieciobójstwo. W tych stadach szympansów, które nie żyją na zbyt zasobnym terytorium, samice chętnie napadają na matki z dziećmi (udany atak może sprawić, że zrozpaczona samica opuści daną grupę – a więc napastniczka pozbędzie się konkurentki). Niedobór zasobów ma także wpływ na to, że młode rozwijają się wolniej i dłużej wymagają opieki ze strony matek. A każdy dzień dodatkowej opieki to czas, którego samice nie mogą poświęcić na wydanie na świat kolejnego potomstwa. ↦

↦ Z ogólnej perspektywy wewnątrzgrupowa konkurencja funkcjonuje jako jedno z ograniczeń liczebności stada. Zwierzęta muszą dojść do jakiegoś optimum: wraz z wielkością grupy rośnie poziom bezpieczeństwa, ale jednocześnie wzrasta poziom wewnętrznej rywalizacji.

Ekolodzy ewolucyjni w kontekście takiego konfliktu dwóch wartości (gdy przyrost jednej odbywa się kosztem drugiej) używają pojęcia kompromisu (ang. *trade-off*). Kompromisy zależą nie tylko od warunków ekologicznych, ale także od fizjologii zwierząt. Niektóre mogą być zaskakujące: np. u wyjców występuje kompromis pomiędzy wielkością kanału głosowego i... jąder. Samce, które posiadają większe kanały głosowe, umożliwiające wydawanie potężnych okrzyków, mają jednocześnie mniejsze jądra, na czym cierpi ich płodność (i odwrotnie: większe jądra oznaczają mniej imponujące głosy).

Ten przypadek jest ściśle powiązany z życiem w stadzie, ponieważ bardziej doniosłe głosy – i mniejsze jądra – występują u samców tych gatunków wyjców, które tworzą tzw. strukturę haremową – czyli grupy złożone z jednego samca i kilku samic. Większe jądra – i słabsze głosy – występują z kolei u samców z tych gatunków wyjców, które tworzą stada mieszane, złożone z kilku samców i kilku samic. Jak to wszystko wyjaśnić? Samce tworzące haremy muszą się dobrze zareklamować – a robią to po prostu donośnymi okrzykami – ale jak już uda im się zwabić samice, to mają do nich wyłączny dostęp. Ich organizmy nie muszą więc aż tak bardzo skupiać się na produkcji nasienia. Samce żyjące w towarzystwie innych samców nie muszą zaś aż tak bardzo obawiać się tego, że zostaną całkowicie na lodzie, bo zawsze mają jakiś dostęp do partnerek (nie potrzebują więc aż tak donośnych głosów), ale jednak współdzielą je z kolegami. Dochodzi u nich do tzw. konkurencji plemników, w przypadku której większe jądra gwarantują sukces rozrodczy.

Pasażerowie na gapę

Rywalizacja o partnerów to kolejny koszt życia w grupie. Oczywiście, także samce w gatunkach prowadzących samotniczy tryb życia, takich jak orangutany, konkurują o partnerki (a w zasadzie o terytoria, na których przebywają samice), jednak życie w grupie zaostrza tę rywalizację.

Jeśli jesteś antylopą, to wcale nie musisz biegać szybciej od lwa. **Wystarczy, że nie biegniesz najwolniej w całym stadzie.**

I sprawia, że między samcami regularnie dochodzi do napięć i przemocy.

Co ciekawe, jednym ze sposobów na łagodzenie tych napięć jest powstanie w stadzie ścisłej hierarchii – w której każdy osobnik zna swoje miejsce, choć czasem może walczyć o awans. Hierarchia sprawia, że osobniki na dole drabiny społecznej mają mniejsze szanse na reprodukcję i utrudniony dostęp do żywności. Życie w stadzie nie przynosi im więc aż tak wielkich korzyści jak osobnikom cieszącym się większym uznaniem. Jednak hierarchia wprowadza przynajmniej pewien porządek – nawet jeśli mało sprawiedliwy, to ostatecznie bardziej korzystny dla wszystkich niż chaos.

Przekonuje o tym istnienie całej gamy strategii łagodzenia napięć i rozwiązywania konfliktów, które wyewoluowały u zwierząt żyjących w stadach. Jedną z takich strategii jest czynność pielęgnacyjna polegająca na przeczesywaniu futra w poszukiwaniu pasożytów – iskanie. Zachowanie to występuje również u samotników – oni także muszą dbać o higienę – ale u zwierząt stadnych zaczęło pełnić nową funkcję. Jeśli bowiem żyjesz w grupie społecznej, to możesz iskać nie tylko siebie, lecz także swoich towarzyszy.

Naczelne poświęcają na iskanie wiele czasu, a procentowy udział tego zachowania w „budżecie czasowym" osobnika zależy u małp od rozmiaru grupy (u dżelad wynosi nawet kilkanaście procent – te duże i agresywne małpy wypasają się w ogromnych stadach). Ma to związek z tym, że iskanie działa rozluźniająco, czego fizjologicznym wskaźnikiem jest obniżone tętno. A im większa grupa, tym więcej pojawia się w niej napięć i konfliktów.

Innym sposobem na rozładowywanie napięć są rytuały pojednawcze. Nawet jeśli kilka pawianów czy szympansów pobije się o pozycję w grupie, to już chwilę po skończonym starciu można zaobserwować, że iskają się one i liżą sobie nawzajem rany. Co ciekawe, pojednanie czasem inicjowane jest przez osobnika, który nie brał udziału w bijatyce – np. najwyższego rangą samca. Jemu najbardziej zależy na tym, by doprowadzić do zgody. Jeśli grupą targałyby bowiem nieustanne konflikty, odbiłoby się to na poziomie stresu i zdrowia należących do niej osobników. W końcu musiałoby dojść do rozpadu stada, na czym samiec alfa straciłby najwięcej.

Nie wszystkie stada są równie zhierarchizowane jak te tworzone przez szympansy czy pawiany. Niektóre gatunki mogą ewoluować w kierunku egalitaryzmu, ale wymaga to m.in. odpowiednich warunków ekologicznych (jeśli żywności jest dużo i nie występuje w skupiskach, to żaden uprzywilejowany dostęp do niej, jaki gwarantowałaby wysoka ranga, nie da żadnemu osobnikowi większej przewagi). Jednak nawet bardziej egalitarne stada muszą mierzyć się z własnymi problemami.

Być może najważniejszym z nich jest występowanie „pasażerów na gapę", czyli osobników, które czerpią korzyści z przebywania w grupie, ale unikają obowiązków (np. stania na straży, pilnowania młodych) czy migają się od współpracy. Jeśli w stadzie pojawi się zbyt wiele takich jednostek, to koszty życia w grupie, jakie ponoszą osobniki uczciwe, przewyższą wynikające z życia w stadzie korzyści – w efekcie grupa się rozpadnie. Dlatego w stadach muszą pojawić się narzędzia do radzenia sobie z pasażerami na gapę. Jednym z nich może być karanie czy ostracyzm społeczny. Dzisiaj wielu ewolucjonistów uważa, że takie zjawisko występowało w ewolucyjnej historii naszego gatunku. W efekcie doszło do tzw. samoudomowienia: nasi przodkowie zabijali lub wykluczali z grupy najbardziej aspołeczne jednostki, eliminując ich geny z populacji. Dzięki temu to właśnie u nas miały szansę w największym stopniu rozwinąć się więzi społeczne i reguły współżycia grupowego, które z czasem przekształciły się w skomplikowane kodeksy: moralność i prawo.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

Dofinansowano z programu „Społeczna odpowiedzialność nauki" Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach projektu „Otwarta Nauka w Centrum Kopernika".

ARNE DEDERT / DPA / AFP / EAST NEWS

Spór o fundamenty

MARTA SONIEWICKA

Koncepcja prawa naturalnego obecna jest nie tylko w myśli chrześcijańskiej – leży u źródeł humanizmu, liberalizmu i idei praw człowieka. Jej popularności nie zaszkodził kryzys, w jakim się znalazła.

Choć koncept prawa naturalnego wydaje się dziś wielu osobom anachroniczny, ten typ myślenia o prawie jest obecny w debacie publicznej. Jest on również głęboko zakorzeniony w naszej kulturze prawnej, co widać w deklaracjach praw człowieka czy w Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej, w której czytamy o uniwersalnych wartościach prawdy, sprawiedliwości, dobra i piękna.

Jesienią na polskie ulice wyszły tłumy, aby wyrazić sprzeciw wobec wyroku Trybunału Konstytucyjnego, w którym jedną z przesłanek przerywania ciąży uznano za niezgodną z Konstytucją. Demonstrowano w obronie wolności wyboru w kwestiach prokreacyjnych. Próba ograniczenia tej wolności wywołała tak duże oburzenie, ponieważ uznana została za zbyt daleko idącą ingerencję państwa w nienaruszalną sferę wolności i intymności człowieka.

Z drugiej strony, orzeczenie Trybunału i jego zwolennicy odwołują się do przyrodzonej ludzkiej godności i obrony życia ludzkiego jako nienaruszalnych wartości, których ochrona uzasadnia ograniczenie wolności dysponowania sobą. Oznacza to, że obie strony tego sporu odnoszą się do kategorii prawnonaturalnych. Gdyby oś tego sporu przebiegała inaczej – między zwolennikami ↦

↦ i przeciwnikami prawa naturalnego (pozytywistami) – to dyskutowano by na temat prawomocności wyroku wydanego w obecnym składzie Trybunału. Trudno jednak sobie wyobrazić, żeby taki spór zmobilizował obywateli do masowych demonstracji.

Aby lepiej zrozumieć problematyczność posługiwania się kategoriami prawnonaturalnymi w tak odmienny sposób i przez zwolenników tak różnych światopoglądów, warto przyjrzeć się bliżej idei, genezie i ewolucji prawa naturalnego, a także stawianym mu zarzutom.

Nowożytność podważyła podstawy prawa naturalnego: naturę zredukowano do empirii, rozum do rozumu instrumentalnego, a ideę prawdy **wyeliminowano z rozważań normatywnych.**

Kosmos i boski porządek

Od czasów starożytnych istnieje w filozofii podział na to, co naturalne (to, co dane i odkrywane w świecie) oraz konwencjonalne (będące wytworem człowieka i podlegające zmianom). Niewątpliwie prawo, regulujące relacje międzyludzkie, jest konwencją społeczną. Czy istnieją jednak kryteria obowiązywania prawa poza samym prawem pozytywnym (tym zapisanym w ustawach)?

Zwolennicy koncepcji prawnonaturalnych przyjmują, że prawo pozytywne jest ustanowione przez państwo, ale powinno respektować bardziej fundamentalne zasady sprawiedliwości, które każdy człowiek może poznać swoim rozumem: pewne nienaruszalne prawo, niewynikające z woli większości i wyprzedzające wszelkie decyzje państwowe. Przeciwnicy tej koncepcji twierdzą, że nie ma żadnych tego typu kryteriów zewnętrznych względem prawa – prawo uzasadnia i legitymizuje samo siebie.

Kościół rzymskokatolicki jest chyba jedyną dziś instytucją, która oficjalnie przyznaje się do głoszenia prawa naturalnego. Zdaniem Benedykta XVI odwołanie do prawa naturalnego jest konieczne w kwestii nauki moralnej Kościoła, czemu wyraz daje Katechizm Kościoła Katolickiego. Podkreślał to również Jan Paweł II, poświęcając temu zagadnieniu encyklikę „*Veritatis splendor*".

Chrześcijaństwo nie było jednak pierwszą religią, która wywodziła prawo z transcendentnych źródeł. W starożytnym Izraelu uznawano, że wspólnota narodu wybranego została oparta na przymierzu z Bogiem. Prawo Boże, które przynosi narodowi wybranemu wyzwolenie, wkracza w świat, gdy Bóg wkracza w historię poprzez przymierze. W tradycji judaistycznej prawo jest emanacją woli Boga i zostało podarowane ludziom na drodze objawienia danego patriarchom i prorokom.

Idea prawa naturalnego pojawiła się (i to najwcześniej) także w starożytnej Grecji, ale tamtejsi filozofowie poszli inną drogą. Przyjmowali istnienie racjonalnego ładu wszechświata, gwarantowanego przez kosmiczny *Logos* (uniwersalną rozumność). Prawo naturalne uznawano za wpisane w świat i w naturę człowieka, a nie podyktowane przez bogów czy boskich namiestników. Starożytni filozofowie greccy przyjmowali, że świat jest racjonalny i dlatego jest on w ogóle poznawalny dla istot rozumnych – z tego założenia zrodziła się cała zachodnia nauka. Przyjmowali też, że porządek wszechświata jest odzwierciedlony w naturze człowieka, którą należy poznać, aby odkryć swoje powołanie i stworzyć w oparciu o tę wiedzę prawa.

Tak rozumiane prawo naturalne nie wymaga objawienia: jest powszechnie dostępne istotom rozumnym, które odkrywają je za pomocą władz intelektualnych. Prawo naturalne nie stanowi też ograniczenia dla człowieka, tak jak nie stanowią ograniczenia prawa przyrody: jest przejawem immanentnych cech natury. Prawo pozytywne nie ma być jednak kopią czy implementacją prawa naturalnego, które wyznacza jedynie granice prawodawstwa człowieka, koryguje je i uzupełnia. Myśl starożytnych filozofów greckich została przejęta przez starożytny Rzym, w którym koncepcje prawa naturalnego (*ius* – ducha prawa) jako nadrzędnego względem prawa stanowionego (*lex* – litery prawa) rozwinął Cyceron i inni stoicy.

Podszepty daimoniona

Chrześcijaństwo wchłonęło obie tradycje – Ateny i Jerozolimę – łącząc w sobie prawo dane przez Boga i zapisane w Piśmie Świętym z grecką koncepcją prawa wpisanego w naturę. Św. Paweł opracował zręby chrześcijańskiej idei prawa naturalnego na podstawie filozofii greckiej: „Bo gdy poganie, którzy Prawa nie mają, idąc za naturą, czynią to, co Prawo nakazuje, chociaż Prawa nie mają, sami dla siebie są Prawem. Wykazują oni, że treść Prawa wypisana jest w ich sercach, gdy jednocześnie ich sumienie staje jako świadek, a mianowicie ich myśli na przemian ich oskarżające lub uniewinniające" (Rz 2, 14-15). Idea sumienia przejęta została przez św. Pawła z filozofii greckiej: *daimonion* Sokratesa jest prefiguracją sumienia, podobna idea zmysłu moralnego pojawia się też u stoików. Apostoł z Tarsu wprowadza również nową ideę ludzkiej samorządności – „człowiek wewnętrzny" jest sam dla siebie prawem.

Chrześcijaństwo nadało nowy wymiar idei prawa naturalnego – wszechświat został stworzony przez Boga, dlatego jest wyposażony w sens. Prawo naturalne, które można odkryć za pomocą rozumu, jest odzwierciedleniem prawa wiecznego w naturze człowieka, który został stworzony na obraz i podobieństwo Boże. Bóg jest więc źródłem prawa naturalnego, tak jak jest źródłem wszelkiego istnienia, ale nie jest prawodawcą, bo prawo naturalne nie jest wyrazem woli Boga, tylko Jego natury (mądrości).

Prawo wpisane w serce człowieka nie wymaga objawienia, nie jest też zniewoleniem. Przeciwnie: ma go chronić przed niewolą i śmiercią duchową. „Wszystko wolno, ale nie wszystko buduje" (1 Kor 10, 23) – pisze św. Paweł; „Wszystko mi wolno, ale ja niczemu nie oddam się w niewolę" (1 Kor 6, 12). Prawo nie wystarcza do zbawienia, bo nie przemienia wewnętrznie człowieka – musi zostać dopełnione przez miłość – stąd słynne twierdzenie św. Augustyna: „Kochaj i rób, co chcesz". Miłość zaś, podobnie jak wiara, jest darem łaski Bożej – sam akt woli nie wystarcza, by realizować prawo, człowiek zostaje więc ukierunkowany ku dobru Bożą miłością.

Doktryna prawa naturalnego zyskała szczególne znaczenie w czasach nowożytnych za sprawą odkryć geograficznych, które doprowadziły do ponownej konfrontacji świata chrześcijańskiego ze światem pogańskim, oraz za sprawą reformacji, która zachwiała podstawami wiary wewnątrz świata chrze-

ścijańskiego. Pojawiła się wówczas potrzeba rozwijania koncepcji prawa naturalnego, w oparciu o które Hugo Grocjusz czy Samuel von Pufendorf formułowali idee pokojowego współistnienia narodów. Założeniem tych rozważań była idea tworzenia wspólnego prawa w oparciu o rozum oraz uniwersalne ludzkie skłonności, w oderwaniu od wiary.

Każdemu się należy

Często można spotkać się z zarzutem względem idei prawa naturalnego, że jej zwolennicy uznają, iż to, co naturalne, jest dobre, a to, co nienaturalne, złe. Tymczasem w naturze istnieją przecież bakterie, wirusy czy nowotwory, z którymi człowiek walczy. Poza tym, co właściwie znaczą określenia „naturalne/nienaturalne" w przypadku człowieka, który nie żyje w świecie naturalnym, ale w świecie społecznym, który sam wytworzył? Zarzut ten nie jest jednak do końca trafny, gdyż „natura", do której odwołują się przedstawiciele prawa naturalnego, nie jest tożsama z naturą biologiczną, którą badamy empirycznie.

„Natura" w koncepcjach prawnonaturalnych ma dwojakie znaczenie: można używać tego terminu jako opisu właściwości ludzkich, jak również jako określenia istoty człowieka – i to drugie znaczenie odgrywa tu kluczową rolę. Natura w tym rozumieniu to, mówiąc językiem Arystotelesa, wewnętrzna dynamika danego bytu: sposób, w jaki dany byt zachowuje się z samej swej istoty. Kluczową cechą natury ludzkiej jest jej rozumność i wolność – czyli zdolność podporządkowania się uniwersalnemu prawu moralnemu.

Prawo naturalne, którego źródłem jest natura ludzka, uwydatnia się w skłonnościach ludzkiej duszy. Św. Tomasz z Akwinu odróżnia w ludzkiej naturze nieświadome skłonności, charakterystyczne także dla innych organizmów żywych, od świadomie przyjmowanych praw naturalnych, charakterystycznych dla człowieka. Wszystkie obowiązki naturalne można sprowadzić do jednego naczelnego, jakim jest dążenie do dobra. Jednakże prawo naturalne nie opiera się na założeniu jednomyślności w kwestii dobra. Zakłada tylko, że istnieją pewne uniwersalne zasady ogólne, które znane są wszystkim, jak wartość życia, rodziny, przyjaźni albo wiedzy. Nakazy moralne dotyczące ochrony tych wartości mogą ulec zatarciu w sytuacjach, w których różne przeszkody, na przykład złe nawyki, ograniczają ich rozumne rozeznanie. Nie mogą jednak zostać wymazane z ludzkiego serca – pisze św. Tomasz.

W czasach nowożytnych odrzucono założenie metafizyczne o naturalnym porządku świata, a także o istocie ludzkiej natury. Zachowano jednak założenia o pewnych naturalnych skłonnościach ludzkiej natury, które dają się przełożyć na prawa naturalne. W koncepcjach umowy społecznej takim naturalnym uprawnieniem człowieka jest wolność.

Zwolennikom idei prawa naturalnego zarzuca się, że uznają to, co naturalne, za dobre, a to, co nienaturalne, za złe. Tymczasem w naturze istnieją bakterie, wirusy czy nowotwory.

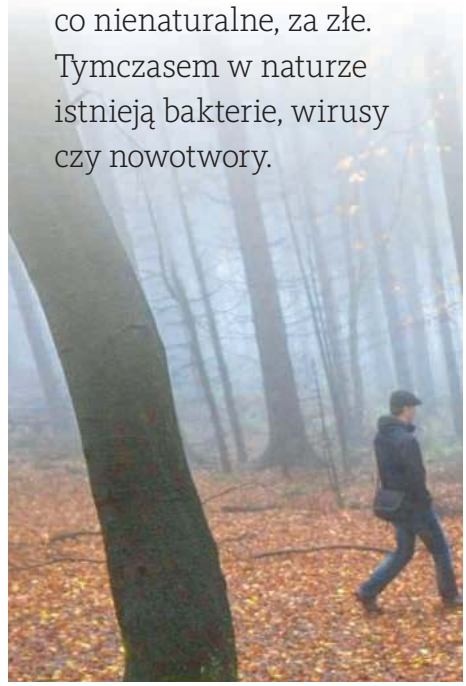

Dla Thomasa Hobbesa wolność jest samowolą, która w stanie natury prowadzi do wojny wszystkich ze wszystkimi. Człowiek ma jednak również inne skłonności naturalne – do samozachowania oraz do myślenia. To właśnie lęk przed śmiercią zdaniem Hobbesa skłonił człowieka do zgody na ograniczenie własnej wolności. Z kolei w myśli Johna Locke'a wśród uprawnień naturalnych znajdują się życie, zdrowie i własność, które wyznaczają granice ludzkiej wolności. Z tradycji filozoficznej, która dała początek idei prawa naturalnego, wyrastają współczesny liberalizm, humanizm oraz idea praw człowieka – przyrodzonych uprawnień przysługujących człowiekowi z racji bycia człowiekiem, które wyznaczają granice prawa stanowionego.

Idea w kryzysie

Koncepcja prawa naturalnego opiera się na trzech powiązanych ze sobą ideach: natury, rozumu i prawdy. W czasach nowożytnych podstawy prawa naturalnego zostały podważone, gdyż naturę zredukowano do jej warstwy empirycznej, rozum do rozumu instrumentalnego (narzędzia służącego do rozwiązywania problemów), a ideę prawdy wyeliminowano z rozważań normatywnych. Wszystko to przyczyniło się do ewolucji koncepcji prawa naturalnego, a także jej kryzysu.

Kryzys ten wiąże się z pewnymi kluczowymi tendencjami, które pojawiły się w dziejach myśli ludzkiej. Pierwszą z nich jest nominalizm opisany przez franciszkańskiego teologa Williama Ockhama. Jego zdaniem człowiek nadaje rzeczom znaczenia, które nie istnieją poza umysłem ludzkim. Tym samym nominaliści odrzucają ideę, że natura ma wewnętrzny obiektywny sens. Prowadzi to do odrzucenia idei dobra odkrywanego w świecie. Pozostaje zaś myśl o wolności człowieka, rozumianej jako wola realizowania własnych interesów w świecie, moc kształtowania świata i nadawania mu znaczeń.

Drugą kluczową tendencją jest nowożytny racjonalizm, który wywodzi się od Francisa Bacona i Kartezjusza. Opiera się on na wierze w niezależność rozumu, wolnego od przesądów, nawyków, obyczajów, tradycji i od wszystkich autorytetów. Współczesna wiara w rozum instrumentalny dostarczający obiektywnych i uniwersalnych argumentów w sporach etycznych przyczyniła się do rozpowszechnienia proceduralizmu, formalizmu i racjonalizmu w etyce oraz filozofii prawa. Efektem tego było powstanie proceduralnych koncepcji prawa naturalnego, które ograniczają się jedynie do zaproponowania pewnych kryteriów proceduralno-formalnych, jakie prawo musi spełniać, aby je uznać za prawo – np. musi być ogólne, niesprzeczne, nie może działać wstecz, musi być zrozumiałe itd. ↦

Wreszcie, teoria ewolucji i redukcjonistyczny naturalizm podważają założenie o wyjątkowości natury człowieka, rozumności samej natury, a także kwestionują fundamentalne dla liberalnego humanizmu założenia dotyczące ludzkiej wolności, autentyczności, indywidualizmu, tożsamości. Współcześni zwolennicy światopoglądu materialistycznego przeprowadzają dekonstrukcję ludzkiej jaźni czy wolnej woli, jednocześnie wykonując niesłychaną intelektualną ekwilibrystykę, by wciąż pozostać na gruncie liberalizmu. Przypomina to sytuację bohaterów „Nienasycenia" Witkacego, którzy chcąc się uporać z poczuciem pustki i braku sensu, zażywali pigułki Murti Binga, dzięki którym stracili wrażliwość na problemy metafizyczne, ale skutkiem ubocznym było to, że popadali w schizofrenię.

Próba przekładu

Każde prawo zakłada jakąś antropologię i czerpie energię ze źródeł moralnych. Nie da się więc uniknąć pytań o to, kim i czym jest człowiek, co ma robić, by w pełni się zrealizować, i co z tego wynika dla wspólnoty, w której żyjemy. Głównym dziś problemem nie jest odwoływanie się do kategorii prawnonaturalnych: problem polega raczej na oparciu ich na konkurencyjnych antropologiach, które prowadzą do odmiennych interpretacji zarówno samych uprawnień, jak i ich konfliktów.

We współczesnych sporach można zauważyć ścieranie się trzech głównych świato-obrazów, używając określenia Jürgena Habermasa. Są to: 1) teizm; 2) humanizm – wywodzący się z niego, ale odrzucający transcendentne źródła; oraz 3) redukcjonistyczny naturalizm. Ponieważ naturalistyczna ontologia zakłada redukcję wszystkich zjawisk duchowych do świata fizycznego, zdaniem Habermasa obraz świata oferowany przez redukcjonistyczny naturalizm nie jest wcale nauką, ale złą metafizyką. Dobra ontologia to taka, która oferuje najlepszą możliwą interpretację dla naszego samorozumienia, a na gruncie redukcjonistycznego naturalizmu samozrozumienie staje się ułudą.

Habermas, stając w obronie antropologii humanistycznej, uznaje, że nie powinna ona odcinać się od swych metafizycznych źródeł, ale czerpać z nich żywotne siły, tłumacząc wywodzące się z chrześcijaństwa pojęcia normatywne na język sekularny, aby udostępnić wszystkim – wierzącym i niewierzącym – treść biblijnych pojęć. Doprowadziło go to do konserwatywnych wniosków, że „we własnym interesie każdego państwa konstytucyjnego leży ostrożne obchodzenie się z tymi wszystkimi źródłami kultury tudzież chronienie tych źródeł, dzięki którym żywotność zachowuje świadomość normatywna obywateli oraz podtrzymywana jest ich solidarność" („Przedpolityczne podstawy demokratycznego państwa prawa").

Pomysł tłumaczenia pojęć z języka religijnego na sekularny budzi jednak wątpliwość, czy to, co najważniejsze, nie zostaje zagubione w przekładzie. Postsekularne społeczeństwo, o którym pisze Habermas, przypomina bowiem opisaną w „Dziedzictwie cnoty" Alasdaira MacIntyre'a wizję świata postmoralnego, w którym używamy pojęć moralnych, nie znając ich pochodzenia ani prawdziwego znaczenia. Posługując się językiem moralnym, staramy się zachować podstawowe reguły wewnętrznej spójności, jednakże używane przez nas słowa w oderwaniu od dawnych kontekstów, które nadawały im sens, wydają się nieuzasadnione. Ratunkiem może się okazać nieustanny namysł nad naszym krajobrazem moralnym i nad tym, jak się on kształtował, by lepiej zrozumieć to, o co się dzisiaj spieramy. © MARTA SONIEWICKA

Wszystkie smaki moralności

JESSE PRINZ, FILOZOF:

Potrzebujemy moralnej pokory. Każdy z nas mógłby być nazistą, islamskim fundamentalistą czy marksistowskim rewolucjonistą, gdyby urodził się w innym miejscu i czasie.

MARIA HAWRANEK: Piszesz, że moralność to konstrukt. Czy to znaczy, że jest teoretyczną koncepcją? Iluzją?

JESSE PRINZ: To konstrukt, podobnie jak budynek. I tak jak on, jest bardzo rzeczywista – wchodzimy z nią w interakcje, głęboko wpływa na nasze życie. Przypomina prawo – uzgodnienia instytucjonalne, które obligują nas, by się do nich stosować, a jeśli tego nie robimy, ponosimy realne konsekwencje.

Problem może się pojawić, gdy przyjmujesz absolutyzm moralny, czyli przekonanie, że istnieje jeden zestaw prawdziwych zasad moralnych, jakaś raz na zawsze ustalona rzeczywistość, niezależna od naszej historii, potrzeb i preferencji, która określa, co jest dobre, a co złe. Wówczas, gdy spotykasz kogoś, kogo wartości moralne różnią się od twoich, zakładasz, że ty jesteś w posiadaniu prawdy moralnej, a on żyje w iluzji, błędzie, który trzeba naprostować.

A jeśli podzielam pogląd o moralności konstruktywistycznej?

To wiesz, że nie ma jednej prawdziwej moralności. Jest za to wiele prawdziwych moralności, wiele systemów organizacji społecznej, każdy z własną historią, każdy równie zasadny. Wiele osób boi się takiego relatywizmu, bo myślą o nim jako o ekwiwalencie nihilizmu, wedle którego wszystko jest możliwe do zaakceptowania. Ale relatywizm społeczny, czyli przekonanie, że może istnieć wiele moralności, a żadna nie jest nadrzędna, też może wzbudzać lęk – dotyczący braku spójności społecznej – i poczucie, że wszystko jest zagrożone.

Jak mam się nie bać relatywizmu?

ARKADIUSZ HAPKA DLA „TP"

Pomyśl o systemach moralnych jako o systemach wynegocjowanych, które miały posłużyć dogadywaniu się z innymi, rozwijały się w toku dziejów, znajdywały nowe rozwiązania na nowe czasy. Wówczas relatywizm staje się poglądem, który postrzega moralność jako narzędzie, a narzędzia można ulepszać.

Lepsze moralnie, czyli jakie?

Lepiej służące celowi użytkownika. Jeśli przyjmiemy, że naszym celem jest współistnienie z innymi w społeczeństwach, które nieustannie się zmieniają pod względem strukturalnym, ekonomicznym, politycznym i geograficznym, to relatywizm staje się bardziej przystosowawczą wizją moralności. Absolutyzm moralny przeciwnie – postrzega moralność jako coś, co nigdy się nie zmienia. Bywa to źródłem brutalnej nietolerancji, bo kiedy zmiany w społeczeństwach prowadzą do pojawienia się nowych poglądów moralnych, te są postrzegane jako błędne i niebezpieczne, trzeba je więc stłumić za wszelką cenę.

David Hume przekonywał, wbrew temu, co głosiło wielu wcześniejszych filozofów, że u podstaw moralności tkwią emocje. Wydaje się, że współczesna neurobiologia przyznaje mu rację: podczas dokonywania osądów moralnych aktywują się części mózgu, które odpowiadają też za powstawanie emocji.

W filozofii mamy stwierdzenia deskryptywne, opisujące, jak się sprawy mają, oraz stwierdzenia normatywne, które dotyczą tego, jak się sprawy mieć powinny. Te pierwsze opisują fakty, dają się zaobserwować, przebadać naukowo. Skoro te drugie nie opisują świata, to co właściwie opisują? David Hume, jak wielu innych filozofów, doszedł do wniosku, że stwierdzenia normatywne, dotyczące wartości, pochodzą z naszych własnych wewnętrznych stanów, a w szczególności z naszych emocji. Moralność przypomina pod tym względem gust estetyczny, romantyczny czy kulinarny. Jeśli powiem: „kawa jest pyszna", mówię ci tak naprawdę o moim stosunku do kawy – że picie jej sprawia mi przyjemność. Inni mogą jej nie lubić, a mimo to ja nie powiedziałem nic fałszywego. Podobnie jest z atrakcyjnością fizyczną. Moralność to kolejne wartościujące stwierdzenie. ↦

↦ Za każdym razem, gdy używasz słów: „dobry", „zły", „gorszy", „lepszy", „trzeba", „powinien", lądujesz w dziedzinie wartości. A zatem również w dziedzinie uczuć. Stwierdzenia normatywne mówią nam, czego chcemy, a pojęcia chcenia, pragnienia z definicji dotyczą emocji.

To znaczy, że z moralnością jest jak z winem: ja lubię białe, ty czerwone? Jest aż tak indywidualna?

Przekonanie o indywidualności gustów uważam za przesadne w takim samym stopniu, jak myślenie o moralności jako o czymś uniwersalnym. Preferencje kulinarne, podobnie jak moralne, mają swoją historię i są zakorzenione w kulturze. Chociaż wydaje się, że może istnieć nieskończenie wiele smacznych potraw, w rzeczywistości istnieją rozmaite ograniczenia – przychodzimy na świat z podobnym układem trawiennym, mamy dostęp do podobnych produktów, a rzeczy, które ostatecznie ci smakują, to te, które zostały ci zaproponowane przez kulturę. Dlatego ludzie w Polsce lubią barszcz, a w Ameryce nie. Do preferencji kulinarnych, podobnie jak moralnych, nie docieramy indywidualnie, tylko poprzez kulturę.

Można jednak znaleźć, choć niełatwo, kogoś, kto ma unikalne preferencje kulinarne. Moralność zaś ze swej natury jest społeczna – zasady moralne to emocjonalne zasady współistnienia z innymi. Moralność, której nikt nie podziela, nie ma sensu, jest bezużyteczna.

Wspólnie z psycholożką Angeliką Seidel przeprowadziliście serię eksperymentów. W jednym uczestnicy słuchali przyjemnej, wywołującej radość lub nieprzyjemnej i irytującej muzyki, a Wy ocenialiście, czy wpływa ona na ich osądy moralne. Okazało się, że po nieprzyjemnych utworach badani bardziej surowo oceniali takie zachowania jak oddanie znalezionego portfela po wcześniejszym wyciągnięciu z niego pieniędzy. Porównywaliście też osądy moralne po wypiciu wody albo gorzkich ziół wywołujących obrzydzenie. To bardzo ciekawe, ale co z tego wynika dla naszego życia?

Na co dzień dokonujemy osądów moralnych nieświadomi, że wpływają na nie jakieś zewnętrzne czynniki. Może to być poziom wyspania, sposób oświetlenia, natężenie hałasu, to, jak czyste jest biurko, przy którym siedzisz. Oczywiście muzyka nie spowoduje radykalnej zmiany poglądów, np. z proaborcyjnych na antyaborcyjne, ale wpłynie na stopień, w jaki dane zachowanie wydaje ci się złe i zasługujące na karę. Te badania dowodzą, że w jądrze moralności tkwią emocje. Oceniamy, czy dane zachowanie jest akceptowalne, czy nie, po konsultacji z naszymi emocjami. Gdybyśmy rozstrzygali tylko rozumowo, żadna zmiana nastroju nie powinna wpływać na naszą odpowiedź. Jesteśmy pod wpływem stanów emocjonalnych – tych ulotnych, wywołanych przez muzykę, ale też tych trwałych, które rozwinęły się w czasie socjalizacji.

Uczymy się lubić pewne rzeczy i uczymy się, co jest dobre, a co złe. Piszesz, że rodzice najczęściej stosują warunkowanie emocjonalne. Nie ma chyba silniejszego narzędzia.

Pomiędzy drugim a dziewiątym rokiem życia dzieci są poprawiane co kilka minut. Małe dzieci nieustannie zachowują się w sposób, który pogwałca nasze normy: mogą złapać cię za twarz i uderzyć, podrapać, ugryźć, rozrzucać jedzenie, krzyczeć w miejscach publicznych. Gdybyśmy zobaczyli dorosłego, który zachowuje się w taki sposób, umieścilibyśmy go w więzieniu lub zakładzie psychiatrycznym. Pomiędzy niemowlęctwem a dorosłością zmieniamy dziecko w to, co uważamy za moralnie dobrze wychowanego obywatela. Ewidentnie jest to kwestia nauki, instruowania, nie wrodzonego poczucia, co jest dobre, a co złe. Jestem przekonany, że dzieci podzielają z nami wiele postaw emocjonalnych, które pozwalają im dostosować się do tych norm, jednak projekt uczynienia dziecka moralnym jest niesamowicie wymagający. W przeciwieństwie do języka, którego dzieci uczą się spontanicznie, edukacja moralna wymaga niemal ciągłej interwencji w zachowanie dzieci.

Poręcznym narzędziem mogą być także religie – łatwiej straszyć boskim gniewem niż tłumaczyć zawiłości konsekwencji różnych zachowań.

Dodaje otuchy fakt, że religijność w żaden sposób nie pozwala przewidzieć stopnia moralnego zaangażowania. Wśród ateistów znajdziesz ludzi pełnych pasji, moralnie spójnych i równie zaangażowanych jak ci, którzy mają światopogląd teologiczny. Bóg, a szerzej: religia, to struktura narracyjna, która może sprzyjać edukacji moralnej w pewnych aspektach, bo dostarcza nam moralnych opowieści, a opowieści to generalnie coś, co nas przyciąga. Ostatecznie jednak lekcje, jakie z tych historii płyną, są niezależne od struktury narracyjnej.

To znaczy?

Historia o Mesjaszu, który cierpi i umiera dla dobra ludzkości, jest bardzo pociągającą narracją, a jednak kiedy pomyślisz o kluczowych lekcjach, które płyną z Kazania na Górze – opiekowanie się potrzebującymi, nadstawianie drugiego policzka, wzajemne wsparcie – łatwo je przekazać za pomocą innych opowieści, albo w ogóle bez ich pośrednictwa. Moralność jest solidniejsza niż religia – sięga dalej, może z nią współistnieć, może istnieć bez niej.

W książce „The Emotional Construction of Morals" przekonujesz, że choć reguły moralne mogą być zbieżne w różnych kulturach i religiach, nie istnieją uniwersalne. Naprawdę nie ma nic, co byśmy powszechnie uznawali za niemoralne? Może gwałt?

Przykro mi to mówić, ale historia naszego gatunku to historia ekstremalnej pogardy dla ludzkiego dobrostanu i ludzkiego życia. Morderstwa, gwałty i kradzieże są wszechobecne. Te rzeczy zawsze towarzyszyły wojnom i podbojom. Zresztą gwałt w trakcie konfliktu zbrojnego uznano za zbrodnię wojenną niedawno, w latach 90. XX w.

Piszesz, że normy moralne pojawiły się wraz z powiększeniem się ludzkich grup. Nie ma moralności bez państwa?

W niewielkich społecznościach ludzie mają naturalne powody, dla których chcą się o siebie troszczyć, nie trzeba do tego silnych zasad moralnych, wystarczyć może uczucie miłości, przyjaźni albo po prostu fakt, że inna osoba jest niezbędna dla mojego przetrwania – razem polujemy, gotujemy, opiekujemy się dziećmi. Moralność rozumiana jako zestaw norm, które są nam narzucane i wykraczają poza zobowiązania wynikające z przyjaźni czy miłości, staje się po-

trzebna, kiedy społeczności rosną. Gdy zaczęliśmy prowadzić osiadły tryb życia i nastąpił wzrost demograficzny, musieliśmy zacząć współegzystować z ludźmi, których nie znaliśmy, z obcymi. W tej sytuacji pokusa, by ukraść zbiory z sąsiedniego młyna albo nie wywiązać się ze swojej części umowy, była bardzo duża. Jeśli wszyscy by się jej poddali, społeczeństwo po prostu by upadło. Z pewnością z wieloma właśnie tak się stało. Te, które odniosły sukces, wpoiły ludziom zasady takie jak: powinieneś troszczyć się o obcych.

W jaki sposób moralność ewoluuje? Bardzo trudno jest zmienić przekonania – skoro sięgają dzieciństwa, dotyczą emocji.

Dawniej byłem sceptyczny co do możliwości moralnej zmiany na przestrzeni jednego pokolenia. Sądziłem, że skoro moralność kształtuje się we wczesnych latach, zwykle jesteśmy dosyć usztywnieni, a ponieważ moralne przekonanie to tak naprawdę silne emocjonalne zaangażowanie, będziemy się opierać, reagować z przerażeniem i obrzydzeniem na wszystko, co je kwestionuje. Ale przecież ludzie mogą ulegać moralnej konwersji. Może się to dokonać na wiele sposobów. Moralność ma podstawy emocjonalne, ale to nie oznacza, że rozum jest nieistotny. Czasem to on pomaga nam wykryć zachowania moralnie złe.

Na przykład?

Załóżmy, że ktoś je mięso, a jednocześnie ma przekonanie, że nie powinno się krzywdzić niewinnych istot, które mają życie umysłowe. Dzięki nauce dowiaduje się o bogatym życiu umysłowym zwierząt, a także o tym, jaką krzywdę wyrządzamy im w hodowli przemysłowej. Pod wpływem tej wiedzy staje się wegetarianinem.

Nawiążę jeszcze raz do Hume'a: rozum i uczucia pracują razem. Rozum może nam powiedzieć, jakie jest najlepsze rozwiązanie dla tego, czego pragniemy. Jeśli chcesz upiec perfekcyjne ciasto, potrzebujesz rozumu, by to osiągnąć. Emocje wyznaczają nam cel, a rozum daje nam środki.

Jak jeszcze może się wydarzyć moralna zmiana?

Poprzez podnoszenie świadomości albo coś, co nazywam moralnym wyobrażaniem. Zaproś ludzi do tego, by spojrzeli na coś inaczej niż do tej pory. Np. ktoś dorasta w tradycyjnym społeczeństwie, gdzie kobiety nie mają praw ekonomicznych ani politycznych. Opowiadasz mu o drugiej fali feminizmu, która pojawiła się na Zachodzie, gdzie kobiety pełniły głównie role domowe, a nie zawodowe. I możesz spytać: jak myślisz, czy powinniśmy utrzymać ten podział? Czy on jest zakorzeniony w naturze? Myślisz, że kobiety nie są w stanie wykonywać pracy? Czasem spojrzenie na alternatywę pozwala ujrzeć, że taki podział nie ma żadnego ugruntowania i umożliwia dotarcie do innej struktury moralnej.

> Pomiędzy niemowlęctwem a dorosłością zmieniamy dziecko w to, co uważamy za moralnie dobrze wychowanego obywatela. To kwestia nauki, instruowania, **nie wrodzonego poczucia, co jest dobre, a co złe.**

Ale konfrontacja z nowymi wartościami może nas też jeszcze bardziej usztywnić.

Gdy stykamy się z czymś nowym, np. przedstawicielami grupy LGBT w latach 80., stajemy w punkcie moralnego wyboru, możemy pójść w dwie strony, i w każdym przypadku będzie to zmiana moralna. Ktoś może się zaniepokoić i mocniej zwrócić do tradycji, dokonać wyboru, który zawęża, a ktoś inny decyduje się poszerzyć horyzonty moralne. To nie jest z góry podjęta decyzja, tylko kwestia szczerej, moralnej przemiany.

Nie możemy jej zaprojektować?

Do pewnego stopnia da się ją przewidzieć. Np. to, gdzie ludzie będą popierać tolerancję dla gejów czy osób transseksualnych. Takie prognozy są dość depresyjne, oznaczają determinizm kulturowy, wedle którego twoje poglądy są funkcją twojego miejsca urodzenia. Płynie z tego jednak również pozytywna lekcja.

Jeśli pamiętasz o tym, że gdybyś urodziła się w innym miejscu, miałabyś ekstremalnie inne wartości – o tym, że każdy z nas mógłby być nazistą, islamskim fundamentalistą czy marksistowskim rewolucjonistą – wówczas musisz mieć w sobie rodzaj moralnej pokory. Wtedy wiesz, że twoje przekonania nie są konsekwencją bycia w posiadaniu prawdy moralnej, tylko czasu i miejsca, w których żyjesz.

Równie dobrze można pomyśleć, że wszystkie poglądy są bez znaczenia.

Właśnie nie! Takie spostrzeżenie skłania nas do podejścia bardziej progresywnego. Oczywiście poglądy progresywne też mogą się usztywnić i tak się często dzieje – to jest zagrożenie. Jednak ich esencją jest tolerancja i akceptacja moralnych mniejszości, różnic. Z odkrycia, że moglibyśmy uznawać jakąkolwiek moralność, płynie lekcja o radykalnej przypadkowości naszych wartości moralnych. A zatem podejście tolerancyjne jest lepsze niż nietolerancyjne.

To nie znaczy, że progresywiści mają wolną rękę – oni również muszą mieć się na baczności i pilnować swojego własnego szowinizmu i bigoterii. W USA lewica ma zwolenników Trumpa w niewiarygodnej pogardzie. To bardzo niszczące. Zamiast traktować ludzi, którzy popierają dotychczasowego prezydenta, jako odzwierciedlenie ich własnej pozycji społecznej, rozwijać w sobie tolerancję dla nich, otwierać kanały porozumienia, ludzie po lewej stronie widzą postawę swoich oponentów politycznych jako zgubną, obrzydliwą, konieczną do wyplenienia.

Często nam się wydaje, że osoby zatwardziałe w swoich poglądach to beznadziejne przypadki i szkoda energii na dyskusje z nimi.

Pomyśl, czy ty chciałabyś być moralnie poprawiona? To oczywiście jest nieprzyjemne uczucie. Ale czy nie sądzisz, że niektóre z twoich poglądów mogą być złe, niespójne, niewrażliwe, pełne hipokryzji?

Pewnie tak.

Chyba wszyscy odpowiedzielibyśmy na to pytanie twierdząco. Każdy, kto stał się wrażliwszy na dyskryminację ze względu na niepełnosprawność, wiek, tuszę, orientację seksualną, jest ↦

↦ wdzięczny za tę moralną przemianę. Jeśli patrzysz na kogoś z innego pokolenia albo z innej partii politycznej i myślisz: nie ma dla nich nadziei, to jesteś bardzo arogancki. Skoro sam jesteś zdolny do moralnej zmiany, dlaczego oni mieliby nie być?

Co może pomóc? Empatia?

Wydaje się dobrym rozwiązaniem, ale jest ekstremalnie trudna. Jak empatyzować z kimś, kogo wartości uznajesz za krzywdzące? Jest też bardzo selektywna, najłatwiej o nią wobec osób najbardziej do nas podobnych. Względem tych najbardziej od nas różnych możemy ją budować w oparciu o wspólne doświadczenie bycia ludźmi, i jeśli się to uda, może być bardzo konstruktywne. Musimy jednak uważać, by nie stać się nazbyt tolerancyjni – dla tych, którzy akceptują krzywdzenie innych.

To co zamiast?

Złość. Wiem, że jest niepopularna, że nie lubimy, kiedy inni ją wyrażają, szczególnie kobiety. Ale złość w przeciwieństwie do pogardy to emocja zbliżająca – chcemy się skonfrontować z tym, kto nas rozwścieczа. Złość to emocja, która szanuje ludzi, bo uznaje ich za wartych dialogu, zaangażowania. Nie postrzega drugiego jako zepsutego bez możliwości naprawy – wręcz przeciwnie: sądzi, że naprawa jest możliwa. Kiedy czujesz pogardę dla swojego życiowego partnera, to wiesz, że ta relacja się skończyła. Jeśli jesteś na niego zły, to komunikujesz: mam ci coś do powiedzenia i oczekuję, że posłuchasz.

Złość niekoniecznie doprowadzi do rozstrzygnięcia, ale jest emocją konfrontacji – a więc i dialogu. W kłótni dochodzisz do wniosku, że inaczej spoglądamy na rzeczywistość i nigdy nie zobaczymy jej w ten sam sposób – i właśnie dlatego musimy szanować swoje odrębności. Spośród tych trzech emocji: pogardy, złości i empatii, to złość rokuje najlepiej i może wzmocnić współistnienie w poszanowaniu różnic. Złość jest też lepsza od nadziei, bo jest aktywna.

A z nadzieją co jest nie tak?

Nadzieja to aspiracja bez działania, jest pasywna, każe czekać. Dobrze, gdyby zmiana się wydarzyła, ale nie wstrzymuj oddechu, nie oczekuj jej. Taka pasywna aspiracja jest zła dla motywacji, prowadzi do przeświadczenia, że dobre nastanie bez naszego wysiłku. Albo do czegoś jeszcze gorszego: rezygnacji wobec nieuchronnego.

W Republice Weimarskiej była bardzo liberalna konstytucja i pod jej rządami został wybrany Hitler. Sądzę, że wszelkie mniejszości, które czuły się przez nazistów prześladowane – LGBT, lewicowcy, artyści, niepełnosprawni – mówiły: to minie, musimy tylko przetrwać ten sezon w piekle, kiedy ta partia o wąskich horyzontach jest u władzy. Problem polega na tym, że to tak nie działa – musisz o to zawalczyć. Nawet w ramach liberalnej demokracji jesteśmy nieustannie narażeni na autorytaryzm. Nadzieja na zmianę jest nieadekwatna wobec takiego wyzwania.

Skoro moralność jest zależna od emocji, uwarunkowana w dzieciństwie, czasie historycznym, pochodzeniu, jak mam ocenić, czy wiodę moralne życie?

Ponieważ moralność jest trochę jak gust, w dodatku bywa podatna na zmiany nastroju, nie powinniśmy być ani zbyt dogmatyczni, ani zbyt nietolerancyjni wobec ludzi, którzy wyznają inne wartości. Moralne będzie takie życie, które nie walczy przeciw tej kapryśnej naturze moralności. Musimy budować społeczeństwa chroniące różne jej warianty.

A czy Ty wiedziesz życie, które odpowiada Twoim wartościom?

Oczywiście, że nie. Jak większość ludzi. Dlaczego? Jesteśmy leniwi. Może czasem wyjdziemy na ulicę albo będziemy zachęcać ludzi do udziału w wyborach, jednak przez większość życia pozostajemy moralnie nieaktywni. Jeśli pomyślisz, że społeczeństwo, w którym żyjesz, nie odpowiada wartościom, jakie wyznajesz, to od razu widzisz, że mogłabyś robić o wiele więcej. Albo milczymy, a to jest najgorsze.

Mój dziadek ze strony ojca był rabinem w hitlerowskim Berlinie. Na marszu Ruchu Praw Obywatelskich w Waszyngtonie w 1964 r. przemawiał tuż przed Martinem Lutherem Kingiem. Podkreślał, że największe zagrożenie to nie bigoteria, nie nienawiść, tylko milczenie. Zwłaszcza świadków. Wielu Żydów doświadczyło milczenia sąsiadów. Nie móc liczyć na to, by ci, którzy opowiadają się po twojej stronie, wstawili się za tobą – to dewastujące odkrycie na temat ludzkiej natury. Opór musi być aktywny.

Jak może to dzisiaj wyglądać?

Wielu białych w USA potępia rasizm. Ale gdy spytasz, co w związku z tym robią, to się okaże, że pewnie nic poza tym, że deklarują, iż go potępiają. To za mało. Mamy tendencję do nagradzania się za każde zachowanie – nawet oglądanie filmu będącego ekspresją naszych wartości sprawia, że sami klepiemy się po ramieniu: byłem wściekły, gdy widziałem tę niesprawiedliwość. To jest fikcyjna złość, nie działanie, nie praktyka w życiu. Nie wystarczy być przeciwko rasizmowi, trzeba być antyrasistą – to znaczy wygospodarować czas w dniu, tygodniu, który przeznaczasz na walkę z rasizmem.

Czyli wiodę moralne życie, jeśli aktywnie działam w duchu moich wartości?

Co robisz, kiedy twoja partia przegrywa wybory? Nie czekasz do następnych, musisz znaleźć sposób, by coś rzeczywiście zrobić. Jeśli nie zgadzasz się na koncentrację bogactwa, władzy i informacji, powinieneś ograniczyć finansowanie korporacji, które to uosabiają, jak Apple czy Amazon. Każdy może zrobić więcej.

Czy jesteś aktywnie zaangażowana w uczynienie twojej lokalnej społeczności bliższej twojemu moralnemu ideałowi? Odpowiedź dla każdego z nas brzmi: niewystarczająco. Jeśli powiemy to sobie każdego dnia, jeśli użyjemy mediów społecznościowych nie po to, by śpiewać z chórem takich samych głosów, ale znaleźć konkretne sposoby na zmianę, to zbliżymy się do prowadzenia bardziej moralnego życia.

© Rozmawiała MARIA HAWRANEK

JESSE PRINZ jest profesorem filozofii, pracuje na Uniwersytecie w Nowym Jorku. Zajmuje się filozofią psychologii i etyką, jest autorem kilku książek, m.in. „The Emotional Construction of Morals", „The Conscious Brain", oraz ponad stu artykułów naukowych o emocjach, psychologii moralności i świadomości.

Życie na chłodno

ŁUKASZ JACH

Większość z nas przejmuje się cierpieniem bliźnich i przestrzega najważniejszych zasad moralnych. Psychopaci funkcjonują inaczej.

Chris, bohater filmu Woody'ego Allena „Wszystko gra", ma żonę i dobrą pracę. Ma też romans. Jego kochanka, Nola, pewnego dnia mówi mu, że jest w ciąży i pragnie ułożyć sobie życie na nowo: z nim i jego dzieckiem. Mężczyzna postanawia działać. Zabiera strzelbę teścia, zabija sąsiadkę Noli i zabiera z jej mieszkania kilka rzeczy, by upozorować rabunek, a gdy jego kochanka wraca do siebie – morduje również ją, w taki sposób, by wyglądała na przypadkową ofiarę. Po wszystkim Chris spokojnie jedzie taksówką do teatru na randkę z żoną. Dzięki dobremu zaplanowaniu całego przedsięwzięcia Chris wymyka się wymiarowi sprawiedliwości, a gdy nawiedzają go potem duchy zamordowanych kobiet, tłumaczy im, że wszystko, co zrobił, było w jego sytuacji konieczne.

Większości ludzi zachowanie Chrisa będzie wydawać się szokujące, ale są i tacy, którzy uznają, że działanie mężczyzny miało sens. Pojawił się problem, więc potrzebne było skuteczne rozwiązanie. Taka perspektywa charakteryzuje sposób funkcjonowania szczególnego typu osób – psychopatów.

Psychopata, czyli kto?

Określenia takie jak „psychopata" czy „psychopatia" należą do słownika współczesnych pojęć psychologicznych, ale nie znajdziemy ich w aktualnych klasyfikacjach chorób i zaburzeń psychicznych. Zespołowi cech i zachowań charakteryzujących psychopatów najbliżej jest do zaburzenia, które oficjalnie określane jest mianem „osobowości antyspołecznej". Ludzie, u których diagnozuje się taki typ osobowości, w kontaktach z innymi posługują się manipulacjami i kłamstwami. Są też wrogo nastawieni i bezduszni, co przejawia się brakiem zainteresowania potrzebami innych, nieodczuwaniem poczucia winy i odpowiedzialności za swoje działania. Mają skłonność do agresji, także w jej sadystycznych formach. Lekceważą umowy i obietnice, podejmują zachowania ryzykowne. Często szybko się nudzą, działają impulsywnie i nie biorą pod uwagę obiektywnego zagrożenia, jakie sprowadzają na siebie swoimi działaniami.

Ten ostatni aspekt różni ich nieco od potocznego obrazu psychopatów, postrzeganych raczej jako ludzie działający w sposób chłodny i przemyślany, a przez to diabelsko skuteczni. Antyspołeczne zaburzenie osobowości występuje często u więźniów, ale wielu psychopatów może przeżyć całe swoje życie, nie mając do czynienia z wymiarem sprawiedliwości, a nawet osiągać status społeczny wzbudzający u innych ludzi szacunek i podziw.

Pojęcie „psychopata" po raz pierwszy pojawiło się w książce „The Mask of Sanity" („Maska poczytalności") amerykańskiego psychiatry Herveya Cleckleya, wydanej w 1941 r. Jej tytuł jest nieprzypadkowy – zdaniem Cleckleya oraz wielu współczesnych badaczy psychopaci mogą działać na co dzień niczym uśpieni agenci. Uważa się ich za osoby, które „rozumieją, ale nie czują", i to właśnie ta specyficzna mieszanka emocjonalnego chłodu oraz niezłych kompetencji intelektualnych ma umożliwiać niektórym z nich sprawne funkcjonowanie w społeczeństwie, a czasem nawet przewagę nad tymi, którzy czuliby większy opór przed niemoralnym działaniem.

Zdaniem Simona Barona-Cohena ma to związek z istnieniem dwóch rodzajów empatii: poznawczej i afektywnej. Ta pierwsza odnosi się do sytuacji, w których umiemy wyobrazić sobie „na chłodno" emocje innych osób, ta druga zaś do chwil, kiedy sami wczuwamy się w ich stan – przeżywamy ich emocje. Większość ludzi ma rozwinięte oba typy empatii, ale psychopaci – jedynie empatię poznawczą. W efekcie wiedzą oni, dlaczego inni okazują radość, strach, gniew czy smutek, lecz dla nich samych niewiele to znaczy.

Takie „pragmatyczne" podejście do emocji czasem może być przydatne. Kevin Dutton sporządził listę dziesięciu profesji, w których bywa promowane. Są na niej: pracownicy służb publicznych, szefowie kuchni, duchowni, policjanci, dziennikarze, chirurdzy, sprzedawcy, pracownicy mediów, prawnicy i menedżerowie wysokiego szczebla. Wygląda na to, że psychopaci radzą sobie lepiej wszędzie tam, gdzie balansuje się pomiędzy pragmatyczną użytecznością decyzji a jej kosztami emocjonalnymi. I że społeczeństwo potrafi korzystać z usług ludzi o psychopatycznych cechach wtedy, gdy należy wykonać „brudną robotę".

Rodzina morderców

Badacze zjawiska psychopatii mają twardy orzech do zgryzienia: osoby badane nie mają zwykle skrupułów przy wprowadzaniu innych w błąd oraz potrafią dopasowywać swoje wypowiedzi do społecznych oczekiwań. W tym przypadku ↦

słabo sprawdzają się kwestionariusze czy wywiady psychologiczne. Sięga się więc po takie wskaźniki, które trudniej zmanipulować.

Jedna z dostępnych opcji to badanie reakcji skórno-galwanicznej (GSR). W kontakcie z emocjonalnie angażującymi bodźcami uruchamia się nasz układ współczulny, a jednym z przejawów jego działania jest aktywność gruczołów potowych. Ponieważ spocona skóra przewodzi impulsy elektryczne łatwiej niż skóra sucha, GSR traktuje się jako miarę pobudzenia emocjonalnego. Badania z udziałem psychopatów wykazały, że mają oni obniżony poziom GSR w kontakcie z fotografiami przedstawiającymi ludzkie cierpienie. W innych eksperymentach u psychopatów odnotowano zaś słabszą GSR na bodźce powiązane wcześniej z doznaniami bólowymi. Sugerowałoby to, że psychopaci na najbardziej podstawowym poziomie postrzegają cierpienie innych ludzi w sposób odmienny od większości populacji, a ich antyspołeczne i niemoralne zachowania mogą brać się z obniżonego lęku przed możliwością poniesienia kary.

Do podobnych wniosków doprowadziły też badania z użyciem funkcjonalnego rezonansu magnetycznego (fMRI), które wykazały, że choć wyraźnie psychopatyczni więźniowie w sytuacji wyobrażania sobie własnego bólu reagują typowo, to jednak wtedy, gdy mają wyobrazić sobie ból innych ludzi, aktywność ich mózgów jest niestandardowa.

Skąd w ogóle biorą się psychopaci? Po zbadaniu statystyk występowania psychopatii u dziesiątków tysięcy bliźniąt, wychowywanych razem lub osobno – co pozwala oddzielić wpływ genów od wpływu wychowania i środowiska – udało się ustalić, że czynniki genetyczne i środowiskowe tłumaczą jej obecność mniej więcej po połowie: psychopatia nie jest więc cechą „czysto genetyczną", jak kolor oczu czy grupa krwi.

Badania przeprowadzone przez zespół Petera K. Jonasona wykazały, że poziom cech psychopatycznych u osób dorosłych wiąże się ze stopniem nieprzewidywalności ich środowiska życia w dzieciństwie. Rolę interakcji czynników genetycznych i środowiskowych w kształtowaniu się typowych dla psychopatii zachowań podkreślają też Sandie Taylor i Lance Workman. Podają oni przykład profesora Jamesa Fallona – neuronaukowca zajmującego się badaniami sprawców zabójstw. W rodzinie Fallona było wielu morderców, a on sam określa siebie mianem „prospołecznego psychopaty". W jego relacjach z dzieciństwa znajdziemy jednak wiele miłości, troski i szczęśliwych wspomnień. Z innej perspektywy psychopaci-kryminaliści opisują często swoje dzieciństwo jako pasmo krzywd i przykrości. Do układanki tej nieco porządku wprowadza Linda Mealey, dzieląca psychopatię na pierwotną i wtórną. Ta pierwsza może występować w przypadku „urodzonych psychopatów", ta druga stanowi zaś efekt działania genetycznych predyspozycji i czynników środowiskowych promujących psychopatyczne funkcjonowanie jako sposób radzenia sobie w codziennych sytuacjach.

Cecha ilościowa

Choć najwygodniej byłoby dzielić ludzi na psychopatów i niepsychopatów, w badaniach psychopatię ujmuje się raczej jako cechę ilościową. Oznacza to, że każdy z nas znajduje się w którymś miejscu na pełnej skali jej rozpiętości. Stosowanie zero-jedynkowego podejścia do

złożonych cech psychicznych rzadko daje realistyczny obraz. Według wspomnianego już Barona-Cohena, psychopaci znajdują się na jednym biegunie kontinuum empatii, drugi zaś jego kraniec okupują osoby hiperempatyczne, które tak silnie reagują na emocje otaczających je osób, że zmagają się z nieustannym współodczuwaniem cudzych nieszczęść oraz męczącym przymusem ciągłego pomagania innym. Czy więc dla hiperempatyka zachowanie emocjonalnego przeciętniaka nie będzie niekiedy podobnie nieczułe, co zachowanie psychopaty dla przeciętniaka?

Skłonności psychopatyczne mogą być też czymś, co się nie tyle ma, co miewa. Pomyślmy choćby o tych chwilach, kiedy ścigamy się z czasem i zupełnie nas nie obchodzi to, że mówi do nas ktoś z domowników. Albo o momentach, gdy mając upragniony cel tuż przed oczami, czujemy, że bylibyśmy gotowi usunąć każdą niedogodność, by go osiągnąć.

Wróćmy jednak do ludzi o widocznych cechach psychopatycznych, takich jak te wymieniane w antyspołecznym zaburzeniu osobowości. Można zastanawiać się, dlaczego postępujące wbrew społecznym i moralnym normom, bezwzględne i pozbawione wyrzutów sumienia osoby nadal są pośród nas, mimo że *Homo sapiens* to gatunek na wskroś społeczny. Cóż, okazuje się, że w pewnych szczególnych okolicznościach psychopaci mogą czuć się w społeczeństwie niczym pączki w maśle. Zdaniem Lindy Mealey życiowe powodzenie psychopatów może zależeć od tego, jaki jest ich odsetek w ogólnej populacji. Gdy jest ich niewielu, mogą działać w swój egocentryczny, manipulacyjny sposób pozostając w ukryciu i choć krzywdzą napotykane osoby, to ich czyny nie oddziałują wyraźnie na całość społeczeństwa.

W niewielkich grupach taki kamuflaż może być trudny, ale nie we współczesnym świecie, w którym łatwo jest zmieniać wygląd czy miejsce zamieszkania oraz na nowo pisać opowieści o swojej przeszłości. W strukturze nowoczesnego społeczeństwa pełno jest nisz pozwalających skutecznie działać komuś posiadającemu cechy łączone z psychopatią. Pomyślmy zresztą choćby o fenomenie stale zmieniających tożsamość uwodzicieli czerpiących korzyści z oszukiwania, których *modus operandi* niezależnie od miejsca i czasu jest zasadniczo dosyć podobny.

Niektórzy badacze zwracają zresztą uwagę na to, że dziś cechy psychopatyczne wśród ludzi mogą umacniać się nie tylko poprzez łatwość porzucania dawnych kontaktów i nawiązywania nowych, ale również poprzez społeczne uznawanie tych cech za ściśle związane z sukcesem materialnym i wizerunkowym. Z innej perspektywy, Clive R. Buddy postawił tezę, że współcześnie wysoko postawieni psychopaci potrafią zmieniać sposób funkcjonowania całych organizacji, jakie znajdują się pod ich wpływem. Wedle tego podejścia zasięg oddziaływania psychopatów na nasze codzienne życie może być więc nie do końca proporcjonalny do ich liczby.

Życie jak rock'n'roll

Ciekawej interpretacji zjawiska utrzymywania się tendencji psychopatycznych wśród ludzi dostarcza również rozwijana na gruncie psychologii ewolucyjnej teoria historii życia. Zgodnie z tym podejściem ludzie mogą osiągać swoje życiowe cele na różne sposoby, a jednym z nich jest realizowanie tzw. strategii szybkiej. Polega ona m.in. na nieangażowaniu się w bliskie związki, nawiązywaniu płytkich relacji z wieloma partnerami oraz posiadaniu licznego potomstwa przy niewielkim poziomie angażowania się w opiekę nad nim. Ze względów czysto biologicznych bardziej predysponowani do realizacji tej strategii są mężczyźni (kobieta może urodzić w życiu tę samą maksymalną liczbę dzieci niezależnie od liczby partnerów). Choć wśród ludzi częściej spotyka się tzw. strategię powolną, która wiąże się z raczej „jakościowym" niż „ilościowym" podejściem do kwestii partnerów i potomstwa, w niektórych okolicznościach strategia szybka może być całkiem niezłym sposobem na osiąganie ewolucyjnie rozumianego sukcesu. Dzieje się tak np. wtedy, gdy warunki środowiskowe są zmienne i mało przewidywalne, ale też wtedy, gdy prawdopodobieństwo przeżycia potomstwa nie jest wyraźnie powiązane z obecnością w jego życiu obojga rodziców. To drugie stanowi zresztą cechę współczesnych, rozwiniętych państw charakteryzujących się rozbudowanymi systemami opieki społecznej.

Czy zatem populacyjny sukces psychopatów można wiązać z wybieraniem przez nich „szybkiej" strategii życia? Wyniki badań zdają się potwierdzać tę tezę. Eksperymenty Nicholasa S. Holzmana i Michaela J. Strube'a dostarczyły danych wskazujących, że psychopatia rzeczywiście wiąże się z dążeniem do tworzenia przelotnych związków intymnych oraz obniżonym zainteresowaniem związkami długoterminowymi.

W tym kontekście interesujące wydają się wyniki badań nad rolą czynników genetycznych w kształtowaniu się cech psychopatycznych u adoptowanych w dzieciństwie osób, których biologiczni rodzice wchodzili w konflikty z prawem. Wykazały one, że posiadanie biologicznego ojca kryminalisty wiązało się z występowaniem osobowości psychopatycznej u mężczyzn, ale nie u kobiet. Posiadanie matki kryminalistki nie było natomiast w żaden sposób powiązane z występowaniem cech psychopatycznych, niezależnie od płci badanych osób. Czyżby więc w populacji męskiej istniało zjawisko czegoś na kształt międzypokoleniowej sztafety psychopatów, których cechy stanowią rodzaj specyficznej strategii reprodukcyjnej?

Tragedia i tabu

Osoby o cechach psychopatycznych na dobre zadomowiły się w kulturze popularnej. Dr House, który nie liczył się z emocjami pacjentów i łamał prawo, by rozwiązywać zagadki medyczne, albo Dexter Morgan – lubiany detektyw śledczy oraz seryjny morderca polujący na najcięższych przestępców – są tego najlepszymi przykładami. Fascynując się takimi postaciami, przyznajemy w pewnym sensie, że widzimy szereg codziennych, praktycznych zastosowań dla ich specyficznego sposobu widzenia świata oraz pojmowania kwestii moralnych. Wydaje się, że czasem chętnie zrzucilibyśmy na barki osób o cechach psychopatycznych konieczność działania w sytuacjach nazywanych przez Philipa E. Tetlocka „transakcjami tragicznymi", w których trzeba dokonywać wyboru pomiędzy kilkoma wartościami uznawanymi za równie ważne.

Zdolność do chłodnego kalkulowania, do oderwania od silnych emocji towarzyszących decyzjom oraz brak wyrzutów sumienia z powodu ich długotrwałych konsekwencji – to cechy, które mogą kusić ludzi zmagających się z podejmowaniem trudnych decyzji. A przecież wszyscy przed takimi czasem stajemy.

© ŁUKASZ JACH

MARKUS SCHREIBER, APTOPIX / AP / EAST NEWS

NATALIA POLASIK DLA „TP" / MOONWATER.PL

Lepsza jest nicość

KASPER KALINOWSKI

Wierzą, że życie jest gehenną, nawet jeśli nie wszyscy zdajemy sobie z tego sprawę. Dlatego antynataliści mówią wprost: każde kolejne dziecko zwiększa sumę zła w świecie.

„Ale przecież wszyscy wiedzą, że życie nie jest wcale warte trudu przeżywania" – zapisał w „Obcym" Albert Camus. „Wszyscy" to może przesada, jednak z tym zdaniem zgodziliby się z pewnością antynataliści. To osoby, które uważają, że jedyną moralnie uczciwą postawą w świecie przesiąkniętym cierpieniem i zdewastowanym działalnością człowieka jest zaprzestanie płodzenia dzieci. Brzmi groteskowo? Wbrew pozorom argumenty „przeciwników istnienia" są bardzo rozległe, od metafizycznych po ekologiczne. Uderzają w dwa tematy, które w większości uznajemy za tabu i których nie poddajemy dyskusji: sensowności życia i posiadania potomstwa. Dlatego zmuszają do refleksji.

Jak zauważa David Benatar, jeden z czołowych współczesnych antynatalistów, nawet jeśli wydaje ci się, że wiedziesz dobre życie, padasz ofiarą zniekształceń poznawczych. Badania psychologów społecznych pokazują, że nie jesteśmy w stanie obiektywnie ocenić jakości własnego życia – większość ludzi określa siebie jako ponadprzeciętnie szczęśliwych czy empatycznych. Według Benatara racjonalny bilans zawsze przemawia za nieistnieniem.

Przekonanie o niemoralności rozmnażania się i tym, że każde istnienie niesie ze sobą cierpienie, to oczywiście nie wynalazek XX-wiecznych teoretyków (i praktyków) antynatalizmu. Doskonałym podsumowaniem tego, jak na narodziny patrzą antynataliści, jest często przywoływana w ich pracach obserwacja przypisywana Herodotowi. W jednym z plemion Traków, gdy na świat przychodziło nowo narodzone dziecko, gromadzono się wokół noworodka i płakano. To uzasadniona reakcja, jeśli życie postrzegamy jako zbiór niezawinionych nieszczęść i bólu – jak często mieli robić to np. starożytni Grecy.

Zalety adopcji

Najstarszą odpowiedzią na pytania egzystencjalne są oczywiście religie. Jeśli przyjrzeć się bliżej wywodom antynatalistów, znajdziemy wiele punktów wspólnych z buddyzmem, w któ-

rym kategoria *dukkha*, czyli cierpienie lub udręka, jest jedną z kluczowych idei. Buddyjskie cierpienie nie jest tożsame z definicją zachodnią. Najbogatszy, zdrowy i otoczony bliskimi człowiek również cierpi. *Dukkha* wynika raczej z natury rzeczywistości, iluzoryczności ludzkich pragnień, niemożliwości ich realizacji czy przywiązania. Istnienie niesie ze sobą cierpienie i należy się z niego wyzwolić.

Choć chrześcijaństwo, czy szerzej: kultura judeochrześcijańska, kojarzy się ze starotestamentowym nakazem „rozmnażania i bycia płodnym", a obowiązek ożenienia się mężczyzny i posiadania przez niego potomstwa to pierwsze z 613 żydowskich przykazań zapisanych w Torze, to w Starym Testamencie również odnajdziemy echa antynatalizmu. W najbardziej pesymistycznej ze starotestamentowych ksiąg – Księdze Koheleta – możemy natknąć się m.in. na słowa: „Gdyby ktoś zrodził nawet stu synów i żył wiele lat, i dni jego lat się pomnożyły, lecz dusza jego nie nasyciła się dobrem i nawet pogrzebu by nie miał – powiadam: Szczęśliwszy od niego nieżywy płód (...); on większy ma spokój niż tamten" (Koh 6, 3-5 w tłum. Biblii Tysiąclecia).

Lęk przed istnieniem najlepiej widać jednak poza głównym nurtem chrześcijaństwa, na jego historycznych obrzeżach. Średniowieczni katarzy wstrzymywali się nie tylko od spożywania produktów odzwierzęcych (poza rybami, które w tym okresie uznawano nie za wytwór spółkowania, a samej wody), ale rygorystycznie podchodzili do tematu płciowości. Świat ciała i materii był dla nich emanacją zła. Podobnie marcjonici z pierwszych wieków chrześcijaństwa. Wśród nich nie można było zostać dopuszczonym do chrztu czy eucharystii, jeśli nie przysięgło się, że nie będzie się mieć dzieci. Rosyjscy skopcy brutalnie okaleczali genitalia swych wyznawców. Celibat był warunkiem koniecznym do zbawienia.

Antynataliści, odrzucając wszelką metafizykę, przepisują jeden lek na ból: powstrzymaj się od płodzenia. Lepiej adoptuj dziecko. To jedyny sposób, w jaki jednostka może uczynić świat odrobinę bardziej znośnym i zminimalizować sumę cierpienia na świecie (a przy okazji ilość dwutlenku węgla).

Cierpienie filozofów

Opisami cierpienia zapełnione są całe biblioteki. Nie wypada jednak nie wspomnieć o dwóch nazwiskach, których myśl została w internecie zniekształcona najbardziej. Dziś Arthur Schopenhauer i Emil Cioran są znani głównie jako bohaterowie memów i elementy popkultury. Obu filozofów wiele łączy. Wiedli samotne, pełne cierpienia życie. Bliska im była filozofia wschodnia. Argumentacja Schopenhauera o ułudzie zaspokajania wszelkich potrzeb – każda zaspokojona potrzeba generuje kolejną, a w najlepszym przypadku w czymś, co nazywamy dobrym życiem, zacznie dominować nuda – to coś, co mogło znaleźć się również w aforyzmach drugiego z filozofów.

W przypadku Ciorana, który sam siebie określał jako „teoretyka upadku", nie trzeba przedstawiać poglądów. Same za siebie mówią tytuły jego dzieł: „O niedogodności narodzin", „Na szczytach rozpaczy" lub „Zarys rozkładu". Cioran oczywiście dzieci nie miał. Mawiał, że gdyby je miał, natychmiast by je udusił, a „płodzenie" uznawał za najbardziej okrutne ze znanych mu słów. To m.in. jego dzieła posłużyły scenarzystom serialu „True Detective" do wykreowania postaci nihilistycznego detektywa Rusta Cohle'a. Serialowy bohater, podobnie jak rumuński myśliciel, powstanie świadomości w gatunku *Homo sapiens* uważał za „tragiczny błąd ewolucji".

Temat świadomości porusza również norweski filozof Peter Wessel Zapffe. W eseju „Narodziny Mesjasza" pisze: „Pewnej nocy, w dawno już minionych czasach, człowiek zbudził się i ujrzał siebie samego". Ten moment to narodziny samoświadomości. Finałem eseju jest śmierć bohatera. Istnienie to wspólnota cierpień, świadomość zaś rodzi wiedzę o konieczności śmierci własnej i wszystkich, których kochamy. W innym miejscu klasycznego dzieła antynatalistów Zapffe mówi o świecie jako o „stąpaniu po pękającym w szwach cmentarzu". Argentyński filozof Julio Cabrera, który określa siebie jako pierwszego antynatalistę, mówi, że powoływanie kogoś do życia jest jednoznaczne ze skazaniem go na śmierć. W jego opinii nie sama śmierć, jako jednostkowe zdarzenie, jest złem, ale umieranie – biologiczna konieczność, której jesteśmy całe życie świadomi.

Tragiczne piękno

Karim Akerma zwraca uwagę na problemy semantyczne. Narodziny w języku związane są z czymś pozytywnym: „podarować komuś życie", „być w stanie błogosławionym" itd. Jednak w jego opinii prokreacja to egoistyczny błąd (i hazard w genetycznej loterii). Dziecko przecież nie istniało, zanim nie zaczęło żyć w łonie matki – nie było więc kogo „obdarować życiem".

„Antynatalizm (...) to teoria moralna, która wyrosła z historii", pisze w swym „Manifeście antynatalistycznym" Akerma. Jesteśmy przecież gatunkiem o wyjątkowo niechlubnej historii. Nikt nie zaszkodził innym gatunkom i planecie na taką skalę. Poza argumentami filozoficznymi, do współczesnego mieszkańca Zachodu chyba najbardziej trafia argument ekologiczny.

Powstrzymanie się od prokreacji oznacza ograniczenie emisji dwutlenku węgla o miliony ton. Inne gatunki żyły na długo przed *Homo sapiens* i będą istniały długo po nas. Nic nie usprawiedliwia przemysłowego chowu zwierząt czy rujnowania środowiska.

W dodatku nasze dzieci najprawdopodobniej będą żyły w gorszym świecie niż my. Takim, gdzie będą toczyły się wojny o wodę, a głód może stać się zjawiskiem powszechnym. Żaden antynatalista nie nawołuje jednak do nieograniczonej aborcji, samobójstwa czy wysadzania przedszkoli. Dokonują bowiem kluczowego rozróżnienia pomiędzy życiem potencjalnym a już istniejącym – to, co przysparza cierpienia istniejącym ludziom, negatywnie wpływa na bilans cierpienia na świecie.

Argumenty antynatalistów zapewne nigdy nie przekonają większej części społeczeństwa. To stanowisko, które jest nie tylko przeciw biologii człowieka, ale rzuca wyzwanie normom kulturowym. O antynatalizmie dużo mówi fakt, że swoje główne dzieło „Lepiej nie zaistnieć" („Better never to have been") filozof David Benatar zadedykował... swoim rodzicom. Jak zauważa Mikołaj Starzyński, autor jedynego w języku polskim przeglądu zjawiska, chodzi o „aktywne niedziałanie". Antynataliści przecież nie zobaczą efektów swoich starań. Jego zdaniem na tym polega „tragiczne piękno antynatalizmu". ©

Sumienni oportuniści

RADOSŁAW ZYZIK

Badania ekonomiczne pozwalają na ilościowe wyznaczenie poziomu naszej uczciwości. Jest lepiej, niż zakładały klasyczne modele, ale nie mamy szczególnych powodów do dumy.

Ekonomiści modelujący ludzkie zachowania zakładają, że człowiek jest istotą racjonalną i maksymalizuje swoją użyteczność. Na potrzeby tego tekstu możemy założyć, że pod pojęciem tym kryje się po prostu korzyść. Jeśli więc ludzie działają w celu osiągnięcia korzyści, to siłą rzeczy moralność musimy odłożyć na bok, prawda? Jeszcze do niedawna tak się wydawało. Szacować mieliśmy jedynie koszty i korzyści, prawdopodobieństwo nagród, wypłat lub kar. W tym równaniu nie było miejsca na poczucie sprawiedliwości. Jednak kolejne eksperymenty przeprowadzane przez psychologów, ekonomistów i filozofów eksperymentalnych skomplikowały ten prosty świat ekonomicznych wzorów.

Idee mają znaczenie

Jeśli zostaniemy poproszeni, aby uzupełnić zbitkę WO_A tak, by powstało poprawne słowo, a przed chwilą mignęła nam przed oczami pusta szklanka albo zdjęcie znad morza, to raczej wpiszemy literę „D", a nie „L". Okazuje się bowiem, że sam fakt, iż nasz mózg miał kontakt z jakąś ideą lub pojęciem, wpływa na wzorzec przetwarzania kolejnych informacji, które do niego docierają. Mechanizm odpowiedzialny za ten proces nazywany jest torowaniem lub prymowaniem.

Idee mają wpływ nie tylko na to, jak myślimy, ale również jak się zachowujemy. Jednym z najbardziej znanych eksperymentów, w których badano zjawisko torowania, był ten przeprowadzony przez Johna Bargha.

Bargh poprosił studentów, aby ułożyli zdania z rozsypanych wyrazów. W przypadku połowy studentów wyrazy dotyczyły starości, choć to słowo nie padło. W kolejnym etapie uczestnicy mieli przejść do innego pokoju. Okazało się, że ci studenci, którzy układali zdania z wyrazów dotyczących starości, poruszali się wolniej i więcej czasu zajmowało im przejście do kolejnej sali. Losowo dobrane wyrazy najpierw w sposób nieświadomy torowały ideę starości, a następnie ta idea zmieniła sposób zachowania. Zjawisko opisane przez Bargha zostało nazwane „efektem Florydy" (to stan kojarzony w USA z osobami na emeryturze) – choć, co warto dodać, kilku niezależnym grupom badawczym nie udało się go później odtworzyć.

Sam mechanizm prymowania jest jednak solidnie potwierdzony. Do moich ulubionych eksperymentów należą te związane z badaniem wpływu idei pieniądza na nasze zachowanie. W jednym z badań wystarczyło umieszczenie w pokoju monitora z wygaszaczem ekranu z banknotami, a ludzie zachowywali się bardziej samolubnie. Gdy prowadzący spotkanie upuścił garść ołówków na ziemię, badani, u których utorowano ideę pieniądza, podnosili ich mniej niż ci, którym oszczędzono procesu torowania. Chętniej też pozostawali w samotności, a gdy proszono ich o ustawienie dwóch krzeseł, to ustawiali je od siebie dalej (średnio 118 cm) niż osoby, których nie „potraktowano" ideą pieniądza (średnio 80 cm). Badania nad zjawiskiem torowania idei pieniędzy stały się bardzo popularne w ostatnich 20 latach. Metaanaliza ponad stu sześćdziesięciu badań wykazała, że ludzie, którym przypominano o pieniądzach (w dowolny niemal sposób), z jednej strony poświęcali więcej czasu i wysiłku, by zrealizować zadania, które im powierzono, ale z drugiej – byli mniej empatyczni, mniej kooperatywni i w mniejszym stopniu poszukiwali kontaktu z innymi.

Ultimatum dla dyktatora

Czy w takim razie – w społeczeństwie, w którym pieniądz jest wszechobecny – jesteśmy skazani na egoizm i brak współpracy? Niekoniecznie. Przyjrzyjmy się grze o nazwie „ultimatum". Bierze w niej udział dwóch graczy. Jeden otrzymuje do dyspozycji pewną sumę pieniędzy i dzieli je według uznania między siebie i drugiego gracza. Następnie ten drugi decyduje, czy zgadza się na ten podział: jeżeli tak, każdy otrzymuje swoją część. Jeżeli nie – pieniądze przepadają.

Wyniki badań nad zachowaniem ludzi grających w „ultimatum" opisano w artykułach naukowych ponad sto razy (stworzono także wersje dla dzieci i małp). Niemniej już pierwszy taki eksperyment pokazał, że ludzie nie muszą być aż takimi egoistami, jak zakłada się to w podręcznikach mikroekonomii. W badaniu z 1982 r. aż jedna trzecia uczestników dzieliła otrzymaną do dyspozycji kwotę po połowie. Jeszcze więcej uczestników wcielających się w rolę gracza pierwszego oferowało między 30 a 45 proc. wyjściowej sumy.

Analiza przeprowadzona dwadzieścia jeden lat później przez jednego z czołowych ekonomistów behawioralnych i współtwórcę neuroekonomii, Colina Camerera, wykazała, że połowa uczestników odrzuca oferty mniejsze od 20 proc. kwoty, którą rozporządzał pierwszy gracz, ale średnio proponuje on 30-40 proc. kwoty wyjściowej. Ludzie nie są specjalnie szczodrzy, ponieważ bardzo rzadko zdarzały się propozycje wyższe niż 50 proc., ale nie są też przesadnie egoistyczni – rzadko oferowali drugiemu graczowi mniej niż 10 proc.

Jak widać, uczciwość ma znaczenie. Ludzie dążą do sprawiedliwego podziału dóbr. Eksperyment ten przeprowadzono na członkach wielu kultur – zachowania graczy w niewielkim stopniu zależały od pochodzenia. Dążenie do sprawiedliwości nie jest więc cechą zależną od kultury, ale raczej dotyczy natury ludzkiej. Zaobserwowane różnice kulturowe dotyczyły tego, jaka oferta może być już uznana za sprawiedliwą.

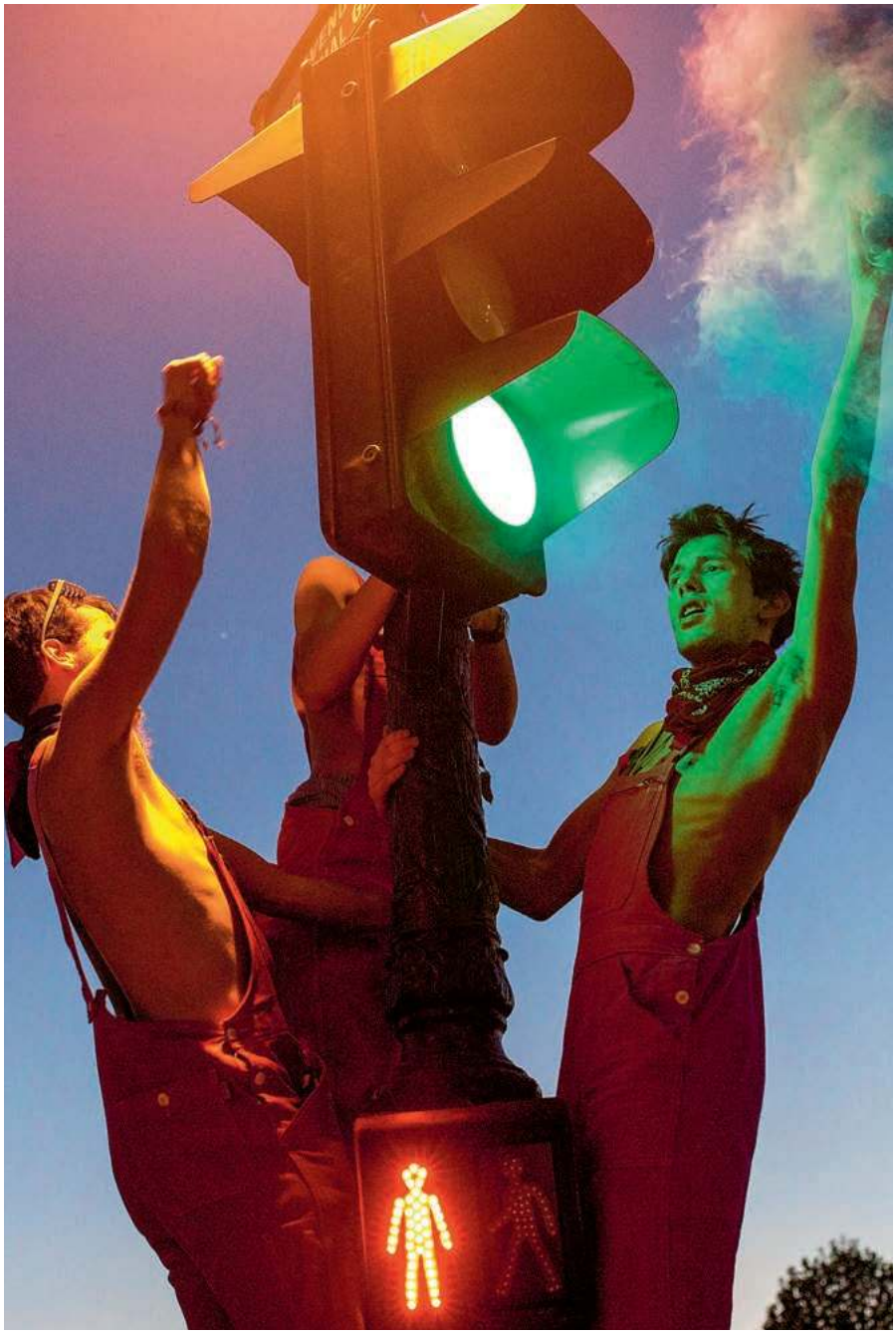

JEROME SESSINI / MAGNUM PHOTOS / FORUM

W grze o nazwie „dyktator" również bierze udział dwóch graczy, z których jeden proponuje podział otrzymanej kwoty, jednak tym razem drugi gracz nie może jej odrzucić. Cokolwiek ustali gracz pierwszy, tak się stanie.

Cztery lata po opublikowaniu wyników pierwszego eksperymentu z grą „ultimatum" Daniel Kahneman, Richard Thaler i Jack Knetsch (dwóch pierwszych zostało później laureatami ekonomicznego Nobla) opisali eksperyment z grą „dyktator". Uczestnicy badania mieli podzielić 20 dolarów na jeden z dwóch sposobów: albo w stosunku 18 do 2, albo po równo (10 i 10). Gracz „decyzyjny" miał więc wybór pomiędzy podziałem „zachłannym" i „sprawiedliwym". Okazało się, że niemal 75 proc. uczestników wybierało opcję drugą (10 do 10).

Od tego czasu wyniki eksperymentów z grą „dyktator" opublikowano w literaturze fachowej kilkadziesiąt razy (w rzeczywistości badań takich przeprowadzono znacznie więcej). Gracze oferowali średnio 25 proc. kwoty wyjściowej. Minimalna oferta wynosiła 10 proc., a najwyższa – co może zdziwić – aż 52 proc. Warto dodać, że wyższe stawki częściej oferują kobiety niż mężczyźni.

Wydaje się więc, że jesteśmy mniej egoistyczni, niż zakłada to ekonomiczny model racjonalnego decydenta. Nawet gdy utoruje się w nas idea pieniądza, nasz współgracz jest dla nas anonimowy, gramy tylko raz i nie grożą nam kary za egoizm, to i tak oferujemy całkiem wysokie kwoty, a nie zgarniamy jak najwięcej dla siebie.

Gry „dyktator" i „ultimatum" mają jednak swoje ograniczenia – nie oddają całej złożoności sytuacji, w których na co dzień podejmujemy decyzje moralne. Dlatego wnioski z tych badań warto uzupełnić o inne: prowadzone w bardziej naturalnych warunkach oraz takie, w których pojawia się możliwość oszustwa.

Elastyczny łotr

Dan Ariely, psycholog i ekonomista behawioralny, w serii starannie zaprojektowanych eksperymentów postanowił przyjrzeć się właśnie naszej skłonności do oszukiwania. W pierwszym z nich uczestnicy otrzymali kartki z dwudziestoma macierzami. W każdej znajdowało się 12 liczb, z których dwie i tylko dwie sumowały się do 10 (przykład z tych badań: 3,91 i 6,09). Uczestnicy mieli pięć minut na znalezienie takiej pary w jak największej liczbie macierzy, a każda zidentyfikowana para gwarantowała wypłatę 50 centów.

W grupie kontrolnej – w której uczestnicy oddawali kartki „sędziom", którzy sprawdzali ich odpowiedzi – rozwiązywano średnio cztery macierze. Ariely ze współpracownikami zaczęli następnie modyfikować warunki eksperymentu. Po pierwsze, wprowadzili „wersję z niszczarką". Po skończonym teście uczestnicy szli na koniec sali i niszczyli swoje arkusze, następnie podchodzili do stolika z obsługą i mówili, ile macierzy udało im się rozwiązać. Okazało się, że średnia liczba relacjonowanych prawidłowych wyników wzrosła do sześciu – duża liczba ludzi nieznacznie zaczęła oszukiwać i nieznacznie zawyżyła swoje wyniki.

W kolejnych wersjach eksperymentu postanowiono zmodyfikować wypłaty za rozwiązane macierze. Można było uzyskać za każdą prawidłową odpowiedź 25 centów, 50 centów, 1 dolar, 2 dolary, 5 dolarów, a nawet 10 dolarów. Ariely ze współpracownikami zapytali wcześniej innych studentów o to, jak ich zdaniem zmieni się skala oszustwa wraz ze zmianą wysokości nagród. Byli ciekawi, czy ↦

Im dłużej mieszkańcy Berlina Wschodniego byli „narażeni" na socjalizm, **tym mieli większą skłonność do oszukiwania.**

OLGA BANDELOWA / CC 2.0

↦ ludzie będą zakładać, że stopień oszustwa będzie wzrastał wraz ze wzrostem nagród. Taki był też wynik badania ankietowego. Wynik eksperymentu nie potwierdził tych przekonań. Przy najwyższych wypłatach – 10 dolarów za rozwiązaną macierz – poziom oszustwa nie tylko nie wzrósł, ale nawet nieznacznie się obniżył.

W serii trzech kolejnych powiązanych ze sobą eksperymentów badacze pozwolili uczestnikom na zniszczenie w niszczarce jedynie połowy arkusza z macierzami, drugiej grupie pozwolili na zniszczenie wszystkich macierzy, a trzeciej grupie na zniszczenie całego arkusza, wyjście z sali i samodzielne pobranie nagrody z wielkiego naczynia z pieniędzmi. Choć można było oczekiwać, że poziom oszustwa wzrośnie najbardziej w grupie trzeciej, to wyniki pokazały, że ludzie oszukiwali nieznacznie, a poziom oszustwa był mniej więcej taki sam w każdej z grup.

Niedawno głośnym echem na całym świecie odbiły się wyniki innego eksperymentu, przeprowadzonego przez Alaina Cohna i współpracowników w warunkach naturalnych. Badacze pozostawili w miejscach publicznych w kilkuset miejscowościach z 40 państw świata ponad 17 tys. portfeli z danymi kontaktowymi i różnymi kwotami w środku (część nie zawierała żadnych pieniędzy). Pomiędzy państwami zaobserwowano spore różnice dotyczące procentu zwracanych portfeli, ale okazało się zarazem, że niemal wszędzie prawdopodobieństwo zwrotu rosło, jeśli portfel zawierał pieniądze. Im więcej – tym chętniej był oddawany. Wyników nie wyjaśniały okoliczności znalezienia – dla decyzji o zwrocie nie miało znaczenia to, czy w danym miejscu obecny był monitoring albo świadkowie. Liczyła się tylko wysokość kwoty – co nieźle koresponduje z wynikami eksperymentów przeprowadzonych przez Ariely'ego.

On sam zaproponował interesujące wyjaśnienie fenomenu naszej umiarkowanej nieuczciwości. Jego teoria nosi nazwę teorii współczynnika elastyczności. Wbrew temu, co proponowała klasyczna teoria „racjonalnego łotra", nasze decyzje o tym, jak postąpić, nie zależą jedynie od wyników rachunku korzyści i kar. Kierują nami dwa przeciwstawne dążenia. Po pierwsze, rządzi nami standardowa motywacja finansowa. Chcemy mieć jak najwięcej pieniędzy, a co za tym idzie: godzimy się na czerpanie pieniędzy z oszustwa. Po drugie, mimo wszystko chcemy uważać się za ludzi uczciwych, sprawiedliwych, dobrych. Nie chcemy mieć wyrzutów sumienia i trudności z patrzeniem na swoje odbicie w lustrze. Jeśli oszukujemy tylko trochę, to udaje nam się pogodzić oba dążenia. Zdaniem Ariely'ego nieustannie staramy się wyznaczyć sobie granice, jak dalece możemy się posunąć w naszych małych nieuczciwościach (rozliczając podatki, koszty uzyskania przychodów, relacjonując liczbę faktycznie przepracowanych godzin), a jednocześnie nadal uważać się za osoby prawe.

Co zepsuł socjalizm

Ariely przeprowadził jeszcze inne badania, które mogą być interesujące m.in. dla nas, Polaków. Brali w nich udział Niemcy żyjący po obu stronach żelaznej kurtyny, np. mieszkańcy Berlina Zachodniego i Wschodniego, a celem było zbadanie wpływu norm społecznych i ekonomicznych – powstałych w kapitalizmie i socjalizmie – na skłonność do oszustwa.

W eksperymencie wykorzystano grę w kości i choć struktura tego badania jest bardziej skomplikowana niż eksperymentu z macierzami, nie ma potrzeby szczegółowo jej tu opisywać. Istotne są same wyniki.

Skłonność do oszukiwania wiązała się z życiem w socjalizmie. Mieszkańcy Berlina Wschodniego urodzeni przed zjednoczeniem oszukiwali częściej niż ich sąsiedzi z Berlina Zachodniego będący w tym samym wieku. Ci, którzy żyli co najmniej 10 lat w socjalizmie, oszukiwali jeszcze częściej, a w przypadku osób żyjących dwie dekady w socjalizmie i ich rówieśników z zachodu różnice w prawdopodobieństwie dokonania drobnego oszustwa wynosiły już 65 proc. W innych badaniach mieszkańcy Niemiec Wschodnich okazali się mniej skłonni do dzielenia się swoimi pieniędzmi, popierali politykę opartą na redystrybucji, zarazem byli mniej skłonni do popierania nowych podatków, które by tę redystrybucję umożliwiły.

Na podstawie wyników tego badania nie należy jednak wyciągać wniosków dotyczących obecnego średniego poziomu uczciwości mieszkańców kraju byłego bloku wschodniego. W eksperymencie Cohna i współpracowników okazało się bowiem, że Niemcy i Polacy chętnie zwracali portfele z pieniędzmi (w ok. 70 proc. przypadków – tylko w kilku krajach zanotowano wyższy wynik).

W badaniach z macierzami eksperymentatorzy stracili setki dolarów na wypłaty dla oszustów, którzy relacjonowali, że udało im się rozwiązać wszystkie dwadzieścia macierzy. Takich pełnokrwistych łotrów było jednak niewielu. Za to na wypłaty dla setek umiarkowanych oszustów stracili kilka tysięcy dolarów. Eksperymenty Bargha, Kahnemana, Ariely'ego i innych badaczy pokazały przede wszystkim, że jesteśmy lepsi, niż nam się wydaje. Oszukujemy mniej, niż można byłoby przypuszczać, ale suma naszych małych nieuczciwości prowadzi do dużych strat na poziomie makro. Znaczenie dla naszej moralności ma również to, jak urządzamy sobie naszą przestrzeń polityczno-ekonomiczną. Pisał już o tym zresztą polski filozof prawa Leon Petrażycki na przełomie XIX i XX w., gdy podkreślał, że złe regulacje mogą wniknąć w krwiobieg społeczeństwa i zatruwać ludzi na długo po tym, jak znikną one z ustaw.

© RADOSŁAW ZYZIK

Jedenaste: przemyśl całą dziesiątkę

MARCIN MAJEWSKI

Wiele nakazów biblijnych, takich jak kamienowanie homoseksualistów i reguły traktowania niewolników, uważamy dzisiaj za niemoralne. Co to mówi o Biblii – i o nas?

W Biblii zapisano chyba najbardziej znany w świecie zachodnim kodeks podstawowych praw moralnych: „nie zabijaj", „nie kradnij", „nie cudzołóż". Utrwalono tu też znaną od dawna złotą regułę etyki: „Co byście chcieli, żeby wam ludzie czynili, i wy im czyńcie" (Mt 7, 12), funkcjonującą częściej w formie negatywnej: „nie czyń drugiemu, co tobie niemiłe". W Biblii hebrajskiej i w Nowym Testamencie nakazano też miłość bliźniego, nawet nieprzyjaciela: „będziesz miłował bliźniego jak siebie samego" (Kpł 19, 18; por. Mk 12, 31), umieszczając poprzeczkę wymagań moralnych bardzo wysoko.

Wydaje się oczywiste, że dla chrześcijanina Biblia – jako Słowo Boże – jest źródłem moralności i to z niej ma czerpać normy etyczne, którymi kieruje się w życiu. Pogląd ten wymaga jednak korekty oraz pogłębienia. Mamy bowiem w Piśmie Świętym również boskie nakazy i przykłady postaw, które ocenilibyśmy dziś jako niedopuszczalne etycznie i prawnie. Kamienowanie za czyn homoseksualny, wygnanie trędowatego ze społeczności, nakaz „wymorduj, nie oszczędzając kobiet i dzieci" czy opisana w Nowym Testamencie zagadkowa śmierć Ananiasza i Safiry (Dz 5), którzy okłamali apostołów – to przykłady tego, że nie tylko zachowania bohaterów Biblii mogą być dalekie od wzorów moralności. Także niektóre nakazy czy zachowania przypisywane Bogu słusznie uchodzą dziś za niemoralne.

Rozum, tradycja, ewolucja

Skąd zatem wiemy, co jest dobre, a co złe? Które normy zachować, a które odrzucić? Już sam fakt, że odrzucamy choćby jedną normę z Biblii (np. prawo akceptujące niewolnictwo), wskazuje, że kierujemy się zewnętrznymi wobec niej kryteriami i źródłami moralności. Pytanie o źródła etycznych ocen i o to, skąd pochodzą normy moralne, jest pytaniem starym jak sama filozofia. Myśliciele wypracowali trzy główne podejścia do tego zagadnienia. Jedni uważają, że dochodzimy do tego na drodze rozumowania – to tzw. racjonalizm etyczny. Drudzy, że nauczyli nas tego inni: rodzice, wychowawcy, społeczeństwo czy religia – to tzw. empiryzm etyczny. Trzeci pogląd głosi, że czujemy to intuicyjnie, po prostu to wiemy, rodzimy się z tym – to tzw. natywizm etyczny.

Biblia jako źródło moralności plasuje się w grupie drugiej: uczymy się, jak postępować, z przesłania Biblii i przykładu życia jej bohaterów. Wydaje się jednak, że normy nie biorą się z zewnątrz, lecz tkwią w nas samych. Wiele eksperymentów psychologów rozwojowych, w których brały udział najmłodsze dzieci, sugeruje, że instynkt moralny może być wrodzony: pojawia się, zanim dziecko nauczy się mówić czy odbierze wychowanie. Zastanówmy się: gdy pożyczymy od koleżanki pieniądze, to jest jakoś oczywiste, że powinniśmy je oddać. Podobnie oczywiste jest to, że rodziców mamy szanować, rannego opatrzyć, a tonącego ratować. Nie trzeba nas tego uczyć ani do tego przekonywać.

Ta niesłychana samooczywistość, a wręcz apodyktyczność nakazów moralnych zadziwiała myślicieli od dawna. Kiedy bowiem próbujemy je tłumaczyć, kiedy szukamy dla nich odpowiednich racji, to narażamy się jedynie na ich relatywizację – na dyskusję i możliwość obalenia takiego czy innego uzasadnienia. Tymczasem długi się oddaje, tonących próbuje ratować, a śpiącej matce nie podcina się gardła. Skąd zatem to wiemy?

To, że uważamy coś za moralnie obowiązujące, nie zawdzięczamy Biblii, religii, wychowaniu czy prawu, ale nam samym. To jest nasze dziedzictwo ewolucyjne. Nasze decyzje i sądy moralne biorą się z instynktów moralnych – jak skłonność do współpracy, poczucie sprawiedliwości, troska o potomstwo czy lojalność wobec grupy – które uformowały się w toku milionów lat ewolucji i są w nas osadzone bardzo głęboko. Instynkty moralne wywołują emocje moralne, które są rodzajem silnego motywatora: sprawiają, że działamy tak, a nie inaczej i oceniamy coś jako dobre lub złe, często w sposób natychmiastowy.

Emocje moralne są pierwsze, automatyczne i przedrefleksyjne, nie ustanawiają powinności moralnych, ale dają intuicyjną wiedzę na ten temat. Dopiero wtórnie racjonalny umysł próbuje uzasadniać nasze działania lub odczucia, raz lepiej, raz gorzej. Emocje moralne funkcjonują jak wewnętrzny kompas, który pozwala nam szybko i mniejszym nakładem energii podejmować decyzje moralne. Nie oznacza to oczywiście, że wskazówka tego kompasu zawsze wskazuje (największe) dobro i że wyczerpują one zakres zachowań moralnych. Nasze uposażenie biologiczne wyznacza bazę, swoiste pole możliwości, w ramach którego tworzy się bardziej zaawansowane, oparte na rozumie normy postępowania, etykę ćwiczenia się w cnotach, prawo miłości nieprzyjaciół itd. Podstawą moralności zawsze jednak będą nasze instynkty moralne wytworzone w procesie doboru naturalnego. Zwane czasem głosem wewnętrznym czy głosem sumienia, każą ↦

↦ nam postąpić tak, a nie inaczej, nawet gdy normy społeczne i prawne nakazują coś innego.

O ile więc Biblia – jak i każda inna księga czy kodeks – nie stanowi źródła podstawowych ludzkich intuicji i zachowań moralnych, o tyle może stanowić wezwanie do praktykowania wyższych standardów postępowania. Wielu jednak i tu widzi problem.

Duch, nie litera

Biblia powstała bowiem w świecie starożytnym i wiele z jej rozstrzygnięć moralnych nie przystaje do współczesnej nam wrażliwości etycznej. Przytacza się tu nie tylko bezlitosny nakaz eksterminacji ludności Kanaanu, który pada z ust Boga w księgach Wyjścia i Jozuego. Wskazuje się rozliczne, czasem subtelne postawy i nauki biblijne, które są wyrazem stronniczości (np. pochwała złupienia Egipcjan przez lud Izraela), bezduszności (np. Abraham, który ma zabić swego syna jako „dowód" wiary w Boga), fundamentalizmu (np. Abraham gotowy zabijać dla Boga stawiany jako wzór wiary), mizoginii wyrażającej się takimi stwierdzeniami, jak: „Narodziny córki to strata" (Syr 22, 3) czy „Lepsza przewrotność mężczyzny niż dobroć kobiety" (Syr 42, 14), moralności Kalego, wybiórczej empatii itd.

Papieska Komisja Biblijna (PCB) w specjalnym dokumencie z 2009 r. poświęconym zagadnieniu etyki biblijnej – „Biblia a moralność. Biblijne korzenie postępowania chrześcijańskiego" – zauważa, że choć w Biblii znajduje się wiele norm i przykazań, to nigdy nie są one odizolowane od określonego kontekstu. Biblia została spisana przez ludzi w konkretnej epoce historycznej i odzwierciedla ówczesny sposób oceny otaczającej rzeczywistości.

Dokument zwraca również uwagę, że Biblia nie daje gotowych rozwiązań moralnych, zwłaszcza wobec dzisiejszych problemów cywilizacyjnych, jak terroryzm, imigracja, podział dóbr, badania genetyczne, etyka życia seksualnego, szacunek dla zwierząt i zasobów naturalnych, etyka pracy, rodziny i życia wspólnotowego itd. To, czego możemy szukać w Biblii, to kryteria, których zastosowanie pozwala znaleźć odpowiednie rozwiązanie dla ludzkiego postępowania. Dwa podstawowe kryteria wskazywane przez ten dokument to: zgodność z biblijną wizją istoty ludzkiej oraz zgodność z przykładem Jezusa.

Jest to trafne podejście do złożonego zagadnienia moralności biblijnej. To, że dziś zgodnie potępiamy niewolnictwo, nie zawdzięczamy lekturze Biblii. Tak Stary, jak i Nowy Testament traktują system zniewolenia ludzi jako integralny element struktury społecznej (o czym świadczą choćby przypowieści Jezusa o niewolnikach czy listy św. Pawła). To na teksty z Pisma Świętego powoływało się Południe Stanów Zjednoczonych z dominującą gospodarką rolną nastawioną na produkcję bawełny, by zachować *status quo* niewolnictwa, co udało się niemal do początków XX w.! Do tego, że niewolnictwo jest złe, a wręcz nieludzko okrutne, doszliśmy w toku historii drogą długich debat, sporów, rozpraw, a nawet wojen. Sublimując oceny moralne w tej sprawie, ludzie kierowali się nie tyle prawodawstwem Pisma Świętego, ile rozeznaniem rozumowym i wrażliwością etyczną swego czasu.

Podobnie jest z zagadnieniem kary śmierci. Ostatni trzej papieże zaapelowali o jej powszechne zaprzestanie, wbrew tradycji Starego i Nowego Testamentu oraz dwóm tysiącom lat nauczania Kościoła katolickiego o adekwatności i potrzebie jej stosowania. Ta radykalna zmiana nauczania Kościoła potwierdza, że konkretne rozwiązania etyki biblijnej nie są czymś absolutnym, lecz ewoluują wraz z rozwojem moralnym społeczeństwa. Podobnie jest także ze społeczną pozycją kobiety, prawami osób homoseksualnych, podejściem do zwierząt i innymi zagadnieniami moralnymi. W tych kwestiach nie tyle nauczanie Biblii, co rozwój społeczeństw i coraz większa wrażliwość etyczna stały się wyznacznikiem pro-

NATALIA POLASIK / MOONWATER.PL

Natalia Polasik, „Thinker", 2019 r.

gresu moralnego. Przytoczony wyżej dokument PCB, wymieniając zniesienie niewolnictwa, równość płci i wrażliwość na ochronę naturalnego dziedzictwa ludzkości, stwierdza: „Biblia nie podaje bezpośrednich i gotowych odpowiedzi zmierzających do rozwiązania tych lub innych problemów" oraz wskazuje, że „dla przygotowania kwe stii moralnych dotyczących tego rodzaju pytań trzeba uciec się do świateł refleksji teologicznej, rozumu i nauki".

Jezusowe Kazanie na Górze (Mt 5) – doniosła reinterpretacja starotestamentalnego dekalogu i prawa talionu („oko za oko, ząb za ząb") – potwierdza konstatację antropologów i etyków, że moralność się zmienia wraz ze społeczeństwem i jego ewolucją kulturową. Dokument PCB wielokrotnie mówi o „delikatnym procesie właściwego wyboru moralnego" czy o „złożoności kwestii etycznych" ze świadomością wielowymiarowości różnych problemów moralnych współczesności. W ten sposób chrześcijanie są zachęcani do nieustannego badania i pogłębiania poszczególnych kwestii moralnych. Nie wszystkie one są na tyle jednoznaczne, by zacytować wyrwany z kontekstu werset biblijny i przy jego pomocy potępić ludzkie wybory.

W budowaniu etyki opartej na Biblii nie chodzi o przytoczenie takiego czy innego cytatu celem wsparcia promowanej przez siebie oceny moralnej. Chodzi bardziej o przeniknięcie ducha teologii moralnej teologią biblijną i kryteriami moralnymi, którymi się ona kieruje. Trzeba rozwijać teologię moralną (zakorzenioną w Biblii), a z drugiej strony filozofię moralną (zakorzenioną w racjonalnej, naukowej i filozoficznej refleksji), uwzględniając oba te źródła z zachowaniem harmonii między nimi (co głosi m.in. Konstytucja soborowa „*Gaudium et spes*"). Dynamika wzajemnej relacji między *lumen rationis a lumen revelationis* – światłem rozumu a światłem objawienia – najlepiej służy poszukiwaniu rozwiązań współczesnych dylematów postępowania człowieka.

Trzej ostatni papieże apelowali o zaprzestanie kary śmierci – wbrew **tradycji Starego i Nowego Testamentu.**

Kobieta przed domem

Co w takim razie z dekalogiem, który stanowi zdaniem wielu ikonę etyki biblijnej i kartę moralności ogólnoludzkiej? Antropolodzy i egzegeci podważają globalną uniwersalność przykazań dekalogu oraz charakter etyczny pierwszych z nich, wskazując, że mają one raczej wymiar teologiczny. Właśnie w dekalogu kobieta jest wymieniona jako własność mężczyzny, do tego mniej cenna od domu: „Nie pożądaj domu bliźniego twego, nie pożądaj żony bliźniego swego, ani jego niewolnika, ani jego niewolnicy, ani jego wołu, ani jego osła, ani żadnej rzeczy, która jego jest" (Wj 20, 17; w dekalogu z Pwt 5 kobieta jest wymieniona przed domem, ale dalej jako własność mężczyzny). Egzegeci zgadzają się dziś, że dekalog stanowi odbicie prostego życia półkoczowniczych klanów, że jest skierowany do mężczyzn, że liczba dziesięć jest symboliczna (zakazów/nakazów jest tu w sumie kilkanaście), że trzy pierwsze przykazania nie mają związku z etyką, a ostatnie „Nie pożądaj" nie dotyczy myśli, lecz czynów zewnętrznych, przede wszystkim zaś, że dekalog jest tak samo dokumentem moralnym, jak polityczno-religijną konstytucją kształtującego się ludu Hebrajczyków.

Dekalog koncentruje się na powstrzymaniu od zachowań społecznie i religijnie szkodliwych (osiem z dziesięciu przykazań jest sformułowane negatywnie), a więc na moralności zakazywania. To nie wyczerpuje zadań etyki, która w wersji maksymalistycznej ma przecież wyjaśniać i stymulować ludzkie postępowanie w urzeczywistnianiu dobra (moralność wyrażona pozytywnie). Trudności w potraktowaniu dekalogu jako uniwersalnej karty etyki jest więcej, dlatego cytowany dokument PCB o moralności proponuje nowe, pozytywne i uwspółcześnione odczytanie dziesięciu przykazań (np. czcij rodzinę, wspieraj prawo do życia, strzeż dobrego imienia innych osób itd.).

Warto zauważyć, że jako katolicy nie przestrzegamy dekalogu takiego, jaki zawarty jest w Biblii. Modyfikujemy dwa jego przykazania: drugie, czyli zakaz czci obrazów i rzeźb, łączymy z pierwszym, a z nakazu świętowania dnia szabatu uczyniliśmy świąteczną niedzielę. Co do innych przykazań, nasze rozumienie również różni się od literalnego. Przestrzegamy dekalogu w sposób, w jaki Jezus go nauczał, zwłaszcza gdy dokonał doniosłej reinterpretacji w Kazaniu na Górze. Także współczesny judaizm szerzej postrzega zakres biblijnych *micwot* (przykazań). Wracamy więc do tego, o czym była mowa wyżej: moralność ewoluuje wraz z rozwojem społeczeństwa, właściwe postępowanie etyczne to zaś coś, co należy odkrywać, a nie coś, co zostało nam dane raz na zawsze. Każde pokolenie kształtuje nowy obraz i wydobywa nową treść z takiego czy innego kodeksu moralnego postępowania.

© MARCIN MAJEWSKI

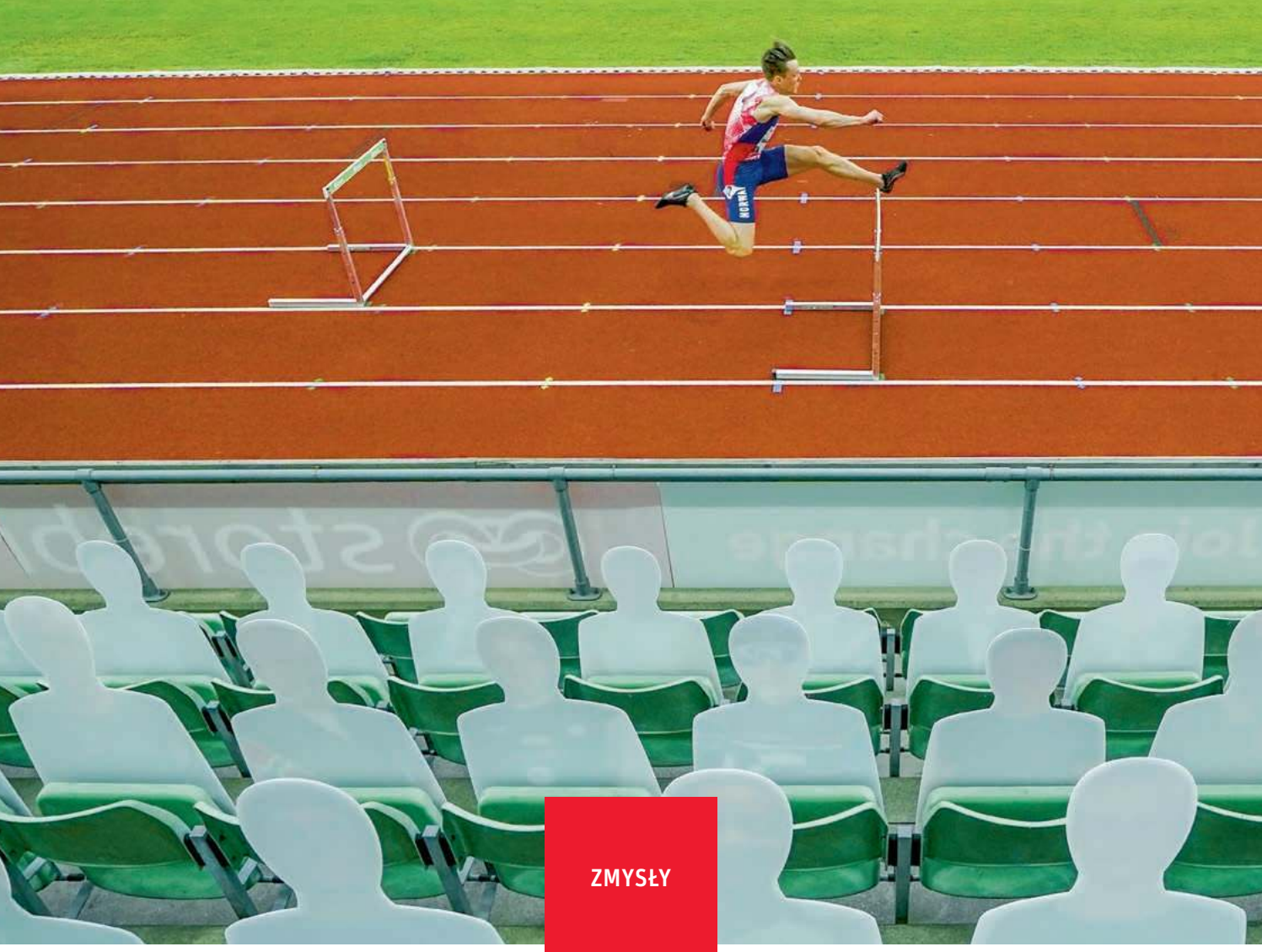

ZMYSŁY

ODGŁOSY BAMBUKO

Pandemiczna pauza daje szansę spotkania z pojedynczym, samodzielnym brzmieniem. Zamiast żałować utraconego pejzażu dźwiękowego, wsłuchajmy się w odartą z pogłosów rzeczywistość.

MAREK BIEŃCZYK

Może nie najpiękniejsze, lecz za to najbardziej życzliwe wspomnienie wiąże się z dźwiękami. Późną nocą dojechałem autostopem do Amiens; położyłem się na ławce przed katedrą. Obudziło mnie bicie dzwonów; przychodziło z otchłani świtu, z głębi głowy. Wydostawało się przeze mnie na powierzchnię i przeciągało na stronę dnia, włączało szczęśliwie w życie; chciałem mu dziękować, być wdzięczny dźwiękom. Epizod marginalny, lecz biograficznie jeden z istotniejszych.

Historycy zmysłów stosują pojęcie „pejzażu dźwiękowego" (pierwszy użył go kompozytor kanadyjski Raymond Murray Schafer), owego poranka pod katedrą mógłbym je cieleśnie zrozumieć, gdyż ujrzałem obraz dźwięku: niewidoczne wibracje, które nadawały przestrzeni widoczne kontury. Tamto miejsce wokół katedry drżało.

Niedawno rozpoczął się europejski projekt stworzenia historii zapachów, w wyniku którego ma powstać rodzaj olfaktorycznego muzeum; nie chodzi o perfumy, lecz o zapachy codzienne, towarzyszące życiu przez dzieje. Podobnie jak niektóre dźwięki (ten stukot maszyny do pisania, to brzęczenie butelek mleka stawianych na słomiance o szóstej rano), tak zapachy odchodzą w niepamięć (odór lizolu na korytarzu

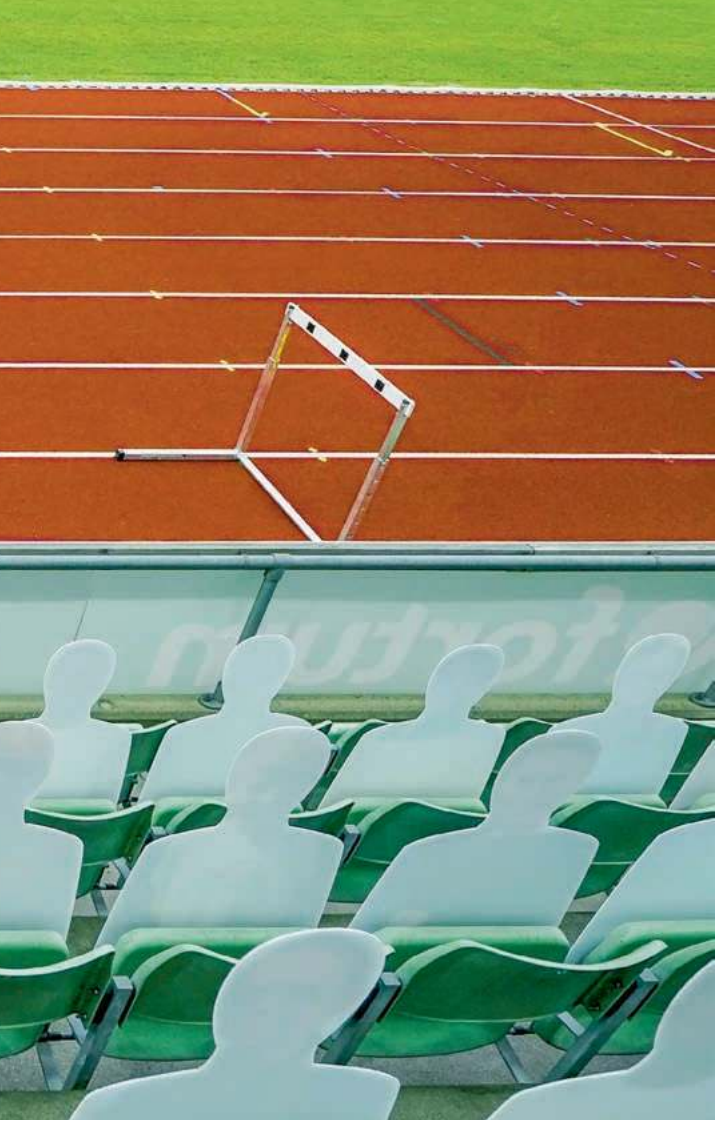

HEIKO JUNGE / NTB SCANPIX / AP / EAST NEWS

Zawody lekkoatletyczne Diamentowej Ligi bez udziału publiczności. Oslo, 11 czerwca 2020 r.

szkolnym), lecz o tym kiedy indziej. Od dawna rozmyślam o pejzażach dźwiękowych Warszawy, gdyż to po dźwiękach również poznaje się upływ czasu i rozpoznaje, czy miasto jest jeszcze „nasze", czyli takie, w jakim dorastaliśmy i do którego jako do naszego naturalnego domu przywykliśmy.

Na przykład wczoraj. Jeden z nielicznych już, jak sądzę, trzepaków w mieście stoi przed moim balkonem. Nikt go od dawna nie używa. Pod wieczór nagle rozległy się odgłosy trzepania dywanu. Trzydzieści lat temu diabli by mnie wzięli, takiej perkusji pod oknem nie zamawiałem. Tymczasem zalała mnie fala nostalgii. Już przecież nikt od lat nie trzepie dywanu, tylko tu i ówdzie pałętają się jeszcze ostatni mohikanie walenia w kilim. A odgłos tej młócki wypełniał niegdyś podwórka przez cały rok, natężając się w okolicach świąt. Teraz przypominał niegdysiejsze śniegi i zapach bożonarodzeniowego pasztetu pichconego w kuchni.

Jakie zresztą podwórka? W Warszawie już niemal nie ma podwórek, a tylko pustodoły, miejsca po nich, na które nikt nie wychodzi. Zniknął w każdym razie podwórkowy gwar, który w ciepłe dni wypełniał przez otwarte okna mieszkanie i jak magnes wyciągał nas na zewnątrz. I zniknęły przede wszystkim odgłosy piłki kopanej. Kopanej wszędzie, gdzie się dało, obijanej o ściany śmietnika, walonej w trzepaki jako upostaciowania bramek (chyba że ktoś używał w tym czasie trzepaka jako przyrządu gimnastycznego), szybującej po trawnikach i najmniejszych skwerach; od lat ma się wrażenie, że nikt już w gałę w tym mieście nie gra.

Krzyk ogromny

Sport jest ogromną kopalnią dźwięków; wiedzą o tym ich łowcy, którzy umieszczają w sieci precyzyjnie nagrane odgłosy. A to strzały wypuszczanej z łuku, a to uderzenia w kulę kijem bilardowym albo kijem golfowym w piłeczkę, a to ślizgu saneczkowego, a to szczęknięcia walczących floretów i tak dalej, bardzo długie dalej. Zebrane w plikach, odgłosy te stają się jednak laboratoryjne, wypreparowane; to zaledwie małe fenomenologie dźwięków, jakie wymuszają poszczególne dyscypliny sportowe. Pozbawione kontekstu, czyli innych dźwięków, wyczyszczone, oderwane od okrzyków zawodników i kibiców, wydają się raczej gotowe, by włożyć je w gablotę, niż nacieszyć nimi – lub przerazić – ucho.

„Dojechał do Myśliwieckiej i zaparkował przed bramą Agrykoli. Z kortów tenisowych klubu »Spójnia«, czerwieniejących poprzez świeżą bujną zieleń parku, dochodziły odgłosy uderzeń piłek. Merynos wszedł do zielonego domku klubowego: szatnie pełne były hałaśliwych urzędników w średnim wieku, nurzających się w tenisowych igraszkach przed żmudnym dniem pracy". Tak wygląda prawdziwe środowisko dźwięku, echo uderzeń, echo słów, echo śmiechów. Faktyczna przyjemna kakofonia informująca, że życie się tu mocniej toczy i w wybranej przez nie przestrzeni osiąga szczególną intensywność. Od czasów „Złego" Leopolda Tyrmanda przy warszawskiej Agrykoli i kortach Legii niewiele się akurat zmieniło, trwała delikatna wrzawa aż do chwili, gdy pandemiczny spacer odkrył głuchą, martwą, beznamiętną ciszę, gorszego kuzyna ciszy po sezonie, nieco melancholijnej, lecz jednak żywej.

„Mecz miał się rozpocząć o wpół do szóstej, lecz gdyby wznieść się nad Warszawą i spojrzeć w dół, na kanały ulic i zbiorniki placów, już od samego rana można było z łatwością zauważyć nieustający ciąg szeregów ludzkich mrówek w jednym i tym samym kierunku. Zewsząd, ze wszech stron ciągnęły pasemka mrówczych karawan ku południowo-wschodniemu krańcowi lewobrzeżnej Warszawy, gdzie zielenił się owal stadionu". To z kolei miasto w dniu meczu (ledwie towarzyskiego) Polska–Węgry, 1952 rok; podobny widok, tyle że po prawobrzeżnej stronie i nieco mniej okazały, mniej euforyczny, powtarzał się do wybuchu pandemii, gdy rozgrywano ważny mecz eliminacyjny na Stadionie Narodowym.

W pamięci pozostają strumienie dążące na stadion, własne kroki wmieszane w zbiorowe dreptanie pod koniec lat 60. i poczucie werwy towarzyszące temu marszowi ku rozkoszom ekscytacji, dotykające każdego z uczestników, *homo ludens made in PRL*. Oraz te niemilknące wrzawy lub nagłe mruknięcia tłumów na trybunach, gdy coś nadzwyczajnego się zdarzyło, głębokie wydechy, sapnięcia jak tąpnięcia góry wydobywające się w jednej chwili ze stu tysięcy gardeł na Stadionie Dziesięciolecia i tworzące pejzaż dźwiękowy miasta w stanie wyjątkowym emocji.

↦

Trzepoty i szczęknięcia

↦ Pandemia mocno przemieniła głosy miasta; niektóre zniszczyła, inne udramatyzowała (nieustanne wycie karetek), jeszcze inne – sonoryczne obrazy polityczne – stworzyła czy współwyprodukowała. Choćby w ostatnią sobotę listopada, tu w jednym miejscu, przy placu Unii Lubelskiej, w ciągu parunastu minut: odległe basowe dudnienia komunikatów – epidemiologicznych i policyjnych – nadawanych z megafonów; w chwilę później ogłuszające koguty radiowozów mieszające się z syrenami pogotowia; gdy tylko kolumna przejechała, tupot biegnących mundurowych, dwustu co najmniej, bijących rytmicznie grubymi podeszwami w asfalt Polnej; gdy tylko się ustawili, szum nadchodzącej manifestacji; fala pogłosu, gdy manifestujący przystanęli; i powracający na koniec refren syren policyjnych, ustępujących po chwili *adagio* ambulansów, tworzącemu ramę konstrukcyjną pejzażu ostatnich miesięcy.

W domenie sportu pandemia przetasowała dźwięki w sposób najbardziej spektakularny, odłączając odgłosy z trybun, teraz pustych, od odgłosów z boisk czy parkietów. Tak jakby kazała dokonać ponownej dźwiękowej analizy meczów, spotkań, zawodów, pojedynków, wszystkie dźwięki zobaczyć osobno. I może przez to rozdzielenie o czymś opowiedzieć.

Dźwięki sportowe podzielić można na „organiczne" i „nabyte". Te pierwsze towarzyszą w sposób naturalny wykonywanym ruchom i gestom, te drugie stanowią tło wytwarzane przez świadków, kibiców czy też organizatorów. Ci ostatni wymyślili np. dla meczów siatkówki przestępczy proceder – przestępczy wobec poczucia smaku – nabijania chwilowej przerwy po rozegraniu piłki, a przed kolejnym serwem, pociskami dudniącej muzyki.

Dźwięki organiczne nie zawsze są słyszalne. O ile w sportach zwanych białymi, a już zwłaszcza w tenisie, biją one w uszy, gdyż gra się toczy na instrumentach strunowych (oraz, od czasów Moniki Seles, na strunach głosowych), o tyle w sportach zbiorowych, a już zwłaszcza w piłce nożnej, słabo dochodzą one, mimo mikrofonów stawianych na murawie, do uszu telewidzów, a nawet do uszu kibiców na stadionie. Trzeba usiąść blisko boiska, by usłyszeć nie tylko potężny odgłos wydawany przez kopniętą piłkę, trzepot siatki, jeśli piłka trafi do środka, lecz także – zdumiewająco dobitne – odgłosy wydawane przez zderzenia ciał, przez szczęknięcia stykających się kości i spięcia mięśni, czy też przez klatki piersiowe przyjmujące piłkę.

Ten podział można przenieść na inny: są sporty (jak to określa redaktor naczelny) ciszy i sporty ryku. W przypadku tych pierwszych dźwięki nabyte nieraz w ogóle nie istnieją. Takie łucznictwo; kibiców jest niewielu, co najwyżej wydadzą z siebie parę oklasków po trafieniu w dziesiątkę. Albo też sporty wymagają od zawodników chwili – chwili ciszy – medytacyjnej, jak choćby przed serwem tenisowym albo pingpongowym czy przed skokiem wzwyż, w dal, o tyczce czy przed podrzuceniem ciężaru. Ta cisza jest uszanowana przez świadków zdarzeń, którzy powstrzymują swój entuzjazm do chwili, gdy piłka zostanie rozegrana, skok wykonany, ciężar – za cenę głośnego okrzyku – podniesiony. Sporty ryku, głównie zespołowe, zwłaszcza futbol, wypełniają ścieżkę dźwiękową od A do Z; hałas jest modulowany, lecz nieprzerwany.

Nie wszyscy mogą to pandemiczne rozdzielenie odgłosów psychicznie wytrzymać. Bo czyż piękny może być strzał z woleja z trzydziestu metrów w samo okienko, jeśli nie nastąpi po nim grupowe stęknięcie podziwu i histeryczny aplauz? Piękno w sporcie, a w każdym razie w futbolu, wynika z umowy społecznej. Taki sam wolej na pustym stadionie jest jedynie namiastką, obietnicą piękna, które wytworzyć się może tylko w całościowej reakcji, w grupowym uniesieniu.

Realizatorzy niemieccy – widziałem czy raczej słyszałem to raz, więcej nie dawało się tego oglądać/słuchać – usiłowali podłożyć pod rozgrywany właśnie mecz Bundesligi nagrane wcześniej i zgromadzone w jakimś magazynie dźwięków reakcje publiczności. Tak jak pod seriale komediowe nagrywało się wybuchy śmiechu, to głośniejszego, to cichszego w zależności od świetności wypowiadanego dowcipu. Ale w tym niewiarygodnym przypadku szło o szczególny dźwiękowy weryzm. Nie tylko więc o wybuchy entuzjazmu, gdy atak zbliżał się do bramki, lecz również gwizdy i buczenie, gdy ktoś spartaczył strzał. Można sobie wyobrazić, że technik miał przed sobą przyciski z napisem „głośny doping", „rozczarowanie", „oburzenie", odgrywał swój mały koncert na ekspresjach uczuć. W każdym razie poczułem się jak na przysłowiowym niemieckim filmie pornograficznym, gdzie nieprzyzwoite są nie tyle sceny seksu, co zabiegi mające nadać filmowi pozory fabuły.

Coraz rzadziej rzucając okiem na ekran, gdy transmitowano mecz na żywo, czy to futbolowy, czy to tenisowy (no, przy Świątek udawało się zapominać), długo miałem wrażenie, że po eksmisji kibiców uczestniczymy nie w widowisku sportowym, lecz w pantomimie, w symulacji zdarzeń, tak jak symulowane były reakcje publiczności towarzyszące spotkaniom w Bundeslidze. Przypominała się natrętnie ostatnia, słynna scena z „Powiększenia" Antonioniego. Kiedy to główny bohater, zrozumiawszy, o co w życiu chodzi, odgrywa z trupą mimów grę w tenisa, uderzając w wyimaginowaną piłkę wyimaginowaną rakietą.

Zmagania piłkarzy przy pustych trybunach, siatkarzy w pustej sali, tenisistów na pustych kortach wydawały się coraz bardziej nieautentyczne, nie do oglądania, bezużyteczne, choć dostarczały realnych punktów i układały realne tabele. W co grali ci wszyscy wspaniali sportowcy, w co jeszcze poza tym, co wydawało im się tenisem, siatkówką, futbolem? Miałem odpowiedź zapamiętaną z dzieciństwa, jedno z ulubionych ówczesnych wyrażeń (tu adnotacja do Jacka Podsiadły, który ożywił je niedawno w wierszu „Słup ze słów"): wszyscy oni grali w pici-polo. W pici-polo, lub w pici-polo na małe bramki (to szersza wersja wyrażenia), czyli w grę niepowstałą. Pozór gry, bez sensu, wielkie nic, które pragnie uchodzić za coś. Chcieliśmy zagrać w piłkę, ale inni zajęli nam boisko albo pękła nam futbolówka – mówiliśmy wówczas autoironicznie: „Teraz to możemy sobie zagrać w pici-polo". „Oni grają w pici-polo" – to, co oni robią, jest idiotyczne i nierzeczywiste. Ale też: „Oni grają z nami w pici-polo" – rozgrywają nas, robią w bambuko.

Transmisje telewizyjne wzmagały zatem przygnębienie, zamieniały teatr, jakim jest każde pełne widowisko sportowe, w teatr z teatru, w mozolne udawanie, w wysilone odtwarzanie. Jakby w recytowanie zachowań z pamięci, a nie wyrywanie ich z chwili obecnej, nie tworzenie *hic et nunc* gestów

i poruszeń. Ten „nowy” sport ucieleśniał powszechny wzór: przez analogię stawało się jasne, że wszyscy gramy w pandemiczne pici-polo, uprawiamy pantomimę siebie samych. Czyli żyjemy normalnie na niby, w kiepskim oksymoronie, kiedy to rozmowa nie jest całkiem rozmową, pisanie nie jest całkiem pisaniem, praca nie jest całkiem pracą, lektura nie jest całkiem lekturą. A myśl o bezużytecznym pici-polo staje się bezużytecznością myśli.

Zmagania piłkarzy przy pustych trybunach czy tenisistów na pustych kortach **są nie do oglądania, bezużyteczne,** choć dostarczają realnych punktów i układają realne tabele.

Szelesty i czknięcia

I jeszcze kilka wspomnień: uliczny sprzedawca gazet, którego okrzyki („Eeekspress Wieczorny”) jak przez mgłę pamiętam; okrzyki sprzedających na bazarze (Białoszewski w jednym z wierszy: „Kontrast kupujeeeee”), którzy zachwalają swój towar lub zapraszają do transakcji; wołania chłopa, który zajechał na ulicę z furmanką pełną kartofli; okrzyki ulicznego i stadionowego („looody na spirytusie”) sprzedawcy waniliowej Calypso; okrzyki ulicznego speca od ostrzenia noży i odgłosy szlifowania, świdrujące nieprzyjemnie uszy.

Wszystkie te wspomnienia mówią o tym, że funkcja ekonomiczna dźwięku – głos jako instrument pracy i zarobku – ustąpić musiała funkcji ekonomicznej obrazu, i że dźwięk traci coraz bardziej swoją samoistność, traci swój byt podmiotowy i stacza się w podrzędność, stając się biernym instrumentem przekazu informacji (pikanie nadchodzących esemesów i mejli itd., itd.). Co prawda cisza została na przestrzeni trzydziestu ostatnich lat w dużej mierze upośledzona czy wręcz zniszczona, gdyż muzyka, czy to, co ją przypomina, słyszalna jest wszędzie, w kawiarniach, sklepach, instytucjach i hałas wypełnia świat jak nigdy dotąd, lecz znikają odgłosy jako autonomiczne całości, mające własną, odrębną istotność i wagę.

To długowieczny proces, który badają *sound studies*; ekonomiczna funkcja krzyku od średniowiecza po początek ery komputerowej była tematem niejednej dysertacji. Niewiele o tym się myśli; łatwiej pamięta się o przemianach czysto technicznych i ewidentnych, jak choćby o dziejach silników i karoserii samochodowych, niż o historii dźwięków ulicznych. Dobrym świadkiem jest literatura; porównanie pejzaży dźwiękowych w powieściach Balzaka, Zoli, Prousta i Joyce’a fantastycznie by o tej historii opowiedziało. Nie da się, rzecz jasna, napisać na takiej kruchej podstawie historii świata. Opowieść o dźwiękach będzie zawsze spod małego palca, marginalna, nieznaczna; tyle że marginesy to naturalny obszar naszego życia.

Wracam do sportu. Otóż po pewnym czasie poczułem, że pandemiczna pauza daje paradoksalnie szansę spotkania właśnie z pojedynczym, samodzielnym dźwiękiem. Mówiłem wcześniej o pantomimie, gdyż gramy teraz w grę, która się nie toczy, lecz istnieje może rekompensata: w zamian słyszymy wyraźniej wdzierające się w ciszę poszczególne uderzenia, zagrania, poruszenia. Może więc zamiast żałować utraconego pejzażu dźwiękowego, całościowej atmosfery, warto wsłuchać się w tę odartą z pogłosu rzeczywistość.

Kiedy stanie się blisko pary tańczącej zawodowe tango, przez dźwięki muzyki – rwanej, ostro ciętej – przebija się w chwilach cięcia szelest pończoch, który powstaje, gdy nogi przystępują do wykonania kolejnej figury. W pierwszej chwili nieco on przeszkadza; zdaje się tak bardzo techniczny, nieczarowny wobec dramatyzmu odczuć, jakie tango łatwiej niż inne tańce sugeruje czy wręcz wywołuje. Ale później – gdy śledzi się taniec z dystansu – zaczyna go brakować. Choć wprowadza on w drapieżną liryczność tanga zaburzenie, coś jednak dodaje. Przypomina o fizyczności gestów, o ich materialnym, głupio banalnym wymiarze; o techniczności ciała, o jego ograniczoności. Jest jak dorzucone nieco grubiańskie memento, przyprawa, która wszak zamiast obniżać, uwydatnia wzniosły, metafizyczny, erotyczny smak tańca.

Ta ograniczoność wydobyta na sucho, wyekstrahowana ze spektaklu, wydać się może przykra: nie jesteśmy niczym więcej niż tą parą nóg, które się o siebie ocierają, niż tym ciałem zdolnym kopnąć piłkę do siatki czy przebić piłkę za siatkę, cała reszta z owacjami, wrzaskami, skandowaniem, pucharami i medalami to ludzka komedia. I zarazem ta techniczna możliwość, wyrwana ze spektaklu, tylko tu i teraz, niesie jakieś pocieszenie: po co nam inne wyczyny niż te chwile immanencji, niewciągnięte w żaden proces, w żadne coś więcej. Bo może to dotychczas graliśmy w pici-polo, a pandemia ostudziła pozory.

Tak sobie myślałem, wsłuchując się w dźwiękowe pierwoustroje, w czknięcia wydawane przez piłki i piłeczki, w pokrzykiwania zawodników naruszające milczenie wokół muraw, parkietów i kortów.

Pacnięcia

Dzwony, tak. Prosto w twarz, mocna pieszczota. A po drugiej stronie odległe, cichnące pogłosy, inna, najbardziej uwodząca postać dźwięków. Nie pomruki burzy, ma być przyjemnie. Pogłosy dobre, utwierdzające, ledwo słyszalne, zreformowana cisza. Tyle o nich pisano, bo są jak prosta, witalna poezja.

Dalekie, ledwo słyszalne buczenie piły we wsi, gdy schodzimy na dół po górskiej wędrówce. Ledwo słyszalny stukot pociągu w głębokiej nocy, niekiedy gwizd z lokomotywy i noc od razu zostaje przecięta świetlistym, tęskliwym pasmem. Odgłosy z portu, stukające coraz ciszej „klepadła robotników uszczelniających boki statków”, gdy Emma Bovary odpływa na łodzi z Leonem spędzić trzy najpiękniejsze dni życia i rozkoszuje się dźwiękami porzucanej rzeczywistości. I teraz za oknem na skwerku przedszkolnym, nieco zmrożonym przez grudzień, dzieciaki okute w zbyt obszerne palta i rzucające do siebie w kręgu kolorową dużą piłkę; ich stłumione przez szyby śmiechy i pacnięcia dłoni o plastik, gdy łapią ją niezgrabnie. Trzeba sobie wyobrazić słuchającego szczęśliwym.

© MAREK BIEŃCZYK

STANISŁAW

Mancewicz:
Tak będzie

Możemy bez wahania powiedzieć, że fachowe oceny polskich metod walki z epidemią to lektura rozdzierająca. A to dlatego, że nieaktualne okazuje się przekonanie, iż Polacy są legendarnie praktyczni, że praktyczność pomagała im i pomaga przeżyć trudne chwile. To jedno. Po drugie – jeśli idzie o lektury męczące – wszechobecne piśmiennictwo oparte na najwulgarniejszym polskim kibolstwie stosowanym jako metoda rządzenia wzdyma nas wyższościowo, pogardliwie i takoż symetrycznie. Dlatego też uznaliśmy, że oto zamiast o przeszłości bądź to teraźniejszości, lepiej pogwarzyć sobie dziś o przyszłości. Jak mawiał klasyk, „wybierzmy przyszłość", co szczególnie ma sens dziś, gdy wchodzimy w nowy rok krokiem bynajmniej nie dziarskim.

Pierwszą plotką-nieplotką na temat otwarcia nowego kalendarza politycznego była wiadomość, że jakoś tydzień po sylwestrze przybędzie do Polski obecny, ale w zasadzie już jakby były wiceprezydent USA p. Pence. To ważny szczegół, że informację o tej podróży podała solidna zagraniczna agencja prasowa. Zaraz potem przedstawiciele trzeciego szeregu tutejszej władzy sensację tę zdementowali i temat zanikł. Bądź się zgubił. Zgubił się w powszechnych rozważaniach, jak by tu ominąć zarządzone ograniczenia w obchodzeniu pierwszego co do ważności polskiego święta, czyli sylwestra.

Ponieważ – jak wiadomo – kalendarze, daty i cyferblaty należą do sfery umów, znaczna część populacji postanowiła, owszem, odpowiedzialnie przestrzegać surowych rządowych regulaminów mających obowiązywać w nocy z 31 grudnia na 1 stycznia, ale w zamian umówić się inaczej i pobawić się dzień wcześniej. Bez ryzyka, że p. Morawiecki się pogniewa, zaciśnie piąstki i wezwie tajniaków z teleskopowymi pałami, którzy zleją roztańczone staruszki i starców z dziećmi na ręku. No więc wiadomość o wizycie p. Pence'a zgubiła się też pośród totalnego nawijania nam makaronu na uszy, że żyjemy w demokracji, że gospodarka hula, że kultura to jest właśnie to, co pokazują w publicznej telewizji, że p. Wildstein jest pisarzem, że polska służba zdrowia ma się znakomicie bądź że Polska ma coś takiego jak parlament pracujący na sposób europejski. Nie mogliśmy, mimo tych wszystkich znakomitych rewelacji, przestać myśleć o p. Pensie, zastępcy p. Trumpa. Do tego stopnia byliśmy intelektualnie pobudzeni, że przeczytaliśmy sobie w Wikipedii jego życiorys. Czy ta lektura coś nam dała? Wzbogaciła nasz zbiór informacji na temat amerykańskich elit? Nie. W ogóle. Czy ten biogram zniechęcił nas do myślenia o p. Pensie, o Ameryce bądź o Polsce w przyszłości? Nie. Wręcz przeciwnie.

Oto obraz, który wydawał nam się dotychczas niewyraźny i szary, zaczął nabierać formatu, koloru i ostrości. Z ilustracji wielkości pocztowego znaczka zaczęło powstawać malowidło wielkości – za przeproszeniem – „Panoramy racławickiej". Cóż ono przedstawia? Śmiać nam się chce, że nasi Czytelnicy jeszcze się nie domyślają, że nie czytają znaków na niebie i na ziemi. Otóż przymknąć należy oczy i owo zobaczyć. Trzeba poruszyć nozdrzami. Należy węszyć. Co czuć?

Wiceprezydent p. Pence, mimo dementi, przybywa do Warszawy. Jest to oczywista zapowiedź, że jego szef p. Trump też się rychło zjawi. Stanie się to oczywiście dopiero wtedy, gdy wyniosą go razem z krzesłem z Białego Domu i gdy zostanie przymusowo zaszczepiony na COVID-19. Zaraz potem, pierwszym dreamlinerem, przyleci do Polski. Do jedynego kraju na świecie, który nie uznał wyników ostatnich wyborów w jego ojczyźnie, a w którym bieżąca woda w kranie jest jeszcze standardem. Oto p. Trump wyjedzie z Okęcia z hukiem, w sto radiowozów, z dworem republikańskich elit, z banderią komentatorów telewizji Fox na koniach, wprost na Żoliborz, gdzie p. Trump będzie prezydentem USA na wychodźstwie, a p. Pence oczywiście jego zastępcą. Dlatego właśnie p. Pence przyjedzie do Warszawy trochę wcześniej, żeby dopiąć wynajęcie na Żoliborzu białego domku. Pukacie się w głowę? Tak będzie. Dobrego roku! ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

REKLAMA

TEATR ŻEROMSKIEGO W KIELCACH

EXPIRIA

PRAPREMIERA: STYCZEŃ 2021

TEATR ŻEROMSKIEGO W KIELCACH

koncepcja, choreografia i wykonanie:
Agnieszka Kryst

dramaturgia:
Agata Siniarska

kompozytorka:
Justyna Stasiowska

kompozycja przestrzeni i reżyseria światła:
Agata Skwarczyńska

konsultacja artystyczna:
Joanna Leśnierowska

Koprodukcja:

NOWY TEATR

art stations foundation by Grażyna Kulczyk

Spektakl koprodukowany przez Teatr im. Stefana Żeromskiego w Kielcach powstaje w ramach „Poszerzania Pola" – programu choreograficznego warszawskiego Nowego Teatru i Art Stations Foundation, którego kuratorką jest Joanna Leśnierowska.

POSZERZANIE POLA

Teatr im. Stefana Żeromskiego w Kielcach jest jednostką organizacyjną Samorządu Województwa Świętokrzyskiego współprowadzoną przez Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

WOJEWÓDZTWO ŚWIĘTOKRZYSKIE

TEATR ŻEROMSKIEGO W KIELCACH

Fot. Katarzyna Szugajew

Więcej na www.teatrzeromskiego.pl / REZERWACJE: +48 41 344 75 00; kasa@teatrzeromskiego.pl

REKLAMA

Nagroda Literacka Miasta Gdańska

Europejski Poeta Wolności 2020

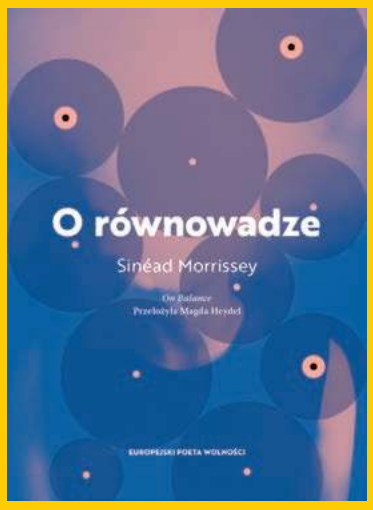

Nagrodzony tom to

„O równowadze"
Sinéad Morrissey

w tłumaczeniu **Magdy Heydel**.

Wszystkie tomy z serii
Europejski Poeta Wolności
dostępne na **www.sklepikm.pl**.

Darko Cvijetić
Bośnia i Hercegowina
tłum. Miłosz Waligórski

Balša Brković
Czarnogóra
tłum. Agnieszka Schreier

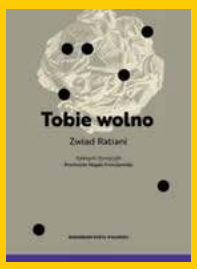

Zwiad Ratiani
Gruzja
tłum. Magda Nowakowska

Inga Gaile
Łotwa
tłum. Agnieszka Smarzewska

Jean Portante
Luksemburg
tłum. Wawrzyniec Brzozowski

Agnė Žagrakalytė
Litwa
tłum. Agnieszka Rembiałkowska

Antoine Cassar
Malta
tłum. Zuzanna Gawron

Organizatorzy:

GDAŃSK

instytut kultury miejskiej

europejski poeta wolności

www.europejskipoetawolnosci.pl